



*Barbara Scrupski*



*Petersburski romans*

# Część pierwsza

## Rozdział 1

W Rosji panuje głód. Chłopi o czerwonych twarzach, pomarszczonych niczym zwiędnięte jabłka, klęczą na zmarzniętej ziemi i rozdrapują palcami wybrzuszenia, grudki i bryłki, w których może kryć się burak, marchew lub rzepa, biała i smutna jak niebo nad ich głowami. Cokolwiek jednak znajdują, nie jedzą, tylko przepijają w postaci czystej gorzałki o gorzkim smaku, destylowanej, zdawałoby się, przez zimowe powietrze. Alkohol pali gardło, lecz grzeje żołądek i rozchodzi się po ciele, unosząc w krainę snów. Chłopi śnią o burakach wielkich jak domy ze ścianami ociekającymi słodyczą, o jajkach małych jak perły - przydymione lub połyskujące niczym ogień - ukryte w brzuchu ryby, o śniegu, który smakuje jak gęsta śmietana, o kamieniach, które po ugotowaniu i przekrojeniu okazują się jadalne, i o grzybach. A daleko stąd, w lodowych komnatach z sufitymi sięgającymi nieba, przy stołach nakrytych śnieżnymi obrusami i srebrną zastawą skośnookie kobiety raczą się diamentami sprowadzanymi z zasobnego Kaukazu nad Morzem Czarnym, grzejąc zziębnięte stopy na łydkach carskich wartowników. kobiety spuszczaają wzrok, bo to im nie wystarcza, bo marzą jeszcze o czymś (by poczuć uderzenia jąder ogiera o ich wypięte pośladki).

Oto obraz Rosji - po części zasłyszany, po części utrwalony w pamięci fragment historii, który pojawił się nagle w świadomości. Epoki mieszają się ze sobą, dzięki czemu Puszkina (który przecież nie żyje) kroczy jednym z bulwarów najwspanialszego z miast Rosji i uchyla kapelusza przed nadchodzącym z naprzeciwka Czechowem. Wyobraźmy sobie Sankt Petersburg w całym jego splendorze, tonący w lodowej bieli. Wyobraźmy sobie okna, niezliczone rzędy świateł na tle zimowego nieba. Za jednym z tych okien widzimy młodą pannę, prawie kobietę. Drobnymi dłońmi usiłuje dosięgnąć płytek zmarzniętego złota tkwiących na suficie wysokiej komnaty. Sapie z wysiłku, po czym,

zrezygnowana, opuszcza ręce. Ma na sobie wyblakłą czarną suknię i mogłaby być służącą w tym wielkim domu, ogarniętą szaleństwem z powodu dysproporcji między przepychem wielkopańskiego pałacu a nędzą jej kondycji (pokój na poddaszu i szesnastogodzinny dzień pracy). Unosi wzrok i z uwagą wpatruje się w zdobiony złotem sufit. W jej ręku błyszczy nóż. Sprawdza palcami ostrze, mruży z zadowoleniem, po czym podciąga rękawy. Co ona robi?! Trzeba ją powstrzymać!

W tym momencie do pokoju wbiega służąca. Krzyczy, płacze i chwyta dziewczynę za spódnicę. Młoda hrabianka stoi bowiem na szczycie wysokiej drabiny, z podkasanymi jak u praczki rękawami, i usiłuje zeszkrobać z sufitu resztki złotych ornamentów, jakie jeszcze pozostały po wspaniałym niegdyś pałacu. Nie ma wyjścia; złote płytki można sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na jedzenie. Praskowia, służąca, która ciągnie swoją panią za brzeg sukni, od wielu dni karmi ją jedynie czarnym chlebem i cienką herbatą - to skutek drakońskich oszczędności wprowadzonych przez chlebodawczynię. Wystarczy rozejrzeć się po pokoju - jest zupełnie pusty, bo wszystkie meble zostały sprzedane.

Przed rokiem zmarł ojciec hrabianki Aleksandry Korwin i pozostawił długi równie wielkie, jak wielka była niegdyś rodzinna fortuna. Przez ten rok pogrążona w żałobie córka nikogo nie widywała - nie uczestniczyła w balach, koncertach, herbatkach, kolacjach, przyjęciach z okazji świąt Bożego Narodzenia, nie widziano jej też w loży Teatru Maryjskiego, bo ją też musiała sprzedać. „Jaka piękna dziewczyna - szeptano w towarzystwie, kiedy jeszcze bywała - uprzejma, poważna, dobrze wychowana, nie taka jak jej rówieśnicy, choćby syn Biezinskiego. Gdy zmarł jego ojciec, on pochylił się nad nim tylko po to, by sprawdzić, czy stary Sasza - co za rozpustnik! - rzeczywiście nie żyje. Potem poszedł prosto do klubu, zamówił ostrygi, szampana i tańczył na stole wśród kryształów i porcelany, strącając je dla zabawy na podłogę. Zadrapania po jego butach pozostały na stole do dziś”.

Sądzone, że pogrążona w smutku hrabianka Aleksandra odpoczywa w przyciemnionych komnatach, oddając się wspomnieniom. Kiedy spotykano ją nad Newą, spacerującą wzdłuż brzegu i przystającą od czasu do czasu, by spojrzeć w ciemną toń rzeki, na jej twarzy malował się wyraz głębokiego zamyślenia i gorczy.

Przedmiotem jej troski były pieniądze. Nie ukrywała się w ciemnych komnatach,

przeciwnie, stojąc w jasnym świetle poranka ze splecionymi na piersiach rękoma, władczym głosem wydawała polecenia służącym, by zabrali to krzesło, tamten stół, by spakowali tę porcelanową wazę i tę kryształową kasetkę. O zmroku, żeby nie dostrzegły ich oczy ciekawskich, do pałacu przychodzili kupcy i pośrednicy, odzierając ze sprzętów pokój po pokoju.

- Jest przecież las na Litwie - oświadczyła hrabianka plenipotentowi Trieniakowowi w piątek po śmierci ojca.

Ubrana w prostą czarną suknię, siedziała przy starym rzeźbionym biurku, na którym piętrzyły się chybotliwie stosy dokumentów. Mężczyzna widział jej twarz jedynie fragmentarycznie, w prześwitach pomiędzy stertami papierów.

- Mam tu gdzieś akt własności.

Trieniakow, wielki miłośnik sztuki, pomyślał, że hrabianka przypomina rzeźbę z archaiku. Drgnął i automatycznie kiwnął głową, gdy Aleksandra głośniejszym głosem powtórzyła ostatnie zdanie.

- Skoro więc mamy ten las na Litwie, to musimy też mieć domek myśliwski w Prusach Wschodnich razem z dziesięcioma tysiącami akrów obfitujących w zwierzynę i ryby.

Nie, nie archaik, jej rysy są bardziej subtelne - myślał plenipotent. Ten wydłużony kształt oczu wskazywałby raczej na rzeźbę etruską albo minojską - czystość linii, idealnie wyprofilowane łuki brwi, pięknie wykończone oczodoły świadczyły o niezwykłym kunszcie i smaku rzeźbiarza. Drobnym fragmentem twarzy, widocznym między papierami, zapowiadał, że całość musiała być ukształtowana niezwykle harmonijnie.

- I fabrykę obuwia, i kopalnię węgla na Ukrainie. Wszystkie te dobra na zachodzie... Ojciec z pewnością zapomniał o nich i nie zdążył sprzedać. Gdzieś tu muszą być akty własności - kontynuowała Aleksandra pewnym siebie głosem.

Trieniakow słuchał, jak hrabianka przekłada papiery, pełna nadziei, i uznał, że dłużej tego nie wytrzyma.

- Jaśnie panienko - odezwał się, nisko spuszczaając głowę. - To było pięć lat temu.

Aleksandra odłożyła na bok stosik dokumentów, które zamierzała przekartkować.

- Co było pięć lat temu? - spytała.

Plenipotent zaczął wyjaśniać. Pięć lat temu pan hrabia znalazł się w kłopotach finansowych przez niecierpliwych oraz pozbawionych skrupułów wierzycieli i zwrócił się do niego z prośbą o pomoc w rozwiązaniu problemu.

Aleksandra natychmiast zrozumiała, co Trieniakow ma na myśli. Zgarbiła się i spochmurniała. Nie musiała też pytać, na co poszły te pieniądze. Na rezydencję dla pięknej śpiewaczki, ostatniej z długiej listy kobiet - baletnic, początkujących aktorek, modystek, a nawet zubożałych przedstawicielek arystokracji - które hrabia Korwin hojnie wyposażał. Ich zadaniem było wypełnić pustkę w jego łożu i sercu po śmierci młodej żony, która zmarła, wydając na świat Aleksandrę. Pustkę w łożu wypełniły z powodzeniem, lecz pustki w sercu nie zdołały.

Albo na podróże po całym świecie. Ojciec wracał z nich z kuframi pełnymi skarbów: maskami azteckich kapłanów, tureckimi kaflami ceramicznymi, greckimi dzbanami, hinduskimi bransoletami ze srebra na kostki u nóg. Raz nawet przywiózł hinduską tancerkę ze świątyni. Pewnie nadal mieszka w Petersburgu dzięki hojności hrabiego i nadal pobrzękuje bransoletami, rozjaśniając ich blaskiem ponure zimowe popołudnia. Hrabia przywoził również zwierzęta: egzotyczne ptaki o tęczowym upierzeniu, kobaltowych grzbietach, złotych podgardlach i ognistych skrzydłach, które zdechły, zanim zdążyły zaczerpnąć pierwszy haust zimnego rosyjskiego powietrza. W tej menażerii było też słońiatko. Przez miesiąc czy dwa chodziło osowiałe po wewnętrznym dziedzińcu pałacu, aż w końcu dostało zapalenia płuc i ku wielkiej rozpaczy hrabiego trzeba je było zastrzelić.

- I jak rozwiązano te problemy? - spytała Aleksandra, chociaż znała odpowiedź.

Trieniakow milczał.

- Sprzedał wszystko, tak? Ziemię, fabryki, kopalnie?

- Pani ojciec był wyjątkowym człowiekiem - powiedział adwokat.

Rzeczywiście, wyjątkowym. Kiedy wrócił z żoną z trwającej trzy lata podróży poślubnej, w czasie której weszli między innymi na jeden z himalajskich szczytów i opłynęli w szalejącym sztormie Przylądek Dobrej Nadziei, kazał zburzyć wielką marmurową klatkę schodową w pałacu i zastąpić ją schodami z lapis-lazuli. Kolor lazurytu - tłumaczył wszystkim, którzy chcieli słuchać - ma ten sam odcień błękitu co morze wokół pew-



nej wyspy na Cykladach w piękny wiosenny wieczór. Spływające z piętra na piętro lazurytowe schody sprawiały wrażenie, jakby do wnętrza pałacu sprowadzono ocean, a ich fantastyczne barwy harmonizowały, zdaniem hrabiego, z kolorem oczu żony w ów wieczór, gdy spacerowali piaszczystym brzegiem, wpatrując się w morskie fale. Wtedy właśnie obiecał żonie, że zbuduje jej drogę morską, którą będą wędrować ku księżycowi. Spełnił przyrzeczenie, lecz wkrótce potem jego młoda żona zmarła.

- Wszystko - dodał Trieniakow. - Pozostały jedynie długi.

Droga do księżyca! Ta jego droga do księżyca kosztowała setki tysięcy dusz, w tym całą ich służbę! Razem ze służbą poszły wszystkie dobra.

Trieniakow, krępy mężczyzna w średnim wieku, który nadal mieszkał z matką, patrzył, jak hrabianka kryje twarz w dłoniach, a spomiędzy palców zaczynają kapać łzy, i zapragnął otoczyć ją ramionami. Pomyślał jednak, że ma zbyt mało włosów na głowie, by się na to odważyć.

- Zawsze jest jakiś sposób na rozwiązanie problemu, jaśnie panienko - powiedział.

Matka stale mu to powtarzała. Chciał zapewnić hrabiankę, że te pieniądze zostały dobrze wydane, że można teraz chodzić po morzu. Miał ochotę szepnąć jej to na ucho, pochylić się i poczuć jej zapach. Był jednak na to za gruby. Poruszył się niespokojnie w krześle.

- Zawsze jest jakiś sposób na rozwiązanie problemu, jaśnie panienko - powtórzył.

- Droga do księżyca! - Złapała się za głowę, kręcąc nią z niedowierzaniem. - Słoń!

Trieniakow pomyślał, że to jest najważniejsza chwila w jego życiu, że odtąd będzie mógł służyć pięknej kobiecie. Nagle straciły znaczenie drwiny szkolnych kolegów z jego tuszy i z faktu, że jego matka była służącą, a za naukę płacił pan, który go usynowił, wieczory spędzane na nauce, gdy umysł ścigał się z zachodzącym słońcem, by przyswoić sobie treść strony, zanim linijki książki rozplyną się w mroku, smród dochodzący z sąsiadującej z jego moskiewskim pokojem garbarni, niechęć dziewcząt, do których próbował się zalecać, a także popołudniowa herbatka w domu kolegi Jurija i podsłuchane przypadkiem słowa siostry przyjaciela na jego temat. Liczyło się tylko to, że miał być doradcą pięknej kobiety.

- Najważniejszy jest honor - podkreślił z naciskiem. - Jeżeli jaśnie panienka chce

zatrzymać zadłużony pałac, musi honorować wiarygodności ojca.

- Ale jak? Czym mam spłacić te długi? Tym?

Machnięciem ręki zmiotła z biurka stos papierów.

Trieniakow zsunął się z krzesła na podłogę.

- Proszę sprzedać, co się da, meble, obrazy, książki - rzekł, zbierając na kolanach rozrzucone dokumenty. Ku swemu zaskoczeniu natrafił na widoczny spod ciemnej sukni czubek pantofelka hrabianki i zapragnął wziąć w dłonie ten drogocenny skarb, lecz zadowolił się jedynie wciągnięciem w nozdrza zapachu skóry.

- Zacznę od tych schodów - oświadczyła Aleksandra, wstając. Czubek pantofelka zniknął w cieniu. - Sama z przyjemnością wezmę młotek do ręki.

- Och nie, jaśnie panienko, musi je panienka zostawić - zaprotestował Trieniakow, podnosząc się z podłogi z poczerwieniałą twarzą. Wyjął z rękawa chustkę i wytarł nią błyszczącą od potu łysinę, po czym klapnął ciężko na krzesło, ale natychmiast się zerwał i czekał, aż hrabianka ręką da znak, żeby usiadł. - Jak będzie jaśnie panienka przechodzić z piętra na piętro?

Aleksandra musiała przyznać mu rację. Jak będzie przechodzić z piętra na piętro? Schodami dla służby?

- Poza tym - ciągnął Trieniakow - któregoś dnia może zechce jaśnie panienka sprzedać pałac, a bez tych sławnych schodów...

- Nie - przerwała Aleksandra zdecydowanym tonem.

- Gdyby jednak...

- Nigdy! Nigdy nie sprzedam pałacu!

Opadła na stojący w drugim końcu pokoju stary skórzany fotel, wzbijając tuman kurzu, który otoczył ją niczym chmura. Sama też teraz wyglądała jak ten nienadający się do sprzedaży mebel (później bezskutecznie bowiem szukała na niego kupca).

- Jeżeli jaśnie panienka wyjdzie dobrze za mąż, nie będzie panienka musiała sprzedawać pałacu - zauważył Trieniakow, wiercąc się w krześle.

- A kto mnie teraz zechce poślubić?

Och, każdy - miał ochotę powiedzieć - choćby ja. Zamiast tego przedstawił swój plan. Trzeba po cichu pozbyć się wszystkich ozdób, ornamentów i mebli. Nikt nie powi-

nien wiedzieć, jaka naprawdę jest jej sytuacja. Za uzyskane pieniądze nie tylko spłaci długi, ale też będzie mogła sfinansować swój debiut towarzyski i zaistnieć w petersburskich wyższych sferach jako panna na wydaniu. Wówczas z pewnością odniesie sukces, odzyska majątek i dobre imię.

- Nie ma mowy! - wykrzyknęła Aleksandra, zrywając się z fotela, i zaczęła chodzić po pokoju. Łowczyni posagów, cóż za hańba!

Postąpiła jednak zgodnie z radą. Nie miała innego wyjścia. Zajęło jej to rok, wypełniony potajemnymi spotkaniami z kupcami i turkotem wozów o świcie na wewnętrznym dziedzińcu, lecz dopięła swego. I co dalej? Po spłaceniu długów niewiele jej pozostało. Ścisnęła więc w rękę każdy rubel i starała się tak nim gospodarować, by starczył na jak najdłużej. Dlatego postanowiła zeskrobać złote płatki z sufitu.

Ponownie spojrzała w górę. Nie miała pieniędzy, jedzenia, mebli, przyzwoitych strojów, bo większość garderoby zabrali bystroocy kupcy. Mogła nadal odzierać pałac z ozdób, ale jak długo jeszcze? W końcu zniknie ostatni kawałek złota i wówczas pozostaną jedynie schody. A jeżeli i one znikną, a cały ich śmieszny przepych zmieni się w proch pod młotkami i piłami, rozpadnie się na kawałki, które odjadą na kupieckich wozach? Wówczas na zawsze ugrzęzłaby na parterze, nie mogąc dostać się wyżej. Co wtedy?

Zebrała spódnice, zeszła z drabiny i wręczyła nóż zapłakanej służącej. Ta oddaliła się pospiesznie, by ukryć w kuchni ten cenny przedmiot, niewiele ich bowiem już zostało.

Należy zapomnieć o czymś tak nonsensownym jak miłość - postanowiła Aleksandra. To dobre dla wieśniaczek.

Wyszła z pokoju i słynnymi schodami udała się na górę do nędznego pokoiku, który teraz zajmowała, ponieważ był mały i łatwo dało się go ogrzać. Zamknęła drzwi na klucz i stanęła przed wielkim lustrem (bezwartościowym, bo popękany), przyniesionym tu przez służące Praskowie i Matryonę, i przyjrzała się krytycznym okiem temu, co miała do zaoferowania. Tego nigdy nie zdoła pojąć, dlaczego mężczyźni gotowi byli płacić za kobiece ciało majątkiem lub małżeństwem. Co takiego w nim widzieli? Wciętą talię, idealnie pasującą do kształtu ich dłoni? Piersi - główny przedmiot męskiego pożąda-



nia? Czy jej biust był na tyle wydatny, by przyciągnąć na dłużej czyjaś uwagę? Cenione teraz grube uda i pośladki, wyglądające niczym wyściełane pufy, w jej przypadku były stanowczo zbyt płaskie. Może gdyby więcej jadła... lecz jak to zrobić?

Taka na przykład księżna Rusawska to dopiero prawdziwa kobieta. Jej piersi w wydekoltowanej sukni wyglądały niczym świeżo upieczone bochny chleba, a ramiona były pulchne i białe jak słonina. Pokojówki księżnej - znające wszystkie domowe sekrety - szeptały, że ich pani nie potrzebuje tiurniury, bo ma dość własnego ciała.

Aleksandra uniosła piersi w nadziei, że uzyska efekt pulchnych bochenków, lecz wyszły jej tylko pulchne pączki. Nie zdołała ich nawet złączyć, by stworzyć tajemnicze zagłębienie, tę dolinkę, w którą mężczyźni pragnęli się zagłębiać.

Postanowiła więcej jeść, choć wiedziała, że to na nic; należała bowiem do kobiet, które bez względu na to, ile zjadłyby blinów i tłustego karpia na kolację oraz ile połknęłyby ostryg hiszpańskich - nie tyły. Co prawda, dawno nie jadła ostryg i pewnie nigdy nie będzie, jeżeli nie zrealizuje swojego planu.

Aleksandra zaczęła się ubierać. Bez pokojówki Matryony miała z tym trochę kłopotu. Niesforna służąca wiecznie gdzieś przepadała, hrabianka musiała więc radzić sobie sama. Umocowała z tyłu płaską poduszczkę wzmocnioną fiszbinami, wciągnęła powietrze i przywiązała ją tasiemkami w pasie. Następnie włożyła suknię i zapięła guziki, opuszczając jeden czy dwa. Nie miało to znaczenia, bo przecież i tak nikt jej nie zobaczy. Teraz niedostatki figury zostały bezpiecznie ukryte.

Może odpowiednie stroje podkreśliłyby jej urodę. Poza tym była inteligentna, ale, zważywszy na gust ojca, należało wątpić, czy to zaleta. Choć, z drugiej strony, do edukacji córki hrabia podchodził z fanatyczną wręcz gorliwością. Oprócz nauki języków, malarstwa, tańca, muzyki, posługiwania się globusem kształcono ją również w dziedzinach dość nietypowych dla kobiety w jej czasach i z jej pozycją. Ojciec nalegał, żeby Aleksandra nauczyła się strzelać, spędziła więc wiele mglistych jesiennych poranków w domku myśliwskim w Prasach Wschodnich. Kolba dubeltówki boleśnie wbijała jej się w obojczyk, gdy celowała do kaczek, bażantów i kuropatw, przelatujących po zapłakanym polskim niebie. Potrafiła też sprawiać zwierzynę, od bażanta po łosia, i rozpoznawać ją z daleka po zapachu. Ojciec nazywał córkę swoim ptasim pieskiem, ona jednak miała wąt-

pliwości, czy powinna być z tego dumna. Naśladowała głosy egzotycznych ptaków, lecz nie odważyłaby się zrobić tego publicznie. Z równą zręcznością posługiwała się szablą jak i szpadą, stale wygrywając ze swoim nauczycielem fechtunku. W towarzystwie jeździła konno po damsku, ale w czasie samotnych lub z ojcem przejażdżek używała męskiego siodła. Potrafiła nawet uszyć buty. Nauczył jej tego specjalnie sprowadzony włoski rzemieślnik, nigdy się jednak nie dowiedziała, czemu to miało służyć. Domyślała się jedynie, że zapewne miało to coś wspólnego z należącą do rodziny Korwinów fabryką obuwia na Ukrainie. Nauczyła się wreszcie palić cygara z wprawą konesera.

Na razie jednak zachowywała w tajemnicy te talenty. Szlachetnie urodzonym pannom wolno było ujawniać swoje zamiłowania dopiero po ślubie, kiedy miały szanse w pełni rozwinąć własną osobowość i odsłonić przed światem to, z czym się kryły jako młode dziewczyny. Panna na wydaniu, by schlebić męskiej próżności, grała rolę czystej, niezapisanej karty, którą mężczyźni wypełniali własnymi fantazjami. Po ślubie kobieta mogła oczywiście zapisać ją według własnego gustu. Tymczasem Aleksandra musiała się z tym wstrzymać. Jeżeli chciała dobrze zagrać swą rolę, powinna to robić również poza sceną. Dlatego postanowiła wypalić ostatnie cygaro.

## Rozdział 2

Powodem, dla którego dwudziestotrzyletnia Aleksandra nie znalazła się wśród panien na wydaniu, był opór hrabiego. Nie chciał, żeby córka paradowała niczym klacz zarodowa po wybiegu, narażona na taksujące spojrzenia petersburskich kawalerów, którzy gawędząc między sobą i paląc cygara, oceniali szerokość jej bioder, stan uzębienia i wielkość posagu. Sprawę małżeństwa Aleksandry traktował jeśli nie z otwartą wrogością, to z obojętnością. Nie wprowadził jej nawet oficjalnie do towarzystwa („Jakiego towarzystwa?” - pytał z pogardą w głosie). Zainteresowanych nią konkurentów, których zdołała poznać w czasie raczej ubogiego towarzysko życia, zniechęcał delikatnie, lecz stanowczo. Kiedy zapytała ojca, dlaczego to robi, odpowiedział, że miłość niesie ze sobą wiele cierpień - jest ulotna, pozwala doświadczyć niezwykłego szczęścia, jakie dane mu było przeżyć z żoną, a potem spycha człowieka w czarną otchłań po śmierci ukochanej. Opowiedział również o namiętności, która odebrała życie jej matce. Patrzył, jak ukochana żona umiera w gorączce majaczeń, w łóżu mokrym od potu i krwi, tuż po wydaniu na świat maleńkiej istotki. Nie chciał, by Aleksandra cierpiała jak ona, i nie chciał być świadkiem cierpień córki.

Aleksandra się tym nie martwiła, ponieważ zamierzała wyjść za mąż bez miłości, a ryzyko związane z narodzinami dziecka (bardzo realne w jej czasach) było ceną za zdobycie majątku. Gdyby zaś ona i dziecko przeżyły, uznałaby, że to nagroda za małżeństwo bez miłości.

W jej planach pozostało jednak wiele niewiadomych. Nie znała natury mężczyzn, nie wiedziała nic o sztuce uwodzenia i potrzebowała kogoś, kto wprowadzi ją do towarzystwa. Postanowiła zwrócić się z prośbą o radę do jedynej osoby w Petersburgu, która, jak sądziła, mogłaby jej pomóc - do księżnej. Tak naprawdę nie była ona żadną księżną, lecz *grande horizontale*, utrzymanką i najsłynniejszą z kochanek ojca.

Wsiadając do dorożki i naciągając pled na kolana, Aleksandra czuła jeszcze na języku smak ostatniego wypalonego cygara. Nie patrzyła na mijane po drodze rzędy białych domów, nie słyszała parskania koni i cichego stukotu ich kopyt po śniegu, nie docierały też do niej pomruki siedzącego na koźle stangreta - starego Węgra - który palcem

wskazującym podniósł budę powozu. Zajęta myślami, przytknęła sobolową mufkę do ust, starając się zapanować nad strachem, jaki księżna zawsze w niej budziła.

Minęły lata, odkąd ją ostatni raz widziała. W dzieciństwie regularnie przywożono małą Aleksandrę do domu księżnej na coś w rodzaju inspekcji. Nie lubiła tych wizyt. W wyznaczonym dniu przechodziła drobiazgową toaletę. Z tych czasów pozostało jej w pamięci nieprzyjemne uczucie, gdy palec służącej wwiercał jej się w ucho. Potem obsypywano ją słodko pachnącym pudrem i ubierano jak laleczkę z porcelany, strojąc we wstążki i aksamitne kokardy, po czym wieziono do pałacu księżnej. Tam gospodyni, nie spuszczać z niej surowego wzroku, obserwowwała, jak dziewczynka, siedząc na zbyt wysokim dla niej krześle, trzyma filiżankę w drżących dłoniach, starając się nie uрониć ani kropli płynu. Później Aleksandra często się zastanawiała, dlaczego ojciec uważał za konieczne poddawać ją tym okresowym inspekcjom u najsłynniejszej petersburskiej damy z półświatka, sam w nich nie uczestnicząc („Jeżeli z którąś skończył, to na dobre” - wyjaśniła Praskowia), nie miała jednak odwagi o to zapytać. Te wizyty się skończyły, kiedy hrabianka osiągnęła obecny słuszny wzrost, a rysy jej twarzy się wyostrzyły. Aleksandrę można było uznać za piękną panienkę, co dla słynnej z próżności księżnej musiało być trudne do zniesienia.

Co prawda, księżna wzbudzała w niej strach, ale znała wszystkie liczące się w Petersburgu osoby i potrafiła poruszać się w labiryncie towarzyskich układów. Bajeczna uroda, która niegdyś wyniosła ją na szczyty, musiała jednak zblednąć, bo od jakiegoś czasu księżna nigdzie się nie pokazywała. Czyżby rzeczywiście z powodu skaz zakłócających idealną harmonię kształtów? Plotki mówiły o chorobie, lecz ile w nich było prawdy?

Powóz stanął. Aleksandra wysiadła, opierając się na silnym ramieniu Istvana, i spojrzała na chłodną fasadę pałacu, równie nieprzystępną jak przed laty. Drzwi otworzyła stara służąca, którą pamiętała z dzieciństwa, i wprowadziła Aleksandrę do sieni. Dziewczyna odkryła głowę, zdjęła rękawiczki oraz wierzchnie okrycie i zaczekała, aż służąca wejdzie na górę, by zaanonsować ją gospodyni.

Na małym pozłacanym stole stała waza onyksowa na bilety wizytowe. W petersburskich wyższych sferach przywiązywano wielką wagę do tego, kto wrzucał owe bilety,

sypiące się niczym płatki śniegu do pustych waz. Ich liczba oznaczała triumf lub porażkę w walce o pozycję w towarzystwie. Aleksandra sięgnęła do środka i wyjęła jeden ze sztywnych kartoników. Z zaskoczeniem spostrzegła, że ma pociemniałe ze starości i zwinione od długiego leżenia brzegi. Odczytała wydrukowane na nim nieznane jej nazwisko z wytłoczoną poniżej koroną, a na odwrocie nieczytelny dopisek po francusku. Zaintrygowana, wyjęła kilka następnych wizytówek, równie zniszczonych jak pierwsza. Widniały na nich nazwiska nieżyjących osób i zaproszenia na dawno przebrzmiałe bale, minione kolacje, popołudniowe przyjęcia w ogrodzie pod dawno zblakłym słońcem.

Na marmurowych schodach zastukały lekkie niczym deszczyk kroki. Pojawiła się stara służąca, zasapana, ale szczęśliwa, że jej pani będzie miała gościa. Aleksandra wrzuciła wizytówki do wazy i podążyła za służącą.

Osoba, która przyjęła ją w salonie na górze, nie przypominała dawnej księżnej. Siedziała dumnie wyprostowana w tym samym co niegdyś fotelu, lecz po raz pierwszy nie uśmiechnęła się z satysfakcją, że wciąż jest najpiękniejsza, gdy zmierzyła gościa dobrze znanym taksującym spojrzeniem i wypowiedziała słowa powitania. Po legendarnej urodzie nie pozostał nawet ślad, a połowa twarzy wyglądała jak pośmiertna maska. Aleksandra zastanawiała się, kiedy podadzą herbatę i czy dostanie coś do jedzenia.

- Skutki paraliżu - wyjaśniła obojętnym tonem księżna, ręką wskazując to, czego trudno było nie zauważyć. - Mam nadzieję, moja droga, że to cię nie przeraża.

Do dobrego tonu należało, aby Aleksandra zapewniła gospodynię, że ta nadal jest piękna, nie potrafiła jednak na to się zdobyć. Pokręciła jedynie głową i uciekła spojrzeniem w bok, uśmiechając się niepewnie, jakby dawała do zrozumienia, że chciałaby na nią patrzeć, ale nie może. Zaległa cisza, a salon wydał się nagle wielki i pusty. Gdzieś w głębi tykał zegar. Dwie kobiety, które zbyt mało ze sobą łączyło, by mogły znaleźć jakiś wspólny temat, pograżyły się w myślach. Obudziły je dopiero szybkie kroki w holu. Do salonu weszła służąca z tacą.

- Po co tu przyszedłaś? - spytała nagle wrogim tonem księżna.

Służąca, która akurat stawiała tacę na stole, spuściła głowę, zawstydzona nietaktownym zachowaniem księżnej, i zerknęła na pobladłą Aleksandrę.

- Wprawdzie jestem próżna, a może raczej byłam, lecz nie na tyle, by sądzić, że

przyszłaś tu jedynie odwiedzić starą załamaną kobietę - dodała księżna. - Musisz mieć jakiś interes.

Aleksandra, zaskoczona tym brakiem uprzejmości, już miała wszystko wyznać, gdy księżna uniosła ostrzegawczo dłoń i spojrzała zdrowym okiem na służącą.

Kiedy kilka minut później zostały same, Aleksandra, jedząc ciasteczka z marmoladą i popijając je herbatą z mlekiem, zwierzała się ze łzami w oczach ze swoich trosk i obaw, wdzięczna, że ktoś jej słucha. Księżna patrzyła na nią chłodno.

- Ale dlaczego przyszłaś z tym do mnie? - zapytała.

Aleksandra przełknęła łzy i wytarła oczy brzegiem dłoni, by nie zabrudzić twarzy umazanymi cukrem pudrem palcami. Chciała odpowiedzieć na pytanie, ale się rozmyśliła i siedziała w milczeniu z dłońmi złożonymi na kolanach.

- Rozumiem - zabrzmiał ostry głos księżnej. - Nie masz odwagi przyznać, że moja zła reputacja czyni ze mnie idealną powiernicę.

Aleksandra spuściła głowę. Komu jeszcze mogłaby się zwierzyć? Do kogo zwrócić się o pomoc? Jej plan polegał na zachowaniu wszystkiego w sekrecie. Najbliższa przyjaciółka, księżniczka Andriejewna, stojąca na szczycie społecznej hierarchii i zbyt bogata, by się przejmować ewentualnym niepowodzeniem, była osobą ze wszech miar godną zaufania, lecz na drodze stała duma Aleksandry. Gdy więc minął okres żałoby, hrabianka nie przyjmowała zaproszeń przyjaciółki na przyjęcia, bale lub intymne wieczory przy kominku, herbacie i racuszkach z angielskiego sklepu, ich ulubionego przysmaku z dzieciństwa. Wysyłała odmowne odpowiedzi, a Olga, jak zwykle dobra i życzliwa, uszanowała smutek przyjaciółki i jej pragnienie pozostania w samotności, nie domyślając się, że spowodowane jest to wstydem.

- Nie chciałam pani obrazić, księżno - odpowiedziała Aleksandra.

- Nieważne. Bywało już gorzej.

Co miała na myśli? Czy to zaskakujące stwierdzenie otwierało drogę do zadawania pytań? Aleksandra pragnęła się czegoś dowiedzieć o słynnych miłosnych podbojach, które księżna zawdzięczała urodzie tak zjawiskowej, że zdołała wynieść ją z domu publicznego (jak głosiła plotka) do obecnej pozycji. Hrabia Korwin twierdził jednak, że owa uroda miała w sobie chłód lodu, który pali, ale nie rozgrzewa.



Wszyscy wiedzieli, że nie było żadnego księcia. Księżna po prostu pojawiła się pewnego dnia w samym środku petersburskiej socjety i zaczęła zdobywać serca i majątek - powozy, konie, klejnoty, okazały pałac. Naturalnie opowiadała o dawno zmarłym mężu, niegdyś bardzo bogatym i stroniącym od świata w odległych rejonach imperium - w Armenii lub Gruzji. Każdy udawał, że wierzy w jego istnienie, bo czyż inaczej przyjmowano by ją na dworze? A tego żądała jej wielka uroda.

Ta jednak teraz przygasła. Aleksandra zastanawiała się, jak długo księżna zdoła przeżyć bez swojej urody, która była przecież jej istotą. Bez niej stanie się przedwcześnie zestarzałą kobietą.

- Nie mogę ci pomóc - odezwała się nagle księżna. - Musisz wyjść za mąż z miłości. Tak jak ja.

Aleksandra zrozumiała, że czas szczerości minął i niczego się od niej nie dowie. Nie uzyska odpowiedzi na najważniejsze z pytań. Audiencja dobiegła końca, księżna skryła się za zasłoną z konwenansów.

Ku zaskoczeniu hrabianki te przypuszczenia nie w pełni się sprawdziły.

- Jednak zanim wyjdiesz - rzekła księżna, unosząc dłoń, by zatrzymać gościa - podejdź do tamtego stołu i przynieś mi stojącą na nim szkatułkę.

Aleksandra spełniła polecenie i położyła na kolanach księżnej kasetkę z kości słoniowej. Ta wyjęła z niej aksamitny woreczek, otworzyła go i odwróciła do góry dnem.

- Spójrz, jakie piękne - powiedziała.

Na dywan posypało się coś w rodzaju ziarenek grochu, które mieniły się jak rozproszony na wodzie promień księżycy. Były to czyste wody brylanty.

- Nie należą już do mnie, są twoje - oświadczyła księżna, opuszczając kąciki ust. - Zdobyłaś, dziewczyno. Zdobyłaś.

- Co zdobyłam? - spytała zaskoczona Aleksandra.

- Nie zamierzam ci jednak tego ułatwiać, o nie - dodała księżna jakby do siebie. - Oczywiście serce twojego ojca. Zdobyłaś je wiele lat temu. Teraz masz wszystko, możesz więc mieć i to. Weź je, weź, co twoje, jak kiedyś ja. Uklęknij i pozbieraj je.

## Rozdział 3

Nasza młoda hrabianka pomimo dumy nie odmówiła wzięcia brylantów. Zebrała je z dywanu równie zachłannie, jak głodny chłop rozdrapujący zmarzniętą ziemię w poszukiwaniu buraków, lecz znienawidziła księżną za to, że kazała jej klęczeć na podłodze. Te brylanty zapewniały jednak spokój od codziennych trosk, a jej duma niewiele na tym ucierpiała. Zresztą i tak nikt się o tym nie dowie. Wracając w triumfie do domu, Aleksandra ważyła w dłoni aksamitny woreczek i lata wygodnej egzystencji. Ale co potem, gdy jego zawartość się wyczerpie?

Postanowiła, że zainwestuje kamienie we własną przyszłość. Już za kilka brylantów będzie mogła sobie sprawić eleganckie suknie na zbliżający się nowy sezon i zadać szyku w najmodniejszych kreacjach zamiast w starych i znoszonych, które planowała włożyć, zanim trafił jej się ten nieoczekiwany prezent. Zachowała bowiem kilka sukien, zbyt poplamionych lub wytartych, by ktoś chciał je kupić. Zamierzała je przerobić, a także kilka starych budek i kilka par butów. Zaczęła już je nawet zszywać grubą dratwą, trzymając w zębach małe szewskie gwoździki. Teraz wszystkie wyrzuci. Za kolejny kamyk wykupi łożę w operze, za następne do stajni powrócą konie, a na dziedzińcu zaturkoczą koła powozów. Te zewnętrzne oznaki dostatku pozwolą ukryć ogromne tarapaty jakie miała w przeszłości i może mieć w przyszłości, do przywrócenia bowiem pałacowi dawnej świetności nie wystarczy jeden mały woreczek z brylantami.

Należało jednak zachować rozwagę. Aleksandra ponownie zważyła woreczek w dłoni. Wcale nie był taki pękaty. Lepiej zrezygnować z koni i powozów niż ryzykować wydanie choćby jednego kamienia więcej nad to, co konieczne. Na jak długo jej wystarczy? Powinna ograniczyć się do garderoby, nowego ekwipunku i może do łoży w operze, by móc się pokazać, i na tym koniec.

Przede wszystkim jednak powinna pomyśleć o towarzyszyce i opiekunce. Księżna bardzo nieuprzejmie odrzuciła prośbę o wprowadzenie jej na dwór, nawet nie zaproponowała kogoś odpowiedniego do tej roli.

Następnego dnia Aleksandra wezwała Trieniakowa. Stawił się zaraz po śniadaniu. Miał zaspane oczy i tłustą plamę na krawacie, którą matka bezskutecznie próbowała

sczyścić językiem. Ta plama z masła tkwi w samym środku krawata niczym duch śniadania - pomyślała Aleksandra, wstając na powitanie plenipotenta.

Pochylił się nad jej dłonią, po czym bez chwili namysłu udzielił odpowiedzi na zadane przez nią pytanie. Nie patrzył Aleksandrze w oczy - jak zwykle, gdy z nią rozmawiał - i miał spuszczone powieki, co świadczyło o jego wielkiej nieśmiałości.

- Kobieta, którą pani wybierze, musi być beznadziejnie głupia - powiedział.

Aleksandra spojrzała na niego z uznaniem. W lot pojęła, o co mu chodzi. Musiał to być ktoś na tyle tępy i roztrzepany, by nie zauważył pustki za błyszczącą fasadą i pozornym dostatkim.

- Do takiej roli niewątpliwie nadaje się...

- Madame Lavorine - dokończyła Aleksandra.

Słynąca z głupoty madame Lavorine od lat cieszyła się niezwykle popularnością w petersburskiej elicie. Każdy, kto znalazł się w towarzystwie tej damy, już po pięciu minutach uważał się za osobę obdarzoną wielkim rozumem, przenikliwością i niebywałą inteligencją. Dlatego była powszechnie lubiana, wszędzie zapraszana i obsypywana komplementami. Dziewczęce loczki na głowie drżały, gdy, chichocząc, spoglądała na wianuszek admiratorów, którzy podchodzili, by złożyć jej wyrazy uszanowania.

Aleksandra skreśliła do niej parę słów na kremowym bilecie wizytowym z herbem Korwinów (był to orzeł ze sztywnym językiem nieprzyzwoicie wystającym z otwartego dzioba; w dzieciństwie Aleksandra bała się go, bo wyobrażał coś, co jedynie mgliście sobie uświadamiała), zapraszając do siebie.

Madame Lavorine zjawiała się w aureoli loczków. Dłonie jej drżały, a w wylupiających, rozbieganych oczach o tępych wyrazie płonęła zachłanność na nowe zaproszenia i zażyłe znajomości. Hrabianka Korwina była dla niej kolejnym piórem do kolekcji zdołanej słynny biały czepek.

Aleksandra przyjęła gościa w saloniku, gdzie za radą Trieniakowa niczego nie zmieniono, zachowując pozory dawnego przepychu. Wskazała madame Lavorine krzesło z wysokim oparciem, a sama usiadła sztywno wyprostowana z drugiej strony stołu i przedstawiła swój problem.

- Będę zaszczycona, mogąc służyć paniące pomocą - powiedziała madame Lavo-

rine. - Ale dlaczego właśnie ja? Na pewno znalazłoby się w otoczeniu panienki wiele dam, które lepiej nadawałyby się do tej misji.

- Och, nie - zaprotestowała Aleksandra, starając się, by jej głos brzmiał szczerze. - Nikt nie może być bardziej odpowiedni.

Madame Lavorine przyjęła tę opinię z radością, w przeciwieństwie do księżnej, która zadała to samo pytanie, lecz odpowiedzi Aleksandry nie potraktowała jako komplementu.

- Więc tak - rzekła madame Lavorine, wbijając wzrok w sufit i intensywnie myśląc. - Sezon zaczyna się w przyszłym miesiącu noworocznym balem w Pałacu Zimowym. Tam cię przedstawię.

Ustały, że za miesiąc Aleksandra zostanie wprowadzona do towarzystwa. Kiedy sezon się rozpocznie, każdego dnia można się spodziewać oświadczyń, dlatego należało wszystko wcześniej przygotować i zabrać się za szycie sukni. Przez następny miesiąc Aleksandra pławała się w zwojach satyny, tonęła w obłokach tiulu, obmywana falami koronek, od czego bolały ją nogi i głowa.

Pewnego popołudnia Aleksandra stała przy oknie w swoim pokoiku w samej tylko bieliźnie (pantalony już lekko pożółkły, ale wciąż nadawały się do noszenia) i usiłowała złapać oddech, bo nowy gorset ścisnął ją w talii niczym żelazna obręcz, gdy krawcowa wbijała szpilki, Upinając na niej materiał, i plotkowała o klientkach. Aleksandra jej nie słuchała. Patrzyła przez okno, za którym zapadał zimowy zmierzch, a zachodzące słońce stąpało się z linią horyzontu. Odcinające się na tle płonącego czerwienią nieba ciemne sylwetki domów wkrótce miały stracić kształt i zniknąć w ciemności wieczoru. Nad brzegiem leniwie płynącej rzeki stał jakiś człowiek w zniszczonej czapce studenckiej i spoglądał w nią, jakby się zastanawiał, czy nie skoczyć w jej nurt. Co takiego zrobił, jaki uczynek skłonił go do samobójczych myśli lub jakie nieszczęście, tego Aleksandra nie mogła odgadnąć.

- A potem zabrał ją do „Café Paris” - mówiła krawcowa, wbijając Aleksandrze szpilkę w bok i zmuszając ją do wciągnięcia powietrza. - Wynajęli tam pokój i zostali aż do rana. Na szczęście jej męża nie było w domu, bo spędził noc w towarzystwie tancerki i wrócił o ósmej, to znaczy dwie godziny po powrocie żony.

Krawcowa mocno ściągnęła brzegi materiału, żeby przylegały ściśle do ciała, aż Aleksandra mimowolnie szarpnęła głową.

- Ale wkrótce okazało się, że ten łajdak Uljanow miał dość hrabiny - podjęła opowieść krawcowa, trzymając szpilki w ustach - bo następnego wieczoru ona spotkała go w „Europie” w towarzystwie jej własnej pokojówki. Uljanow karmił ją ostrygami. Hrabina zabrała głupią dziewczynę do domu, ale tylko po to, by wyrzucić ją na ulicę, bo tam jest jej miejsce, a potem wyjęła pistolet...

Aleksandra nie pierwszy raz widzi tego mężczyznę w czapce, stojącego nad brzegiem rzeki i wpatrującego się w jej nurt. Wygląda jak przedstawiciel bezimiennego zbiorowiska ludzi mieszkających tam na dole, których nędzne życie topniało niczym papier w wodzie w lichych ciemnych norach, dusznych i cuchnących, gdzie spożywali równie liche i bezimienne posiłki, w skupiskach biedy, gdzie rozbrzmiewały jęki, wzdychania i płacz tysięcy głosów.

Krawcowa uklękła na podłodze, chcąc upiąć brzeg, i dalej trajkotała.

- Uljanow otworzył drzwi i wsiadł do powozu, a tam hrabina wbiła mu pistolet w brzuch (jak mi powiedziała - z wielką przyjemnością) z zamiarem zrobienia mu takiej dziury, jaką miał nasz drogi i święty Puszkin, przez co brzuch spuchł mu do rozmiarów końskiego zadu i umarł biedak od zgniłych gazów, a ta jego żona, Natalia, odgrywała niepokieszoną wdowę, jakby to nie była jej wina, flądra jedna! Czy pani wie, że wypychała sobie tył poduszką? Wiem to, bo szyla jej suknie. Miała też bardzo duże stopy. No więc pani hrabina już chciała pociągnąć za cyngiel i cieszyła się na myśl o cierpieniach kochanka, kiedy on złapał za pistolet, a potem chwycił ją w objęcia. No i spędzili w tym powozie całe popołudnie i wszystko poszło w niepamięć, chociaż mówiłam jej...

- Dość - wyszeptała Aleksandra.

Zrobiła się szara na twarzy, jakby za chwilę miała zemdleć.

Krawcowa uniosła wzrok znad materiału, a Praskowia, która siedziała na piecu, zeskoczyła na podłogę i ruszyła w jej stronę z groźną miną. Aleksandra zaczęła gorączkowo szarpać śliską satynę, usiłując wyswobodzić się z ciasnej sukni.

- Ty - powiedziała służąca, podrywając krawcową na nogi.

Wystraszona kobieta, nie wiedząc, co takiego zrobiła, zaczęła pospiesznie zbierać

swoje rzeczy.

- Przestań napychać panience głowę tymi sprośnościami! - zawołała Praskowia, chociaż sama z przyjemnością ich słuchała, nie mogąc się doczekać pikantniejszych szczegółów, jeszcze bardziej nieprzyzwoitych. Dlatego gdy tylko obie wyszły z pokoju, natychmiast poprosiła o nie krawcową. Ta chętnie je przedstawiła, idąc za Praskowią do schodów dla służby i mijając po drodze starannie zamknięte drzwi pałacowych pokoi.

Suknia leżała w nieładzie na podłodze, lecz sztywna góra, zdobiona srebrnymi naszywkami, pozostała w pionie niczym pusta w środku rzeźba. Aleksandra pospiesznie rozsznurowała gorset, odetchnęła głęboko i otarła spocone czoło. Wielogodzinne stanie i niekończąca się paplanina krawcowej przyprawiły ją o ból głowy. Te przymiarki stały się dla niej prawdziwą męczarnią. Aleksandra położyła się na starym metalowym łóżku, służącym jej w tym nędznym pokoiku do spania. Miała nadzieję, że krawcowa się nie domyśliła, iż to pomieszczenie służy jej klientce za sypialnię i buduar, że mieszka w nim od roku niczym mysz w norze, a piękna, wielka jak sala balowa sypialnia stoi pusta, ogołocona z jedwabnych tapet, ozdób, luster oraz srebrnych i złotych drobiazgów. Aleksandra przycisnęła rękę do czoła, spodziewając się, że to uśmierzy ból, ale na próżno.

Zbliżało się Boże Narodzenie. W tym roku inne niż w minionych latach, gdy pałacowe sale tonęły w szkarłatnych wstążkach, mieniły się światłami, pachniały lasem i pieczonymi potrawami. Należało jednak jakoś uczcić ten dzień, dlatego Aleksandra postanowiła kupić małą gęś, nieco więcej ziemniaków, orzechy i po pomarańczy dla wszystkich domowników - dwóch służących, Praskowii i Matryony, oraz dla Istvana. Nie mieszkał w pałacu, ale spędzał w nim całe dni i spożywał posiłki w kuchni. W tym roku czeka ją jedynie namiastka dawnych świąt, skromna i oszczędna. Na jak długo starczy tych cennych błyszczących kamyków? Wkrótce znikną jak płatki śniegu na wodzie, jak domowa służba, a wówczas ona stoczy się w otchłań nędzy i porwie ją miejski wir.

Pewnego styczniowego wieczoru Aleksandra, trzymając się mocno, jechała skutymi lodem ulicami. Sztywna, przetykana srebrem, zdobiona perełkami góra sukni skrzypiała cicho, gdy wynajęty powóz podskakiwał na wybojach, zmierzając ku jaśniejącej nad miastem łunie światła.

Wysiadając z powozu w oślepiający niczym słońce blask Pałacu Zimowego, Alek-



sandra miała wrażenie, że jest mrówką, komarem lub ważką z opalizującymi skrzydełkami. Tłum podobnych do niej stworzeń sunął ku biało-niebiesko-złotej fasadzie, przepływał przez wielkie drzwi, muskał błyszczącą podłogę, a potem z brzęczeniem i furkotem wzbijał się ku górnym piętrům pałacu. Zbierała się tu cała Rosja i architekci, projektując go, mieli ten fakt na uwadze.

Madame Lavorine, posapując, wspinała się u boku Aleksandry po niekończących się schodach, wskazując protegowanej znane petersburskie osobistości i zdradzając ich wszystkie niesmaczne sekrety. Otóż i księżna Szczerbatkina w olśniewającej toalecie, zapewne od Larina, z cielistego jedwabiu ozdobionego liśćmi w kolorach jesieni, z naszytymi na nich brylancikami. Z jakim wdziękiem jej postać chwieje się niczym drzewo na październikowym wietrze! Księżnę rzadko można było spotkać w stolicy, bo preferowała niemieckie uzdrowiska lub włoskie wille, gdzie mogła przebierać wśród śniadych, ciemnookich chłopców, stanowiących odświeżające urozmaicenie po bladych, jasnowłosych Słowianach.

Aleksandra spojrzała na falujące siedzenie wchodzącej i nie dostrzegła nic romantycznego w tej wyglądającej jak drzewo kobiecie, ale pomyślała, że powinna być bardziej wyrozumiała w swoich ocenach.

- A oto hrabia Parsegian.

Otyłe ciało mężczyzny opinał biały mundur tak szczelnie, że uwydatniał linię kręgosłupa.

- Nie słyszała panienka o nim?

Widząc pulchne pośladki, które trzęsły się jak błyszczące ostrogi na wypolerowanych butach hrabiego, i wesoło podzwaniające na jego piersi ordery, Aleksandra uznała, że nie jest to obiekt godny zainteresowania. Madame Lavorine wyjaśniła, że Parsegian lubi grubych chłopców. W poszukiwaniu pulchnych młodych mężczyzn objeździł powozem stolicę i okoliczne wsie, w czym pomagał mu zaufany stangret. Srogo się zawiódł, gdyż na prowincji panował głód, postanowił więc nawiązać bliską znajomość z każdym, kto miał skłonności do tycia, dzięki czemu mógł osiągnąć pożądaną tuszę. W tym celu hrabia sprowadził z Francji najlepszych kucharzy, którzy zajmowali się wyłącznie przyrządzaniem gęstych śmietanowych sosów do polewania tłustych mięs i mlecznych dese-

rów z dodatkiem cukru i orzechów, przyspieszających ich tuczące właściwości. Goście hrabiego mieli okazję zobaczyć podczas każdej wizyty przynajmniej jednego takiego protegowanego, pracowicie konsumującego owe specjały pod czułym wzrokiem gospodarza.

- Bardzo interesujące - stwierdziła obojętnym tonem Aleksandra.

- A to generał Kropotkin.

Miał drugą rodzinę z jedną ze służących, z którą żył jak przykładowy mąż: co wieczór kładł się spać o dziewiątej, wypijał przed snem szklanekę gorącego słodzonego mleka, a jego ogorzała od słońca kobieta poprawiała mu poduszki. Tymczasem druga żona, mieszkająca w kamienicy naprzeciwko, patrzyła ponuro na puste miejsce u szczytu stołu i milczała. A to doktor Marsinko, znany z bogatej kolekcji nieprzyzwoitych obrazków. Po kolacji panowie podobno wymykali się tylnymi schodami do jego pokoju, żeby je obejrzeć. A to hrabina Rogatowa. Ma syna z lokajem. Piękny i zdrowy chłopiec.

- Czy nie zna pani przyjemniejszych historii? - syknęła Aleksandra, gdy skreśliły w lustrzany korytarz. Ich pantofelki stuknęły głośno na twardej kamiennej posadzce.

Madame Lavorine najwyraźniej nie usłyszała jej pytania i kontynuowała monolog, lecz Aleksandra przestała zwracać na nią uwagę, wsłuchując się w otaczający ją szmer rozmów, który potężniał, w miarę jak zbliżały się do sali balowej.

Kiedy stanęły w jej drzwiach, Aleksandrę poraził oślepiający blask bijący z wnętrza i ogłuszył gwar setek głosów. Zamknęła oczy i zacisnęła dłonie, bo miała ochotę zakryć sobie uszy. Zachwiała się i dla utrzymania równowagi chwyciła swoją towarzyszkę za rękę. Pod powiekami płonęły dziwne obrazy i formy: wiszące w powietrzu czarne kaskady, olbrzymie drzewa z hebanu i czarni ludzie spaleni tropikalnym słońcem. Gdy w końcu otworzyła oczy, zobaczyła jedynie białe żyrandole, białe kolumny i białych jak zima Rosjan.

Kobiety obwieszane zimnymi klejnotami, połyskujące jak węże, lawirowały wśród mrowiącego się tłumu, a równie zimni mężczyźni przypominali drapieżne ptaki, mnąc pod pachami kapelusze w kształcie wielkich dziobów, ozdobione niebieskimi i szkarłatnymi pióropuszcami. Na dumnie wypiętych piersiach błyszcząły bogate szamerowania lub złote naszywki oznaczające ich pozycję na dworze.

Czy te zimne istoty potrafią znaleźć spokój i ciepło w ramionach drugiej równie zimnej osoby? - pomyślała Aleksandra. Ogarnął ją niepokój, chociaż eleganckiej sukni, chroniącej ją jak zbroja, niczego nie brakowało. Madame Lavorine szturchnęła ją w plecy, lecz ona nie była w stanie zrobić kroku. Te opływające ją ze wszystkich stron szlachetnie urodzone damy, bo tylko takie zapraszano na dwór, wydały jej się nagle odrażające i niegodne swego urodzenia, a mężczyźni wcale nie wyglądali na sympatycznych, tylko na odpychających i nienaturalnych. Uniosła stopę, gotowa się odwrócić i uciec. Służące pewnie siedzą teraz w kuchni, w ciepłym kręgu światła rzucanym przez lampę naftową, może pieką coś smacznego - czarny chleb lub ciasto ze śliwkami, owalnymi fioletoowymi kawałkami owoców, zatopionymi w masie jajecznej. A może dopiero szykują ciasto, mieszając masło, jajka i cukier, i dadzą jej spróbować, nabierając trochę na palec, jak to dawniej bywało, gdy zaglądała do misy.

- Proszę nie robić z siebie przedstawienia - szepnęła madame Lavorine, ponownie wbijając jej palec w plecy. - Wchodzimy.

Na Aleksandrę obróciły się setki bezkształtnych twarzy. Malującą się na nich ciekawość zwielokrotniły lustra na ścianach. Nagle jedna z nich nabrała wyrazistości i przybrała rysy przyjaciółki, księżniczki Andriejewej, która machała do niej z drugiego końca sali. Hrabianka odetchnęła z ulgą i weszła do środka, lecz po chwili znów ogarnęło ją przerażenie, bo Olga, przyjaciółka z dzieciństwa, nie wyglądała jak Olga. Kiedy księżniczka w ciężkiej sukni, unoszącej się pod wpływem ruchu lekko nad ziemią, torowała sobie drogę wśród tłumu gości, wydała się Aleksandrze kimś obcym, kogo ocenia się nie na podstawie charakteru, tylko wyglądu.

Czy ona jest ładniejsza ode mnie? - pomyślała z rosnącym niepokojem. Ma więcej wdzięku, lepszą figurę? Równie kształtne dłonie i równie długą szyję? Przeraziły ją te pytania, ale nie była w stanie ich powstrzymać. Poczula ukłucie zazdrości na widok różowych policzków Olgi, którymi dotąd się zachwycała, podejrzewając, że przyjaciółka regularnie je na śniadanie różane płatki. Lśniące ciemne włosy, tak przez nią podziwiane podczas wspólnych letnich podwieczorków spędzanych na poważnych dziewczęcych rozmowach, wydały jej się znacznie ładniejsze od własnych jasnych loków. Aleksandra zacisnęła zęby. Za to ma zbyt szeroką talię i krótką szyję - oceniła ze złośliwą satysfak-

cja, która przyniosła jej ulgę.

Pomyśleć, że kiedyś były najbliższymi przyjaciółkami! Poznały się na jednym z przyjęć dla dzieci i od pierwszej chwili rozpoznały w sobie bratnie dusze. Przekonały się, że nie lubią Koli Rittenberga, ponieważ obie skrzywiły się na dźwięk jego imienia. Zaczęły je rytmicznie powtarzać, aż w końcu osiągnęły coś w rodzaju historycznej radości. Doszły też do wspólnego wniosku, że posypane cukrem pudrem bułeczki przypominają kule śniegowe, co wzmocniło wzajemną nić porozumienia, którą utrwaliło stwierdzenie Olgi, że jeżeli ktoś jechałby po śniegu na śnieżnobiałym koniu, ubrany na biało, to byłby niewidzialny. Przekonało ono małą Aleksandrę, że oto ma przed sobą umysł godny podziwu i poznania.

Olga chwyciła w dłonie mieniającą się suknię i ostatnie kroki pokonała biegiem; poślizgnęła się jednak na gładkiej posadzce i wpadła w ramiona Aleksandry, dzięki czemu znów stała się niezdarną i cudowną Olgą.

- Tak się cieszę. W końcu wyszłaś z domu. Tak długo to trwało - powiedziała księżniczka, łapiąc oddech. Dygnęła przed madame Lavorine i chwyciła Aleksandrę za rękę. - Chodź. Musisz kogoś poznać.

Trzymając jedną ręką suknię, drugą pociągnęła za sobą Aleksandrę, która poszła za nią, śmiejąc się i protestując. Za nimi podążyła madame Lavorine.

I wówczas Aleksandra go zobaczyła. Och, najśłodsza Olga, żeby przedstawić ją takiemu mężczyźnie! Jakby wszystko rozumiała. Skąd wiedziała, kogo ona szuka, że w ogóle kogoś szuka?

Obok księcia Andriejewa, ojca Olgi, o szlachetnej, przyprószonej siwizną głowie, stał mężczyzna spoglądający na świat z samego szczytu doskonałości. Jego widok zapierał dech w piersiach. Sprawiał wrażenie, jakby należał do jakiegoś innego gatunku istot, jakby w ogóle nie był człowiekiem. Szamerowaną złotem pierś zdobiła błyszcząca gwiazda i czarno-pomarańczowa wstążka najwyższego orderu imperium.

Aleksandra dygnęła przed księciem i odwróciła się w stronę nieznanego tak szybko, że się zachwiała, wyciągając rękę dla utrzymania równowagi. Nieznajomy pochwycił ją z galanterią, pochylił się ku obciążonym białą rękawiczką palcom, spojrzął hrabiance w oczy i rozciągnął usta w uśmiechu, odsłaniając rząd białych, idealnie rów-

nych zębów.

- Radca stanu Grigorij Rybinski - zaanonsował książkę.

Powiedział to takim tonem, że Aleksandra natychmiast zrozumiała, iż ten człowiek jest przeznaczony dla Olgi, nie dla niej, jak przez chwilę sądziła, i tym mocniej go zapra-  
gnęła.

Olbrzymie drzwi w końcu sali otworzyły się wolno i tłum przestał szumieć, trajko-  
tać, śmiać się, plotkować, flirtować i krytykować znajomych. Niepozorny mężczyzna we  
wspaniałym uniformie uderzył trzy razy złotą laską w podłogę i orkiestra odegrała hymn  
*Boże, chroń cara*. Goście stawali na palce i wyciągali szyje.

Z mroku wyłoniła się carska rodzina - drobne, błyszczące figurki, jakby w całości  
zrobione z kryształu, zdawały się patrzeć na świat zza szyby ochronnej. Owe miniaturo-  
we postacie weszły po schodach na podium i zajęły miejsca przy tronie. Nad obitym je-  
dwabiem podwyższeniem wisiał dwugłowy orzeł - godło imperium - z wielkimi złotymi  
skrzydłami, połyskującymi w świetle, gdy ptak starał się utrzymać w górze potężny cię-  
żar. Zimny wiatr dmuchnął we włosy i twarze zebranych, a woalki kobiet uniosły się i  
opadły. Na tronach zasiedli cesarz i cesarzowa. Orzeł wyczuł ich obecność. Dwie głowy  
wolno zwróciły się w kierunku pary cesarskiej i utkwily w niej wzrok, po czym ptak roz-  
capierzył szpony i szeroko rozwarł dzioby, ukazując dwa grube języki, jakby za chwilę  
miały zawibrować krzykiem wściekłości. Ale czas gniewu jeszcze nie nadszedł. Orkie-  
stra zaczęła grać.

Kiedy Rybinski poprosił Olgę do tańca, Aleksandra została przy księciu Andrieje-  
wie i z markotną miną patrzyła, jak tamtych dwoje staje na parkiecie. Stary książkę, który  
znał hrabiankę Korwiną od dzieciństwa, zaczął zabawiać ją konwersacją, lecz Aleksan-  
dra sprawiała wrażenie roztargnionej, odpowiadała zdawkowo, zrezygnował więc po kil-  
ku minutach, wycofał się na haftowane złotymi nićmi krzesło i wyjął z kieszeni miniatu-  
rową grę. Aleksandra stała na brzegu parkietu, z trudem znosząc ściskający ją gorset, i  
zastanawiała się, czy aby jej suknia jest wystarczająco elegancka, a wplecione we włosy  
brylanty i perły nie lśnią zbyt wyzywająco. Patrzyła z bólem serca na Olgę w wytwornej  
sukni, tańczącą majestatycznego poloneza z równie wytwornym partnerem.

Nie pozostała jednak długo samotna. Gdy polonez dobiegł końca, a ona usiłowała



ściągnąć wzrokiem Rybinskiego z nadzieją, że poprosi ją do następnego tańca, kątem oka dostrzegła zbliżającą się ku niej postać w nieskazitelnie białym mundurze ze złotymi epoletami, wskazującymi na oficera gwardii. Spojrzała w dół i zobaczyła błyszczące zapinki na butach, a podniósłszy wzrok, ujrzała wyciągającą się ku niej dłoń w białej rękawiczce.

- Czy mogę prosić? - spytał ów dżentelmen, kłaniając się nisko najpierw madame Lavarine, a potem jej.

Towarzyszka i opiekunka Aleksandry dokonała prezentacji, podając jakieś trudne do zapamiętania nazwisko.

- Dziękuję, nie - odparła słodko Aleksandra.

Ten partner był dla niej za niski. Poza tym następny taniec jeszcze się nie zaczął, a w każdej chwili mógł podejść Rybinski. Popatrzyła ponad złotym epoletem oficera na parkiet, starając się przekazać w myślach wiadomość radcy stanu, że pragnie, aby na nią spojrzął, lecz on najwyraźniej zamierzał tańczyć z Olgą walca, bo nie ruszał się z parkietu.

Odrzucony oficer spojrzął na nią zaskoczony.

- Na balu trzeba tańczyć - powiedział.

Aleksandra uśmiechnęła się przepaszająco, a oficer wymruczał słowa żalu. Madame Lavarine zeszywniała, Aleksandra zaś w ogóle się tym nie przejęła. Patrzyła, jak jej niedoszły partner, księżę jakiś-tam, wolno odchodzi, starając się wtopić w tłum. Nie zamierzała tracić na niego czasu. A jednak miał w sobie coś, co ją zainteresowało, obserwowała więc z ciekawością, co robi. On zaś po chwili wahania zbliżył się do grupy mężczyzn z gwiazdami i szarfami. Zaraz też tęgi, młody mężczyzna w okularach chwycił go za rękę i szepnął coś do ucha, wskazując dyskretnie stojącą nieopodal dziewczynę. Była bardzo młoda i wyglądała na nieszczęśliwą i jakby zwiędłą, mimo to świeższą od róży zdobiącej upięty dookoła głowy warkocz. Wydawała się speszona publicznym wystąpieniem w prostej, wydekoltowanej sukni, spod której wylaniały się nieukształtowane piersi, i równie niewinna jak biel jej kreacji. Najwyraźniej był to jej pierwszy bal. Aleksandra zazdrościła dziewczynie świeżości, bo mając dwadzieścia trzy lata, uważała się za lekko przekwitłą, jakby zbyt długo przebywała na słońcu. Teraz z żalem patrzyła, jak ów



mężczyzna podchodzi do dziewczyny, która obrzuca go strwożonym spojrzeniem, ale pozwala się objąć i wprowadzić w taneczny krąg.

- Co panienka zrobiła? - syknęła madame Lavorine. - Kiedy taki mężczyzna prosi do tańca, należy odpowiedzieć: „Tak, proszę”.

Aleksandra, oburzona bezczelnością swej towarzyszki, spiorunowała ją wzrokiem. Kobieta spuściła głowę pod władcym spojrzeniem hrabianki, zadrżała i przygryzła wargę. Na wszelki wypadek Aleksandra starała się jednak już tak często nie patrzeć na Rybńskiego, nie chciała bowiem, by jej zainteresowanie radcą stanu stało się przedmiotem głupich uwag madame Lavorine.

- Zresztą nic się nie stało - odezwała się po chwili jej towarzyszka. - Taka piękna panna na pewno będzie miała jeszcze wiele innych okazji. To znaczy, proszę wybaczyć, chciałam powiedzieć: panienka będzie miała wiele okazji.

Pragnąc odzyskać łaski Aleksandry, zaczęła się zachwycać jej włosami, ich połyskiem, gęstością, skrętem, lecz Aleksandra usunęła się z zasięgu jej rąk. Madame Lavorine udała, że tego nie widzi.

- Jest ktoś, kogo chciałabym panience przedstawić - powiedziała. - Proszę zapomnieć o tamtym. Miała panienka rację, że nie chciała z nim tańczyć. Jest dumny, arogancki i próżny. Wszyscy to mówią.

Nieważne - pomyślała Aleksandra - walc się zaczął, a ona straciła okazję. Rybński i Olga wirowali na parkiecie.

- To starszy człowiek, wdowiec, bardzo samotny i bardzo bogaty - wyjaśniła madame Lavorine, gdy obie ruszyły brzegiem tanecznego kręgu.

Jej opiekunka kiwała głową na prawo i lewo, zatrzymywała się, by zamienić z tym i owym parę słów, a znała tu wszystkich. Nie była taka głupia, jak Aleksandra i jej adwokat sądzili, bo natychmiast zorientowała się, w jak kłopotliwym położeniu znajduje się młoda panna i czego jej potrzeba. Mając nadzieję, że podniesie tym swoją wartość, jeżeli znajdzie dziewczynie bogatą partię, czym zaskarbi sobie dozgonną wdzięczność, przedstawiła Aleksandrze kilku bogatych kandydatów.

- Hrabia Kołygin - powiedziała, gdy mężczyzna odwrócił się w ich stronę. - Pozwolę sobie przedstawić...

Ojej - pomyślała Aleksandra - za stary.

Hrabia Kołygin okazał się atrakcyjnym mężczyzną, w pełni sił. Do twarzy było mu z bladością, zmarszczkami i melancholią w oczach. Aleksandra jednak nie słuchała, co do niej mówił podczas tańca. Wszelkie zalety hrabiego bladły przy doskonałości Rybinskiego, toteż odpowiadała mu z roztargnieniem i półsłówkami, nie dbając o to, czy mówi z sensem, i żywiąc cichą nadzieję, że to go do niej zniechęci.

Nie miała jednak czasu o tym się przekonać, bo kiedy odprowadził ją z powrotem do opiekunki, przy boku madame Lavorine czekał już następny kandydat. Widząc, z jakim lekceważeniem Aleksandra potraktowała Kołygina i jak odmówiła ustosunkowanemu i przystojnemu księciu, madame Lavorine pomyślała, że trudno będzie znaleźć tej pannie odpowiednią partię. Nie przestała jednak próbować, prezentując kapryśnej hrabiance młodych, starych, nudnych, mądrych, ale zawsze bogatych pretendentów do jej ręki. Spojrzenia rzucające z rzadka Aleksandrze przez wspaniałego Rybinskiego sprawiały, że hrabianka coraz bardziej wybrzydzała. Kręciła nosem nawet na przystojnych i młodych kandydatów - jeden miał zbyt garbatego nos, drugi przerzedzone włosy, trzeci zbyt blisko osadzone oczy - gdyż żaden nie mógł dorównać Rybinskiemu. Tańczyła jednak z każdym, aż w końcu poczuła, że pieką ją stopy, ma pusty brzuch, a gardło wyschnięte niczym pustynia. Ukryła się więc przed ostatnim kandydatem, hrabią Myżnikowem, za palmą, a potem dołączyła do sześciu pięknych sióstr Uspienskich, stojących niczym rząd pereł o różnej wielkości, lecz identycznym kształcie. Była pewna, że Myżnikow, który miał słaby wzrok i nosił okulary, nie dostrzeże jej wśród nich. I tak też się stało. Hrabia czas jakiś wodził oczami po sali, w końcu dał za wygraną, pokręcił głową i odszedł.

Aleksandra udała się do bufetu. Trzymając w ręku talerz, sztucę i serwetkę, pochyliła się zachłannie nad stołem, omiatając czarnymi jak sadze oczami ustawione tam specjały i zastanawiając się, co wybrać i ile zdoła zmieścić na talerzu bez zwracania na siebie uwagi arbitrów z towarzystwa siedzących na krzesłach we wszystkich kątach sali. Mielona wątróbka wyglądała smakowicie, ale ułożono ją w kształcie rosyjskiego orła, a Aleksandra nie chciała go naruszać, by nie poczytano tego za czyn niepatriotyczny. Były też jajka w koszulkach, pływające w burgundzie - białe wysepki w ciemnoczerwonym morzu wprost kusily, by ich spróbować. Niestety, od wina można było dostać wzdęcia, a

ona miała gorset ciasny i wołała nie ryzykować. Na gości czekały też najróżniejsze zimne mięsa, pokrojone i ułożone na kształt gór i dolin Kaukazu, białe pieczywo, ciemne marynaty i olbrzymi jesiotr z napoczętym brzuchem i odsłoniętym częściowo szkieletem. Nadal jednak pozostało na nim sporo mięsa, bo ryba ważyła chyba ze czterdzieści kilo.

- Ten jesiotr jest wyborny - usłyszała obok czyjś głos. - Proszę spróbować. Pozwoli pani, że jej pomogę.

Aleksandra drgnęła tak gwałtownie, że nóż i widelec zabrzęczały o talerz.

- Co proszę?

- Nie musi pani prosić - odparł męski głos, w którym pobrzmiwała jakaś obraźliwa, trudna do określenia nuta. - Ktoś tak piękny jak pani dostaje wszystko bez proszenia.

- To pan powinien prosić mnie o wybaczenie - odparła Aleksandra, chociaż w ogóle nie należało z nim rozmawiać. - Najpierw wypadałoby się przedstawić.

Rozsądek podpowiadał jej, żeby odejść, lecz ciekawość wzięła górę. Co takiego było w tym głosie? Dlaczego poczuła się urażona? Nie dała jednak poznać po sobie, że ją zainteresował. To by tylko mężczyznę ośmieliło, ona zaś nie chciała zawierać znajomości z kimś, kto - czuła to - był w trudny do określenia sposób niebezpieczny. Wcale nie musiał się jej przedstawiać, ale nie zaszкодziło tak odpowiedzieć. Ta nuta w jego głosie... Brzmiała zbyt poufale. Tak. Miała jednak ochotę zobaczyć, jak wygląda właściciel tego bezczelnego głosu. Spojrzała w lustro wiszące na ścianie za stołem i napotkała wzrok mężczyzny. Uśmiechnął się do niej.

Odwróciła się gwałtownie.

Oczywiście huzar. Dumny jak paw. W wyglansowanych na błysk butach, spodniach zdobionych na udach złotym haftem, jakby dla podkreślenia tej części jego anatomii i przyciągnięcia uwagi do tego, co znajduje się między nimi, w krótkiej kurtce obszytej futrem, z epoletami podkreślającymi barczystość ramion i szamerowaniem na piersiach wyglądał wprost obraźliwie. Takie też było jego zachowanie.

Zauważyła, że madame Lavorine daje jej gorączkowe znaki z drugiego końca sali, pospieszyła więc ku niej z wciąż pustym talerzem w ręku.

- Ojejku - wyszeptała kobieta, chwytając Aleksandrę za ramię. - Nie należało rozmawiać z tym człowiekiem.

- Dlaczego? - spytała, domyślając się odpowiedzi, lecz pragnęła się dowiedzieć czegoś więcej.

- To Mecklenburg-Uljanow. Rozpustnik i hulaka. I nie ma rubla przy duszy; w każdym razie nic, co by się liczyło.

- To co on tu robi?

- Jego matka jest z domu Mecklenburg, dlatego go zaproszono. A to daje mu sposobność do dalszych podbojów.

Aleksandra przypomniała sobie, że gdzieś już słyszała to nazwisko. Ach tak, ostrygi, rewolwer, hrabina i jej pokojówka. Zafascynowana, postanowiła zobaczyć tego rozpustnika w akcji, ale przeszkodziło jej nagle zamieszanie pośrodku środka sali.

Zjawił się ktoś, kto tu zupełnie nie pasował. Tłum rozstał się przed nim. Aleksandra również się cofnęła, choć nie na tyle, by uniknąć niesamowitego spojrzenia jasnych, roziskrzonych oczu i zwierzęcego zapachu mężczyzny. Światło ze świeczników padało na gładką łysinę na czubku głowy, otoczoną płataniną włosów czarnych niczym niedźwiedzie futro. Brudna chłopska bluza okrywała chude ciało. Na nogach miał zniszczone wiejskie buty. Powiódł po sali chytrym wzrokiem.

- Powtarzam wam! - zawołał. - Nad Rosją zbierają się groźne chmury. Przyniosą nieszczęście, rozpacz i mrok. Cały ocean łez, tak wielki, że trudno je zliczyć, i mnóstwo krwi. Straszliwe nieszczęście, bezgraniczna niedola.

Krzyki nieznanego rozbrzmiewały w holu, ale uczestnicy balu znów zaczęli rozmawiać, śmiać się, flirtować, obgadywać znajomych, jeść i pić. Ten człowiek do nich nie należał, jego czas jeszcze nie nadszedł. Nie znajdując odzewu na pełne boleści prośbę, mężczyzna wtopił się w tłum i zniknął.

## Rozdział 4

Księżyc wciąż jaśniał wysoko na zimowym niebie, kiedy Aleksandra wróciła z balu - późno, lecz jednocześnie zbyt wcześnie. Idąc po schodach do swego pokoju, wsłuchiwała się w cichy stuk obcasów, rozchodzący się echem w pustym pałacu. W powozie zdjęła z głowy ciężką czapę i teraz niosła ją w rękę, a woalka ciągnęła się za nią niczym poranna mgła.

Praskowia spała na podłodze przed drzwiami pokoju. Aleksandra trąciła owiniętą w koc, skuloną postać stopą obutą w atlasowy pantofelek. Służąca usiadła, krzywiąc twarz.

- Gdzie ta Matriona? Niech ona panience pomoże. Ona jest przecież panienki pokojówką - mruknęła.

Ale Matriona - jak zwykle nieuchwytna - spała zapewne na podłodze przy ciepłej kuchni. Aleksandra była zbyt zmęczona, by czekać, aż Praskowia po nią pójdzie. Służąca, mruczając pod nosem słowa skargi i poprawiając chustkę, która zsunęła się jej na oczy, poszła za swą panią do pokoju.

- Praskowio, powiedz mi - odezwała się hrabianka, gdy służąca rozluźniała sznurówki sukni - jak rozkochać w sobie mężczyznę.

Praskowia, choć jeszcze stosunkowo młoda, zdążyła już pochować dwóch mężów, musiała więc coś o tym wiedzieć.

- To proste, panienko - odparła służąca. - Jeżeli panienka myśli o kimś, że to najwspanialszy mężczyzna na świecie, musi panienka postępować tak, jakby panience wcale na nim nie zależało. Oni to uwielbiają.

Aleksandra wyciągnęła przed siebie ręce, a służąca chwyciła za palce i zdjęła z nich długie białe rękawiczki z cienkiej jak papier skórki.

- Ale czemu mieliby to lubić? - zdziwiła się hrabianka, zsuwając bufiaste rękawki, dzięki czemu rozsznurowana góra sukni, zachowując swój cylindryczny kształt, opadła w przód. - Czy nie woleliby, żeby traktowano ich, jakby byli najwspanialszymi ludźmi na świecie, a ty chciałabyś ich stale widywać?

Praskowia spuściła suknię w dół i Aleksandra ostrożnie z niej wyszła.

- Och, nie - odparła służąca, stając za plecami hrabianki i rozsznurowując jej gorset. - Oni pragną, aby poświęcać im całą swoją uwagę, a gdy to dostaną, mają już dość. Kiedy zaś będą musieli zabiegać o względy panienki, panienka okaże im zainteresowanie tylko od czasu do czasu, wtedy będą szczęśliwi jak świnki, które dostały jabłka. Czy świnię byłyby szczęśliwe, gdyby dostawały jabłka codziennie? Nie, kręciłyby ryjami i kwiczały, by dać im coś lepszego.

Aleksandra w zamyśleniu roztarta ślady pozostawione na ciele przez ciasny gorset. Stała teraz prawie naga. Zadrżała z zimna, chociaż w piecu się paliło. Praskowia uklękła na podłodze i zrolowała do kostek pończochy. Aleksandra oparła dłoń na ramieniu służącej i uniosła najpierw jedną, potem drugą nogę. Pantofelki stuknęły o podłogę.

- Praskowio, a jeżeli uważasz, że on naprawdę jest najwspanialszym mężczyzną na świecie? Jak udać, że tak nie jest?

Praskowia wsunęła Aleksandrze przez głowę żółtą koszulę nocną, którą przygotowała Matriona (przynajmniej to zrobiła leniwa pokojówka), po czym poprowadziła panienkę do łóżka i odrzuciła kołdrę.

- To wymaga ćwiczeń - odparła, otulając Aleksandrę kołdrą ściśle jak pakunek.

Aleksandra nie miała jeszcze ochoty spać. Pragnęła, by ta noc trwała bez końca. Praskowia już głośno pochrapywała pod drzwiami pokoju, ona zaś przekręciła się na bok, podłożyła dłoń pod policzek i zapatrzyła się na blady księżyc, zagładający do środka. W pewnej chwili odrzuciła kołdrę i podbiegła do okna, ale księżyc zniknął w oddali. Aleksandra przycisnęła palce do oszronionej szyby i zerknęła na pustą ulicę. Prawie pustą. Nad brzegiem rzeki znów wałęsał się ów mężczyzna w zdeformowanej czapce studenckiej, widocznej na tle jaśniejszego nieba. Tym razem jednak zwrócony był nie ku rzece, lecz w stronę pałacu Korwinów. Stojąc w oknie, Aleksandra nie mogła dojrzeć jego ukrytej pod czapką twarzy. Odniosła wrażenie, jakby mężczyzna wpatrywał się tylko w swoje wnętrze. Nagle uniósł głowę i spojrzał w górę, prosto na nią. Widoczna w szarym świetle wstającego dnia postać w oknie, z bezbarwnymi włosami i w zwiewnej szacie, zapewne wydała mu się uosobieniem tego, co dręczyło jego duszę. Zaskoczony, otworzył usta, po czym spuścił głowę i odszedł pośpiesznie w swoją stronę.

W końcu jednak Rybinski z nią zatańczył. Przypominając sobie dotyk ramion męż-



czyzny obejmujących ją w talii, Aleksandra spłonęła rumieńcem i przytuliła policzek do zimnej szyby, nadal pachnącej gwiazdami, które zdążyły już zniknąć na porannym niebie.

Aleksandra odniosła na balu wielki sukces towarzyski, sądząc po liczbie zaproszeń, jakimi zasypano pałac Korwinów. Hrabianka przyjmowała wszystkie, licząc, że znów spotka Rybńskiego. Przez cały następny tydzień uczestniczyła w przyjęciach, balach, herbatkach, bywała na wodewilach i na wieczorach karcianych. Radca stanu, niestety, nie pojawił się na żadnym z nich. Nadzieja, że może w każdej chwili wejść, stwarzała atmosferę trudnej do zniesienia niepewności. Gdziekolwiek się obróciła, wszędzie widziała jego obraz, choć tak naprawdę wcale go nie było. Jadąc powozem na kolejne przyjęcie, otulona futrami po szyję, jak dziecko cieszyła się z pocałunków mroźnego powietrza szczypiących ją w twarz, gdy chwyciła ustami płatki śniegu, sypiące z zasnutego chmurami nieba i osiadające na rzęsach.

Stary Istvan, węgierski stangret, któremu zawsze było zimno, pociągał nosem i mrucał do siebie w swoim dziwnym ojczystym języku (przypominającym zgrzytliwy i obcy język owadów), jakby prowadził kłótnię z żoną, a co ważniejsze - argumenty podkreślał rozgłośnym wydmuchiowaniem nosa w rękawy olbrzymiego kożucha. Ale nawet to sprawiało Aleksandrze przyjemność.

Kilka tygodni po balu Aleksandra wróciła właśnie z proszonego obiadu i zdejmowała w holu futro z fok. Resztę popołudnia miała wolne i już cieszyła się na wypitą w spokoju filiżankę herbaty przed wieczornym balem, gdy z kuchni wybiegła Praskowia.

- Jeszcze jedno! - zawołała, wymachując białą kopertą, dumna, że jej panienka cieszy się takim powodzeniem, gdyż to podnosiło także jej rangę wśród innych służących w mieście, mierzoną liczbą otrzymywanych przez państwo zaproszeń.

Pragnąc się jak najszybciej dowiedzieć, kto tym razem przysłał zaproszenie, Praskowia chwyciła stojące pod ścianą krzesło, przesunęła je na środek i usadowiła na nim swoją panią. Sama stanęła za krzesłem i wcisnęła hrabiance kopertę do ręki.

- To od Olgi - wyjaśniła Aleksandra, gdy Praskowia oparła brodę o jej ramię. - Jesteś gotowa?

Praskowia kiwnęła głową, kłując hrabiankę brodą w ramię. Nie umiała czytać, lecz

przyjemność sprawiało jej porównywanie liter z wypowiedzianymi przez Aleksandrę słowami.

- „Cieszę się, że spotkałyśmy się na balu” - przeczytała Aleksandra, wyraźnie wymawiając każde słowo i pokazując palcem każdą literę.

- Cieszę się, że spotkałyśmy się na balu w zeszłym tygodniu - powtórzyła uroczyście Praskowia, dumna ze swej elokwencji.

- „Jutro o trzeciej urządzam ślizgawkę”.

Praskowia powtórzyła z czcią całe zdanie.

- „Mam nadzieję, że będziesz mogła przyjść”.

Aleksandra uświadomiła sobie, że u Olgi z pewnością spotka jej „dobrego znajomego” Rybńskiego. Nagle obecność Praskowii wydała się hrabiance niestosowna i chociaż nonsensem było ukrywać treść listu przed kimś, kto nie umie czytać, resztę tekstu dokończyła już po cichu. Obrażona Praskowia odwróciła się i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Aleksandra uważała, że Praskowia mogłaby nauczyć się czytać, gdyby tylko chciała. Te lekcje czytania ciągnęły się od lat i teraz przyszło jej na myśl, czy nie były podyktowane wyłącznie ciekawością, bo służąca ćwiczyła jedynie na listach, nie na książkach czy gazetach. A przecież hrabianka i tak o wszystkim jej mówiła.

Drzwi się uchyliły i w szczelinie pojawiła się głowa Praskowii.

- Niczego tam więcej nie było - zapewniła ją Aleksandra. - Tylko informacja, gdzie odbędzie się ślizgawka. W porządku?

Praskowia otworzyła szerzej drzwi.

- To znaczy gdzie?

- U Olgi! Będziemy się ślizgać na rzece przed pałacem.

- A gdzie to jest?

Zirytowana Aleksandra wykrzyknęła, że przecież Praskowia doskonale wie, gdzie jest pałac Andriejewów, ponieważ wiele razy tam z nią była, żeby spotkać się z jednym z tamtejszych chłopców stajennych. Służąca odrzekła, że nie przypomina sobie, by kiedykolwiek tam była, i z chęcią zobaczy sławny pałac. Nie pamięta też żadnego chłopca stajennego.

- Byłaś tam - obstawała przy swoim Aleksandra. - I to wiele razy. I spotykałaś się z

chłopcem stajennym, który, szczerze mówiąc, był dla ciebie za młody.

Praskowia mocniej zawiązała pod brodą kolorową chustkę.

- Muszę koniecznie znowu tam pójść - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Chcę odświeżyć sobie pamięć. Matriona pewnie potrafiłaby dokładnie opisać każdy pokój w pałacu, tak często jeździła z panienką do Andriejewów. Czemu panienka nigdy mnie ze sobą nie zabierze? Dlaczego zawsze Matrionę?

Rzeczywiście, Aleksandra częściej jeździła do Andriejewów z Matrioną, gdyż młodsza służąca była jej pokojówką, a damy zawsze zabierają pokojówki na przyjęcia, z wyjątkiem balów, bo muszą mieć kogoś, kto zszyje im suknię, gdy się rozedrze, poniesie coś, na przykład buty, łyżwy, ręczniki, sole trzeźwiące, perfumy czy parasol na wypadek deszczu. Ten przywilej wiele dla Matriony znaczył i gdyby Aleksandra zabrała zamiast niej Praskowię, trudno byłoby sobie wyobrazić reperkusje tego kroku. Pokojówka miała bowiem wybuchowy temperament.

- Wyślę cię z Istvanem do Olgi, żebyś potwierdziła moje przybycie. W ten sposób odświeżysz sobie pamięć.

- Zobaczyłabym pałac tylko z zewnątrz - targowała się Praskowia. - Gdybym jutro poszła tam z panienką, mogłabym usiąść w kuchni i może Oksana by mnie oprowadziła.

- To pojedziesz jutro z nami, a potem wrócisz po nas z Istvanem. Nie mogę zabrać was obu.

To było z jej strony duże ustępstwo. Praskowia, czując bliski całkowity triumf, zacisnęła usta i pozwoliła, by w jej oczach błysnęły łzy, po czym otarła je teatralnym gestem.

- Dobrze - skapitulowała Aleksandra. - Możecie jechać obie.

- Matriona zawsze jeździła sama - stwierdziła beznamiętnie głosem Praskowia.

- Nie chcesz więc jechać z Matrioną?

- A czy Matriona jeździ ze mną?

Następnego dnia, gdy donośny głos dzwonów ogłosił godzinę trzecią, Aleksandra wsiadła do sań. Żałowała, że nie ma swojej czerwonej trojki. Trzeci koń stanowiłby jednak duże obciążenie dla skromnego budżetu, znacznie większe niż dwukonna dorożka, dlatego musiała sprzedać pięknie malowane sanie. Praskowia, by udowodnić, że jest po-

trzebna swojej pani, z takim zapalem otulała Aleksandrę w futra, że ta musiała ją odepchnąć. Pokonana Matriona rzucała im mściwe spojrzenia z okna na górze. Aleksandra wiedziała, że zapłaci za to naruszenie reguł. Ale zabierając ze sobą Praskowie, rozmyślnie ściągnęła na siebie gniew Matriony. Ciekawa była, co tym razem podsunie służącej jej mściwy umysł. Jaką obmyśli zemstę. Poza tym pokojówka była ostatnio wyjątkowo leniwa i bez humoru. Może należało częścią jej obowiązków obarczyć Praskowie, by podtrzymać wrzenie?

Konflikt trwał od wielu lat i Aleksandra nie pamiętała już, jak się zaczął. Te dwie kobiety prowadziły ze sobą nieustanną wojnę psychologiczną, która jednak rzadko przeobrażała się w otwarty konflikt (zdarzyło się na przykład, że Praskowia cisnęła w głowę Matriony gorącym karpiem). Kiedyś jednak doszło między nimi do bójki zakończonej gryzieniem, kopaniem i biciem po twarzy. Powodem kłótni stał się przystojny stajenny, sprowadzony z majątku Fiedoskino.

W końcu miał ich obu dość i uciekł z pomywaczką z sąsiedniego pałacu.

- Jesteś zadowolona, Praskowio?

- Tak, panienko. Jest panienka dobrą panią. Tysiąc razy całuję rączkę panienki, a na Matrionę pluję.

Siedząc dumnie wyprostowana pod własnym futrzanym okryciem, Praskowia zaczęła rozglądać się wokół z zadowoleniem, wydając okrzyki radości na widok mijanych po drodze znajomych sklepów czy służących. „To stara Iwanka od księcia Wiszniewskiego! - wołała. - A to Nikołasza, lokaj z pałacu Czernienków, który w zeszłym roku stracił mały palec, obdzierając królika ze skóry. Jego brat ma sześć palców u nóg. To boska sprawiedliwość”.

Łyżwiarze już się ślizgali po zamarzniętej rzece przed pałacem Andriejewów. Zapowiadało się spore przyjęcie, na co najmniej sto osób, będzie więc mnóstwo okazji do flirtowania, a Olga niczego się nie domyśli. Aleksandra poczuła jednak wyrzuty sumienia na widok postaci w białym futrze, która zamachała do niej z lodu, po czym podjechała do brzegu.

Z twarzą okoloną puszystym kapturem i czerwonymi od mrozu policzkami Olga spojrzała ku stopniom prowadzącym na ulicę, gdzie Aleksandra wysiadała właśnie z sań,

i uśmiechnęła się radośnie, ukazując za duże i nieco wystające przednie zęby. Były one powodem jej zamartwienia, lecz Aleksandra zawsze przekonywała przyjaciółkę, że przydają jej twarzy charakter. Teraz, patrząc na nią, hrabianka miała nadzieję, że jej przypuszczenia co do bliskich zaręczyn Olgi i Rybńskiego się nie potwierdzą. Może związki Rybńskiego z rodziną Andriejewów wynikały jedynie z potrzeby zasięgnięcia opinii radcy stanu w związku z rozległą działalnością filantropijną, z której książe słynął w całym imperium. Tak, na pewno chodziło o interesy. Kto, jak nie radca stanu, najlepiej się do tego nadawał?

- Tak dawno cię nie widziałam - powiedziała Olga, siadając obok Aleksandry na stopniach prowadzących do rzeki.

Hrabianka wyciągnęła przed siebie najpierw jedną, potem drugą nogę, by Praskowia mogła przykręcić nowe srebrne łyżwy do miękkich białych butów.

Olga otuliła się szczerzej śnieżnym futrem i oparła głowę o ramię Aleksandry.

- Widziałyśmy się przed dwoma tygodniami - odparła, usuwając się, Aleksandra.

- Wiem, ale to już nie było tak jak niegdyś. Bardzo mi ciebie brakowało, kiedy byłaś w żałobie i... - Olga zniżyła głos do szeptu - ...mam ci tyle do powiedzenia. - Przysunęła usta do ucha Aleksandry.

- Poślizgajmy się - zaproponowała Aleksandra, po czym, nie patrząc na zaskoczoną Olę, złapała ją za rękę i pociągnęła na lód.

Sunęły w milczeniu po lodzie, wsłuchując się w skrzyp łyżew. Olga czuła, że coś stało między nimi, jednak nieśmiałość nie pozwalała jej zapytać o powód chłodu przyjaciółki. Czyżby to wynik roztargnienia, niedawnej żałoby, a może to ona zrobiła coś niewłaściwego? W końcu ze smutkiem uznała, że pewnie skończył się okres dzieciństwa i zaczęły dorastać.

Setka młodych ludzi ślizgała się po metalicznej tafli rzeki - jedni kręcili piruety, inni w parach, spleceni ramionami, kołysali się w tył i w przód w rytm muzyki, którą tylko oni słyszeli. Wzdłuż brzegu co kilka metrów ustawiono koksownik z rozżarzonymi do czerwoności węgielkami, przy których odziana w palta i rękawiczki służba serwowała gorącą herbatę z samowarów, pieczone mięsiwa i kromki chleba z żółtym serem. Ku szaremu, zimnemu niebu unosiły się z koksowników smużki dymu, łącząc się z oddechami

służących. Na tle tej zimowej jednostajnej scenerii wyróżniał się Ato, afrykański lokaj Andriejewów, z błyszczącą cerą w kolorze ciemnego złota, przywodzącą na myśl nieobecne słońce.

Aleksandra odłączyła się od Olgi, w mówiący uprzednio przyjaciółce, że powinna zająć się gośćmi. Olga odjechała ze smutną i zatroskaną miną, a hrabianka zaczęła szukać wzrokiem Rybinskiego. Trudno go było rozpoznać wśród mężczyzn odzianych w czapy, sztywne wysokie kołnierze i niedźwiedzie futra. Spozobegła za to Uljanowa, tego hulakę i rozpustnika. Musiał ją obserwować, bo gdy tylko zobaczył, że na niego patrzy, uniósł w górę rękę i nie czekając na jej ukłon, ruszył w jej stronę.

Aleksandra unikała go przez minione dwa tygodnie, spotykając na przedstawieniach w teatrze, kolacjach, balach, herbatkach i wieczorkach karcianych. Z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu Uljanow najwyraźniej ją prześladował, lecz za każdym razem, gdy do niej podchodził, nie zaszczycił go nawet słowem i odwracała się do niego tyłem. Nie mogła zrozumieć, czemu się nią interesował, nie była przecież ani mężatką, ani służącą, ani aktorką (słyszała, że aktorki to jego ulubione trofea). Tymczasem on z uporem starał się nawiązać z nią znajomość, przyjmując każdą odprawę z zadowoleniem, a nawet radością.

Nie była najlepszą łyżwiarką, ale miała nadzieję, że Uljanow jej nie dogoni, jeśli ucieknie mu w przeciwnym kierunku. Okazało się jednak, że natręt doskonale jeździ na łyżwach i w ciągu kilku chwil znalazł się przy niej, oznajmiając swoje przybycie ostrym zgrzytem łyżew przy hamowaniu.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział bez tchu, z dłońmi opartymi na udach. - Wczoraj wieczorem zachowałem się niegrzecznie, bo nie przywitałem się z panią.

Tym razem ubrał się nieco skromniej - miał na sobie czarny wełniany płaszcz wojskowy i był bez czapki. Wojskowi nie mogli nosić cywilnych ubrań.

- Nazwałabym to raczej uprzejmością - odparowała lekceważącym tonem, ale zepsuła cały efekt, tracąc równowagę, i Uljanow musiał ją podtrzymać.

Natychmiast wyszarpnęła ramię, przez co zachwiała się jeszcze bardziej i machając w powietrzu rękoma, upadła ciężko na plecy.

Uljanow, zamiast jej pomóc, przyglądał się temu z obojętnym wyrazem twarzy.



- Pomoże mi pan wstać czy nie?

- Przecież dała mi pani wyraźnie do zrozumienia, że nie chce pomocy.

Aleksandra zauważyła, że nos mu poczerwieniał, co czyniło go jeszcze bardziej odpychającym.

- Teraz chcę.

- Nie - powiedział, krzyżując ramiona i nogi. - Nie ma mowy. Proszę wstać o własnych siłach.

Aleksandra patrzyła z podziwem, jak łatwo Uljanow utrzymuje równowagę na jednej nodze.

- Dlaczego pan jest taki niegrzeczny? - spytała, próbując się podnieść, niestety, bez rezultatu.

Uljanow skwitował pytanie lekkim uniesieniem brwi.

- W takim razie posiedzę tu sobie - oznajmiła.

- Proszę bardzo - rzekł i odjechał.

Musiała więc sama sobie radzić, co z jej umiejętnościami wydawało się prawie niewykonalne. Najpierw stanęła na czworakach i wbijając czubki łyżew w lód, usiłowała się podnieść, lecz znów upadła, boleśnie uderzając kolaniem w zamarznąłą tafłę wody. Ponownie usiadła na lodzie, oparła się o niego rękami i tak spróbowała wstać. Już prawie udało jej się kucnąć, ale nogi znowu się rozjechały. Spróbowała jeszcze raz, opierając się na rękach i kolanach, gdy nagle poczuła, że łyżwy mocno trzymają się lodu, a ona podnosi się w górę.

- Nie chciałem pani pomóc - powiedział Uljanow, trzymając ją z tyłu za okrycie - bo to pani była niegrzeczna. Nie dość, że przy każdym naszym spotkaniu zachowywała się pani nieuprzejmie, czego starałem się nie dostrzegać, to obraziła mnie pani jeszcze bardziej, żądając natychmiastowej pomocy zaraz potem, jak ją pani odrzuciła. To się nazywa kobieca arogancja: pomagaj tylko wtedy, gdy sobie tego życzę. A mężczyźni jakimś cudem mają wiedzieć, kiedy to ma być. To doprawdy irytujące. Wydaje wam się, że obowiązują was inne zasady, bo jesteście kobietami. Dlatego jesteście przeciwne.

- Przeciwne czemu? - spytała Aleksandra, wciąż nie mogąc się nacieszyć, że stoi, i zbyt wdzięczna Uljanowowi za pomoc, by odepchnąć jego rękę. Zresztą ta rozmowa bar-

dzo ją zainteresowała.

- Równości.

- My nie chcemy równości - odparowała Aleksandra - tylko pierwszeństwa.

- Myślę, że byłoby roztropniej zacząć od równości.

Prawa dla kobiet były w owym czasie bardzo modnym tematem rozmów salonowych. Dyskutowano o tym bez końca, a życie płynęło utartym torem.

Uljanow puścił tył okrycia Aleksandry i chwycił ją za rękę, żeby się nie przewróciła.

- Poślizgajmy się - zaproponował, krzyżując z nią ramiona.

Ruszyli po lodzie jakby spleceni w uścisku. Aleksandra nie mogła wyjść z podziwu, z jaką łatwością jej się teraz jeździło i jak gładko sunęła po lodowej tafli.

- Tak jak mówiłem, najpierw równość, potem pierwszeństwo.

- My już was przewyższamy - powiedziała Aleksandra, spoglądając na domy po drugiej stronie rzeki, na ludzi, którzy z trudem brnęli po śniegu, podczas gdy ona ślizgała się bez przeszkód.

- Pod jakim względem?

- Zasad moralnych.

- Czyżby? No to proszę tam spojrzeć.

Podprowadził ją do brzegu i zatrzymał się. Na moście, z rękami opartymi o balustradę, stała kobieta i patrzyła w dół, jakby na kogoś czekała. Jej twarz składała się z barwnych plam - czerwonej w miejscu ust, czarnych w miejscu oczu oraz różowych na białym tle policzków.

- No więc? - spytała Aleksandra.

- Proszę chwilę zaczekać - rzekł, trzymając ją za rękę w taki sposób, że Aleksandra poczuła się nieswojo.

Dopiero teraz spostrzegła, że są daleko od innych gości, którzy zmienili się w małe figurki. Ponownie spojrzała na kobietę na moście. Zatrzymał się przy niej mężczyzna i tak jak ona oparł rękę na balustradzie. Sądząc po spuszczonej wzroku i lekkim uśmiechu kobiety, można się było domyślić, że nie zna tego mężczyzny. Powiedział coś do niej, na co skinęła głową, i oboje odeszli, obejmując się ramionami.

- Jest pan wstrętny - rzuciła Aleksandra.

Wyrwała się Uljanowowi i odjechała.

- No właśnie! - zawołał za nią. - Kiedy się okazuje, że jesteśmy równi, pani nagle zmienia temat.

Krótką jazda sprawiła, że przypomniała sobie dawne umiejętności, a może był to rezultat silnej woli, dość że Aleksandra wykonała zręczny obrót i odjechała spory kawałek, uciekając przed Uljanowem. Nagle uświadomiła sobie, że nie pamięta, jak się zwalnia lub zatrzymuje, i wpadłaby na parę, która ślizgała się bez pośpiechu, trzymając się za ręce i rozmawiając z cicha. Zajęci sobą, nie zauważyli, że ktoś pędzi na nich niczym pocisk pojawiający się nie wiadomo skąd. W ostatniej chwili hrabiance udało się skręcić i zatrzymać, dzięki czemu uniknęła kolizji. Kawałki lodu uderzyły ją w twarz, mimo to nie straciła równowagi. Była pewna, że słyszy za plecami śmiech Uljanowa. Twarz miała rozognioną z wysiłku. Wsunęła dłonie w mufkę i ruszyła ostrożnie w stronę brzegu w nadziei, że tam spotka Rybńskiego.

Jakimś przedziwnym sposobem Uljanow wszedł z nią w zażyłość - tyleż szybką, co niewłaściwą. Jak zdołał tego dokonać? Zachowywał się tak, jakby od dawna się znali. Ciekawe, czy w ten sposób zdobywał kobiety. Oczywiście wcale się go nie pozbyła, bo już po chwili usłyszała za sobą zgrzyt łyżew.

- Przepraszam - powiedział, zrównując się z nią. - Obraziłem panią. Za dużo czasu spędzam w towarzystwie mężczyzn i niekiedy zapominam, jak dżentelmen powinien rozmawiać z kobietą.

- Ha! - wykrzyknęła Aleksandra. - I pan nazywa siebie dżentelmenem!

- A może po prostu jest pani zbyt przewrażliwiona - dodał łagodnym tonem.

Aleksandra otworzyła usta. Czy on naprawdę to powiedział? Chyba jednak tak. Spróbowała znowu przed nim uciec i przyspieszyła, nie patrząc, gdzie jedzie. Tym razem nie zdołała się zatrzymać i wpadła na samego Rybńskiego, który stał niedaleko.

Zaczerwieniła się gwałtownie. Ten Uljanow! Najchętniej zabiłaby go za to. Gdyby urodziła się mężczyzną, z pewnością tak by się stało. Za obelgi, jakich się dopuścił, znacznie gorsze od jej własnych, powinna z miejsca wyzwać go na pojedynek.

Patrzyła, jak Rybński odchodzi. Oczywiście nie miał na nogach łyżew - był na to

zbyt dystyngowany. Nawet jego reakcja na zderzenie z nią była wyważona. Najpierw spojrział na nią zaskoczony, unosząc lekko brwi, potem podtrzymał ją, ukłonił się, dotykając brzegu cylindra, i odszedł. Po chwili jeszcze się obejrzał z dziwnym wyrazem twarzy. Co to mogło oznaczać? Na pewno uznał ją za głupią i śmieszoną idiotkę. Och, teraz wszystko przepadło. A może nie?

Odwróciła się do Uljanowa. Stał nieopodal i stukał w lód czubkiem łyżwy. Podjechała do niego, pociągnęła za rękaw i spojrzała mu w oczy, jakby był najwspanialszym mężczyzną na świecie. Praskowia mówiła, że to wymaga ćwiczeń, a najlepiej ćwiczyć na kimś, kto się nie liczy.

W oczach Aleksandry Uljanow zobaczył nagle gwiazdy, a właściwie rozgwieżdżone niebo z księżycem. Pomyślał, że mógłby patrzeć bez końca w ich świetliste głębie i zapomnieć o wieczornym niebie, letnich porankach, zapachu świeżej trawy, łagodnym szumie popołudniowego deszczu czy ciepłym światłem w oknach domu w zimną noc po ciężkim dniu.

Takimi słowami zwykle czarował kobiety; najlepiej działały te światełka w oknach błyskające w ciemnościach. Nie sądził, że kiedykolwiek spotka kobietę, do której te komplementy będą pasować. Zupełnie się tego nie spodziewał. Zaniemówił i wpatrywał się w nią w milczeniu.

To prawda, hrabianka go interesowała. Nie znał dotąd żadnej szanowanej kobiety, bo uważał to za stratę czasu, ostatnio jednak zmienił zdanie. Pewnego dnia może się ożeni, dlatego powinien się nauczyć rozmawiać z pannami na wydaniu. Hrabianka wydawała się odpowiednią kandydatką do takich ćwiczeń. Właściwie to nawet mu się nie podobała. Nie była w jego typie. Za wysoka i za chuda. Jak więc to się mogło stać? W oczach, które na niego patrzyły, był cały świat, a on poczuł, że w nim tonie.

- Miał pan rację. Myliłam się. Byłam niegrzeczna, a pan uprzejmy - powiedziała Aleksandra, utkwivszy weń oczy, on zaś nie potrafił oderwać od nich wzroku. - Uważam, że jest pan wspaniały.

Za daleko się posunęłam - pomyślała.

Uljanow zmrzył oczy i w końcu udało mu się nie widzieć gwiazd. Miał taką wprawę w sztuce uwodzenia, że bez trudu umiał rozpoznać, gdy ktoś próbował tego na

nim.

- Wcale tak pani nie uważa - rzekł. - Do czego pani zmierza?

- Właśnie, że tak - zaprotestowała Aleksandra.

Uljanow jednak nie dał się wciągnąć w tę grę i odjechał.

Bawiła się nim, jakby nic dla niej nie znaczył. Tyle razy sam postępował podobnie z kobietami. Żeby ukoić zranioną dumę i przekonać siebie, że przynajmniej przewyższa tę irytującą osobę siłą i umiejętnościami łyżwiarskimi, rozpędził się, odbił od lodu, wykonał obrót w powietrzu, wylądował bezpiecznie i pomknął dalej.

Nic z tego nie wyszło - pomyślała Aleksandra. Zraniłam tylko jego uczucia. Zresztą czy taki rozpustnik, hulaka i uwodziciel ma w ogóle jakieś uczucia? Powinno się go ukarać i ona to zrobiła, tylko nie do końca wiedziała, w jakim stopniu to się jej udało. Tak czy owak odjechał i trzeba będzie go udobruchać. Ale jak przyjemnie było na nim ćwiczyć! Miała ochotę znowu spróbować. Postanowiła nie przepuszczać okazji i myśleć o przyszłości.

Uljanow stał przy brzegu i palił papierosa. Podjechała do niego.

- Zdaje się, że pana obraziłam - zagadnęła, chwając się lekko. - Nie miałam takiego zamiaru. Chciałam tylko powiedzieć, że jest pan bardzo miły.

Popatrzył na nią chłodnym, podejrzliwym wzrokiem.

- Proszę się ze mną poślizgać - nie ustępowała i pociągnęła go lekko za rękaw. - Potrzebuję pańskiej pomocy.

- Niech pani znajdzie sobie kogoś innego.

- Ale to pan jest moim nauczycielem - odparła pod wpływem nagłej myśli. - Proszę spojrzeć, już mi lepiej idzie, odkąd mi pan pomógł.

Ach, ta męska próżność! Chwilę później jechał ostrożnie tyłem, trzymając ją za ręce i pouczając niczym nauczyciel. Śledził każdy jej krok, pokazywał, jak ma się odpychać i jak stawiać łyżwy.

W pewnym momencie natknęli się na twarz pod lodem, co nie było zimą niczym nadzwyczajnym, lód bowiem skuwał nieszczęśników, którzy zdecydowali się na samobójczy skok lub zamroczeni wódką wpadli do wody. Tkwili tak uwięzieni w lodzie niczym muchy w bursztynie aż do wiosennych roztopów. Wtedy ich wyławiano i wywożo-

no. Młodzi mężczyźni ślizgający się z pannami mieli nadzieję, że natkną się na takiego topielca, bo była to okazja do uspokojenia dziewczyny i objęcia jej ramieniem.

Aleksandra oczywiście się przeraziła, a Uljanow starał się ją uspokoić, ale nie otoczył jej ramieniem. Nagle ten hulaka, uwodziciel setek kobiet, okazał się nieśmiały.

Tak naprawdę to jego towarzystwo zaczęło sprawiać Aleksandrze coraz większą przyjemność, bo Uljanow wcale nie zachowywał się jak rozpustnik, lecz jak młody kapitan huzarów i szlachcic. Rybinski odszedł na chwilę w zapomnienie. Kiedy jednak uniosła wzrok, zobaczyła Olgę ślizgającą się z tym ideałem męskiej urody. Robiła to dalece poniżej swoich umiejętności. Kilka razy przewróciła się nawet na swojego partnera - ona, wyśmienita łyżwiarka. Aleksandra spuściła wzrok, nie mogąc znieść widoku księżniczki Andriejewej w ramionach Rybinskiego. Podczas gdy ona jeździła z tym wzorem doskonałości, hrabianka Korwina spędzała czas w towarzystwie osoby o wątpliwej pozycji społecznej, rozpustnika, w dodatku bez grosza przy duszy. Poczula nagle, że Uljanow więzi jej ręce, i natychmiast je wyrwała. Partner spojrział na nią zaskoczony.

Przed oczyma Aleksandry pojawiła się w tym momencie wizja przyszłości. Zobaczyła, jak cały Petersburg przybywa na ślub bogatej księżniczki z dystyngowanym wybrańcem.

Nad głowami narzeczonych, których los obdarzył wszelkim bogactwem, błyszczą ślubne korony. Tymczasem ona siedzi z głową ukrytą w dłoniach i podbitym okiem (bo Uljanow pewnie by ją bił) przy stole przykrytym poplamionym herbatą obrusem. Chmara nędznie ubranych dzieci o brudnych twarzach biega w kółko po obdrapanym pokoiku, a ten rozpustnik z kilkudniowym zarostem wlewa do gardła kolejną porcję wódki i wyciąga w stronę żony nogę, czekając, aż uklęknie przed nim i ściągnie mu but, odsłaniając nadjedzoną przez mole skarpetkę. A ona żyje jak pustelnica, bo nikt nigdy jej nie odwiedza.

- Przyniosę pani szklankę herbaty - zaproponował Uljanow, nie bardzo wiedząc, co wywołało tę nagłą zmianę temperatury. Zadrżał lekko, czując chłód bijący od partnerki, po czym odjechał.

Kiedy powrócił, hrabianka Korwina rozmawiała z księżniczką i radcą stanu. Nie zwróciła uwagi na podaną jej szklankę herbaty, rozprawiając z ożywieniem, jakiego do-



ąd u niej nie widział. Nie przejmując się tym, wcisnął jej szklanę do ręki. Nawet tego nie zauważyła. Przyjęła napój jak od służącego i nie raczyła mu nawet podziękować. Przez cały czas wpatrywała się w Rybinskiego jak w emanujące ciepłem letnie słońce, a jej twarz odbijała jego blask.

Musi i na mnie tak popatrzeć - postanowił Uljanow. Tylko nie wiedział, jak to zrobić.

RS

## Rozdział 5

Dochodziła północ, lecz Aleksandra nie mogła zasnąć. Bolały ją mięśnie po łyżwiarskich wyczynach i chociaż nie przestawała się wiercić i układać na twardym materacu, przy każdej nowej pozycji czuła ból w innym miejscu. Najlepiej zrobiłoby jej teraz cygaro. Jakiś czas temu wyrzuciła wszystkie do śmieci, ale gdzieś w tym wielkim pałacu, pełnym zakamarków i skrytek, na pewno znalazłoby się jeszcze jedno zapomniane pudełko.

Usiadła na łóżku i spuściła stopy na podłogę w poszukiwaniu pantofli. Matriona zawsze ustawiała je równiutko przy łóżku, tym razem nie było ich na miejscu. Wyglądało na to, że skorzystała z okazji i zemściła się za afront, jaki uczyniła jej pani.

Aleksandra uśmiechnęła się w ciemności. Teraz będzie musiała szukać ich na czworakach. W ten sposób sprytna pokojówka zmusiła swoją panią, by ta wystąpiła w jej roli. Chcąc nie chcąc, hrabianka położyła się na obolałym brzuchu, czując na głowie frędzle narzuty, i przeszukała podłogę pod łóżkiem. Nie znalazła nic oprócz grubych kłaków kurzu, które Praskowia najwyraźniej podmiotła tam przy sprzątanii. Ciekawe, czy to też należało do planu Matriony, bo przecież Aleksandra musi rano skarcić służącą za nieporządek. Praskowia na pewno rozplacze się ze wstydu, a pokojówka będzie się temu przyglądała z uśmiechem.

Tak bardzo chciało jej się zapalić cygaro, poczuć jego smak, przywodzący na myśl kubańskie noce, szmaragdowe powietrze, zalane blaskiem słońca morza, ten mały żar tropików, płonący wśród popiołów szarej zimowej nocy. Aleksandra zebrała się na odwagę i głębiej wsunęła pod łóżko, by po chwili wyłonić się z pustymi rękami i ustami pełnymi kurzu.

Pantofle znalazły się pod oknem, w drugim końcu pokoju. Mrugały na nią w świetle księżyca. Musiała przejść do nich na bosaka po zimnej podłodze. Ach, ta przebiegła Matriona!

Wsunęła stopy w pantofle, zapaliła świecę i wyszła z pokoju, ostrożnie przechodząc nad śpiącą pod drzwiami służącą. Przejrzała w myślach wszystkie miejsca, które mogła przeoczyć, gdy pozbywała się cygar. W żadnym z pokoi, z wyjątkiem salonu, nie

było mebli, a więc i szuflad do przeszukiwania, poza tym w zeszłym tygodniu, w przyływie słabości, przetrząsnęła skrytki we wszystkich meblach, jakie jeszcze pozostały.

Mogła jednak zapomnieć o jakimś miejscu, o pokoju, do którego dawno nie zagłędała. No właśnie, sypialnia ojca. W niej też nic nie było, z wyjątkiem kilku przedmiotów o sentymentalnej wartości. Może w pośpiechu, by jak najszybciej ją zamknąć, przeoczyła ukryte gdzieś pudełko cygar. Ruszyła więc w tamtą stronę, osłaniając dłonią chwiejący się płomień świecy, lecz po chwili przystanęła. Sypialnia była przecież zamknięta, sama przekręcała klucz w drzwiach, a klucz tkwił na kółku u Praskowii. Ostrożnie zawróciła do swojego pokoju.

Postawiła świecę na podłodze, uklękła przy pochrapującej służącej i wymacała kółko z kluczami. W tym momencie Praskowia chwyciła ją za rękę.

- Co się dzieje? - wymamrotała, w połowie rozbudzona. - Czego chcesz?

- Ciii - szepnęła Aleksandra. - To ja. Szukam czegoś.

Służąca, uspokojona głosem pani, ponownie zapadła w sen, Aleksandra zaś odpięła pobrzękujące kółko z zawieszonymi nań kluczami do pustych pokoi, choć tylko jeden z nich był wciąż zamknięty.

Sypialnia ojca znajdowała się na niższym piętrze, hrabianka zeszła więc na dół szerokimi schodami, trzęsąc się z zimna i rozjaśniając gęsty mrok nikłym płomykiem świecy. Ktoś obserwujący tę scenę z ulicy zobaczyłby ciekawą smużkę światła sunącą od okna do okna i pomyślałby, że to pewnie duch.

Aleksandrze też nieobce były podobne myśli. Kiedy umysł miała czysty i otwarty, wydawało jej się, że wyczuwa obecność ojca, słyszy jego głos, przyzywający ją z oddali. Brzmiał nagłaco, jakby chciał przekazać ważną wiadomość, a nie mógł przedrzeć się przez mur oddzielający od siebie dwa światy. Przypomniła sobie straszną chorobę, która go zabrała, i ostatnie godziny bolesnej agonii. Palce jej się trzęsły, gdy usiłowała dopasować klucz do zamka. Brzęk kluczy niósł się głośnie echem po pustym pałacu. Ciekawe, jakie duchy ten dźwięk obudził, czyje dusze otaczały ją w tej chwili. Rosjanie wierzyli w duchy i choć Aleksandra nie należała do bojaźliwych, poczuła zimny dreszcz strachu, sunący wzdłuż kręgosłupa. Przeklęła cicho niezdarne palce. W końcu usłyszała cichy zgrzyt przekręcanego w zamku klucza i kłamka ustąpiła.

W małym kręgu światła rzucanym przez świecę niewiele dało się zobaczyć. Zresztą za dnia nie byłoby lepiej, pokój bowiem opróżniono z cennych obrazów i mebli, książek, pięknych przedmiotów, nawet ze srebrnych przyborów toaletowych.

Aleksandra podeszła do łóżka. Płomień świecy oświetlił spłowiałą plamę po ostatnim śmiertelnym krwotoku. Hrabianka postawiła świecę na szafce nocnej obok pustej teraz lampy, usiadła na łóżku, podciągnęła kolana pod brodę, otuliła je ramionami, broniąc się przed zimnem, i zacisnęła powieki, by powstrzymać napływające łzy.

Przez te ostatnie miesiące ojciec nie mógł zaznać spokoju. Służącemu sprowadzonemu w tym celu z jednego z majątków na północ od Moskwy kazał się przenosić z fotela na fotel, jakby szukał odpowiedniej proporcji między grubością tapicerki a kątem drewnianego obramowania, która złagodziłaby ból. Potem okazało się, że najwygodniej mu w pozycji wiszącej. Zbudowano więc coś w rodzaju hamaka - do słupków baldachimu przymocowano jeden koniec kołdry, a drugi trzymał w silnych dłoniach służący Prohor i kołysał hrabiego do snu. W końcu płuca chorego zaczęły zmniejszać swą objętość i wówczas ułożono go w łóżku, by godnie zakończył żywot.

Co po nim zostało? Tylko ta głupia klatka schodowa i ubrania tak eleganckie, że nie miała serca ich sprzedać, chociaż dostałaby za nie sporą sumkę - jedwabne cylindry w skórzanych pudłach, rękawiczki z drobnoziarnistej skóry i szyte na miarę buty, wspańnięte koszule, chłodne i gładkie niczym szkło, kiedy jako dziecko wtulała w nie twarz, ale nagrzewające się pod wpływem ciepła policzka. Wszystko to tkwiło zamknięte w szafach w jego garderobie. Oczywiście futra, biżuteria i srebrne przybory toaletowe zostały spieniężone.

Co jeszcze po nim zostało? Kilka tomów jego ulubionych francuskich poetów, bo resztę biblioteki także sprzedała, kilka bezwartościowych drobiazgów, między innymi kryształowe jajko, które stale nosił w kieszeni, bo przyjemnie leżało w dłoni, emaliowane pudełko, posrebrzana brzytwa i wreszcie przedziwna konstrukcja, która wywarła wielki wpływ na jego życie. Pracował nad nią do końca swoich dni, metodycznie i obsesyjnie przyklejając drogocenne klejnoty, by odtworzyć obraz jednej nieuchwytniej chwili, przeżytej dawno temu na greckiej wyspie.

Nie mogła tego zrozumieć. Ojciec całymi godzinami przesiadywał przy biurku, ob-

stawiony lustrami wzmacniającymi światło, pracując nad rekonstrukcją i utrwaleniem przeszłości. Cieszył się jak dziecko, gdy udało mu się osiągnąć właściwy efekt lub otworzyć zapamiętany szczegół. Często gośćmi w jego gabinecie bywali jubilerzy. Przynosili małe woreczki lub większe pudełka, po czym wychodzili, kręcąc głowami i mrużąc pod nosem, że tego czy tamtego nie da się przyciąć do pożądanego rozmiaru. Ojciec nie dokończył swojego dzieła. Pracował nad nim, dopóki choroba nie zaprawiła gorczą jego duszy i nie wyczerpała ducha.

Schody mu nie wystarczały. Pragnął stworzyć całą scenę, łącznie z migoczącym półcieniem tej wyjątkowej chwili, trwającej zaledwie sekundę. Pewnego dnia - była wtedy jeszcze mała - otworzył pudełko, w którym trzymał ten przedmiot, i jej pokazał. Stając na palcach, by móc zajrzeć do środka, poczuła nagle, że zaczyna rosnąć, unosić się w powietrzu, płynąć w przestrzeni, jakby patrzyła z góry na nocne niebo na ziemi z perłowym księżycem, spokojnym morzem i połyskliwym piaskiem, szumiącymi na wietrze cyprysami i anielskim widokiem świata.

To wrażenie trwało zaledwie chwilę. Potem zdała sobie sprawę, że ma przed sobą jedynie model owej małej greckiej wyspy, o której jej opowiadał, zbudowany ze szlachetnych i półszlachetnych kamieni. Podziwiała ojca za to, że kochał matkę tak bardzo, iż zapragnął stworzyć dla niej coś takiego. Wolałaby jednak, żeby o niej opowiedział, czego nigdy nie robił. Jeżeli już, to przedstawiał ją jako ideał urody i charakteru, wcielenie cnót i boginię piękna, a nie ludzką istotę. Aleksandra chciała zaś wiedzieć, jak brzmiał śmiech matki, jaki miała kolor włosów, jakie kaprysy, gusta, co mówiła, a także poznać związane z nią historie. Jednak ojciec wszystkie te szczegóły zatrzymywał dla siebie, jakby były zbyt cenne, by pokazywać je światu. Mówił jedynie, że jej dusza dorównywała pięknocią twarzy, a jej urody niepodobna opisać słowami. Zdaniem hrabiego liczne portrety żony nie oddawały jej blasku, więc wszystkie zniszczył.

Reprodukcja tej cennej chwili wciąż tkwiła w pudełku, jednak niewiele z niej zostało: kilka kawałków szkła, drewno i połamany drut - odarty z blasku szkielet wspomnienia. I to ona, jego córka, zniszczyła je z chciwości. Nie należało tego robić. Kiedy je niszczyła, czuła ból tak wielki, jakby rozrywała własne serce. Musiała jednak spłacić dłużników.

Często zadawała sobie pytanie, czy postąpiła właściwie. Utrata majątku i pozycji nie powinna mieć dla niej znaczenia. Należało pogodzić się z sytuacją, pożegnać z dostatnim życiem i cieszyć bogactwem duszy, co z pewnością zrobiłaby matka. Czyż nie oddała życia za córkę, dowodząc nieziemskiej dobroci? No cóż, nigdy nie dorówna matce - ani jej duszy, ani kobiecym cnotom, które ojciec stawiał córce za wzór niczym lustro. Odbijało ono jednak jej wykrzywiony, niedoskonały i bezwartościowy wizerunek.

Nie znalazła cygara, nawet go nie szukała. Zamknęła za sobą drzwi sypialni i wróciła do łóżka. Następnego ranka, gdy Praskowia pomagała jej przy kąpieli, nadal myślała o matce.

- Praskowio - odezwała się nagle po dłuższej chwili milczenia - co sprawia, że ktoś może kochać drugą osobę tak bardzo, że po jej stracie żyje już tylko wspomnieniami o niej, a wszystko inne przestaje się liczyć?

- Jeden Bóg to wie - odparła Praskowia, energicznie myjąc ją za uchem.

- Czy znałaś moją matkę? Widziałaś ją kiedykolwiek?

- O tak - odrzekła służąca, namydlając myjkę, a potem kładąc ją na głowie Aleksandry. - Była bardzo piękna. Tylko tyle pamiętam. Widziałam ją raz czy dwa, kiedy pan hrabia przywiózł ją z Mstiory do majątku Fiedoskino, gdzie wtedy mieszkali. Tam się panienska urodziła i tam ona zmarła, więc później już jej nie widziałam.

Głowa Aleksandry chwiała się lekko, gdy Praskowia energicznie ją myła.

- Ale czemu on ją tak kochał? Dlatego, że była taka dobra, taka doskonała?

- A skąd mam to wiedzieć? - zirytowała się Praskowia.

- Czy dlatego, że była piękna?

- Po mojemu piękno nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała służąca. - I dobroć też nie. Powiem panience, w czym tkwi sekret. Dlaczego znowu muszę to powtarzać?

Zamierzała opowiedzieć o starym lokaju Czibikowów i jego ukochanej kozie. Trzymał ją w pokoju i przypisywał jej nadnaturalne zdolności. Twierdził też, że na podstawie ułożenia sierści, zmieniającego się każdego dnia, można przewidzieć i pogodę, i zwycięzcę wyścigów konnych w Dniu Świętego Włodzimierza, których był wielkim miłośnikiem. Praskowia już szykowała się do opowieści, ale Aleksandra jej przerwała.

- Zamilcz, Praskowio, mam w nosie tę kozę. Powiedz lepiej, skąd wiadomo, kiedy



mężczyzna cię kocha. Jak się wtedy zachowuje?

Praskowia wylała Aleksandrze na głowę kubek wody i patrzyła z satysfakcją, jak włosy zakrywają jej całą twarz. Pytania hrabianki ją złościły, zwłaszcza te dotyczące matki. Miała wtedy wrażenie, jakby ktoś rozciągał jej mózg i po nim myszkował. Nieprzyjemne uczucie.

Aleksandra rozgarnęła włosy.

- Czy można to wywnioskować ze spojrzenia? A może z tego, co ci mówi lub co robi? - spytała.

- Nigdy nie należy ufać ich słowom - stwierdziła Praskowia, pomagając hrabiance wyjść z balii. Potem owinęła ją w kilka wielkich ręczników, które przedtem ogrzała na piecu. - Oni mają języki węży, rozdwojone i ostre. I nie mówią tego, co myślą. Ich usta nadają się do czegoś innego - dodała z uśmiechem, wiedząc, że Aleksandra tego nie zrozumie. - Och, oni potrafią pięknie mówić. Ich słowa przybierają kształty piękne jak dym i tak jak on znikają w powietrzu. Mężczyźni też ładnie pachną. Nie należy podchodzić zbyt blisko, bo jak wąż owina się wokół panienki, szepcząc do ucha piękne słówka tym swoim cichym i niskim głosem, a wówczas kompletnie się traci głowę. Potem człowiek się budzi, a ten siedzi przy stole z nożem w ręku i patrzy na ciebie pewnym siebie wzrokiem, jakby wiedział, że podasz mu obiad, upierzesz ubrania i te piękne słowa nie będą już potrzebne.

Aleksandra siedziała na łóżku owinięta ręcznikiem, z mokrymi włosami, które zaczynały ją ziębić.

- Czy jeżeli mężczyzna często na ciebie patrzy, to coś znaczy?

Praskowia, klęcząc na podłodze, wycierała hrabiance stopy, żeby nie zmarzły, i snuła opowieść o niedolach małżeńskiego życia. Jej pierwszy mąż zapił się na śmierć, drugi zmarł z przejedzenia, siedząc przy stole i opychając się wielkanocną szynką, aż brzuch zrobił mu się wielki i twardy jak głaz.

Aleksandra myślała o Rybiskim i o spojrzeniach, jakie jej rzucił najpierw na balu, potem na lodowisku. Nie pojmowała ich znaczenia. Nie dawały jej spokoju, wypalając ciemne dziury w świadomości. Jego zachowanie w stosunku do Olgi było pełne uwagi, lecz chłodne. Aleksandra nie dostrzegała w nim śladu namiętności ani uczucia, mimo to

coś ich łączyło. A te palące spojrzenia? Tak czy owak przestawały być ciepłe, kiedy podchodziła bliżej - wtedy robiły się lodowate i nieprzeniknione. W jego zachowaniu w stosunku do niej wyczuwało się taką samą obojętność jak w stosunku do Olgi. Co to mogło znaczyć?

Złapała Praskowię za spódnicę, gdy ta wstała z ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

- Co to oznacza, jeśli mężczyzna patrzy na ciebie, jakby cię pożądał, a kiedy odpowiadasz na jego spojrzenie, zachowuje się tak, jakby nic się nie stało?

- Och, to może znaczyć, że jest nieśmiały - odpowiedziała Praskowia. - Albo że chce panience dokuczyć. Oni bawią się w te same gierki co my. Może próbuje tego na panience.

Rybinski nieśmiały? Niemożliwe. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny równie chłodnego i pewnego siebie, zrównoważonego i eleganckiego w zachowaniu i w mowie. Nigdy też nie zauważyła, by czuł się niepewnie lub nieswojo. Przeciwnie - spoglądał na świat z góry, jakby proste uczucia i myśli były mu całkowicie obce. Chciałby jej dokuczyć? Godność mu na to nie pozwalała. Nie należał do mężczyzn lubiących dla zabawy zdobywać i kolekcjonować niechciane serca. W przeciwieństwie do tego drugiego.

Tymczasem ten drugi siedział przy biurku w swoim domu, patrzył w zamyśleniu na leżącą przed nim kartkę papieru i też się zastanawiał, dlaczego pewna osoba patrzyła na niego w szczególny sposób, a potem udawała, że to nic nie znaczy. W dodatku to spojrzenie przeniosła na kogoś innego, a on nie wiedział, jak ściągnąć na siebie jej uwagę, dlaczego przestała na niego tak patrzeć i co powinien zrobić.

## Rozdział 6

Za dużo piję - zanotował Uljanow na kartce. Zmarszczył brwi i popatrzył na to, co napisał. Jeszcze jeden cios wymierzony we własną nicość, powiększający liczbę uprzednio spisanych wad:

1. Jestem próżny.
2. Jestem leniwy.
3. Jestem bez ambicji.
4. Nie mam silnej woli.
5. Jestem nierycerski w stosunku do kobiet.
6. Mam prozaiczny i ordynarny umysł.

Uznał, że jeśli spíše wszystkie swoje wady, to - świadom ich - będzie mógł kształtować charakter niczym rzeźbiarz, a wówczas pojawi się nowy Uljanow - gładka, biała postać z marmuru, patrząca w dal, szlachetna i spokojna, o czystym sercu i myślach. Usłyszawszy kroki, zakrył kartkę ręką.

Do pokoju weszła służąca Łukaszka. Stała przy drzwiach z rękami założonymi do tyłu. Spod chustki na głowie wysuwało się zalotnie kilka pasemek włosów, które specjalnie tak ułożyła. Spojrzała na Uljanowa spod rzęs, podała biust do przodu i zaczęła rytmicznie oddychać, wysyłając mu wyraźny sygnał. Przed dwoma tygodniami zareagował na ten sygnał, kładąc ją na stole w bibliotece. Stopy służącej kopały dziko powietrze, a nagie pośladki pischwały rytmicznie przy zetknięciu z gładkim drewnem. Najwyraźniej Łukaszka uznała, że od tamtego razu minęło zbyt wiele czasu.

Uljanow odkrył sens życia w wieku czternastu lat. Zdarzyło się to w stodole na sianie, w rodzinnej posiadłości pod Moskwą. Odtąd przez jego ręce przewinęło się wiele takich dziewcząt jak Łukaszka. Poznawanie różnych typów kobiet stało się jego główną rozrywką i celem życia. Dźwięki, jakie wydawały, dziwne grymasy pojawiające się na ich twarzach podczas szczytowania, zaskakujące różnice w rozmiarach i kształtach piersi - małych i gniewnie sterczących, bezradnie opadających, jakby nie były w stanie utrzymać własnego ciężaru, proporcjonalnie usadowionych nad żebrami cudach natury - to wszystko wystarczyło, by uwierzył w Boga. Jego rodzice, co prawda, nie należeli do ma-

jętnych, byli jednak właścicielami pięciu tysięcy dusz, co Uljanowa w zupełności zadowalało, bo mając do dyspozycji liczne reprezentantki płci pięknej w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat, mógł z powodzeniem kontynuować badania porównawcze. Ale i ten „materiał badawczy” okazał się w końcu niewystarczający. Uljanow rozszerzył więc swoje zainteresowania na szwaczki, robotnice, tancerki, ulicznice, kobiety nieszczęśliwe w małżeństwie i wiele innych. Zawsze wydawało mu się, że bierze udział w niezwykle gruntownych badaniach, których cel nigdy nie był zbyt jasny, lecz prowokował do coraz większego pośpiechu. W jego mniemaniu kobiety miały klucz do czegoś, tylko nie wiedział do czego.

Nagle uniósł głowę, doznając olśnienia. Uświadomił sobie z całą wyrazistością, że jego poszukiwania sensu wśród tak licznej rzeszy kobiet były bezowocne, ponieważ ten klucz do czegoś nie stanowił jakiegś ogólnej wartości rozdzielonej pomiędzy wszystkie kobiety, ale należał do tej jednej jedynej. Kobiety myślącej, czującej i pragnącej tego samego co on, partnerki, towarzyski, w której skupiał się cały świat. Przycisnął dłoń do czoła, jakby chciał zatrzymać tę myśl w głowie.

Tymczasem Łukaszka zaczęła się zakradać w stronę swego pana, sunąc ku niemu po podłodze na czworakach, a ściśle biorąc - ku pewnej części męskiej anatomii.

- Pana boli głowa - powiedziała, nie przestając patrzeć na niego zachłannym wzrokiem. - Łukaszka pomoże.

Poprawność językowa nie była jej mocną stroną. Do miasta sprowadzono dziewczynę z jednej z rodzinnych posiadłości Uljanowów na Krymie i nikt nie wiedział, jaki jest jej ojczysty język. Najwidoczniej nie używano w nim zaimka w pierwszej osobie. Ta prostota w formułowaniu myśli i ograniczone słownictwo podniecały Uljanowa najbardziej, bo dzięki temu widział w Łukaszce jedynie ciało. Teraz jednak, gdy uświadomił sobie, że nie tylko Aleksandra, ale wszystkie kobiety są istotami ludzkimi i tak jak on myślą i marzą, spojrzął na Łukaszkę, której owinięta chustką głowa pochylała się właśnie nad jego rozpiętymi spodniami, z nowym zainteresowaniem. Zapragnął lepiej ją poznać i natychmiast wprowadzić w życie swój nowy program.

- Łukaszka, przestań! - powiedział, lecz nie usłuchała.

Z pewną trudnością udało mu się oderwać ją od siebie. Zapiął pospiesznie spodnie i

starając się zachować godność jako nowa już osoba, spojrział w jej zaskoczoną i zasmuconą twarz.

- Pan nie lubi Łukaszkki?

W oczach służącej błysnęły łzy. Nie dawała za wygraną. Jej dłoń ponownie zaczęła sunąć w górę uda.

- Oczywiście, że cię lubię. - Złapał ją za rękę. - Powiedz mi... - Urwał, starając się sformułować pytanie tak, by dziewczyna je zrozumiała. - Co myślisz o życiu?

Spojrziała na niego zaskoczona. Nigdy dotąd z nią nie rozmawiał. Wyrwała mu rękę i usiadła na podłodze z głośnym klapnięciem. Przyszło jej do głowy, że skoro on widział w niej jedynie ciało, to ona traktowała go w ten sam sposób. Zawsze był dla niej po prostu panem z pewną, spełniającą szczególną funkcję, częścią ciała, ale nigdy istotą ludzką, która myślałaby i marzyła tak jak ona. Tymczasem on patrzył na nią z życzliwym zainteresowaniem i sympatią, pomyślała więc, że i ona czuje do niego sympatię. Dostrzegła nagle, że oczy pana są niebieskie jak morze i niebo, a twarz płonie niczym słońce. Wydał jej się nagle królewiczem z bajki. Niewiele miała w głowie, jedynie ludowe opowieści z rodzinnych stron, sześć przepisów na pieczenie czarnego chleba, teksty pięciu lub sześciu piosenek, słowa wypowiedane podczas nabożeństwa i wiedzę o tym, jak czyścić srebra.

- Łukaszkka - odezwał się znowu, spoglądając w jej zdumione oczy - powiedz mi, o czym myślisz.

Jak mogła mu to powiedzieć? W ojczystym języku myślała o rzeczach piękniejszych, niż mogła je wyrazić. Ukryła twarz w zgięciu ramienia. Nikt nigdy nie pytał jej, o czym myśli, i nikt prócz niego nie patrzył na nią z takim zainteresowaniem.

- Dobrze więc - rzekł, odchylając się na oparcie krzesła - skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, to odejdz.

Znowu stał się panem. Zirytowany pchnął ją nogą, z trudem się powstrzymując, by nie kopnąć tej drobnej postaci siedzącej na podłodze, która nie potrafiła docenić, że chciał z nią porozmawiać o sprawach ducha. Głupia mała niewolnica, niczego nie rozumie.

Patrzył z nienawiścią, jak dziewczyna powoli się odsuwa, po czym wstaje i zakrywając twarz fartuchem, wybiega z pokoju.

A może nie potrafiła tego zrozumieć - pomyślał, wzdychając. Może zbyt wiele od niej żądał. Ponownie spojrzął na listę przewinień i dopisał kolejny punkt:

7. Jestem okrutny.

- Okrutny, okrutny, okrutny - powtarzał sobie.

Miał ochotę się napić, ale nie mógł, bo ten nowy Uljanow nie pił. Poderwał się z krzesła i zaczął spacerować po pokoju. Aleksandra! Dlaczego nie miałyby go pokochać? Był okrutny i próżny. Ale mógł coś z tym zrobić. Na początek dać Łukaszce jakiś ładny prezent. Co tam jeszcze było?

Właściwie to mnóstwo rzeczy. Rozpusta, zepsucie moralne. Ulegał wszelkim nałogom. Nie tylko lubił wódkę (czystą i zimną jak lód albo kolorową o wiosennym zapachu jałowca lub czarnego bzu), ale również brandy, koniak, armaniak, claret, porto, wina z Francji i Portugalii - ich smak dodawał mu sił witalnych i sprawiał, że pragnął chłonąć ich wyborne i zróżnicowane aromaty.

A także opium. Och, zatracić się w jego błękitnych oparach, czuć na kolanach pulchny dziewczęcy tyłeczek, a w dłoniach jędrne piersi; wtedy umysł pogrąża się we mgle, a on sam - jakby pozbawiony duszy, ciała i umysłu - składa się już tylko z czystej przyjemności. Czego on nie robił w poszukiwaniu przyjemności, jakich nieprzyzwoitości się nie dopuszczał? Ile razy miał dwie kobiety naraz? Bardzo wiele. Czasami nawet trzy lub cztery. Bywało, że leżał sam w łóżku w posiadłości na wsi, a dziewczki służebne, silniejsze niż kobiety z jego sfery, wspinały się po drzewach i wchodziły przez okno do jego pokoju. Rozkosznie pachniały potem, a on ocierał nos o delikatne futerko pod ich pachami. Ich piersi wpadały mu w otwarte usta niczym dojrzałe owoce, a miękkie nogi oplatały go jak macki ośmiornicy. Ach, te stłumione odgłosy, które wydawały, gdy pieścił ich sekretne miejsca, owe ciche jęki zaskoczenia przypominające piski kurcząt, gdy miękkie i wilgotne wyłaniały się ze skorupki.

Przyszła mu na myśl Łukaszka. Może powinien się zastanowić, przywołać ją do siebie. Tylko raz, ten ostatni raz.

Nie!

Rybinski. Wyglądał, jakby kij połknął. Mimo to hrabianka Korwina najwyraźniej go uwielbiała, a co mógł zrobić Rybinski, mógł też Mecklenburg-Uljanow. Rybinski



najwyraźniej nie oddawał się uciechom, był na to zbyt dostoyny. Na pewno dobrze zrobiłby mu porządny napitek, wyglądało jednak na to, że męskie cechy Uljanowa nie przypadły hrabiance do gustu, ona wolała zarozumiałość Rybinskiego. I może miała rację. Prawdziwy mężczyzna nie powinien być niewolnikiem doznań cielesnych, prawdziwy mężczyzna szczerze kocha kobietę i traktuje innych z szacunkiem, nie wykorzystuje ich dla własnych przyjemności, ale ochrania i pomaga.

Postanowił rozpocząć wprowadzanie w życie swojego programu od pójścia do cerkwi. Oczyszczi się, zacznie nowe życie, przemyśli swoje grzechy, odprawi ciężką pokutę. Dobrze by mu zrobiło biczowanie. A może powinien rozdać cały majątek, włożyć worek pokutny i stać się jednym z tych świętych głupców, których Rosjanie tak kochają, wędrujących po drogach imperium w poszukiwaniu tego, czego wszyscy szukają, lecz nigdy nie znajdują? Nie przerywają jednak wędrówki, jakby to ona była ich głównym celem, jakby pragnęli przemierzyć te ogromne przestrzenie i poczuć się małymi w obliczu Boga.

Może to zbyt dużo, może najpierw zacznie od pójścia do cerkwi?

Właśnie wkładał palto, gdy usłyszał wołanie matki leżącej w małym pokoju przy końcu korytarza.

- Andriej, dokąd idziesz?

Musiał natężyć słuch, by ją usłyszeć. Miała bardzo słabe płuca. Przypomniawszy sobie, że obiecał posiedzieć z nią dziś rano. Bardzo pragnął wcielić w życie swój program i już wsunął ręce w rękawy palta z zamiarem wyjścia - mroźny, rześki poranek oczyściłby najciemniejsze zakamarki jego duszy, przez co lepiej zobaczyłby swoje grzechy, zanim dotarłby do cerkwi - ale ten słaby głos go pokonał.

- Nigdzie, mamó! - odrzyknął, po czym zdjął palto i oddał zaskoczonemu lokajowi, który zamierzał właśnie włożyć mu na głowę obszyte złotą taśmą czako. Lokaj odszedł, uśmiechając się pod nosem i zastanawiając, z kim jego pan zamierzał się zobaczyć i jak szerokie ten ktoś miał biodra.

Nic nie szkodzi - pomyślał Uljanow, wchodząc do wyłożonego dywanem pokoju, w którym matka kryła się już od wielu lat. Jego ściany pokryto różową jedwabną tapetą jakby dla ochrony przed okrucieństwem świata, a szczelnie zamknięte okna nie wpuszczały do środka nawet zimowego słońca. Tonące w półmroku pomieszczenie przypomi-

nało wewnątrz muszli.

Matka Uljanowa przyszła na świat w niewłaściwym, ukośnym położeniu, co w rezultacie przyprawiło ją o kalectwo nóg. Teraz cierpiała na suchoty i spędzała całe dni, leżąc na otomanie. Oczy jej rozbłysły na widok syna, jakby nie mogła uwierzyć, że to ona go urodziła, że Andriej potrafi normalnie chodzić i mówić, że w przeciwieństwie do niej jest wysoki i silny, a mimo to jest krwią z jej krwi.

Odchyliła głowę na poduszkę, zamknęła oczy i oparła mu rękę na kolanie. Najbardziej lubiła, gdy tak razem siedzieli, niewiele mówiąc. Tylko na to wystarczało jej sił.

Nic nie szkodzi - pomyślał, ujmując jej zwiędłą dłoń. Równie dobrze mógł spędzić ten czas tutaj zamiast w cerkwi i spoglądać na tę twarz zamiast na twarz Panny Maryi, bo obie były tak samo czyste i nieziemskie, patrzeć na te kalekie nogi, przypominające nogi Chrystusa na krzyżu. Przyglądanie się cierpiącej matce było na razie wystarczającą pokutą.

RS

## Rozdział 7

Teatr Maryjski, bajeczne jajko Fabergé, misterne, inkrustowane złotem, mieszczące w swym wnętrzu rosyjski balet i setki gwiazd - Krzesińską, Prieobrażeńską, Pawłową. Mogły być teraz wśród czwórki tancerek, które, wilgotne i błyszczące, wysunęły się przed zespół, wstrząsnęły nogami, oczyściły białe pióra i rozpostarły skrzydła do wyschnięcia, po czym z cichym stukotem baletek przebiegły przez scenę, puszyste i białe. Nad ich głowami unosiła się mgła znad jeziora, a w oddali majaczyły kontury zamku i księżyc.

Uljanow nie patrzył na łabędzie, co już było niezwykle, bo normalnie jego wzrok śledził delikatne ptaki z zamiarem wyszukania jednego lub dwóch, by je potem zabrać gdzieś po przedstawieniu, zedrzeć z nich pióra oraz schrupać szybko i niecierpliwie lub wolno i ze smakiem. Tego wieczoru widział tylko hrabiankę Korwiną, tkwiącą w obitej pluszem łożu niczym klejnot w pudełku.

Najpierw odchyliła się na oparcie fotela, zapewne znudzona, później pochyliła się w przód z zaciekawieniem. A potem coś upuściła i przez chwilę widział jedynie czubek głowy nad złotym horyzontem łoża. Zaraz jednak podniosła się i zajęła czymś, co leżało na kolanach, zdaje się, że torebką z kandyzowanymi kasztanami, które przez cały akt pracowicie gryzła. Niemal słyszał szelest papieru i ciche chrupanie rozgniatanych kulek. Cudownie byłoby się znaleźć we wnętrzu tych ust.

Minęło kilka tygodni od spotkania na ślizgawce. Uljanow spodziewał się, że ten czas mu wystarczy, by zmienić się w innego człowieka. Dlatego aż do tej chwili unikał hrabianki, nie bywał na herbatkach, wieczorkach muzycznych, przyjęciach, balach i koncertach, gdzie wszyscy, którzy cokolwiek w Rosji znaczyli, nieustannie się spotykali, jakby sądzili, że siła tkwi w masie i głośną rozmową będą mogli zagłuszyć dudnienie nadchodzącego nowego stulecia.

Przestał też odwiedzać ulubione przybytki rozkoszy - restauracje, gdzie księżniczki, które nie były księżniczkami, jadły kolację z kochankami, którzy ich nie kochali, a goście przy stole nie byli dowcipni, za to pijani, jaskinie hazardu, palarnie opium i domy publiczne, gdzie spełniano najdziwniejsze nawet życzenia klientów.

Od dwóch tygodni wstawał wcześniej, gimnastykował się, własnoręcznie czyścił sobie buty i stawiał się na musztry do swojego pułku, zamiast wysłać kogoś w zastępstwie. Od dwóch tygodni czytał pilnie najbardziej pouczające książki, jakie mógł znaleźć. Od dwóch tygodni unikał Łukaszkę, mimo że chodziła za nim jak pies. Od dwóch tygodni pił tylko mleko, żeby odświeżyć karnację poszarzałą od dymu i nieprzespanych nocy oraz zmyć osad zalegający na dnie duszy. Co wieczór od dwóch tygodni czytał matce do snu i myślał tylko o hrabiance Korwinej, która w tej właśnie chwili wypychała policzek kolejnym kasztanem. Przemiana dobiegła końca i oto pojawił się nowy Uljanow.

Rozbłysły lampy gazowe zapowiadające przerwę, a publiczność zaczęła wstawać z miejsc. Hrabianka i jej starsza towarzyszka również się podniosły. Chwilę rozmawiały, chłodząc się wachlarzami, po czym zniknęły za drzwiami łoży, gdzie opiekunka usiłowała odebrać hrabiance torebkę z kasztanami, lecz Aleksandra była nieustępliwa. Z krótkiej szamotaniny zwycięsko wyszła madame Lavorine - strażniczka dobrego wychowania.

Uljanow zerwał się z miejsca. Hrabianka musiała być gdzieś wśród publiczności na korytarzu, nadarzała się więc sposobność, by się z nią spotkać i porozmawiać. Wybiegł z sali i zderzył się z tłumem widzów schodzących do bufetu podwójnymi złotymi schodami.

Bogate metalizujące galony przy sztywnym kołnierzu munduru, niegdyś poplątane, obwieszczające światu, że ich właściciel uważa wojskową dyscyplinę za żart, teraz były starannie przycięte. I jeszcze sprawa długich i ostrych paznokci. Przedtem stanowiły dodatek do wspaniałego stroju: szamerowanej złotem bluzy, błyszczących butów i równie bogato wyszywanej kurtki, obramowanej barankiem, zarzuconej na lewe ramię i spiętej pod szyją guzem i pętlą. Długie paznokcie pomagały też sięgnąć do trudno dostępnych kobiecych zagłębień i szczelin, kryjących najdelikatniejsze punkty, w których jego zręczne palce rozniecały ogień. Teraz i one zniknęły.

Uljanow stanął u stóp schodów z dwoma kieliszkami szampana (jednym dla ukochanej, drugim dla jej towarzyszki), tak by widzieć schodzących. Przeskakiwał wzrokiem z jednego ciągu schodów na drugi, starając się nie przeoczyć hrabianki wśród rozentuzjowanej publiczności. W pewnej chwili jego uwagę przyciągnęła kobieta, na widok

której ludzie milkli, obrzucając ją niechętnymi spojrzeniami. Znalazła się jakby w pustej przestrzeni, zupełnie samotna wśród otaczającego ją tłumu. Okryła się niesławą, bo zostawiła męża i syna dla młodego oficera. Swego czasu Uljanow interesował się nią. Stanowiła wyzwanie dla jego uwodzicielskich talentów i zastanawiał się nawet, czyby nie odbić jej temu nudnemu, choć przystojnemu niedołędze. Niegdyś jej śmiały bunt przeciw konwenansom wzbudził jego podziw, ale teraz bohaterka skandalu, skazana na ostrycyzm środowiska, wydała mu się gasnącym światłem, a jej majestatyczna uroda bladła wobec twardych, pełnych potępienia spojrzeń. Uśmiechała się niepewnie, jakby przepraszająco, w nadziei, że nie obraża nikogo swoim istnieniem. Wspaniałe ciemnoniebieskie oczy kobiety rozbłysły, gdy nerwowo rozejrzała się wokół w poszukiwaniu schronienia przed wrogo nastawionym towarzystwem. Już bowiem sprowokowała pewną szacowną damę z sąsiedniej łoży, która widząc ją, głośno wyraziła swą dezaprobatę. Cóż za upokorzenie!

A jakąż ta nieszczęsna istota popełniła zbrodnię? Tylko cudzołóstwo, będące główną rozrywką w arystokratycznych kręgach. Ale przede wszystkim nie wybaczone jej uczciwości, która sprawiła, że kobieta zdecydowała się zerwać nieudany związek małżeński.

Uljanow zamierzał ją zagadnąć, a przynajmniej wymienić spojrzenia, by w ten sposób okazać swoją życzliwość, lecz jedynie spuścił wzrok. Co by to dało? Ludzie powiedzieliby, że upadła jeszcze niżej, że kochanek się nią znudził, dlatego szuka następnego, a może dwóch naraz. Jemu zaś przypięliby kolejną łatę, czego nie chciał, bo reputację miał już wystarczająco zszarganą. Przyszło mu nagle do głowy, czy przypadkiem ludzie nie mają racji. Nie potrafił tego ubrać w słowa, jednak jej bunt przeciw normom społecznym, skupienie się na samej sobie i własnych pragnieniach, rezygnacja z ciężących na niej obowiązków wobec innych może rzeczywiście zasługiwały na potępienie. Ta myśl, tak obca jego postrzeganiu świata, w którym główną wartością i celem było szukanie przyjemności i rozrywki, bardzo go zaniepokoiła. Uznał, że jest przykra i niemiła. Zaczął wątpić, czy rzeczywiście się zmienił, i nie wiedział już, czego właściwie chce.

Samotna w otaczającym ją tłumie kobieta zniknęła z pola widzenia. Uljanow ponownie skierował wzrok ku szczytowi schodów i nie znalazł hrabianki. Przeniósł spoj-

rzenie na drugi ciąg i wtedy ją zobaczył.

Miała na sobie kremową suknię, gładką i obcisłą. Śliska satyna spływała po niej niczym gorący karmel, który za chwilę zmieni ją w miękki błyszczący cukierek. Wyobraził sobie, że wgryza się w niego i czuje w ustach słodki smak. To wrażenie nie miało jednak w sobie nic z duchowych doznań, jak tego pragnął. Znowu jego myśli zbłądziły na utarte tory.

Tymczasem Aleksandra, nieświadoma uczuć, jakie w nim wzbudzała, zatrzymała się u szczytu schodów, spojrzała na stanik i zdjęła z niego kawałek cukru.

Odsuwając od siebie lubieżne myśli, Uljanow zaczął układać wyszukane zdania i odrzucać jedno po drugim, żadne bowiem nie było dość dobre, bo wiele razy już je powtarzał. Dla hrabianki Korwinej musiał wymyślić coś nowego, coś wyjątkowego, nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Kiedy więc Aleksandra miała postawić nogę na ostatnim stopniu, po prostu podszedł do niej z dwoma kieliszkami i wyciągnął ku niej. Przełknął ślinę i uniósł brodę, gorączkowo się zastanawiając, co powiedzieć, ale słowa skleiły się ze sobą, a umysł zamarł. Kieliszki zadrżały mu w rękach, a jasny płyn pokrył się pianą.

Aleksandra obrzuciła go surowym spojrzeniem. Nie widziała go od kilku tygodni, co przyjęła z ulgą. Przypuszczała, że w końcu dał jej spokój, lecz oto znowu się pojawił, w dodatku dziwnie wyglądał. Twarz miał czerwoną i wilgotną, w dodatku chwiał się na nogach.

- Źle pan wygląda - stwierdziła. - Powinien pan pójść do domu. A to - wskazała na kieliszki z szampanem - wcale panu nie pomoże. Zwłaszcza gdy wypije pan oba, na co się zanosz.

Uniosła głowę, zadowolona, że go obraziła. Może teraz da jej wreszcie spokój. Kątem oka dostrzegła Rybńskiego. Miała nadzieję, że w nowej, oszałamiającej kreacji zrobi na nim wrażenie.

Cóż innego mu pozostało? Kiedy Aleksandra minęła go, szeleszcząc karmelową suknią, Uljanow wypił oba kieliszki, delektując się łaskoczącymi w język bąbelkami. Zobaczył, że hrabianka znowu patrzy na radcę stanu, jakby był najwspanialszym męż-



czynną na świecie, a on, ważna figura na dworze, w polityce, finansach, odwraca się od grupki otaczających go męskich wielbicieli i mierzy ją chłodnym wzrokiem. Rybinski nie drżał i nie trzymał jak głupiec dwóch pustych kieliszków. A kiedy otworzył usta, musiały popłynąć z nich idealnie ułożone zdania, a każde słowo skrzyło się niczym brylant. Rybinski pochylił się ku wysokiej hrabiance z pewnością siebie i poufałością, na którą Uljanow nigdy by się nie zdobył, bez względu na to, ile wypiłby mleka.

W dodatku tamtych dwoje stało zbyt blisko siebie. W czasie gdy on przechodził metamorfozę, szukając po omacku nowego życia wśród mlecznych oparów, zaszły pewne zmiany. Pozwolił Rybinskiemu objąć prowadzenie w wyścigu.

Hrabianka zaśmiała się z czegoś, co tamten powiedział. Najwyraźniej ów dowcipny mąż stanu rzekł coś tak błyskotliwego, że Aleksandra, gwałtownie chichocząc, musiała złapać się za brzuch w obawie, że się rozpadnie. Rybinski spoważniał i znowu coś powiedział, pomagając sobie eleganckimi dłońmi, na które Aleksandra patrzyła z czymś w rodzaju lęku. Potem ich spojrzenia się spotkały i splotły, jakby chciały przyciągnąć tych dwoje do siebie.

Uljanow odwrócił się na pięcie i wyszedł z teatru. Poczł ostre smagnięcie lodowatego wiatru. Nie przejął się tym, że mróz szczypie go w czubek nosa. Miał wrażenie, że skóra twarzy zmienia mu się w skorupę i za chwilę popęka. Kieliszki przymarzły mu do palców, lecz oderwał je siłą i cisnął o mur teatru. To wszystko jednak mniej bolało niż zachowanie Aleksandry.

Stał i ciężko dyszał, wypuszczając z ust kłęby pary, które porywał wiatr. Uniósł twarz do księżycy. Nagle poczuł dotyk czyjejś ręki na ramieniu. Zobaczył postać w białych filcowych butach, grubym palcie i opatulonej po nos głowie zasypanej śniegiem, z której wyzierała para wielkich czarnych oczu, płonących ogniem zdolnym roztopić całą rosyjską zimę. Cofnął ramię.

- Łukaszka, wracaj do domu! - rozkazał, pragnąc się jej pozbyć i znowu patrzeć na księżyc.

Od tego dnia w bibliotece chodziła za nim wszędzie. Dziś znowu tu była.

- Wracaj do domu! - krzyknął, podnosząc rękę, by uderzyć służącą.

Łukaszka się skuliła, ale nie ruszyła z miejsca.

- Łukaszka zostaje - odpowiedziała.

Uljanow opuścił rękę.

- Łukaszka wraca - odrzekł.

- Łukaszka zostaje - powtórzyła.

- Nie - powiedział, po czym chwycił ją za ramiona i pchnął w kierunku domu. - Łukaszka wraca.

Ona jednak wywinęła mu się i stanęła za nim, gdzie nie mógł jej dosięgnąć. Zrozumiał, że ta walka może trwać całą noc. Nie mógł pozwolić, by dziewczyna stała na zimnie przed teatrem, czekając na niego, podczas gdy on siedziałby w ciepłym wnętrzu. Przedstawienie i tak go znudziło, poza tym nie było tam nic ciekawego do oglądania. A na pewno nie hrabianka Korwina. Teraz nie mógłby na nią patrzeć.

- Wracam do domu - oznajmił.

- To Łukaszka też wraca - odpowiedziała służąca.

Oczy jej się zwięziły. Uljanow domyślił się, że uśmiecha się z satysfakcją, uznając swoje zwycięstwo.

Nie troszcząc się o to, że zostawia w teatrze płaszcz (bo gdyby wrócił, zobaczyłby Aleksandrę), Uljanow ruszył ulicą, stawiając długie kroki. Nie wezwał dorożki, których rząd stał przed teatrem. Dorożkarze, wyglądający jak góry w grubych paltach i obłokach pary, kłócili się między sobą, a konie drżały z zimna, przestępując z nogi na nogę na oblodzonej ulicy, i wydmuchiwały z nozdrzy kłęby pary. Uljanow wolał się przejść, uciec od tej panny hrabianki. Złote chwasty przy pasie stwardniały i uderzały o szablę. Łukaszka biegła za nim, co chwila się potykając i padając na lód. Słyszając ciche klapnięcie, nie odwracał się, jedynie zatrzymywał, po czym ruszał dalej.

Łukaszka martwiła się o jego uszy. Mogły się odmrozić i odpaść, przez co pan dziwnie by wyglądał, ale dla niej nadal byłby przystojny. Mimo to nie chciała, by utracił chociaż część siebie. Dogoniła go, zdjęła jeden z szali, którymi była owinięta, i zarzuciła mu na głowę w chwili, gdy znowu się od niej oddalał. Szal przykleił mu się do ramienia. Uljanow zauważył go, przystanął, po czym zerwał z ramienia i spojrzał na niego, marszcząc brwi. Nie chciał żadnej ochrony przed tym karzącym chłodem. Nie zdążył rzucić go w śnieg, bo nadbiegła Łukaszka, wyjęła mu szal ze zgrabiałej z zimna ręki i

stając na palcach, zarzuciła mu go na głowę.

Uljanow zerwał szal i cisnął dziewczynie w twarz. Ten gest sprawił, że poczuł się lepiej i jednocześnie gorzej. Łukaszka skuliła się odruchowo, co sprawiło mu przyjemność. Miał ochotę drugi raz to zrobić, a jeszcze bardziej uderzyć ją w twarz. Tymczasem dziewczyna znowu się poślizgnęła i wpadła w zaspę. Musiał więc wygrzebać ją ze śniegu, objąć i uspokoić zapłakaną.

- Łukaszka - rzekł łagodnie, przysuwając usta do ukrytego pod chustką ucha. - Nie możesz tak za mną chodzić. Jest za zimno.

- Łukaszcze nie jest zimno - odparła, szcękając zębami.

- Chyba jednak tak - powiedział, przytulając ją, po czym uniósł rękę, by wezwać dorożkę, która cały czas jechała wolno za nimi, niby bez celu, ale czekając na odpowiednią chwilę. Dorożkarz mruzczał pod nosem, że to głupota spacerować na takim mrozie, że to niebezpieczne dla nosa, palców u rąk i nóg i innych ważnych części ciała.

Łukaszka nigdy dotąd nie jechała dorożką. Właściwie to nie jechała żadnym powozem, jedynie starą skrzypiącą furmanką, która dawno temu przywiozła ją z południa. Jak wszyscy rosyjscy chłopcy wszędzie chodziła pieszo: z cerkwi do cerkwi, z miasta do miasta, do odległych majątków, kiedy państwo się przenosili. W tamtych czasach, gdy powozy i furmanki mijaly ich, wioząc zapasy z miejskich pałaców, całe tłumy służących brnęły błotnistymi drogami w czasie wiosennych roztopów, tonąc po kostki w błocie, lub wlokły się mozolnie z powrotem, gdy nadchodziła jesień albo kończyła się wiosna, a w mieście zaczynał się sezon.

Nigdy żaden pan nie podał jej ramienia i nie pomógł wsiąść do powozu. Nigdy też nie otulił jej nóg kocem. Uljanow zrobił to odruchowo. Była przecież kobietą i kimś w rodzaju damy. A on był dżentelmenem i szlachcicem. Tak więc Łukaszka siedziała sztywno wyprostowana na twardej ławce, z dłońmi złożonymi wstydliwie na kocu, i patrzyła zdumiona na przesuające się z niebywałą szybkością domy. Tymczasem Uljanow rozwalił się w znudzonej pozie na przeciwległej ławce i zapalił cygaro.

Teraz, gdy się nad tym zastanowił, mógłby z niej zrobić damę. Przyjrzał się dziewczynie uważnie poprzez dym z cygara. W białym zimowym palcie, z błyszczącymi w ciemności oczyma wyglądała jak rozkoszna wiejska laleczka. Skoro nie udało mu się z

hrabianką Korwiną, mógłby się ożenić z Łukaszka. Czemu nie? Takie rzeczy się zdarzały. Dlaczego szlachcic nie mógłby się ożenić ze służącą? Przecież można było z nimi robić wszystko. Niektórzy panowie, pozostający z nimi co prawda w nieformalnych związkach, wiedli przecież życie zbliżone do małżeńskiego z kolacją, herbatą, żoną, kapciami przed kominkiem i dziećmi, którym opowiadali bajki i tulili do snu, z tym tylko wyjątkiem, że byli majętni. To trochę tak, jakby ożenić się z własną kanapą albo zakochać się w butach, co mu się zdarzyło, kiedy po raz pierwszy wyjął je z pudełka i zobaczył swoją twarz w ich wojskowym blasku. Może jednak lepiej zrobić z niej damę.

- Łukaszka, o czym myślisz? - zwrócił się do niej, wydmuchując kółko dymu.

Łukaszka zadrżała, zaskoczona pytaniem, którego zresztą się spodziewała od czasu, gdy Uljanow zadał je po raz pierwszy. Ciągle o nim myślała. Od tamtej pory zebrała w głowie wiele pytań i spostrzeżeń na temat świata. Na przykład, że wschodzące słońce wygląda jak pomarańcza, którą dostawali na Boże Narodzenie, a świt jak sok pomarańczowy. Że kiedy zimą pada śnieg, to tak jakby gwiazdy na nas spadały. Że sny prowadzą duchy siedzące w naszych głowach, które w dzień śpią, a w nocy wychodzą, by harcować w pustym umyśle. I dlaczego palce u nóg są podobne do palców u rąk, tylko krótsze?

Kiedy jednak ją poprosił, by opowiedziała mu o swoich myślach, wyleciały jej z głowy i przepadły. Zaczęła szukać ich po omacku, lecz żadnej nie znalazła. Zamrugła oczami, zacisnęła powieki i skuliła się, jakby czekała na uderzenie.

- Na litość boską! - zawołał. - Przecież nie chcę cię uderzyć!

Poczuła łzy pod powiekami.

- Czy kiedykolwiek cię uderzyłem? - spytał.

Co prawda, nie zrobił tego, ale wiele razy był już bliski.

Łukaszka pokręciła przecząco głową, po czym osunęła się na podłogę dorożki i ucałowała czubek lśniącego buta swego pana.

Uljanow westchnął, wypuszczając z płuc chmurę dymu. Nigdy nie zrobi z niej damy - pomyślał, patrząc na skuloną drobną postać - lecz przynajmniej może ją tak traktować.

Podniósł ją z podłogi, posadził na ławce przed sobą i resztę drogi zabawiał rozmową.

wą o pogodzie, a ona patrzyła na niego z konsternacją w oczach. Potem, ubawiony własnym pomysłem, odprowadził ją po krętych skrzypiących schodach do małego pokoju na poddaszu, gdzie sypiała w jednym łóżku razem z trzema innymi służącymi. Tam pożegnał zaskoczoną Łukaszkę, stukając obcasami i całując ją w rękę.

## Rozdział 8

Przed wielkimi złotymi wrotami pałacu Andriejewów nad Nową panował rozgardiasz. Było niedzielne popołudnie, dzień, w którym książę Andriejew, o którego bogactwie mogliby co najwyżej pomarzyć potentaci z zachodniej Europy, otwierał podwoje i sakiewkę przed każdym, kto przyszedł prosić o pomoc. Petenci pchali się jeden przez drugiego, patrząc na podwoje pałacu oczyma załzawionymi od mrozu i biedy.

Drzwi się uchylily, w tłumie dał się słyszeć płacz i ludzka masa wpłynęła na schody. Ato, elegancki afrykański zarządca domu (także główny lokaj i osobisty służący księcia), patrzył chłodnym wzrokiem na tę zbieraninę z najniższego szczebla drabiny społecznej. Jakże ich nienawidził! Wspinali się po śliskich pałacowych stopniach z odmrożonymi stopami lub czołgali na rękach i kolanach. Przybyli tu z pustyń Azji i z okrutnej, skutej lodem Syberii. Ato zastanawiał się, czy ten pochód kiedyś się skończy, wiedział jednak, że bieda, nieszczęścia i zły los nieustannie nękają ludzi, będą więc przychodzić, dopóki nie pozbawią księcia łez i nie zostawią go wyschniętego i pomarszczonego, przedwcześnie postarzałego i przytłoczonego ludzkimi troskami.

Jakże spragnieni byli odrobiny książęcego serca! Ato zwykle nie żałował im pieniędzy - książę miał ich tyle, że szukał sposobów, by je wydać. Jednak cotygodniowa akcja dobroczynna nie naruszyła nawet części wielkiego majątku. Za każdym razem, gdy Ato kładł księcia spać, on spuszczał w desperacji głowę.

- Och Ato, co ja mam z tym wszystkim zrobić? Muszę wydać te pieniądze. Świat powinien mieć z nich jakąś korzyść. Ale pomimo wysiłków mój majątek nie topnieje. Mówią mi, żeby w coś zainwestować, lecz w ten sposób tylko powiększam kapitał.

Tym razem jednak Ato zamknął drzwi przed biedakami i odwrócił się. Książę jest dzisiaj szczęśliwy i nie wolno go niepokoić. Oczywiście, kiedy przypomni sobie, że to



niedziela, dzień dobroczynności, zmartwi go, że służący ma serce z kamienia i nie pomógł cierpiącym. Pochłonięty jest jednak przygotowaniami do mającego się odbyć za trzy tygodnie przyjęcia imieninowego córki i najwyraźniej zapomniał, jaki dziś dzień, a Ato mu nie przypomni. Spodziewając się, że to ekstrawaganckie przedsięwzięcie uszczupli jego majątek i zdejmie z ramion ciężar trosk biedaków (bo gdy zabraknie mu pieniędzy, nie będą o nie prosić), książę siedział przy złotym biurku i sporządzał listę rzeczy potrzebnych na przyjęcie. Imieniny Olgi przypadały co prawda w lipcu, lecz książę ignorował ten fakt, wychodząc z założenia, że wejście córki w świat należy uczcić wieloma uroczystościami, i gdyby Ato mu pozwolił, mógłby je świętować co najmniej raz w tygodniu.

Idąc korytarzem, Ato minął gabinet księcia, nawet nie zaglądając do środka. Wiedział, co będzie na tych listach, wschodnie przyprawy, błysk letniego słońca na podniebieniu, owoce południowe, aromatyczne melony, morele, lśniące śliwki i winogrona, egzotyczne ananasy i banany, wypełniające zapachem puste zimowe dni. Przyjadą z tropikalnej ojczyzny starannie owinięte i ułożone w sianie i będą czekać, aż nadejdzie kolej deseru. Znajdą się wtedy na paterach w rodzinnej posiadłości księcia o nazwie Pandemonium, gdzie odbędzie się przyjęcie na tysiąc osób. Ato przez te wszystkie lata spędzone w Rosji tęsknił za ciepłem, dlatego wspierał plany księcia, by samemu doświadczyć choć odrobiny ożywczego równikowego słońca.

Idąc dalej korytarzem, minął kilka salonów i zatrzymał się przy drzwiach wychodzących na wielki podwórzec. Popatrzył przez szybę i aż urósł z dumy, bo to, co miał przed sobą, było jego dziełem. Świątynia słońca z misternym systemem pryzmatycznych okien, skupiających słabe zimowe promienie w pasma ciepła, które zatrzymywały chłodne powietrze i sprawiały, że wewnątrz przez cały rok trwało lato.

W tej właśnie świątyni księżniczka Olga przyjmowała swoich licznych przyjaciół. Wśród bujnej roślinności ubrane na biało postacie, o twarzach zaróżowionych od panującego w środku ciepła, siedziały przy stołach, inne grały w tenisa na pięknym korcie, a jeszcze inne raczyły się cytrynowymi napojami. Przez środek budowli płynął strumień, na którym unosiła się łódka, a w niej wiosłarz. Całość robiła wrażenie letniego angielskiego popołudnia, oazy zieleni w samym środku srogiej zimy. Może ta moda na Anglię



- niewielką, monotonną i rozsądną - tak powszechna wśród tutejszej arystokracji, dawała pewnego rodzaju wytchnienie od rosyjskiej wielkości i ogromu przestrzeni.

Olga nalegała, by goście przebrali się za angielskie damy i dżentelmenów. Panie wystąpiły więc w lekkich białych sukniach, a panowie w blezerach w paski i słomkowych kapeluszach. Ci zaś, którzy takich strojów nie mieli, otrzymali je od gospodyni. Uljanow należał do tych drugich. Zirytowany z powodu przyciasnego blezera, stał oparty o pień dębu i pił herbatę z małej porcelanowej filiżanki, którą musiał trzymać w dwóch palcach. Czuł się niezręcznie, sącząc drobnymi łykami rozcieńczony mlekiem płyn, tak inny od czarnej rosyjskiej herbaty, mocnej i aromatycznej. Piło się ją dużymi łykami ze szklanki, stojąc na polu w ubłoconych butach i patrząc na leżące na ziemi ptaki lub na dzika ustrzelonego w czasie porannych łowów, pod szarymi obłokami w chłodnym jeziennym powietrzu. To była prawdziwa herbata.

Uljanow z zazdrością zauważył, że jeden Rybinski nie próbował przypodobać się gospodyni i nie wystroił się jak głupiec. Stał w niedbalej pozie, irytująco elegancki i pewny siebie, trzymając zgrabnie filiżankę, i rozmawiał z hrabianką. Tymczasem zdenerwowana gospodyni, księżniczka Olga, ocierała pot z czoła, pewna, że o czymś zapomniała lub coś źle zrobiła. Czy herbata była dość słaba i wodnista? Gdzie jest kwaśna śmietana? Tak liczyła, że służba nie zastąpi gęstej rosyjskiej śmietany tym delikatnym płynem.

Odziany w blezer Uljanow nie spuszczał wzroku z hrabianki Korwinej. Nie żeby go interesowała, lecz z czysto naukowej ciekawości. Chciał wiedzieć, jak ubiera się dobrze urodzona młoda dama, jak chodzi, mówi, pochyla z uwagą ku rozmówcy, by wychwycić najdrobniejsze niuanse opowiadanego właśnie żartu, śmieje się, błyska oczyma, ścisza głos, uśmiecha się zalotnie. Nie mógł zauważyć, że hrabianka robiła to bez wdzięku, ponieważ uchodziła w jego oczach za ideał kobiety.

W tym samym czasie Łukaszka marynowała się w kąpieli z gęstej śmietany i róż sprowadzonych w dużej ilości z kwaciarni. Uljanow miał nadzieję, że w ten sposób wybieli się jej śniada wiejska cera, zmyją kuchenne zapachy, zmiękczą twarde paznokcie, a skóra stanie się świeża jak u noworodka. Wtedy będzie mógł ją ukształtować na podobieństwo hrabianki Korwinej, chociaż w porównaniu z Aleksandrą Łukaszka była trochę

za niska.

Tak więc pilnie przypatrywał się swemu modelowi, który właśnie usiłował powstrzymać kichnięcie. Za późno. Filiżanka zadźwięczała w dłoni Aleksandry, a w oczach pojawiły się łzy.

- Chodzi o to, że... że... że...

Kolejne kichnięcie zakłóciło dyskusję o tym, o czym Rosjanie stale rozmawiali, a mianowicie: jak można żyć w Rosji, której istoty nie sposób pojąć i ogarnąć umysłem. Ten problem przyprawiał o ból głowy, bo zmuszał umysł do wędrowania z jednego krańca imperium na drugi. Żarliwe dyskusje i walka na argumenty toczyły się w eleganckich salonach i chłopskich chatach, wojskowych barakach, biurach, kawiarniach, przez płoty na wsi i na polach, gdzie żniwiarze odkładali na bok kosy, krzyczeli na siebie i wygrażali pięściami. Narodowa debata trwała nawet w niedziele, lecz prowadzono ją szeptem pod złotymi kopułami cerkwi, wznosząc żale do nieba, podczas gdy historyczny lament duchownych odbijał się echem od ścian świątyń. Tak wybrzmiewał rosyjski smutek.

- *Santé* - powiedział Rybinski, kładąc dłoń na ramieniu Aleksandry, by podtrzymać ją przy następnym kichnięciu. Zabrzęczała od niego filiżanka i oderwał się perłowy guzik od sukienki, który wystrzelił w powietrze i upadł niedaleko Uljanowa. Ten natychmiast postawił swoją filiżankę na ziemi i zaczął szukać wśród gęstej trawy, rozsuwając ją jak pasma włosów. W końcu ciepła perłowa kulka znalazła się w jego dłoni. Hrabianka na pewno będzie mu ogromnie wdzięczna za zwrot zguby.

- Nie pojmuję - powiedziała lekkim tonem Aleksandra, zdając sobie sprawę z jego obecności - czemu pan uważa, że można w tym kraju ułożyć sobie życie. Już choćby po to, by nie dostać pomieszania zmysłów, musimy udawać, że jesteśmy gdzieś indziej. Tak jak teraz w Anglii. To chyba jedyny sposób.

- Wprost przeciwnie - odpowiedział Rybinski, unosząc brew. - Niemożliwe jest żyć gdzie indziej. Naprawdę żyć.

Spojrzał na nią znad filiżanki w taki sposób, że Aleksandra szybko pochyliła się nad swoją.

Oni patrzą sobie w oczy - pomyślał Uljanow i wątpiąc, by Aleksandrę interesował w tym momencie guzik, schował go szybko do kieszeni, żeby przyjrzeć mu się później,

poprzesuwać w palcach, przycisnąć do policzka.

Nie podobał mu się ton Rybńskiego ani prowokacyjny sposób odpowiedzi. Było w niej coś obraźliwego, podstępnie intymnego, coś, czego nie powinno się mówić w obecności damy.

Uljanow uniósł buńczucznie głowę i postąpił krok w przód.

- Co pan rozumie przez „prawdziwie żyć”?

Rybński wolno odwrócił głowę.

- Jedynie to, że jest jakieś szaleństwo, gwałtowność, energia w uczuciach, do jakich my, Rosjanie, mamy skłonność. Tego nie znajdziemy w żadnym innym cywilizowanym kraju. A to pan przed chwilą właśnie zademonstrował.

Czy on mnie obraził? - pomyślał Uljanow. Na twarzy Rybńskiego malował się wyraz uprzejmej życzliwości. Radca stanu był jak zwykle chłodny i pełen godności. Kącik ust miał jednak lekko uniesiony i to wystarczyło.

- Wyzywam pana - oświadczył beznamiętnym tonem Uljanow.

- No właśnie - odpowiedział Rybński i zwrócił się do hrabianki. - Nie sądzi pani, że ten nadmiar uczuć, to skakanie sobie do oczu, ta wybuchowość są nadzwyczajne? W zachodniej Europie tego nie ma. Dlatego nie byłoby przesadą nazwać ją dekadencją, zgodnie z klasycznym znaczeniem tego słowa.

Mój sekundant zgłosi się do pana - chciał powiedzieć Uljanow, lecz milczał, zdając sobie sprawę, że Rybński zręcznie uniknął próby wyzwania go na pojedynek, gdzie błyskotliwość umysłu jest bezużyteczna, a o tym, kto jest prawdziwym mężczyzną, decydują stalowe nerwy, pewna ręka i bystry wzrok. Niemniej jednak to zdolności umysłowe, uważane za niemęskie, pozwoliły radcy stanu uniknąć niebezpieczeństwa wykazania się tymi męskimi umiejętnościami. Uljanow nagle uświadomił sobie, że nie są one tak wiele warte, jak sądził dotychczas, zwłaszcza gdy zobaczył, jak Aleksandra patrzy na Rybńskiego, ignorując prawdziwego mężczyznę, za jakiego się uważał.

Czyż nie o to właśnie chodziło Rybńskiemu? Do czyjego ramienia lgnęła piękna hrabianka? Do kogo się zwracała? Tymczasem on, Uljanow, bohater stu pojedynków (no może nie aż tylu, lecz zaledwie kilku), wychodził w oczach hrabianki na głupca. To, co cenił u siebie najbardziej, było niczym wobec obojętności chłodu radcy stanu.

Prawdę powiedziawszy, to nawet ów ogień płonący w oczach tamtego, kiedy patrzył na hrabiankę, wcale nie był gorący. Uljanow wcześniej tego nie zauważył. Dlaczego więc ona patrzyła na niego tak pożądliwie?

Oczywiście. Uljanow sam przecież igrał z wieloma gorącymi sercami, podczas gdy jego pozostawało zimne jak lód. Znał siłę obojętności, okrutny urok osoby niekochającej albo kochającej tylko od czasu do czasu, męki niepewności odczuwane przez ofiary, bezwzględne niszczenie ich ego, co powalało biedaczki na kolana, wyciskało im łzy z oczu i zapewniało sukces. Czy nie to właśnie robiła z nim hrabianka?

Do diabła z nią! Myślał, że Aleksandra go pokocha, jeśli będzie okazywał jej życzliwość i sympatię, ale ta metoda po prostu zawiodła. Czemu więc nie miałby wrócić do sposobów, które sam stosował, i nie zacząć traktować jej z taką samą obojętnością?

Potrzebna mu była kobieta niepewna swojej pozycji towarzyskiej i zde gustowana brakiem powodzenia, która niczym słodko pachnący kwiat otworzyłaby się przed nim, na której mógłby spróbować swoich sił i nasycić się nektarem jej uległości. I kogoś właśnie takiego znalazł. Stała z boku, obserwując hrabiankę i radcę stanu z wyraźną konsternacją, mimo że starała się ją ukryć. Porzucona, odepchnięta. Takie właśnie Uljanow lubił. Największą satysfakcję dawało to, że była narzeczoną Rybinskiego, o czym wszyscy wiedzieli, chociaż nie ogłoszono jeszcze zaręczyn.

Ruszył ku niej, promiennie uśmiechnięty - na obojętność przyjdzie czas później. Właśnie to starannie dawkowane ciepło i ożywienie doprowadzało kobiety do szaleństwa. Biedna Olga. Nie grzeszyła urodą. Nawet jasna karnacja - jej główny atut - pokryła się teraz szarością. Zauważył, że ma zbyt starannie ułożone włosy i zbyt wyszukaną suknię, jak wszystkie pulchne dziewczęta, które sądziły, że w ten sposób zdołają odciągnąć uwagę od mankamentów urody.

Księżniczka Olga stała pod szklaną ścianą niczym zwiędły kwiat. Na widok Uljanowa spróbowała się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego jedynie grymas.

- Proszę ze mną zatańczyć - powiedział, kłaniając się, Uljanow.

Zdeprymowana, że ktoś prosi ją do tańca na angielskiej herbatce, zaśmiała się głośno. Śmiała się również, gdy Uljanow obrócił ją, postawił delikatnie na ziemi i zaczął z nią tańczyć, nucąc pod nosem melodię.

- Nie możemy - wyszeptała bez tchu. - Ludzie patrzą.

- Niech patrzą. Bardzo dobrze, że patrzą.

Ponownie ją obrócił, postawił na miękkiej zielonej trawie i zatańczył z nią walca.

Na policzki Olgi powróciły rumieńce. Patrzyła teraz na niego błyszczącymi, maślanymi oczyma w sposób, który mówił mu, że czas przerwać tę grę, bo będzie za późno. Chociaż miał przed sobą gotowe do zdobycia serce, zbolełe, złamane, wyschnięte z tęsknoty, gotowe do pożarcia, ku swemu zdumieniu i konsternacji uświadomił sobie, że nie ma na to ochoty.

Uljanow zdołał zachować obojętność wobec hrabianki zaledwie godzinę lub dwie. Czuł, że się dusi, próbując stłumić w sobie miłość. Musiał to z siebie wyrzucić. Najlepszym sposobem był list.

Tego wieczoru, kiedy Łukaszka brała rozmiękczejącą i wybielającą kąpiel, Uljanow usiadł za biurkiem w gabinecie, wyjął z szuflady kartkę pachnącego papieru, którego używał do pisania listów miłosnych, chwilę na nią patrzył, po czym zmiął. Gdyby użył tego samego papieru co zawsze, splugawiłby czystość swojego uczucia. Jaki papier byłby najlepszy? Płatek róży, kawałek cennego jedwabiu? Nie, wystarczy papier listowy, ale nie ten. Ten nadawał się dla pokojówek i świetnie mu służył, zwłaszcza gdy pamiętał, żeby go wyperfumować. Nie, do Aleksandry napisze na... papierze matki. Nic nie będzie bardziej czyste i godne jego uczuć niż stworzenie więzi między delikatną, świętą istotą a tą drugą świętą (może niezupełnie świętą, lecz taki był jego ogólny zamysł).

Wstał zza biurka, pobiegł do biblioteki matki, pogrzebał w jej sekretarzyku z drzewa różanego i wrócił z kilkoma kartkami sztywnego papieru welinowego, na wypadek gdyby musiał przepisać list.

Ponownie usiadł przy biurku i wybrał pióro. W tym momencie przydałby się kieliszek czegoś mocniejszego, pomógłby płynąć myślom, ale Uljanow zaczął przecież nowe życie. Zanurzył pióro w atramencie (powinna to być jego krew albo - jeszcze lepiej - łzy, choć wtedy litery nie byłyby widoczne) i zatrzymał je na chwilę w powietrzu dla zastanowienia. Jak powinien się do niej zwrócić: „hrabianko Korwina” czy „Aleksandro”? Czy chodzi mu o okazanie szacunku, czy ciepła i czułości?

*Moja droga hrabianko Korwina* - napisał, cyzelując litery. Zwrot „moja droga” był



trochę cieplejszy niż samo słowo „droga”, może nawet zbyt ciepły. Nie powinien okazywać zbytnej poufałości w stosunku do tak (nie mógł przestać o tym myśleć) złośliwej kobiety.

Czy powinien od razu przejść do sedna i wprost zadeklarować hrabiance swoje uczucia, czy też delikatnie wskazać jej drogę do swego serca? Z jednej strony nie chciał jej przestraszyć, z drugiej - bał się, że ona może opacznie zrozumieć jego intencje.

*Mam nadzieję, że śmiałość, z jaką zwracam się do Pani, nie nastawi Pani nieprzychylnie do mojej sprawy.* Podobało mu się to zdanie, brzmiało inteligentnie. Napomykało o tym, co nastąpi, wszelako zostawiało otwarte pole, pozwalało kluczyć.

*Znamy się krótko.* Popatrzył na to zdanie z uwagą, przeczytał je kilka razy, by sprawdzić, czy będzie pasowało do poprzedniego, bardzo udanego, i uznał, że to zły kierunek. Przekreślił je energicznie, zgniótł kartkę, rzucił ją na podłogę i wziął następną.

*Moja droga hrabianko Korwina - napisał ponownie. - Mam nadzieję, że śmiałość, z jaką zwracam się do Pani, nie nastawi Pani nieprzychylnie do mojej sprawy.* Przeczytał to kilka razy. Nie, niedobrze. Wszystko źle. Za dużo słów i zbyt oficjalnie. Wyjdzie na nieśmiałego i niemęskiego. Zgniółł kartkę, rzucił na podłogę i wziął następną.

*Aleksandro* - napisał, po czym odchylił się na oparcie i przyjrzał imieniu. Podobało mu się, było takie dostojne. Elegancko wyważona litera A wyglądała niczym szczyt, wieża, płomień. A obok niej smukłe l. Siedział i patrzył tak przez dłuższy czas, a potem zmiął kartkę, rzucił na podłogę i sięgnął po następną.

Uljanow zmagał się z listem kilka godzin, pisał i przepisywał, usiłując wyrazić swoje uczucia, choć było to niemożliwe, żadne bowiem słowa ich nie oddawały. Ale przynajmniej przelał swoje myśli na papier, co przyniosło mu ulgę. Niestety, na krótko.

Aleksandra na pewno go wyśmieje. Wyobraził sobie, jak bierze jego list, siada na którymś ze wspaniałych krzeseł we wspaniałym, zdobionym złotem pałacu, otwiera, śmieje się, po czym rzuca list na podłogę. Nie, najpierw hrabianka znajduje go w korespondencji, którą z pewnością otrzymywała każdego dnia, dopiero potem go otwiera, śmieje się i rzuca na podłogę. To głupie, że Uljanow w ogóle chciał go wysłać.

Nie, musi zaryzykować. Wziął następną kartkę i napisał: *Kocham Panią*, podpisał: *Andriej Mecklenburg-Uljanow*, złożył papier, zaadresował: *Hrabianka Aleksandra Kor-*



wina, i wybiegł do holu w poszukiwaniu stangreta Porfirego, który spał pijany na krześle przy wieszaku. Obudził go, wcisnął mu list do ręki wraz z kilkoma rublami i wypchnął za drzwi z poleceniem: „Zanieś to do pałacu Korwinów. I zaczekaj na odpowiedź”.

Odpowiedź nie nadeszła. Porfiry wrócił godzinę później, wzruszając ramionami. Uljanow podejrzewał, że woźnica wcale nie dotarł do pałacu, lecz poszedł za otrzymane na dorożkę pieniądze na wódkę. A może jednak Porfiry rzetelnie wywiązał się z polecenia? Ale Uljanow nie spytał go o to, bo nie chciał znać odpowiedzi.

## Rozdział 9

Minęły trzy tygodnie. Rankiem, w dniu, w którym miało się odbyć przyjęcie imienninowe w Pandemonium, stangret Istvan siedział w kuchni w pałacu Korwinów i ze złością rozgniatał kartofle na talerzu, dając upust kipiącym w nim uczuciom. Gdyby pani widziała go teraz, z pewnością by go zrozumiała.

Nie chodziło o to, że do jedzenia były tylko kartofle. Mógł zapomnieć o tłustych kawałkach gotowanej wołowiny w kaparowym sosie, o gęstych, sytych zupach, rozgrzewających zmarznięty brzuch w zimowe wieczory, czy o mięsistej smażonej rybie w taki jak ten zimowy poranek, z chrupiącą srebrzystą skórką rozpływającą się w ustach. Mógł zapomnieć o stajniach z setką koni o lśniącej sierści, piętnastu stajennych i trzydziestu parobkach, którzy o nie dbali. Nie musiał nawet kiwać palcem, wystarczyło, że powiedział: „Baba miała dziś ciężki dzień. Zaopiekujcie się nią”. Mógł nawet zapomnieć o całej rzeszy usłużnych pokojówek, doceniających jego opowieści o Budapeszcie, dzikim, romantycznym mieście, i odwdzięczających się za nie ze zwierzęcym wigorem, zadowalającym jego węgierską krew. One również, tak jak konie, zostały sprzedane.

Natomiast nie mógł wybaczyć tego, że panienka nie pozwoliła mu się zawieźć. Po co w takim razie było to całe poświęcenie? Od tygodni tęsknił za tą podróżą, pamiętał kuchnię w Pandemonium, jagody i śmietanę, pikle i kiszoną kapustę, świeże kurczęta i cielęcinę. Przez cały tydzień miałyby takie jedzenie. I ponętne kształty tej jak-jej-tam, która w zamian za opowieści o zwariowanych mozaikach kryjących dach kościoła Świętego Macieja na wzgórzu w Budzie i o królewskich mostach łączących brzegi Dunaju pozwa-

łała odkrywać części anatomii i tam, i tu, i w górze, i na dole. Trudno sobie wyobrazić, co mógł przez tydzień zrobić z tą jak-jej-tam. Przez cały tydzień byłby też z dala od narzekań i grymasów starej żony, mieszkającej w małym pokoju na ulicy Priszibodiewa i oczekującej, by wracał do niej co noc. Gdyby tylko panienska pozwoliła mu się zawieźć!

Nie mógł jednak na to liczyć. Dostał polecenie zawieźć ją tylko do pałacu Andriejewów. Stamtąd bowiem miała jechać starym, źle wyresorowanym powozem, na którego koźle zasiadał ten stary Platon Płatonowicz, trzeci stangret Andriejewów, znajdujący przyjemność jedynie w tym, że jadąc w największy mróz bez szalika na twarzy, może słyszeć pęknięcie zmarzniętych włosów w nosie. Tydzień w Pandemonium dla kogoś takiego to strata czasu.

Istvan pokroił kartofla na ćwiartki, by wyglądało, że jest go więcej, i powąchał przed zjedzeniem. W tym momencie usłyszał, że ktoś do niego mówi. Pewnie Matriona. Kiedy weszła do kuchni, zajęty był kartoflem, w przeciwnym razie usiadłby prosto, chowając obwisły brzuch i prezentując umięśniony tors prawdziwego Węgra, dziecka stepów i wilka otwartych przestrzeni.

Matriona stała w drzwiach z rękami skrzyżowanymi pod biustem, tak że jej piersi, skryte pod brudną białą bluzką, wysuwały się w przód kusząco, a muskularne ramiona zapowiadały energię w miłosnych zmaganiach. Tak w każdym razie widział ją Istvan. Patrzył na to uwodzicielskie zjawisko jak przymurowany, z otwartymi ustami pełnymi kartofli.

Dotąd nigdy nie zwracała na niego uwagi. Może to wyobraźnia podsunęła mu zalotnie wypięte biodro i jednoznaczne spojrzenia rzucone mu spod wpróżymkniętych powiek. Najwyraźniej nie, bo Matriona wsunęła teraz palec do ust, zamknęła oczy i zaczęła go namiętnie ssać. Istvanowi nawet nie przyszło do głowy zapytać, czego od niego oczekuje. Po prostu wstał od stołu i szurając butami po podłodze, podszedł do pokojówki, ukląkł przed nią i podniósł jej spódnice. Natychmiast zapomniał o podróży do Pandemonium, ale Matriona nie. Gdyby Aleksandra, pakująca na górze kufry z pomocą Praskowii, która miała jej towarzyszyć zamiast obrażonej Matriony, wiedziała, że w tej chwili w kuchni węgierski wilk gna przez lasy matuszki Rosji, poszczekując, śliniąc się i mrużąc, domyśliłaby się, że mściwa pokojówka coś knuje.

Aleksandra jednak nie wiedziała. W tej właśnie chwili stała z rękami na biodrach i z zagadkowym wyrazem twarzy patrzyła na otwarty kufer, usiłując sobie przypomnieć, o czym zapomniała, co oczywiście było niemożliwe, jeżeli naprawdę o czymś się zapomniało. Zresztą miała tak niewiele, że nie sposób było nie zapamiętać wszystkiego. Liczyła na to, że kolekcja sukien, bucików, wachlarzy i tanich klejnotów, zakupionych ze skromnych funduszy, wystarczy na tydzień pobytu i - przy trzykrotnym przebieraniu się w ciągu dnia - na stworzenie wrażenia bogactwa i zbytku. Będzie tam przecież hrabia Kołygin, specjalnie zaproszony przez madame Lavorine. Wprawdzie Aleksandra nie zrezygnowała z prób zdobycia wspaniałego Rybńskiego, jednak względy praktyczne nakazywały, by przyjąć w końcu zaloty Kołygina. W gruncie rzeczy nie był taki zły. Wdowiec i trochę za stary, bo po pięćdziesiątce, ale na swój sposób piękny w owym posępnym smutku. Bez trudu mogłaby go pokochać, gdyby nie wyszło jej z Rybńskim.

- Praskowio - zwróciła się do służącej, która klęczała na podłodze przy otwartym kufrze i wpychała mufkę z futra wydry między owiniętą w papier halkę i pudło z rękawiczkami - czy można kochać dwóch mężczyzn naraz?

- Oczywiście - odparła Praskowia - a nawet trzech czy czterech. Znałam dziewczynę, która kochała cały pułk piechoty.

- Nie wierzę.

- Tak, panienko, kochała ich wszystkich. Zawsze kręcili się wokół jej domu, gdy pułk przechodził drogą. Rozpędzali kurczaki, zaglądali przez okna i walili w drzwi, czekając na swoją kolej do kochania. Byli ze sobą bardzo szczęśliwi, Hipolita i jej pułk. Ciągłe ci sami, lecz zawsze inni - mawiała. Jeden mężczyzna z wieloma twarzami. I nigdy się jej nie znudzili tak jak mąż. Wiele kobiet jej zazdrościło. Kiedy odchodzili, machając na pożegnanie i przesyłając całusy, Hipolita rzuciła się do Oki, ale to była tylko odnoga, bardzo płytka w tym miejscu, więc nic jej się nie stało, tylko się zamoczyła.

- Chyba nie można tego nazwać miłością - stwierdziła Aleksandra. - Powinnaś to nazwać inaczej.

- Oczywiście, że to miłość. A cóż innego?

Aleksandra nie chciała wypowiedzieć na głos tego słowa.

Praskowia ze stukiem zamknęła wieko kufra i zapięła skobel. Potem wzięła swoją

panią za rękę i poprowadziła do srebrnej ikony zawieszanej na ścianie, pod którą paliła się świeca. Zdjęła chustkę, rozłożyła ją na podłodze, pomogła Aleksandrze uklęknąć i poleciła, by hrabianka pomodliła się o bezpieczną podróż, o to, by Bóg i wszyscy święci mieli ją w opiece, i o zdrowie dla wszystkich domowników, lecz nie dla tej Matryony.

## Rozdział 10

W Pandemonium trwała budowa. Zresztą ciągle coś tam budowano. Dwór i budynki gospodarcze - stajnie, wędzarnie, altany, herbaciarnie z oknami wychodzącymi na różne strony, pracownie szewskie, garbarnie, cieplarnie, mauzolea, świątynie, pawilony, stodoły, młockarnie, kuźnia, młyny do mielenia zboża i olejarnie, biura, warsztaty, galerie i cerkwie - zajmowały jakieś czterdzieści hektarów, ale to wciąż było zbyt mało. Nawet cieplarnie i ogrody, wymagające nieustannej opieki armii służących (kilkoro z nich zatrudniono specjalnie do opieki nad jednym drzewem, które pielęgowali i nawadniali przez całą noc, mruczając do siebie pomiędzy rozgrzewającymi łykami wódki), nie nadzarpnęły fortuny księcia. Także prywatne muzea wypełnione eksponatami drawidyjskimi, tybetańskimi, scytyjskimi i greckimi, cerkwie z kopułami pokrytymi czystym złotem i zamki sprowadzone z Irlandii cegła po cegle nie zdjęły z barków księcia ciężaru bogactwa. Jego wielka nadzieja, prywatna linia kolejowa, łącząca pałac nad Newą z Pandemonium i rodzinnymi posiadłościami w całej Europie i Azji, również nie uszczupliła jego zasobów. Szkoły i szpitale, ufundowane przez niego w całej Rosji, nie wymagały wysokich nakładów, jedynie kilka kilogramów żytniej mąki oraz ze dwa pióra, bo w przeciwnym razie luksus zniszczyłby młode duszyczki. Książę zaczął więc szukać nowych miejsc w Niemczech i Francji, lecz kraje te źle zrozumiały jego intencje i w obawie, że będzie się po nich oczekiwać jakichś politycznych lub ekonomicznych zobowiązań, nie wyraziły zgody na jego dobroczynność. Zmuszony zwrócić się o pomoc do cara, książę zaproponował, że zbuduje nową flotę i opłaci wydatki armii, ale monarcha - podejrzliwy jak każdy chłop odmawiający przyjęcia krowy, pewny, że coś się za tym kryje - zdecydowanie odrzucił tę propozycję.

Linia kolejowa w owym czasie nie działała. Część torów uległa zniszczeniu na sku-

tek erozji gleby. Chłopi, którzy mieli o nie dbać, uznali, że to Bóg karze w ten sposób ludzi za techniczne wynalazki, i nie chcieli ich naprawić, twierdząc, że byłby to akt nieposłuszeństwa wobec woli Najwyższego i szarganie świętości. Książę nie zdołał ich przekonać, dlatego wszystkich zaproszonych gości - całą śmietankę towarzyską Petersburga w liczbie tysiąca osób - przewieziono powozami, które wyposażono w płozy i w ten sposób przekształcono w olbrzymie sanie. Trasa biegła korytem zamarznętej rzeki, wijącej się jak szara wstęga wśród pokrytych śniegiem drzew i przycupniętych wzdłuż brzegu bezbarwnych wiejskich chat. Raz kawalkada powozów wystraszyła nawet domową gęś, która uciekła z głośnym gęganiem, przebierając czerwonymi łapami. Trzaskanie lodu na rzece, grożące pęknięciem pod ciężarem setek pojazdów, i prychanie przestraszonych koni ślizgających się po gładkiej powierzchni lodu przydawały podróży dreszczyku emocji. Goście wiedzieli, że w każdej chwili mogą znaleźć śmierć pod lodem, ale ryzyko było nieodłączną częścią zimowej zabawy w Rosji.

Słońce nie mogło się przebić przez grubą warstwę chmur. Nie było to konieczne, Pandemonium bowiem, rozjarzone tysiącami świateł, roztaczało blask niczym drugie słońce, które bladło tak jak prawdziwe. Dzięki temu podróźni przez kilka godzin mogli oglądać drugi zachód słońca. Kiedy powozy pokonały zakręt, wszyscy ujrzeli olbrzymią posiadłość z oświetlonymi budynkami i ogniskami płonącymi na okolicznych wzgórzach, przywodzącymi na myśl gwiazdy, które spadły na ziemię. Powozy stanęły i zmarzniętym gościom podano rozgrzewające napoje.

- Proszę pamiętać, co mówiłam. - Madame Lavorine ścisnęła łokieć Aleksandry, gdy służący w liberii podawał jej parującą szklanekę herbaty.

Hrabianka pociągnęła łyk, czując najpierw na wargach, a potem w przełyku gorący płyn, który torował sobie drogę do żołądka, paląc niczym rozżarzony węgiel. Była to jednak przyjemna odmiana po ponurych godzinach spędzonych w chłodnym powozie z madame Lavorine opowiadającą przez całą drogę o hrabi Kołyginie, jego dziwactwach, gustach, zachowaniach, cechach charakteru, które hrabianka powinna znać, by lepiej oddziaływać na jego uczucia.

Aleksandra, chociaż darzyła Rybinskiego czymś w rodzaju urojonej miłości, gotowa była jednak zaakceptować cyniczne sposoby Praskowii pobudzania męskiej wyobraź-



ni. Teraz z przerażeniem wysłuchiwała równie mało chwalebnych wskazówek madame Lavorine odnośnie do bogatego hrabiego. Uznała, że jej rady są bez serca, protekcyjne, poniżające ludzką godność, i nie omieszkała jej tego powiedzieć.

- Też coś! - prychnęła madame Lavorine. - Panna w ogóle nie znasz mężczyzn. Prawda jest taka, że niewiele się troszczą o swe partnerki bo mają lepsze rzeczy do roboty, i są całkiem szczęśliwi, kiedy się ich uwolni od tego szczególnego obowiązku. Oni nie wiedzą, czego chcą, dopóki im się tego nie powie. Najwyższy czas się tego nauczyć.

Z tymi słowy uniosła w górę głowę i odebrała z rąk służącego szklankę herbaty.

Aleksandrę zaskoczyła jej impertynencja i ostry ton głosu, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że nie jest już tą osobą co dawniej; to jej niepewna pozycja chroniona tytułem, lecz nie wzmocniona majątkiem, pozwala madame Lavorine na taką swobodę. Musiała się chyba domyślić, że Aleksandra spada na najniższy stopień społecznej hierarchii, który i ona zajmuje, i tylko resztkami sił trzyma się swojej dawnej pozycji. Wkrótce będzie zależna jedynie od łaskawości krewnych i przyjaciół, naśmiewających się z niej za plecami. Tak się stanie, jeżeli nie posłucha mądrych rad.

Już miała zbesztać arogancką towarzyszkę, gdy kątem oka dostrzegła dobrze znaną postać w towarzystwie nieznanego osoby. Uljanow, bo to on był we własnej osobie, z niezwykłą troską i rewerencją pomagał zejść swojej towarzyszce po chwiejnych stopniach wielkiego, wyłożonego pluszem powozu. Ubrana w kosztowne futro kobieta weszła w blask rzucany przez pochodnię i rozejrzała się zdumiona wielkimi, błyszczącymi, czarnymi oczyma.

- Ta kobieta wygląda jak niewinna łania w ciemnym lesie - zauważyła Aleksandra z irytacją, nie mogąc oderwać oczu od nieznajomej.

Madame Lavorine, wyczuwając zagrożenie dla matrymonialnych planów Aleksandry i pośrednio swoich, chwyciła podopieczną za tył okrycia i pociągnęła do pomalowanej na czerwono trojki, jednej ze stu czekających już na gości, by zawieźć ich do dworu.

- Kolejna z jego zdobyczy - stwierdziła, wpychając Aleksandrę do sań. - Nie powinno to pańienki interesować. I proszę mieć się na baczności przez następne dni, jeżeli nie chce pańienka stracić okazji.

W olbrzymim, szerokim jak rzeka holu Aleksandra zrzuciła właśnie ciężką burkę i



wyciągnęła dłonie do lokaja, by zdjąć jej rękawiczki, gdy z tłumu przybyłych wyłonił się hrabia Kołygin w towarzystwie madame Lavorine, wcisnął się przed lokaja i chwycił delikatnie niczym łąkę jeden z koniuszków jej palców.

- Mademoiselle - powiedział, pochylając się nad jej dłonią - minęło tyle czasu.

Patrząc na czubek jego głowy, Aleksandra zauważyła, że nadal ma na niej więcej włosów. Czy elegancki gest hrabiego nie został podyktowany chęcią udowodnienia tego faktu? - pomyślała. Kiedy Kołygin się wyprostował, zauważyła, że jest od niej niższy. Nie przeszkadzało jej to, bo wciąż był na swój sposób przystojny.

Hrabia ściągnął jej rękawiczki i podał je lokajowi. Na Aleksandrze, która doświadczyła jedynie zbytnej poufałości Uljanowa i chłodnej, dziwnie ironicznej gładkości Rybinskiego, galanteria hrabiego zrobiła wrażenie. Lekko opuchnięte powieki mężczyzny, co Aleksandra przypisywała niedawnej melancholii, uniosły się, a jego wzrok omiótł twarz dziewczyny i przesunął się wzdłuż ciała. Zaraz potem hrabia uśmiechnął się w taki sposób, że Aleksandra nie była pewna, czy chce wiedzieć, co się za tym kryje.

- Sto tysięcy dusz - szepnęła jej do ucha madame Lavorine.

## Rozdział 11

Ato stał, jak zwykle przy każdym posiłku, za krzesłem księcia, pochylając się od czasu do czasu, by zapewnić, że wszystko jest w porządku. Zauważył, że palce księcia, trzymające widelec i nóż, drżą, tną w roztargnieniu leżące na talerzu jedzenie. Ato cofnął się i ogarnął wzrokiem zebranych gości, dostrzegając z zadowoleniem pedantycznie równe rzędy złotych solniczek, czar z kwiatami i świeczników, stojących na każdym z dziesięciu stołów w olbrzymiej jadalni. Był to perfekcyjny układ geometryczny, którego opracowanie zajęło mu całe godziny. Starannie wymierzył odległość każdego przedmiotu od ściany, wierząc, że ta symetria zapewni spokój przynajmniej na ten wieczór, że ów idealny porządek zdoła chociaż częściowo pokrzyżować plany złośliwym bogom, kochającym chaos i katastrofy.

Co tym razem zagrażało idealnemu porządkowi, jakie nieszczęście wisiało w powietrzu? Kolację na tysiąc osób przygotowano w trzech jadalniach, lecz Ato przeczuwał, że właśnie tę srebrno-czerwoną upatrzyli sobie bogowie.

Punkty zapalne potencjalnej katastrofy ogniskowały się wokół trzech par. Pierwszą z nich stanowili córka księcia i jej przyszły narzeczony, młody biurokrata i błyskotliwy dworski urzędnik. Majordomusowi podobały się godność i maniery Rybinskiego, ale nie szczelna i twarda jak szkło maska, za którą krył się radca stanu. Dlatego Ato bał się o małą księżniczkę. Następna para to siedząca w drugim końcu stołu przyjaciółka księżniczki, hrabianka Korwina, i stary mężczyzna. Hrabianka nie spuszczała z oka Rybinskiego, dążąc niczym ćma do światła ku tej niedostępnej gwiazdzie. Ato mimowolnie zdrzął. Stary mężczyzna u boku hrabianki pożerał swą towarzyszkę wzrokiem, jakby pragnął wyssać z niej młodość, by żyć wiecznie. Wreszcie trzecia para - młody rozpustnik z przebraną za damę wiejską dziewczyną; on też chciał pożreć hrabiankę, lecz nie po to, by żyć wiecznie; był za młody, żeby myśleć o śmierci. Tryskał nienaturalną wesołością i z niezwykłą troskliwością opiekował się małą wieśniaczką, ale jego uwagę przyciągał ktoś inny: co chwila spoglądał na hrabiankę Korwiną, by sprawdzić, jakie robi na niej wrażenie. Głupcy - pomyślał Ato. - Dlaczego nie zajmą się tym, co mają na talerzach? Nie warto raczyć ich wyszukanymi potrawami. Nie zwracają uwagi na rzeczy istotne. - Ato

uniósł rękę w białej rękawiczce i strzelił cicho palcami. Trzystu lokajów zrobiło jednocześnie krok w przód i zebrało talerze. Kolejny ruch palcami i na stołach pojawiło się następne danie.

Nietknięta porcja musu z jesiotra zniknęła z talerzem Aleksandry, a jej miejsce zajęła lodowa kulka o smaku mięty w kryształowym kieliszku na długiej nóżce.

Hrabia Kołygin wpatrywał się w nią tak pożądlivym wzrokiem, że Aleksandra postanowiła coś zjeść. W jadalni było nieznośnie gorąco, zagłębiła więc łyżeczkę w lodowej kulce i włożyła do ust chłodną porcję o miętowym smaku, co przyniosło ulgę. Gdyby tylko hrabia Kołygin przestał do niej mówić, mogłaby się skupić na czymś naprawdę ważnym: to znaczy na tym, kim była kobieta towarzysząca znieawidzonemu Uljanowowi (nie żeby ją to obchodziło) i co właściwie czuł Rybinski do Olgi (na czym jej bardzo zależało).

- Moja zmarła żona - mówił hrabia Kołygin, dmuchając Aleksandrze gorącym oddechem w ucho, za co miała ochotę go uderzyć - uwielbiała naszą posiadłość na Krymie. Świeże powietrze, aksamitne noce, bogactwo zapachów, wpływających przez otwarte okno do naszej sypialni. Mam nadzieję, że nie obraziłem pani, wspominając o sypialni.

Jeżeli już, to przecież przeprasileś - chciała powiedzieć Aleksandra, lecz zamiast tego włożyła do ust kolejną porcję lodów. Uljanow właśnie karmił swoją towarzyszkę zielonymi lodami z odrażającą troskliwością. Spojrzenia hrabianki i huzara spotkały się i oboje natychmiast odwrócili wzrok.

On to robi specjalnie - pomyślała z satysfakcją Aleksandra. Nie ma więc sensu patrzeć. Wiem, co chciałam wiedzieć. To, co napisał w liście, jest prawdą. Sprawdziło się również jego przypuszczenie, że adresatka rzuci list na podłogę i będzie się z niego śmiała.

Hrabianka popatrzyła na Rybinskiego, który siedział w pełnej godności pozie niedaleko gospodarza. Od czasu do czasu nachylał swą ulizaną głowę ku mówiącej coś Oldze. W pewnej chwili spojrzał na Aleksandrę i nie odwrócił wzroku, jakby chciał się upewnić, że ona również na niego patrzy. Trwało to tak długo, że hrabianka mimowolnie zadrżała. Później się spotkamy - zdawały się mówić jego oczy - może w bibliotece, w kącie pokoju muzycznego, ciemnym zakamarku korytarza lub na ciemnych schodach; a

może jeszcze gdzieś indziej. A wtedy kto wie, co się zdarzy.

Aleksandra zupełnie straciła zainteresowanie siedzącym obok towarzyszem.

- Uwielbiała robić różne rzeczy - paplał hrabia, uśmiechając się do siebie. - Serwetki, obrusy, szale, rękawiczki, kapelusze, kapcie, nakrywki na czajniczki, ozdoby choinkowe i buty. Umiała też szyć koszule i spodnie. - Zawahał się. - Och, czy uważa to pani za obraźliwe?

- Co takiego? - spytała Aleksandra, wciąż nie mogąc dojść do siebie po spojrzeniu Rybńskiego.

Mimo to nie mogła się oprzeć i przeniosła wzrok na Uljanowa, próbując odgadnąć, kim jest siedząca obok niego kobieta. Było w niej coś dziwnego. Różniła się zdecydowanie od poprzednich zdobyczy Uljanowa.

- Że wspomniałem o spodniach. Niezameżna dama może uważać spodnie za coś obraźliwego.

- Nie uważam spodni za coś obraźliwego, panie hrabio - odpowiedziała z roztargnieniem, nie spuszczać wzroku z towarzyszyki Uljanowa, która siedziała sztywno wyprostowana, wpatrując się irytująco łagodnym wzrokiem przed siebie. Porcja leżącej przed nią na talerzu dziczyzny pozostawała nietknięta.

Kto to może być? - zastanawiała się Aleksandra, podczas gdy hrabia kontynuował wyliczanie zalet żony. Robiła różnego rodzaju dzemy, od agrestowego po pigwowy. Osobiście zbierała wszystkie owoce, myła je, gotowała, wkładała do słoików i rozstawiała do wystygnięcia po całym domu; Wiatr roznosił zapachy po pokojach, a jemu wydawało się, jakby mieszkał w sadzie.

To na pewno jakaś cudzoziemka - zdecydowała Aleksandra. Z jakichś trudnych do wyjaśnienia powodów myślała, że tamta nie jest Rosjanką, przyniosła jej ulgę. Żadna cudzoziemka nie była w stanie współzawodniczyć z Rosjanką w walce o żywiącego się dziczyzną Rosjanina. Zresztą cóż ją to obchodzi - pomyślała, wbijając mocne białe zęby w porcję mięsa.

Po kolacji można było pograć w karty, rozwiązywać szarady, pić, tańczyć, śpiewać arie operowe, pieśni ludowe i słuchać orkiestr cygańskich. Amatorzy rozmowy, rozbici na małe grupki, okupowali kanapy i fotele, stali w drzwiach lub pod wielkimi obrazami,

pokrywającymi wysokie ściany. Twarze rozmówców połyskiwały w świetle świec. Inni próbowali swych umiejętności na harfach i klawikordach, bezmyślnie stukając w klawisze. Śmiech, rozmowy i flirty niosły się od pokoju do pokoju. Aleksandra spacerowała wśród gości, spoglądając co chwila przez ramię, czy zgubiła już hrabiego, który cierpliwie podążał za nią, potykając się, depcząc innym po nogach i nie przestając wychwalać zalet żony. Hrabianka zatrzymała się i zaproponowała zabawę w chowanego.

- Z przyjemnością - odpowiedział hrabia. - Moja żona...

Lecz hrabianki już nie było.

Aleksandra za dużo zjadła. Lekko pochylona, opierała się teraz o ścianę u stóp schodów prowadzących do pokoi na górze i przyciskała dłoń w białej rękawiczce do brzucha. Gdyby tylko mogła położyć się na chwilę, rozluźnić gorset i zdjąć z siebie to diabelstwo!

Zastanawiała się, czy nie wejść na górę, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Powoli, tak by nie urazić pełnego żołądka (miała nadzieję, że szybko strawi niewygodny ciężar), poszła korytarzem ku rozbrzmiewającym w oddali odgłosom zabawy. Musiała jednak znowu chwilę odpocząć i oprzeć się o ścianę.

Nawet oddech sprawiał ból. Dodatkowe powietrze w płucach groziło pęknięciem żołądka. O Boże! O Panie na Niebiosach! Aleksandra czuła teraz obecność Boga, który nie tolerował żadnego nieumiarkowania.

Ból żołądka powoli ustępował. Wreszcie mogła się ruszyć, jednak nie miała na to ochoty. Trwała w bezruchu, pozostając w błogim odrętwieniu, wywołanym marynującą się w żołądku mieszanką potraw.

- Hrabianka Korwina, jakże mi miło - usłyszała głos, przypominający jej kogoś, kogo nie chciała spotkać. W jej stronę zmierzał Uljanow z drepczącą za nim tajemniczą towarzyszką. - Pozwoli pani - rzekł z niskim ukłonem i pewnością siebie, sugerującą, że miłosne wyznanie nie było szczere - że przedstawię księżniczkę Łukę Abbabownę Mastradonian z Armenii.

Według wszelkich zasad to hrabianka powinna być przedstawiona księżniczce, nie odwrotnie. Aleksandra jednak nie zwróciła na to uwagi, bo poczuła gwałtowne ukłucie w sercu, czego nie dało się zrzucić na karb problemów żołądkowych. Księżniczka. Ktoś

lepszy i znacznie od niej ładniejszy.

On jest mój - pomyślała.

- Chciałabym z panem porozmawiać - oznajmiła, traktując małą księżniczkę jak powietrze i znajdując w tym przyjemność.

- Tak? - Uljanow spojrzał na nią zaskoczony, zapominając na chwilę o starannie wystudiowanej troskliwości okazywanej uwielbianej towarzyszce.

- Spotkajmy się w małej bibliotece, tej złotej, nie zielonej, o dwunastej - powiedziała zdecydowanym tonem Aleksandra i oddaliła się korytarzem w znacznie lepszym humorze. Tylko dlaczego zaproponowała mu spotkanie? Ta propozycja po prostu wypadła jej z ust. Nie miała pojęcia, co z tym począć. Może coś przyjdzie jej do głowy, a może nie. Tak czy owak nie zaszkodzi, jeśli na nią poczeka. Niech zna swoje miejsce.

Wróciła myślami do Rybinskiego. Gdzie jest teraz? Co robi? Jaką rozrywkę przedkłada nad jej towarzystwo? Nie mogła zapomnieć spojrzenia, jakim obdarzył ją przy kolacji. Postanowiła odszukać radcę stanu i dowiedzieć się, co oznaczał ten wzrok.

Znalazła Rybinskiego w salonie. Stał za krzesłem Olgi, trzymając dłonie na oparciu.

Na środku pokoju tańczyła i śpiewała Cyganka, odsłaniając białe zęby i skórę delikatną i śniadą jak kawa. Wraz z nią wirowały fioletowo-cytrynowe falbany spódnicy. Świadoma swych ponętnych kształtów, podchodziła do stojących w kręgu mężczyzn, potrząsając tamburynem i pochylając się w przód, tak że jej piersi zwisały jak dojrzałe gruszki w cienkim materiale bluzki, a przyglądający się panowie drżeli niczym ogiery czujące klacz. Wyjątkiem był Rybinski - zbyt na to dystyngowany. Mówił coś do Olgi, uśmiechał się, nastawiał ucha, by słyszeć jej głos, i w ogóle nie zwracał uwagi na Cyganekę. Pewnie uważał tancerkę za zbyt wulgarną i niepasującą do jego sfery.

W pewnej chwili Rybinski pochwycił wzrok Aleksandry. Hrabianka zadrżała i uciekła spojrzeniem w bok. Nie bardzo wiedząc, dokąd idzie, wpadła na stół, po czym zupełnie machinalnie wzięła widelec, talerz i nałożyła sobie marynowanych buraków.

- Wreszcie panią znalazłem - ucieszył się hrabia Kołygin.

Wbiła widelec w okrągły buraczek z taką siłą, że wystrzelił w górę i uderzył hrabiego w pierś niczym piłka golfowa.



- Bardzo przepraszam - powiedziała Aleksandra, przytomniejąc, i przesunęła serwetkę po plamie na białej koszuli hrabiego. Zerknęła na Rybńskiego. Znowu rozmawiał z Olgą. Zaśmiała się, mając nadzieję, że przyciągnie jego uwagę.

Hrabia Kołygin spojrział na koszulę i posmutniał.

- To tylko krew ze złamanego serca - rzekł cicho.

Aleksandra poczuła wyrzuty sumienia i dotknęła jego ramienia, chcąc go pocieszyć. Powinna okazać mu więcej sympatii. Nie miała jednak ochoty słuchać o zaletach nieboszczki. Na litość boską, czy ta kobieta nie miała służących?! Może madame Lavo-rine jednak pomyliła się co do stanu jego majątku.

- Dlaczego pańska żona wykonywała sama tyle prac domowych, panie hrabio?

- To była jej ulubiona rozrywka - odparł, wpatrując się w plamę na piersi, rzeczy-wicie wyglądającą jak rozgniecione serce.

Nadeszła madame Lavo-rine i troskliwie zajęła się poplamioną koszulą. Zaopatrzyła się w wilgotną serwetkę, przycisnęła ją do piersi hrabiego, a kiedy serwetka wchłonęła czerwień, wzięła następną i jeszcze jedną, i tak długo przyciskała je hrabiemu do serca, aż plama prawie znikła. Hrabia spojrział na madame Lavo-rine z podziwem.

- Seltzer - wyjaśniła. - Najlepszy środek na plamy. Chociaż na te tłuste po oliwie, maśle, sosach najlepsza jest wódka. Alkohol doskonale je wywabia.

- Moja żona używała whisky - wtrącił hrabia.

- Tak, whisky też działa na tłuszcz, ale pozostaje po niej ciemna plama od sło-du, dlatego czysta wódka jest lepsza.

Rybński znów patrzył na Aleksandrę z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twa-ry. Hrabianka zostawiła więc tych dwoje, zajętych dyskusją o metodach wywabiania plam, i ruszyła w jego stronę. Byłaby szczęśliwsza, gdyby Olga nie wstała z miejsca i nie podeszła do niej z wyciągniętymi ramionami, przepraszając, że zapomniała o najważniej-szym z gości. Choć niższa od Aleksandry, zdołała jednak przycisnąć policzek do ramie-nia przyjaciółki, przez co hrabianka poczuła się jeszcze gorzej, lecz nie przestała śledzić Rybńskiego. Znowu na nią patrzył, ale ogień w jego oczach jak zwykle zdawał się ga-snąć.

- Jutro zamierzamy ogłosić nasze zaręczyny - szepnęła jej Olga do ucha. - Chcę,

żebyś pierwsza o tym wiedziała. Na razie nie mów nikomu, nawet Praskowii.

Tymczasem Praskowia siedziała w wielkiej kuchni na tyłach pałacu, grzała nogi nad paleniskiem, gryzła pestki słonecznikowe, pluła łupinami w ogień, opowiadała kucharce, ile jej pani ma długich białych rękawiczek z kozłej skóry, i nie obchodziły jej żadne wiadomości. Za to dla Aleksandry był to szok. Zamarła w objęciach Olgi.

- To cudownie, tak się cieszę! - wykrzyknęła, rozciągając usta w nienaturalnie szerokim uśmiechu, który groził popękaniem skóry twarzy. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że idę spać. Jestem taka zmęczona.

I uciekła, zanim Olga zdążyła zaprotestować, że przecież jest jeszcze wcześniej.

## Rozdział 12

Aleksandra długo stała przy oknie, zanim położyła się spać. Przez sypiący gęsty śnieg przeświecała tarcza księżyca. Hrabianka zapomniała o Uljanowie, który czekał na dole i niecierpliwie przenosił spojrzenie z zegara na ten sam świecący za oknem księżyc.

W końcu rozpięła z trudem haftki i pętelki, rozwiązała supły i kokardki, po czym rozebrała się, zostawiając całą garderobę na podłodze. Położyła się do łóżka, wtulając bolącą głowę w gładką satynową poduszkę. Płakała długo i rozpaczliwie. Choć rzeczywiście czuła zmęczenie, nadal nie spała, kiedy do pokoju weszła Praskowia. Służąca ułożyła się na porcelanowym piecu, a po chwili pogwizdywała już przez sen. Aleksandra usnęła dopiero wtedy, gdy księżyc przestał świecić w okno. Spała długo i mocno.

Obudziło ją dziwne światło, przebijające się przez zasypane śniegiem okno. Aleksandra wyskoczyła z łóżka, przebiegła przez pokój i sapiąc z wysiłku, pchnęła ramę okienną, wbiła pięść w śniegową ścianę i wystawiła głowę na zewnątrz.

Świat tonął w różnych odcieniach bieli. Ponad śnieżną pokrywą wystawały jedynie gałęzie drzew i wierzchołek cebulastej cerkiewnej kopuły z cienkim złotym krzyżem. Cudowne - pomyślała - nadzwyczajne. Rosyjska zima często zaspokajała ludzkie apetyty na nieoczekiwane katastrofy i radykalne zmiany. I to był ten przypadek. Rozpacz, poczucie przegranej i świadomość, że los się od niej odwrócił, wszystko to minęło, a świat znów stał się jasny i czysty. Nastął nowy dzień. Ciekawe, jakie przyniesie niespodzianki.

Teraz wszystko było możliwe.

Umyta i ubrana zeszła do pokoju śniadaniowego z zaróżowionymi policzkami, które Praskowia natarła oderwanym od parapetu soplem lodowym. Innym gościom również dopisywał dobry humor.

- Widzieliście ten śnieg? To okropne, straszne. Nigdy stąd nie wyjedziemy! - wykrzykiwali z radością i na nowo rozbudzonym apetytem.

Napełniali talerze jajkami gotowanymi, sadzonymi, w koszulkach, jajecznicą, jajkami na miękko i z majonezem, narzekając na zmiany, jakie miały nastąpić w planie dnia.

- Z polowania nici - śmiali się, nakładając parówki, kawałki szynki, łupacza i marynowaną flądę.

- Nie będzie można się ślizgać na łyżwach - żalili się, wkładając do ust kawałki agrestowej tarty - pojeździć konno, saniami, pospacerować po lesie i okolicy. Nie pójdziemy też do wsi do ojca Joszki. Co w takim razie będziemy robić przez cały dzień? Do domu też nie można wrócić.

Książę jednak o wszystkim pomyślał. Ato obudził go o piątej rano i poinformował, że bogowie znowu sobie zakpili i cały ich misternie ułożony plan zabaw legł w gruzach z powodu burzy śnieżnej. Gospodarz, ubrany w tureckie spodnie i fez, stanął w drzwiach jadalni i uniósł ręce, by uciszyć towarzystwo.

- Widzieli państwo skutki burzy, która nawiedziła nas tej nocy. Wszystko, co dla państwa zaplanowałem, jest więc nieaktualne. Ale mam już następny plan. Postanowiłem, że zbudujemy... - Towarzystwo zaszumiało podekscytowane perspektywą przeżycia czegoś nowego, czego nigdy jeszcze nie widzieli. - ...pałac z lodu. Na pamiątkę naszej cesarzowej, która zbudowała taki pałac z okazji swojego ślubu.

Propozycja wywołała sensację. Goście kiwali z aprobatą głowami, bo pomysł spełnił ich oczekiwania.

- Co więcej - zawołał książę, przekrzykując podekscytowane głosy - podzielimy wszystkich na zespoły męsko-damskie. Każdy wybierze losowo swojego partnera i każda para otrzyma specjalne zadanie!

Zapadła cisza. Goście, zaskoczeni geniuszem księcia, pochylili z szacunkiem gło-

wy, bo oto szykowała się okazja do nowych intryg, miłosnych związków i nieformalnych układów. Gościnność księcia była tyleż twórcza, co zdumiewająca. W duchu dziękowali mu za nią z całego serca. Nowe życie! Nowa miłość! Wybawienie! Radość!

Uwagi Aleksandry nie uszła wzmianka księcia o ślubie, lecz się nią nie przejęła, podekscytowana jak inni. Może wyciągnie Rybńskiego na partnera. Wszystko przecież jest możliwe. Nowy początek, nowy układ świata.

Los jednak wyznaczył jej na partnera Uljanowa. Ponownie spojrzała na trzymaną w rękę karteczkę z nazwiskiem, chcąc sprawdzić, czy się nie pomyliła, po czym odszukała wzrokiem Uljanowa. To niezawodnie jego sprawka. Los chyba nie połączyłby jej z takim człowiekiem. A może to Pan Bóg dał jej nauczkę? Jej dusza burzyła się przeciw temu. Uljanow musiał przekupić służącego.

I po co? Z jakiego powodu ten rozpustnik ją prześladował? Przecież nie dlatego, że ją kochał, jak napisał w liście (który był - teraz nie miała już co do tego wątpliwości - podstępem, oszustwem). Nie, po prostu chciał ją dołączyć do listy swoich zdobyczy. Ciekawe, co ona takiego miała prócz dziewictwa, co pobudzało instynkt drapieżcy i nakazywało rzucać się ku niej z otwartym dziobem, oczami jak paciorki i rozcapierzonymi szponami.

Uljanow zbliżył się do niej, równie jak ona zaskoczony, i podał bez słowa ramię. Wzięła go pod rękę, klnąc cicho w nadziei, że on usłyszy, po czym oboje ruszyli z miejsca. Aleksandra stukała skórzanymi butami z cholewkami, a z ręki zwisała jej sobolowa mufka. Jej twarz pod małym kapelusikiem obszytym futerkiem była czerwona z gniewu. Zeszli po schodach już zamiecionych i posypanych solą, która chrzęściła pod stopami.

Długa procesja par wiła się ścieżkami wykopanymi wśród zasp. Po bokach wznosiły się ściany tak wysokie, że nie widzieli nic prócz śniegu i nie mieli pojęcia, dokąd idą. Mogli jedynie podążać za innymi białym labiryntem. Aleksandra dwa razy się poślizgnęła i musiała przytrzymać się Uljanowa w sposób, który z pewnością go ucieszył. To ją jeszcze bardziej rozgniewało.

W końcu wydostali się na bezkresne pole oczyszczone ze śniegu. W samym środku ujrzeli zarys budowli oznaczony kijkami połączonymi sznurkiem. Wokół piętrzyły się zwały białego puchu. Przez tłum przebiegł pomruk podziwu na widok czekającego ich

zadania.

- No to zaczynamy - powiedział głośno Uljanow i klasnął w osłonięte rękawiczkami dłonie.

Wziął z góry śniegu sporą garść, uformował cegłę, podszedł z nią do fundamentów budynku i umieścił w wyznaczonym miejscu. Inni zrobili to samo.

- Nie tak - rzuciła z irytacją Aleksandra.

Nabrała w ręce śniegu, ugniotła kulę, potoczyła ją po ziemi, a gdy uznała, że jest wystarczająco duża, zrobiła z niej prostokątną cegłę. Musiała przyznać w duchu, że wysza jej trochę krzywa, lecz co tam!

- O tak - powiedziała, patrząc na swoje dzieło z satysfakcją. - Nie budował pan nigdy domku ze śniegu? Co pan robił w dzieciństwie? Pił i uganiał się za kobietami?

- Właściwie to tak - odparł Uljanow.

Była zbyt rozgniewana, by się roześmiać. Zrobiła następną cegłę i umieściła ją na pierwszej, a potem jeszcze jedną. W ten sposób zbudowała wąską ścianę. Uljanow stał z boku i przyglądał się jej pracy.

- Chyba lepiej będzie, jeżeli ułożymy najpierw długi pas - stwierdził. - Zamiast ściany szerokości jednej cegły, bo może się zawalić.

Zaróżowiona z zimna twarz Aleksandry zrobiła się czerwona. Cisnęła na ziemię cegłę, którą właśnie robiła, i wsunęła dłonie w mufkę.

- To było niezwykle twórcze, Aleksandro - zauważył Uljanow.

Wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca, a Uljanow uśmiechnął się z miną niewiniątka.

- Dla pana, kapitanie, „mademoiselle” - odparła, po czym odwróciła się do niego plecami, podeszła do śnieżnej zasy i przysiadła na jej brzegu.

Setki par krzątały się wokół fundamentów przyszłego pałacu, tocząc śnieżne kule i budując z nich ściany. Widok arystokratów w wysokich butach, eleganckich paltach, cienkich rękawiczkach i mufkach dyndających na tasiemkach, którzy trudzili się niczym chłopcy, sprawił Aleksandrę w dobry humor, póki nie zobaczyła Rybinskiego. Wylosował na partnerkę Olgę (to też nie mógł być przypadek). Wspólnie budowali pomnik upamiętniający ich przyszłe zaręczyny. Aleksandra wstała ze swego miejsca.

- Dlaczego nie spotkał się pan ze mną wczoraj wieczorem? - spytała odwróconego do niej plecami Uljanowa.

Kłęczał na śniegu i dopasowywał cegłę do powstającej ściany. Zauważyła, że uszy poczerwieniały mu z zimna, bo nie miał nic na głowie. Jasne, wilgotne od potu włosy pokręcały się na końcach i zaczęły sztywnieć na mrozie. Wyglądał jak jeden z niegdyś pozłacanych aniołków, zdobiących sufit w jej pałacu, które pozbawiła dawnego splendoru.

- Dlaczego się z panią nie spotkałem? - Odwrócił się gwałtownie i podszedł do niej. - To pani się ze mną nie spotkała. Czekałem w tej bibliotece kilka godzin. - Stał tak blisko, że poczuła bijące od niego ciepło.

Jego nagły gniew przestraszył Aleksandrę, lecz w sposób, który uznała za ekscytujący, czego nie potrafiła zrozumieć.

- Tak - rzuciła lekkim tonem, chociaż zdawała sobie sprawę, że Uljanow jest od niej wyższy i silniejszy, i gdyby tylko chciał, mógłby bez trudu złamać jej rękę.

Na myśl o tym kolejny dreszcz wstrząsnął jej ciałem, ale nie dlatego, że pragnęła, by to zrobił. On jedynie mógł to zrobić, jednak się powstrzymał, bo była kobietą. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak rozkosznie kobieca jak w tej chwili.

- Tak, tak - powtórzyła bezmyślnie, oblewając się rumieńcem. - Ma pan rację. Nie było mnie tam.

- To dlaczego sugerowała pani, że to moja wina?

Pomyślała, że ma zdumiewająco błękitne oczy. Dotąd tego nie zauważyła. Błękitne jak oczy anioła, chociaż kapitanowi daleko było do anielskości. Nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytanie. Dlaczego to powiedziała? I dlaczego wyznaczyła mu spotkanie? Może chciała sobie z niego zażartować.

W tej chwili podeszła do nich owinięta w chustę służąca w miękkich filcowych butach, niosąc szklanki z gorącą herbatą. Aleksandra wzięła od niej jedną i przytknęła do chłodnego policzka, póki nie poczuła, że zaczyna ją parzyć. Setki takich służących krążyły wśród gości, roznosząc herbatę. Aleksandra zauważyła, że rozstawiono również stoły, przykryto je obrusami w typowo wiejskich kolorach i wzorach, jakby dla podkreślenia wiejskiej natury zadania, co było dla wszystkich czymś nowym. Na stołach dymiły samowary. Przybyły także złożone z pańszczyźnianych chłopów kapele, które zaczęły grać



rzewne ludowe melodie.

Uljanow znów stał się uprzejmy, a potem na jego twarzy pojawiła się niepewność. zaproponował Aleksandrze, że potrzyzyma jej szklankę z herbatą, kiedy jednak odmówiła, zamilkł i oblał się rumieńcem.

Aleksandra postawiła szklankę na śniegu i powróciła do robienia cegieł oraz ustawiania z nich ściany. Uljanow również odstawił szklankę na śnieg i dołączył do swej partnerki. Oboje, nie umawiając się, uznali, że najpierw zrobią cegły, a potem będą lepić z nich ścianę.

- No więc dlaczego? - spytał po dłuższej chwili milczenia.

- Co dlaczego?

- Dlaczego nie przyszła pani do biblioteki? Powiedziała pani, że chce ze mną porozmawiać. O czym chciała pani porozmawiać?

- Już zapomniałam.

- Nie, nie zapomniała pani, tylko nie chce powiedzieć. - Umilkł. - Dlaczego nie chce pani powiedzieć?

Oddychał urywanie i dziwnie na nią patrzył. Raczej domyśliła się tego, bo była zajęta pracą. Uniosła wzrok, żeby się o tym przekonać, i dostrzegła to dziwne spojrzenie, które już przedtem widziała. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz nie z radości, ale ze zdenerwowania.

- Proszę odejść - powiedziała nagle.

- Co takiego?

- Proszę odejść - powtórzyła.

- Dlaczego, Aleksandro? - spytał cichym, niskim głosem, który wabił ją, przyciągał i czarował.

- Nie lubię pana.

Nic na to nie powiedział. Spojrzała mu w oczy, by sprawdzić, jaki wywołała efekt. Wyglądał, jakby otrzymał policzek i za chwilę miał się rozplakać. Serce wyrywało się do niego, lecz powstrzymała je i nawet nie podniosła wzroku, gdy odszedł. Zaskrzypiał śnieg, najpierw głośno, potem coraz ciszej, aż w końcu niczego już nie słyszała.

## Rozdział 13

Zainteresowanie towarzystwa budową domu podkopał mróz i niecodzienny wysiłek. Pary zaczęły wracać do dworu w poszukiwaniu lżejszych rozrywek i obiadu. Wkrótce teren budowy - galimatias krzywych, do połowy wzniesionych ścian - opustoszał.

Kiedy goście flirtowali w najlepsze w pałacu lub sadowili się za stołami, lodowe ściany zaczęły się prostować i piąć w górę. Ze skutej lodem rzeki przyciągnięto na linach wielkie lodowe bloki. Powietrze wypełnił posepny, uroczysty śpiew pracujących chłopów. Goście, nieświadomi, że lodowy pałac podnosi się z fundamentów, sądzą, że ten chór tysięcy głosów wyczarował dla nich hojny z natury gospodarz, towarzyszący im przy obiedzie. Dziś królowały białe potrawy.

Na stołach rozstawiono miniaturowe drzewa ze srebra i brylantów, imitujące zimowy las, a pod obrusami rozłożono słomę, tak by wyobrażała śnieżne zasy. W kryształowych czarach podano białą zupę, a na kryształowych półmiskach białą rybę, białego kurczaka, białą wieprzowinę, białe szparagi i białe kartofle w białej śmietanie. Do kryształowych kieliszków nalewano białe wina o smaku chłodnego zimowego powietrza. Ato klasnął w dłonie i zimowe drzewka zniknęły, ustępując miejsca wiosnie. Wniesiono ułożone w koszykach krokusy i żonkile oraz doniczki z puszczejnymi pąki młodymi drzewkami. Spotkały się z powszechnym aplauzem. Kolejne klaśnięcie w dłonie i wiosna zmieniła się w lato. Drzewa pokryły się listowiem i owocami, a goście mogli kosztować krwistoczerwonych wiśni, różowych brzoskwiń i dojrzałych gruszek. Ato znów klasnął w dłonie i na stołach pojawiła się jesień z dorodnymi jabłkami wśród liści i dyniami, którym wydrążono pulchne brzuszki i napełniono gorącym kremem. Na obrusy spadały złote i szkarłatne liście, bo lokaje, stojąc za krzesłami gości, machali wielkimi wachlarzami, imitując październikowy wiatr. A potem znowu pojawiła się zima. Z sufitu na głowy i ramiona gości zaczęły lecieć białe płatki z cukru, gdy oni zatapiaли łyżeczki w białych jak śnieg lodach. Wszyscy uznali, że to nadzwyczajny efekt.

„Zjedliśmy stanowczo za dużo” - narzekali goście między sobą, lecz głośno by tego nie powiedzieli. Najedli się za cały rok i tak też się czuli. Nadszedł więc czas na sen i odpoczynek przed wieczornym balem.

Kiedy Aleksandra znalazła się w swoim pokoju, upadła twarzą na łóżko. Praskowia nie przysłała pomóc jej się rozebrać, a ona nie miała ochoty robić tego samodzielnie. Musiałaby męczyć się z rozpinaniem haftek sukni i rozwiązywaniem tasiemek gorsetu, opinającego ją tak mocno, że czasami mogła wyczuć wewnętrzne narządy. Pamiętając o Uljanowie, woląca pozostać ubrana. Ciasny gorset wydał jej się nagle dziwnie bezpieczny. Nie tylko trzymał ją w ryzach i zasadach moralnych, które pozwalały oprzeć się obezwładniającej sile głosu kapitana, ale bronił również dostępu do jej ciała niczym ochronny pancerz. Skrepowana gorsetem, przewróciła się na plecy, czując w sobie siłę i gotowość do działania.

Za kilka godzin ogłoszą zaręczyny Olgi z Rybinkim. Miała jeszcze czas, by opracować plan, dzięki któremu to ona stanie u boku Rybinkiego pod wzniesionymi koronami i będzie spoglądać na maluczkich z tronu wśród chmur.

Zmęczona pracą przy budowie pałacu, napięciem wywołanym tak nieoczekiwanie narzuconą jej obecnością Uljanowa i koniecznością ciągłego krycia się przed Kołyginem, a także faktem, że zbyt dużo zjadła i wypła, Aleksandra natychmiast usnęła.

Śniło jej się to, co wielu rosyjskim dziewczętom przed nią. W tym śnie jest noc i las, a ona bnie przez śnieżne zasy, uciekając przed niedźwiedziem. Gałęzie szarpiają rękawy jej sukni i zdierają kolczyki z uszu. Usiłuje biec, ale przeszkadza jej głęboki śnieg. Zupełnie jakby biegła przez wodę, która hamuje jej ruchy. Serce tłucze się w piersi ze strachu. Nagle upada, a śmierdzący olbrzym porywa ją i niesie. Dusi się w jego uścisku. Nagle potwór znika, a ona znajduje się w chacie. Z izby obok dochodzi śmiech, brzęk szkła, krzyki pijanych mężczyzn. Przez otwarte drzwi widzi siedzące przy stole poczwary, a u szczytu stołu ich pan. Odwracają głowy, widzą ją, krzyczą i zgrzytają zębami. „Ona jest moja!” - wołają, lecz ich pan łapie ją, a potwory znikają. Zostaje z nim sama, uwięziona w jego ramionach, a on wpatruje się w nią błękitnymi oczyma.

W tym momencie się obudziła i w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Pokój był ciemny, mały i obcy. Co to za miejsce? Ach tak, Pandemonium. Wieczorem czeka ją bal maskowy. Praskowia nadal się nie pojawiła, więc żeby uciec przed snem i ramionami Uljanowa, Aleksandra wstała z łóżka w pomiętej sukni, z odgniecionym policzkiem, potarganymi włosami i wyszła z pokoju z zamiarem odnalezienia Rybinkiego.

Dwór zdawał się pogrążony we śnie, nawet służba gdzieś zniknęła. Hrabianka ze-  
szła na dół, zaglądając do pustych pokoi. W panującej ciszy słyszała szelest sukni suną-  
cej po podłodze.

Przez uchylone drzwi dostrzegła pracującego przy biurku Rybńskiego. Pochylał  
się nad jakimiś papierami, zapewne dokumentami państwowymi. Były to dowody jego  
uczestnictwa w wielkim, wspanialszym świecie. Aleksandra miała wrażenie, że radca  
stanu jest teraz dalej od niej niż kiedykolwiek i nie ma do niego dostępu. Mogła wejść do  
pokoju czy choćby chrząknąć, lecz zaschło jej w gardle, a nogi odmówiły posłuszeństwa.  
Dlaczego ten człowiek miałby zwracać na nią uwagę? - pomyślała. Dlaczego miałoby mu  
na niej zależeć? Kim ona jest, by się z nim mierzyć? Bez majątku i bez urody. Cóż zna-  
czyła dla kogoś, komu nie wystarczało całe piękno świata?

Odwróciła się z zamiarem odejścia i natychmiast przyłgnęła do ściany, bo spo-  
strzegła idącego korytarzem Uljanowa. Patrzył w sufit z wyrazem zmęczenia na twarzy i  
zauważył Aleksandrę dopiero w ostatniej chwili.

Wypił zbyt dużo wódki w pokoju bilardowym, gdzie grano w karty, i chwiał się na  
nogach. Myślał właśnie o tym, jak czarująco wyglądała dziś hrabianka z mokrym nosem.  
Na jej widok zmrużył oczy, zastanawiając się, czy to naprawdę ona, czy wytwór odurzo-  
nej alkoholem wyobraźni. Uznał w końcu, że to jednak ona, i ruszył ku niej. Odsunęła się  
od niego z niesmakiem. Wyglądała niezwykle ponętnie w wymiętej sukni i z rozwi-  
chrzonymi od snu włosami. Zapragnął nagle bardziej je potargać. Przysunął się do Alek-  
sandry, jedną rękę oparł o ścianę tuż przy jej głowie, zanurzył twarz w jej włosach i  
wciągnął głęboko powietrze.

Aleksandra poczuła, że nie może się ruszyć i wcale nie chce. Uljanow mamrotał  
coś niewyraźnie, przesuwając ciepłymi, wilgotnymi wargami wzdłuż granicy włosów.  
Wszystkie myśli uleciały hrabiance z głowy, jakby mózg przestał pracować. Niezdolna  
do zrobienia kroku, z pustką w głowie i dziwnymi doznaniem w miejscach, o których  
nie chciała nawet myśleć (zresztą i tak nie mogła), poczuła, że powieki jej opadają, a ona  
wraca do tamtego snu, w którym on trzymał ją w ramionach i przywierał do niej całym  
ciałem.

Nagle Uljanow czknął. Aleksandra otworzyła oczy, umysł znów zaczął pracować, i

wyrwała się z ramion mężczyzny. On zaś oparł się o ścianę i patrzył, jak hrabianka biegnie do schodów.

O Boże! Osunął się na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Co on narobił? Wszelkie nadzieje na przekonanie Aleksandry, że jest odpowiednim kandydatem na męża, bezpowrotnie przepadły. Wyszedł przed nią na pijaka, obłapiał ją jak zwierz i udowodnił, że zła opinia krążąca o nim w towarzystwie jest uzasadniona. Jak on mógł czknać? A tak bardzo starał się być dobry. Od miesiąca nie pił, nie odwiedzał dziewcząt madame Fru-Fru, nie tknął Łukaszki, Pelagii, Aksinii i żadnej innej. A teraz wszystko zniszczył. Ale to była wina Aleksandry, bo jej okrucieństwo przywiodło go do picia. Mimo wszystko nie chciał, by zobaczyła go w takim stanie.

Wstał z podłogi i powłókł się do sali bilardowej. Wszystko legło w gruzach, więc cóż szkodzi jeszcze raz się napić?

Aleksandra dotarła do pokoju, drżąc na całym ciele. Praskowia, która już na nią czekała, chodząc i mrużąc do siebie, nie zauważyła tego. Złapała roztrzęsioną hrabiankę i ściągnąwszy z niej suknię, wepchnęła do przygotowanej już wanny, przenośnej stalowej potworności na kółkach. Osiem minut później, co służąca sprawdziła na zegarku przy-mocowanym do paska, Aleksandra siedziała na łóżku owinięta ręcznikiem.

- Rekord, panienko - stwierdziła Praskowia, wycierając wilgotny zegarek o spódnice, potem biorąc drugi ręcznik, by wytrzeć mokre włosy swojej pani.

Służąca energicznie wycierała jej głowę, tymczasem Aleksandra przyglądała się leżącemu na krześle strojowi. Kiedy się dowiedziała, że u księcia będzie bal kostiumowy, długo zastanawiała się, czy warto przeznaczyć jeden z cennych brylantów na strój, który włoży tylko raz. Wahala się, czy przebrać się za walkirię, mleczarkę, biblijną wojowniczkę czy grecką boginkę. Właśnie biblijna wojowniczką podsunęła jej myśl o starym kostiumie ojca. Wzięła klucz od Praskowii i poszła do jego pokoju. Kostium leżał na dnie szafy razem ze zjedzonymi przez mole skrzydłami anielskimi.

Na jedno z przyjęć, organizowanych dla Aleksandry w dzieciństwie, ojciec kazał zrekonstruować na podstawie obrazu Bartolomé Bermejò, przedstawiającego świętego Michała, wspaniałą piętnastowieczną zbroję, skrzydła i szkarłatną pelerynę. Kopia obrazu wisiała w sypialni hrabiego, a po jego śmierci została sprzedana. Pod zakurzoną zbro-

ją leżała wspaniała, podszyta szkarłatem peleryna (dziur wyjedzonych przez mole nie było widać w brokatowym wzorze), miecz i diadem na szczęście zachowały się w dobrym stanie. Dzięki nim Aleksandra będzie się mogła przebrać za Joannę d'Arc, jeżeli tylko wejdzie w zbroję, która, o dziwo, pasowała. Tylko skrzydła z piór okazały się zbyt zniszczone. Zresztą tańczenie w nich walca wymagałoby wyjątkowej zręczności. Należało jeszcze uszyć francuski sztandar - białe lilie na niebieskim tle - lecz to nie wymagało wysokich nakładów pieniężnych.

Wkładając teraz błyszczącą zbroję, hrabianka miała wrażenie, że przygotowuje się do bitwy. Patrzyła z zadowoleniem, jak nogi przykrywa pięknie zdobiona stal, która ochroni ją przed łagodnością, słabością i strachem. Ten pancerz zmienił ją w jednej chwili w mężczyznę i uzbroił w męską siłę. Była gotowa do boju, lecz jaki przyświecał jej cel? Z pewnością nie stworzenie narodu. Musiała jedynie zdobyć męża. Nic nudniejszego. Kobiece pole walki było małe i ograniczone. Cóż po męskiej sile, skoro mogła ją wykorzystać jedynie w sypialni i w sali balowej? Ostatni raz zerknęła w lustro, odwróciła się na pięcie i wyszła, pobrzękując zbroją. Z tyłu powiewał francuski sztandar.



## Rozdział 14

Tylko gdzie odbywał się ten bal? Goście, wystrojeni w pióropusze, pudrowane peruki i wieńce laurowe, rzymskie togi, satynowe spodnie do kolan i zdobione szlachetnymi kamieniami kaftany, wędrowali od sali do sali, ale wszystkie okazały się puste. Nie było orkiestry, palm w donicach, stołów ze srebrnymi samowarami i kryształowymi kieliszkami z szampanem.

Lokaje wskazali na otwarte drzwi od frontu budynku, za którymi panowała ciemność. Tam miał być bal, na śniegu.

Tańce na śniegu? Czemu nie? Czy jednak nie będzie nam zimno?

„Nie będzie” - zapewniali służący. „Proszę pójść i sprawdzić” - dodawali z uśmiechem.

Niebo się otworzyło, huk wstrząsnął powietrzem i na ziemię spadł migotliwy deszcz fajerwerków. Goście zaczęli krzyczeć z uciechy i tłoczyć się w drzwiach. Rozmawiając i śmiejąc się, wskazywali na pałac z lodu, wielki niczym katedra, który błyszczał i mienił się w ciemnościach. Po wewnętrznych ścianach spływała woda od palących się świec. Pod wpływem ciepła ściany topniały, robiły się cieńsze i bardziej przezroczyste. Widać było przez nie ciemny las z czapami śniegu, srebrzącą się rzekę i przycupnięte na drugim brzegu chaty wieśniaków.

„Prędzej - szeptali chłopci - tańczcie, zanim pałac się stopi i zawali. Zostało niewiele czasu. Bawcie się, póki możecie”.

Orkiestra zaczęła grać. Goście, śmiejąc się, biegli po śniegu na spotkanie muzyki, nie chcąc uronić ani jednego dźwięku. Aleksandra weszła za innymi do lodowego pałacu. Było tu wszystko - orkiestra, palmy, stoły z samowarami i kryształowymi kieliszkami - całe wnętrze mieniło się w świetle pochodni i koksowników. Podłogę ułożono z lodu. Przez przezroczyste ściany zaglądała zimowa noc, a gdy spojrzano się w górę, nad kryształowym żyrandolem można było zobaczyć gwiazdy i księżyc.

Aleksandra szybko się przekonała, że jej kostium jest pomyłką lub też okazał się zbyt dobry. W ogóle nie czuła się w nim silna. Nie dość, że nie zapewnił jej męskiej siły, to jeszcze pozbawił kobiecej, bo chociaż rozpuszczone włosy spływały jej na plecy, nikt

nie brał jej za kobietę i nie prosił do tańca. Wycofała się, patrząc, jak mijają ją w tańcu królowe z różnych krajów i stuleci, jak drezdeńska pastereczka i germańska bogini wirują na tanecznym kręgu. Była wyższa od innych kobiet, a na dodatek wszystkie kobiece wypukłości ukryła pod zbroją, mogła więc uchodzić za nieśmiałego młodzieńca, udającego obojętność wobec kobiecych wdzięków. Gdyby ścisnęła się gorsetem, wyeksponowała drobne piersi i podkreśliła obcisłą suknią biodra, mogłaby zostać boginią, na przykład Afrodytą. Wielu panów ją komplementowało i okazywało swój podziw, choćby dziś po południu ten wstrętny Uljanow.

Teraz zdawał się jej nie dostrzegać. Sądziła, że będzie musiała przed nim uciekać, tymczasem on tańczył uparcie z tą obcą księżniczką, w dodatku trzymając ją zbyt blisko siebie. Nachylał się ku niej, szeptał coś do ucha i śmiał się z opowiadanych przez nią dowcipów. Ona nie popełniła błędu i nie wybrała nieefektownego kostiumu. Przebrała się za azjatycką uwodzicielkę. Nagie ramiona przyozdobiła skreconymi jak węże bransoletami, a włosy sznurami pereł. Na czole, niczym kropla potu, tkwił brylant, lecz nie rozpływał się i nie znikał tak jak ona. Uljanow, w historycznym kostiumie polskiego husarza (jego pułk wystawił Polak, Zamoyski), prowadził ją zręcznie w tańcu, ani razu nie trącając skrzydłami innych tancerzy podczas skocznego mazurka.

Bardzo dobrze - pomyślała - nareszcie się go pozbyłam. Poszukała wzrokiem Rybinskiego. Trudno go było wypatrzeć wśród tłumu gości. Stał w drugim końcu sali, zajęty rozmową z księciem Andriejewem. To pojawiał się w przerwie między jedną tańczącą parą a drugą, to znów znikał. Głupi kostium nie licował z dostojeństwem, włożył więc tradycyjny wieczorowy ubiór w kolorach czerni i bieli, w którym sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niedostępnego, co tylko dodawało mu uroku.

Aleksandra z nagłym skurczem żołądka uświadomiła sobie, że taki już pozostanie. Wkrótce ogłoszą jego zaręczyny z księżniczką. Jak mogła wierzyć, że zdoła je powstrzymać? Naiwnie sądziła, że jej marzenie się spełni. Te dziwne spojrzenia Rybinskiego nic nie znaczyły. Na jej awanse odpowiadał rezerwą. Uganiając się za nim, mogła stracić hrabiego Kołygina, przed czym przestrzegała ją madame Lavorine. Uciekając przed Kołyginem wczoraj wieczorem, jak również dziś rano przy śniadaniu, zignorowała gorące spojrzenia, jakie jej rzucał, gdy lepiała cegły ze śniegu z Uljanowem, a potem zu-

pełnie straciła go z oczu. Gdzie był teraz? Rozejrzała się po sali. Stał obok Rybńskiego i księcia. Dziwne, że właśnie tam. Czy on też chciał coś ogłosić?

Orkiestra skończyła grać walca. Tancerze się rozstąpili, dysząc z wysiłku. Zabrzmiały werble. Książę Andriejew postąpił krok do przodu i uniósł dłoń.

- Przyjaciele! - zawołał. - Kiedy dziś rano powiedziałem wam, że będziemy budować, nie kłamałem. Spójrzcie, jaki wspaniały pałac stworzyliśmy!

Goście nagrodzili brawami dzieło, którego nie byli budowniczymi.

- Powiedziałem też, że zbudujemy pałac ku czci naszej starej cesarzowej, która kazała zbudować taki pałac z okazji swojego ślubu.

Rozległy się brawa i szepty: „Boże, chroń cesarzową Annę”.

- Ale nie powiedziałem wam, bo to miała być niespodzianka, że zbudujemy ten pałac z okazji innego ślubu, który już wkrótce się odbędzie.

Goście gwałtownie wciągnęli powietrze w płuca.

- Nasza ukochana córka Olga zgodziła się zostać żoną naszego znakomitego i najmłodszego radcy stanu, zacnego Grigorija Grigorjewicza Rybńskiego.

Tłum rzucił się z gratulacjami i uściskami do spłonionej Olgi, przebranej w strój westalki, całej na białło, jakby już była panną młodą, i do dostojnego Rybńskiego, który trzymał ją za rękę.

A więc stało się. Aleksandra od początku o tym wiedziała. Cóż, pozostawał jeszcze hrabia Kołygin. Czemu nadal tkwił przy świeżo zaręczonej parze? Skąd się wzięła obok niego madame Lavorine? I dlaczego książę Andriejew położył dłoń na ramieniu hrabiego i uniósł drugą?

- Przyjaciele, drodzy przyjaciele! - zawołał. - Jest jeszcze jedna para, której zaręczyny potęgują naszą radość. Mamy dziś nie jedną, lecz dwie narzeczone. Jedną jest moja córka Olga, drugą zaś nasza droga i zacna madame Olimpia Lavorine, która zgodziła się oddać rękę naszemu przyjacielowi, hrabiemu Arkadijowi Kołyginowi.

Aleksandra odwróciła się. Jak to się stało i kiedy? Więc głupia madame Lavorine wcale nie była taka głupia. Po prostu zajęła się samotnym mężczyzną, zatroszczyła się o niego, okazała zainteresowanie. Podziwiała, zamiast domagać się podziwu. Nawet jeżeli ona, Aleksandra, była boginią Afrodytą, to co on miał z tego? Była jak zimny, milczący

posąg w świątyni. Kto więc okazał się głupi?

Hrabianka cicho i niepostrzeżenie wymknęła się z sali. Znalazł się jednak ktoś, kto to dostrzegł i wyszedł za nią.

Uljanow wystarczająco uważnie obserwował hrabiankę przez te kilka tygodni, by zdawać sobie sprawę z jej uczuć do Rybńskiego. Wiedział też, jakim rozczarowaniem musiały być dla niej zaręczyny. Tyle razy łamała mu serce, że zdążył się z tym uczuciem oswoić, ale nie chciał, by ona je poznała.

Po przeszukaniu wielu pustych pokoi znalazł Aleksandrę w salonie. Siedziała w pozycji pasującej raczej mężczyźnie, zapewne ze względu na sztywną zbroję. Przypominała młodego rekruta, który przegrał właśnie sporą sumę pieniędzy w karty albo został odrzucony przez aktorkę, która wolała kogoś bogatszego. Jego obawa o nią natychmiast się ulotniła.

Aleksandra nie podniosła wzroku, kiedy wszedł do pokoju. Wpatrywała się ponuro w ścianę, jakby jego obecność nie była dla niej zaskoczeniem. Obrócił krzesło i usiadł na nim tak jak ona - okrakiem, z brodą podpartą na rękach. Miał nadzieję, że w ten sposób ją rozbawi, lecz nie zwróciła na niego uwagi.

- Wiem, że jest pani wzburzona - odezwał się, również wbijając wzrok w pustą ścianę. - Ale zupełnie niepotrzebnie. On nie jest tego wart. Właściwie to straszny z niego nudziarz - ośmielił się dodać, dziwiąc się bezpośredniości własnych słów, którą zapewne wywołał ten jej męski strój. Gdyby była ubrana jak kobieta, nigdy by się na to nie odważył.

Aleksandra mruknęła coś niewyraźnie, uznając zapewne okazywanie emocji za niewłaściwe i trwając w pełnym dumy milczeniu. Nie było to dla niego czymś nowym.

- Proszę ze mną porozmawiać. Chcę pani pomóc.

- Nie może pan - odparła z goryczą w głosie.

- Skąd pani wie, że nie mogę?

- Bo pan nie może.

- Wiem, że kochała pani Rybńskiego - powiedział. - I wiem, jak to boli. Może jak pani ze mną porozmawia, będzie mniej bolało.

- Nie chodzi o Rybinskiego - odparła zdecydowanie.

Mam szansę - pomyślał.

- A więc o co? - spytał.

- Nie mogę panu powiedzieć.

- Rozumiem. - Odetchnął z ulgą. - Nie mogę pani pomóc i nie może mi pani powiedzieć, dlaczego nie mogę pani pomóc.

- Właśnie.

Chcąc się dowiedzieć, jaki problem gnębi któregoś z jego młodszych oficerów, zazwyczaj wysuwał różne możliwości i obserwował ich reakcję. Na przykład: pieniądze, kobieta, zniesławienie, eskapada zagrażająca karierze.

- Musi o coś chodzić - rzekł. - Ale co to może być?

Przede wszystkim powinien wziąć pod uwagę, że ona jest kobietą. Spróbował postawić się na jej miejscu i myśleć tak jak ona. Co kobiety cenią? Nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Gdyby wiedział, zapewne odnosiłby większe sukcesy z kobietami niż dotychczas. Uważał jednak, że te, które odnosił, mu wystarczają, więc nie zwracał sobie tym problemem głowy. Wykorzystywał zawsze to, co najlepiej skutkowało - odwoływał się do kobiecej próżności. Wiedział, że kochają piękno, lecz co jeszcze? Nagle zaświtała mu pewna myśl. A może cenią sobie te same rzeczy co mężczyźni. Czemu tego nie sprawdzić?

- Za dużo pani wypila. Przegrała pani w karty i ojciec będzie się gniewał - powiedział żartobliwym tonem.

Aleksandra rzuciła mu tak miażdżące spojrzenie, że poczuł się jak śmieć.

- Niech pan nie mówi głupstw - odparła. - Jak można być takim głupim? Poza tym mój ojciec nie żyje.

- No to może brakuje go pani - stwierdził z nadzieją w głosie Uljanow, próbując innej możliwości.

Wyglądało na to, że trafił, bo Aleksandra się rozplakała, ale był to pozorny sukces. Usta zaczęły jej drżeć i zanim zdążyła ukryć twarz, w oczach pojawiły się łzy. Uljanow wpadł w panikę. Zerwał się z krzesła, pochylił nad nią, obszedł kilka razy, potem znowu się pochylił, lecz nie miał odwagi jej dotknąć. Ramiona jej drżały i spod opadających na

twarz włosów dochodziło stłumione łkanie. Uljanow poczuł się okropnie. Wiele razy doprowadzał kobiety do płaczu, ale robił to rozmyślnie, próbując na nich swoich sił, i mógł też powstrzymać te łkania i osuszyć łzy. Jednak łzy Aleksandry były poza jego sferą wpływów. Zaczął ją gorączkowo przeproszać za swoje słowa i pytać, co mógłby zrobić, by uśmierzyć jej ból.

- Proszę przestać. Nie płacz, moja droga - powiedział.

Słowa „moja droga”, które wymówił z pewnym wahaniem i tak cicho, by tego nie usłyszała, sprawiły, że coś w niej pękło. Rozszłochała się na dobre, wyrzucając z siebie niewyraźne zdania. Wydało mu się, że usłyszał „sama”, „boi się” i że nie ma pieniędzy. To go zaskoczyło, bo Korwinowie uchodzili za najbogatszych w Petersburgu, ich nazwisko było od dawna znane, a pozycja pewna. W przeciwieństwie do nazwiska Uljanowa.

- Brakuje mi go - potwierdziła już wyraźnie Aleksandra.

Spróbował zebrać te wszystkie słowa i znaleźć w nich sens.

Hrabianka czuła się samotna, bała się, tęskniła za ojcem i nie miała pieniędzy. Nagle zrozumiał, że ojciec nic jej nie zostawił. A więc jest biedna. Zobaczył w tym swoją szansę.

- Aleksandro - rzekł podekscytowanym głosem, patrząc na jej spuszczoną głowę, wdzięczny za to, że nie widzi jej twarzy, w przeciwnym bowiem razie mógłby stracić panowanie nad sobą. - W tej sytuacji musisz wyjść za mnie. Zaopiekuję się tobą. Nie jestem bogaty, ale też nie biedny. Mam pięć tysięcy dusz. Może to dla ciebie niezbyt wiele, lecz obiecuję, że będę dobrym mężem.

Uniosła ku niemu opuchniętą i czerwoną twarz.

- Mam wyjść za pana? - prychnęła. - Nie mogę pana poślubić.

- Dlaczego?

Wydęła wargi i popatrzyła na niego jak na robaka, jak na coś odrażającego.

Niedobrze - pomyślał Uljanow. - Zmień taktykę, stosuj znane ci metody.

- Kocham panią. Jest pani taka piękna - powiedział z nadzieją w głosie, patrząc w jej zaczerwienione oczy w sposób, jaki zawsze skutkowało, a teraz powinien tym bardziej przynieść powodzenie, bo to, co wyznał, było prawdą. Niestety, nie poskutkowało. Gdyby miał czas na zastanowienie, toby go zaintrygowało, a tak doznał szoku.



- Doprawdy? - zdziwiła się Aleksandra. - Pewnie kocha mnie pan tak jak inne kobiety z pańskiego haremu. Choćby tę kobietę, którą pan ze sobą przywiózł, tę księżniczkę. Ją też pewnie pan kocha. W każdym razie tak pan się zachowywał. Jak pan śmie składać mi takie deklaracje? Która szanowana kobieta by pana zechciała? Jaka kobieta potraktowałaby pana poważnie? Z pańską reputacją?

O czym ona mówi? Jaka kobieta? Jaka księżniczka? Łukaszka!

- Ach, o nią pani chodzi! - zawołał z ulgą. - Ona nie jest kobietą. To jedna z moich służących.

Znowu źle - pomyślał. Tylko pogorszył sprawę.

- Powinnam się domyślić, że człowiek z pańską moralnością wykorzysta służącą.

- Myli się pani, ona mnie kocha - odparł, jeszcze bardziej się pograżając.

- A więc jest pańską kochanką - rzuciła drwiącym tonem, lecz Uljanow natychmiast wyczuł w nim odcień zazdrości.

Nareszcie trafił na pewniejszy grunt. Przywiózł ze sobą Łukaszkę, by wzbudzić w hrabiance zazdrość, i najwyraźniej mu się udało. Miał ochotę śmiać się z radości. Udało się! Udało!

Może jednak jego radość była przedwczesna.

- Posłuchaj, kochanie - powiedział niecierpliwie. - Jeżeli z tego powodu mi odmówiłaś, to się mylisz. Ona jest nikim. Nie jest moją kochanką, jest nikim. To tylko służąca, która pracuje w moim domu.

- To dlaczego jest tutaj? I dlaczego nazywa ją pan księżniczką? Czy właśnie tym jest dla pana?

Zawahał się, czy powiedzieć prawdę. Znalazł się tak blisko celu. Mógłby machnąć ręką na to, że Łukaszka była jego kochanką - właściwie to jedną z wielu - i hrabianka nigdy by się o tym nie dowiedziała. Odesłałby Łukaszkę do jednego z majątków. Prawdę powiedziawszy, i tak by to zrobił. Zaczynała działać mu na nerwy, bez przerwy gapiła się na niego, chodziła za nim, czegoś oczekiwała, czegoś chciała. Znając jej upór i to, że zawsze wygrywała w ich cichej wojnie nerwów, wiedział, że tak jak woda drażni skałę, tak i ona zdobędzie to, czego chce. Czy jednak powinien wyjawić prawdziwy powód jej obecności? Uznał, że nie.

- To był żart. Chciałem sprawdzić, czy zdołam ją tu przemycić.

Aleksandra natarła na niego, rzucając gromy z pozycji obrończyni zasad moralnych, w czym czuła się pewnie.

- Ach, rozumiem. Ubrał ją pan jak lalkę i bawił się nią, nie myśląc o tym, co ona czuje. Wykorzystał ją pan dla zabawy i na wiele innych sposobów, o których nie chcę nawet myśleć, ale ona jest człowiekiem, stworzeniem bożym.

- Więc znów zrobiłem źle, tak? - odparł Uljanow. - A pani jest taka szlachetna i wielka. Tylko jakoś nie zauważyłem, by się pani z nią zaprzyjaźniła, moja ty pompatyczna panno, lub wyciągnęła do niej przyjazną dłoń. A może to zazdrość przez panią przemawia. Proszę przyznać, że jest pani zazdrosna, droga hrabianko.

- Zazdrosna o służącą?! - zawołała.

- Oczywiście. Nisko pani upadła, nieprawdaż?

Natychmiast pożałował tych słów. Na jej twarzy pojawił się wyraz oburzenia. Jego uwaga - jak najbardziej trafna w świetle tego, co mu w zaufaniu i ze łzami w oczach wyznała - była okrutna. Ogarnął go wstyd. Nie odważył się spojrzeć na hrabiankę. Miał ochotę się rozplakać. Aleksandra też chciała się rozplakać, ale nie mogła tego zrobić. On nie powinien zobaczyć, że ją zranił.

- Rzeczywiście - odparła po chwili z beznamiętną twarzą. - Gdybym przyjęła propozycję od kogoś takiego jak pan. Gdyby ktoś pańskiego pokroju się ośmielił.

Zdażyła już wcześniej wstać ze swego miejsca, a teraz odwróciła się i wyszła sztywno wyprostowana. Wyglądała dziwacznie w zbroi, a mimo to zasługiwała na szacunek. Uljanow chciał coś powiedzieć, lecz usta odmówiły mu posłuszeństwa, a dłonie zwisły niezdarnie po bokach.

Chwilę później usłyszał szelest i zobaczył stojącą przy drzwiach Łukaszkę. Patrzyła na niego znad szklanego „brylantu”, który kupił, by ozdobić jej czoło, a który w swej wulgarności i sztuczności symbolizował wszystkie złe cechy jego charakteru.

- Odejdź, Łukaszka - rzekł, odprawiając ją niecierpliwym ruchem ręki, i odwrócił się do okna. - Idź spać czy gdziekolwiek, tylko mnie zostaw. - Usłyszał tupot stóp, gdy podbiegła do niego na zbyt wysokich dla niej obcasach.

Oczywiście wszystko, co Aleksandra powiedziała na jej temat, było prawdą. Wy-

korzystał tę bezbronną istotę, potraktował jak przedmiot. A przecież powinien się nią opiekować. Co z niego za człowiek?

Łukaszka uklękła przed nim i objęła go za nogi.

- Łukaszka, przestań. Nie zasłużyłem na to.

Spróbował wyswobodzić się z jej objęć, ale ona poszła za nim na kolanach. Miał ochotę ją kopnąć. Boże, znowu to samo, czy już nigdy nie wyzwoli się ze złych nawyków? Odwrócił się twarzą do niej, pochylił, rozplótł jej ręce i podniósł dziewczynę z kłęczek.

- Nie rób tego więcej. Już nigdy nie będziesz musiała tego robić wobec nikogo, a zwłaszcza wobec mnie. Jesteś wolna . Wolna - powtórzył.

Spojrzała na niego zaskoczona i pokręciła przecząco głową. Chwyliła jego dłoń i przywarła do niej wargami. Wyrwał rękę.

- Słyszysz, co powiedziałem? Jesteś wolna. Nie musisz już tego robić. Nie musisz nic dla mnie robić. Jesteś wolna.

- Łukaszka nie jest wolna - odpowiedziała, przytulając policzek do jego dłoni.

- Nie jestem wolna! - krzyknął. - Nie możesz się nauczyć mówić w pierwszej osobie? Powiedz: „Ja”. Nie „Łukaszka”, ale „ja”. Powtórz: „Ja”.

- Ja - powtórzyła bezmyślnie.

- Powiedz: „Jestem wolna”.

- Łukaszka nie jest wolna.

- Posłuchaj. - Chwylił ją za ramiona i przysunął twarz do jej twarzy. - Już nie należysz do mnie. Już nie będę cię źle traktował. Możesz robić, co chcesz. Jutro dam ci pieniądze. Wrócisz do Petersburga. Nie zabraknie ci pieniędzy, obiecuję. I będziesz wolna.

- Ja nie jestem wolna - odparła, wpatrując się w niego.

- Więcej mnie nie zobaczysz, rozumiesz? Źle cię potraktowałem, w każdym razie tak mi powiedziano - prychnął. - Wreszcie się ode mnie uwolnisz. Nie jestem dobrym człowiekiem. - Urwał i spuścił wzrok. Dotknął jej twarzy i westchnął. - A więc jesteś wolna.

Łukaszka skinęła głową. Patrzyła na niego oczyma pełnymi łez.

- Powiedz: „Rozumiem”.

- Rozumiem - powtórzyła.

- To dobrze - odrzekł i poklepał ją po ramieniu. - A teraz idź spać. Jutro dam ci pieniądze i wrócisz do Petersburga. Zacznesz nowe życie. Więcej mnie nie zobaczysz.

Rozmowa z Łukaszka go wyczerpała. Odwrócił się i wyszedł z salonu. Zrobił to, co nakazywało mu sumienie, a właściwie to, co nakazała Aleksandra, ale co to za różnica? Teraz postanowił się upić. A właściwie schlać.

Bal nie trwał długo. Lodowy pałac zaczął się kurczyć jeszcze przed północą i Ato dał znak księciu, że już czas. Jego praca nie skończyła się z wyjściem ostatniego gościa, który chwiał się na nogach, gdy wprowadzano go do ciepłego pałacu. Właśnie wtedy się zaczęła. Należało przenieść donice z palmami, zdjąć ze stołów mokre obrusy, wynieść stoły, porcelanę, szkło, srebrną zastawę, niedopite kieliszki szampana, brudne talerzyki, pozbierać noże i widelce leżące na podłodze lub pozostawione w dziwnych miejscach. Do wyniesienia pozostawały obite jedwabiem krzesła, samowary, wypalone świece i pochodnie - a wszystko to wymagało pośpiechu, bo topniejący sufit w każdej chwili mógł się zawalić. Jeden ze służących stał na drabinie i zdejmował ciężki kryształowy żyrandol, przyniesiony tu z pokoju muzycznego. Ato wiedział, że czeka go jeszcze przygotowanie stołów do kolacji o północy, nadzorowanie dań, a potem dopilnowanie, by posprzątano po posiłku i odprowadzono pijanych gości do ich pokoi. Świtało, gdy rozpoczął ostatni obchód, zaglądając do wszystkich pomieszczeń w poszukiwaniu pozostawionych tam kieliszków, filiżanek i tłących się cygar. Gasił też lampy gazowe, żyrandole i żarzące się ogarki niegdyś długich i eleganckich woskowych stożków. W olbrzymich oknach zaczęło już szarzeć. Ato otworzył kolejne drzwi.

Coś wisiało w oknie małego salonu - jakiś duży przedmiot, którego nie powinno tu być. Obracał się powoli. Ato podszedł bliżej i uniósł świecę, by lepiej widzieć. Było to ciało kobiety w orientalnym stroju. Miała czarną twarz i wysunięty język. Murzyn cofnął się, nie spuszczając z niej oka. Bogowie nie ułatwili jej zadania - pomyślał, dostrzegając na wykrzywionej twarzy ślady walki z ich mocą, która zwała się życiem. Zażarcie z nią walczyli, ale w końcu zwyciężyła, pokazując im język. Potężna siła zerwała krępujące ją okowy i kobieta uciekła do szczęśliwszego królestwa.

Ato przysunął sobie krzesło, zastanawiając się, czy to ono posłużyło samobójczyni,

by wspiąć się na szczyt świata i skoczyć w pustkę. Z szacunkiem stanął na tym samym miejscu, na którym ona stała, wyjął nóż z kieszeni i przeciął sznur ciągle jeszcze łączący ją z tym światem. Osunęła się w jego ramiona. Trzymał ją chwilę, a potem położył na podłodze. Ukląkł i w języku, którego od lat nie używał, wypowiedział słowa, które zapamiętał z dzieciństwa, jakby zostały wyryte w jego głowie.

Wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Przede wszystkim będzie musiał zawiadomić księcia, sprowadzić popa, by odmówił modlitwę za spokój jej duszy, i z szacunkiem zająć się doczesnymi szczątkami. Minie jeszcze wiele godzin, zanim się położy.

RS

## Rozdział 15

Aleksandra wróciła do Petersburga tego samego popołudnia. Śmierć młodej towarzyski kapitana Mecklenburga-Uljanowa przerwała pobyt w Pandemonium. Goście nie przejęli się zbytnio tą ponurą tragedią, bo ekscytowała ich bardziej niż śnieżna burza, lecz książe ogłosił, że uroczystości zaręczynowe dobiegły końca, i odesłał wszystkich do domów. Aleksandra osunęła się na siedzenie w powozie, zbyt zmęczona, by śledzić przesuwający się za oknem zimowy krajobraz.

Późnym wieczorem troskliwy Istvan pomógł jej wysiąść z sań, którymi przywiózł ją z pałacu Andriejewów po otrzymaniu wiadomości, że panienka wraca kilka dni wcześniej, niż to uprzednio zaplanowała. W drzwiach powitała ją uśmiechnięta Matriona. Odbierając zmęczoną panią z pomocnych rąk stangreta, wprowadziła hrabiankę do ciemnego pałacu. Obie służące weszły z Aleksandrą po niekończących się schodach do jej pokoju, gdzie pospiesznie zdjęły z niej ubranie, przebrały w żółtą bawełnianą koszulę nocną i położyły do łóżka, owijając grubym kocem. Usnęła prawie natychmiast i przespała noc bez sennych majaków.

Rano obudziła się spragniona i zatęskniła za szklanką gorącej herbaty. Miała nadzieję, że Matriona i Istvan nie zużyli cennego zapasu, który powinna uzupełnić przed wyjazdem, ale zapomniała. Zawołała Praskowię. Służąca pewnie jeszcze spała na sienniku pod drzwiami pokoju swej pani, bo Aleksandra nie doczekała się odpowiedzi. Zawołała Matrionę. Również nie było żadnej reakcji. Mamrocząc pod nosem i klnąc leniwą służącą, hrabianka spuściła nogi na podłogę w poszukiwaniu rannych pantofli. Pod palcami wyczuła jedynie zimne, twarde drewno. Pewnie Matriona znów sobie zażartowała. Aleksandra powoli zaczynała mieć dość jej złośliwości. Zauważyła z zadowoleniem, że jej ubrania zostały zebrane z podłogi i odwieszzone na miejsce. Przynajmniej tego dopilnowała leniwa pokojówka, choć równie dobrze mogła to zrobić Praskowia. Trzęsąc się z zimna, hrabianka przeszła bosą przez pokój i otworzyła drzwi.

Praskowia leżała na swoim zwykłym miejscu, pochrapując rytmicznie przez nos. Aleksandra nie chciała jej budzić, ale musiała napić się herbaty. Poza tym Praskowia była ciepłej ubrana, miała na nogach buty, spódnicę i bluzę. Mogła bezpiecznie zejść do



kuchni po lodowatym marmurze. Hrabianka trąciła stopą śpiące ciało.

- Obudź się - powiedziała. - Chcę szklanek herbaty.

Praskowia mruknęła coś niewyraźnie i dalej spała.

- Obudź się - powtórzyła Aleksandra i mocniej ją szturchnęła.

Praskowia otworzyła oczy i spojrzała na tego kogoś, kto ośmielił się przerwać największą życiową przyjemność. Po chwili jednak wstała, przetarła oczy, zebrała spódnice i zeszła niepewnym krokiem po schodach, zbyt jeszcze śpiąca, by zauważyć, że idzie w samych pończochach. Aleksandra usłyszała trzaśnięcie drzwiami, a potem zapadła cisza. Po chwili rozległo się kolejne trzaśnięcie i Praskowia pojawiła się u stóp schodów.

- Nie ma herbaty, panienko! - zawołała. - Ani nic.

- Schodzę na dół! - odkrzyknęła Aleksandra.

Wróciła do pokoju z zamiarem wzięcia palta, które miała na sobie wczoraj wieczorem - jedyne, jakie jej zostało. Z powodzeniem mogło zastąpić szlafrok. Otworzyła szafę, wypełnioną niegdyś ponad setką sukienek, i zobaczyła, że jest pusta. Dziwne - pomyślała. - A gdzie suknia podróżna, toczek i buty? Gdzie sobolowa mufka? I co się stało z innymi ubraniami, nie nowymi (te leżały na dole w kufrach), lecz zeszłorocznymi, których nie mogła nosić bez uprzedniego przerobienia?

Przełknęła z trudem ślinę, czując nagłą suchość w gardle. W głowie zrodziło się podejrzenie, a serce zaczęło bić ze strachu. Unosząc koszulę, zbiegła po schodach, minęła Praskowię i przemknęła przez rząd pustych pokoi, pozostawiając za sobą echo tupotu bosych stóp po podłodze. Salon, jadalnia, bawialnia, biblioteka, sala balowa, pokój recepcyjny i wreszcie hol. Gdzie się podziały kufry, które Istvan powinien przynieść z sań? Oczywiście mogła tylko przypuszczać, że je wniósł, ponieważ była zbyt zmęczona, by go przypilnować. Najwyraźniej nie spełnił swoich obowiązków, leniwa kreatura, i pozostawił kufry w saniach.

- Matko Boska! - jęknęła i pobiegła na tyły pałacu, mijając po drodze kolejne puste pokoje i kuchnię. Wypadła na zasypane śniegiem podwórze. Poślizgnęła się, upadła, wstała ostrożnie i już spokojniej poszła do powozowni, która okazała się pusta, podobnie jak stajnia, w której brakowało dwóch koni.

- Niech panienka zejdzie z tego śniegu! - zawołała Praskowia, stojąc w drzwiach

kuchni. - Niech panienska zejdzie z tego śniegu, bo stopy paniencie odpadną i zostanie panienska kaleką, a mnie przysporzy to więcej pracy.

Aleksandra stała przez chwilę, ciężko dysząc. Czuła bolesne klucie w boku. Wszystko zniknęło: ubrania, powóz, sanie, konie. A także Istvan. Jego też Matriona zabrała ze sobą. Przeklęta służąca! A więc tak się zemściła.

Nagle obudziło się w niej kolejne podejrzenie, znacznie gorsze od poprzedniego. Rzuciła się do biegu z jeszcze większą desperacją. Minęła podwórze, krzyczącą Praskowię i wpadła do holu, potem przemknęła przez puste pokoje i lodowato zimnymi schodami dotarła na górę do garderoby. Tu rzuciła się na kolana przed komodą i wysunęła dolną szufladę.

- Matko Boska! - wyszeptała, po czym z bijącym sercem sięgnęła głębiej i znalazła to, czego szukała: skórzaną sakiewkę, w której trzymała brylanty i papierowe ruble. Była pusta. Teraz już nic jej nie zostało.

# Część druga

## Rozdział 16

Pałac trzeszczał od mrozu. Bez węgla i drewna, potrzebnych do rozpalenia w piecach, szron zaczął wypełniać wielkie sale, profilując sufity w kształcie gałązek winorośli i najróżniejszych owoców. W końcu lód zaczął pękać i spadać na podłogi, pokrywając je białym nalotem. Palenisko w kuchni, niegdyś czerwone od gorąca serce pałacu, było teraz szare i martwe, a na wielkich żelaznych garnkach zagnieździł się mróz.

Praskowia od kilku dni nie wchodziła do kuchni, bo po co? Nawet gdyby miały herbatę, trzeba by najpierw rozpać pod kuchnią, by zagotować wodę. Wszystko, co nadawało się do jedzenia, zniknęło razem z pieniędzmi i opalem. W pałacu pozostała jedynie służąca i jej pani. Jedna z nich też mogła wkrótce odejść.

Praskowia owijała kocami wstrząsaną dreszczami hrabiankę, obwiązywała szmatami sine z zimna nogi, rozcierała zmarznięte palce u rąk i nóg i chuchała na nie, mimo to Aleksandra nie przestawała dzwonić zębami. Gorączka opanowała jej ciało. W głowie brzmiał chór głosów, które naigrawały się z niej. Rzucała się na łóżku, próbując się od nich uwolnić.

Zaczęły głodować. Nawet gdyby miały pieniądze na jedzenie, nie mogłyby go kupić, bo Matriona nie tylko zabrała resztki herbaty, zapas chleba, kartofli, ryby, marynowane buraki, drewno na opał i węgiel, ale także całą garderobę pani i służącej. Zniknęły palta, spódnice, chustki i buty Praskowii, zostało jej tylko to, co miała na sobie. Mściwa Matriona ściągnęła z niej również ostatnią parę butów, gdy Praskowia spała.

Pierwszego dnia, kiedy Aleksandra dostała gorączki, Praskowia porąbała komodę i stoły z małego pokoju i wrzuciła je do pieca. Potem przyciągnęła z kuchni stół i rozklekotane krzesła. Stojące w salonie wyściełane jedwabiem fotele i meble z mahoniu Matriona wyniosła prawdopodobnie podczas pobytu hrabianki z Praskowią w Pandemonium. Gdy nic już nie zostało do spalania, służąca położyła się obok swojej pani, by

ogrzać ją własnym ciałem. Ale co zrobić do jedzenia? Jej pani musi jeść, bo umrze. Doktora! Doktora! Praskowia nie знаła żadnego. Zresztą gdyby знаła, to kto miałby go sprowadzić? Nie było sań, Istvana i butów.

Przyszedł jej do głowy tylko jeden pomysł. Zdjęła jedną ze spódnic, porwała ją na szmaty, owinęła nimi stopy i umocowała, drąc drugą spódnicę na długie paski. Zawiązała mocniej chustkę pod brodą i ściągnęła koc z Aleksandry, wyjmując go delikatnie z drżących, zaciśniętych palców chorej. Potem owinęła szmatami dłonie i opatulona w koc wyszła z pałacu.

Mróz spadł na nią niczym lawina. Poczowała się nim przygnieciona, jej twarz kurczyła się i sztywniała. Nozdrza wypełniły się wilgocią. Pospiesznie wytarła nos szmatą służącą jej za rękawiczkę. Popatrzyła na ulicę i na przejeżdżające sanie, których płozy ślizgały się na oblodzonej jezdni, na opatulonych pasażerów i stangretów, na pobrzękujące wesoło jak na ironię upręże. Miała nadzieję, że wśród siedzących na kozłach dostrzeże znajomą twarz Platona Płatonowicza, Stiepana Olegowicza, starego Matwieja czy Igora. Na pewno daliby jej pieniądze. Przecież ją znali. Ale to był inny świat, którego ona nie знаła i który jej nie znał. Zeszła w dół po pałacowych schodach.

- W imię Boga, dajcie, panie, choć kopiejeczkę - zwróciła się jęklwym głosem do mężczyzny w cylindrze, skórzanych rękawiczkach i bobrowym futrze, lecz on minął ją, kręcąc głową.

Łzy spłynęły kobiecie po twarzy. Nawet ich nie poczuła, bo policzki zeszywniały jej z zimna. Mijały godziny, a Praskowia błagała o wsparcie żołnierzy w ciepłych szynelach, kupców w futrach i bogatych chłopów w grubych filcowych butach. Nie zwracali na nią uwagi. Przeklinała ich w duchu, dmuchając w czubki palców, które robiły się żółte, półprzezroczyste jak gnijące winogrona, a wkrótce staną się białe, potem czarne i odpadną od kości.

W końcu ośmieliła się na tyle, że zaczęła chodzić za mężczyznami, błagać ich, ciągnąć za ubranie. Miała wrażenie, że nie należy do tego miasta, nie jest już Praskowią, służącą Korwinów, tylko bezpańskim kundlem, odpędzanym ciężką laską ze srebrną główką, który zebrze o kromkę chleba u kogoś, kto ma pełny brzuch i zajmują go daleko ważniejsze sprawy. Mimo to tkwiła na ulicy niczym chudy kot wierzący w człowieczeń-

stwo i ocierający się o nogę, chociaż tyle razy go kopano, i nie przestawała zaczepiać przechodniów. Jakiś stary chłop w brudnej futrzanej czapie odwrócił się i plunął jej w twarz, inny ją popchnął, za to kolejny, ubrany prawie jak dżentelmen, zatrzymał się, by jej wysłuchać. Miał łzawe, czerwone oczy i patrzył na nią spod czapki z futrzanym otokiem.

- Dam ci rubla i pięćdziesiąt kopiejek - szepnęła, rozglądając się na boki. - Masz jakieś miejsce?

Praskowia spuściła wzrok. Nie spodziewała się tego. Musiało minąć trochę czasu, zanim zrozumiała, o co mu chodzi. Przekroczyła już czterdziestkę i miała jedynie tyle zębów, by pogryźć chleb. Okazało się jednak, że jest jeszcze coś warta i zdolna do wypełnienia danych jej przez Boga funkcji. Więc dlaczego nie? Ten mężczyzna był niczego sobie, silny i dobrze zbudowany, w ciepłym wełnianym palcie. Nagle zarysowała się przed nią cała gama możliwości - zdobyłaby nie tylko pieniądze, ale może i paltro, i czapkę.

- O tak, panie - zagruchała. - Mam ciepłutkie, przytulne miejsce, które czeka właśnie na pana.

Mężczyzna ruszył za nią na tyły pałacu, oglądając się co chwila przez ramię.

Praskowia też zerknęła na niego, by sprawdzić, czy za nią idzie. Na szczęście podążał za nią, kryjąc twarz we wnętrzu kołnierza i kuląc się ze wstydu. Jacy głupi ci mężczyźni! Płacili rubla i pięćdziesiąt kopiejek za coś, co mogli dostać za darmo, również od niej. Dlaczego wcześniej tego nie spróbowała? Oczywiście byli tacy, którzy ją do tego namawiali. Mogłaby zarobić parę kopiejek i kupić sobie nowy kapelusz czy chustkę. Miałyby własne pieniądze i nie musiałaby prosić o nie pani.

- Tutaj, mój skowroneczku, tutaj - powiedziała, stając w drzwiach pustej stajni.

Był taki słodki, wstydlivy, wystraszony i słaby i potrzebował jej pomocy. Od dawna nie trzymała w dłoni męskiego członka i nie czuła, jak rośnie w siłę pod jej sprawnymi palcami.

- O tak, dobrze, bardzo dobrze - śpiewała mu do ucha. - Dobry chłopczyk, mój dobry chłopczyk.

Już po wszystkim, kiedy mężczyzna doprowadził spodnie do porządku i odszedł,

Praskowia przysiadła na skrzyżowanych nogach. Na jej głowie tkwiła obszyta futrem czapa, a w ręku czuła ciężar srebrnych kopiejek. Dostała więcej, niż jej zaproponował, znacznie więcej.

Dzięki herbacie i wódce, które Praskowia wlała swej pani w usta, i dzięki boskiej pomocy, następnego ranka gorączka spadła.

Aleksandra usiadła, podparta na poduszkach podłożonych jej pod plecy przez służącą, i przełknęła porcję jajka na miękko. Praskowia z dumą pomaszerowała w nowej czapce na rynek w alei Duńskiej i kupiła dwa cynowe kubki, kilka łyżek, dwa wyszczerbione talerze, zniszczone palto, parę jasnoczerwonych filcowych butów, bochenek chleba, małą torbę jajek, cukier, herbatę i wódkę. Potem wróciła po drewno na opał i kupiła wielką wiązkę. Mimo to zostało jeszcze sporo pieniędzy. Czuła za dekoltem ciepło zarobionych monet.

- Praskowio, skąd miałaś pieniądze na jedzenie? - spytała Aleksandra.

Podając następną porcję jajka, poinformowała panią, że je zaoszczędziła. Aleksandra, delektując się łagodnym smakiem i miękkością jajka, pierwszym posiłkiem od kilku dni, miała jednak pewne wątpliwości.

- Z czego zaoszczędziłaś? Przecież nie zarabiasz jak Istvan. On jest wolny, ty nie i nie dostajesz pieniędzy.

- Za to mam duszę, a ona nie jest własnością panienki - odparła Praskowia, starając się uniknąć odpowiedzi, po czym wdała się w długą opowieść o tym, jak jej ciotka Anfi-sa poszła do Cyganów. Kiedy jej mąż, wuj Jurko, zmarł, zaczął ją nękać jego duch. Pochylał się nad nią w nocy i dyszał w twarz pijackim oddechem, aż w końcu nie mogła tego znieść.

- Praskowio, skąd wzięłaś pieniądze? Spuściła głowę z udawanym wstydem.

- Wyżebrałam na ulicy.

- Żebrałaś na ulicy? Ty?

- Tak, panienko - przyznała, podejmując daremne wysiłki, by spłynęło z jej oczu kilka łez, choć miała ochotę się uśmiechnąć, gdy przypomniawszy sobie, z jaką łatwością wyprosiła od tego biedaka czapkę, rękawiczki i dwa razy więcej pieniędzy, niż jej zaproponował. - Wyżebrałam.



- To niedopuszczalne.

Aleksandra odrzuciła kołdrę, spuściła nogi na podłogę i wstała z zamiarem wymierzenia służącej policzka. Ale zamierzony cios nie dotarł do celu, bo zakręciło jej się w głowie. Chwyciła się brzegu łóżka i osunęła na materac, który zapadł się pod nią, po czym ukryła twarz w dłoniach.

- Panienko - odezwała się Praskowia, pochylając się nad nią. - Nie wolno panience się męczyć. Nie powinna panienka wstawać.

Aleksandra ją odepchnęła i ponownie spróbowała wstać. Tym razem pokój nie zawinował jej przed oczami, a podłoga pozostała na swoim miejscu. Chociaż była osłabiona i głodna, nie mogła leżeć w łóżku, musiała działać, zanim Praskowia zrobi coś naprawdę strasznego. Zaczynała podejrzewać to już się stało, bo wyglądała na zbyt zadowoloną z siebie jak na kogoś, kto doświadczył upokorzenia, zebrząc na ulicy.

- Wychodzę - oznajmiła. - Przynieś mi ubranie. Pójdę do Trieniakowa. On będzie wiedział, co robić.

- Panienka nie ma ubrań.

- Ach tak, rzeczywiście. Matriona.

Aleksandra usiadła na łóżku i złapała się za głowę. Nie ma ubrań, pieniędzy, koni, powozu, stangreta, Kołygina i Rybńskiego. Cała jej ciężka praca - popołudniowe herbatki, podczas których musiała słuchać nudnej gadaniny petersburskiego towarzystwa, nudne bale, nieopierzeni młodzieńcy, którzy deptali jej po palcach, kasłali w twarz i wbijali wzrok w podłogę, usiłując zapamiętać układ kroków i wymyślić jakąś zgrabną uwagę, przyjęcia po przedstawieniach, na których piło się zbyt dużo szampana, a starsze kobiety pieściły uda młodych lokajów, kiedy sądziły, że nikt tego nie widzi, nudne przymiarki, wybieranie kapeluszy i rękawiczek - wszystko to poszło na marne, bo miała teraz mniej niż na początku. Straciła całą garderobę, została jej tylko stara, przepocona koszula nocna.

- Muszę pójść do Trieniakowa - powiedziała, lecz zanim Praskowia, planując kolejne lukratywne spotkanie gdzieś po drodze do adwokata, zaproponowała, że lepiej będzie, jeżeli to ona pójdzie, spojrzała służącej w oczy i dodała: - Ty zostaniesz w domu.

Praskowia zaprotestowała dopiero wtedy, gdy Aleksandra kazała jej dać swoje

ubranie.

- Nie dam! - wrzasnęła. Miałyby oddać tę śliczną futrzaną czapkę, rękawiczki i piękne czerwone buty, na które sama zapracowała? - Co jest złego w żebraniu na ulicach? Lepiej robić to na ulicach niż błagać tego starego Trieniakowa, który tak dziwnie patrzy na panienkę. Jeżeli da pieniądze, to wiadomo za co.

Hrabianka wymierzyła jej siarczasty policzek. Praskowia rozpląkała się, a z nią Aleksandra. Były teraz biedne, biedne jak nikt w Petersburgu. Co zostało z dumy Korwinów? Jedyne ten pusty pałac i stara koszula nocna, ozdobiona poźółkłą koronką. Płakały każda z osobna, a potem w swoich objęciach. W końcu Aleksandra przyznała, że żebranie może nie jest takie haniebne, a Praskowia zaczęła przeproszać, że to zrobiła, bo chciała ją ratować. Obie wiedziały, że nie mówią o żebraniu, i znowu się rozpląkały.

- Muszę się zobaczyć z Trieniakowem - powiedziała Aleksandra, wyswobodzając się z objęć służącej.

Praskowia zgodziła się, że adwokat jest miłym mężczyzną, dobrym i szlachetnym, lecz nadal nie chciała oddać ubrań.

- Będę naga, panienko - odparła, cofając się.

- Na litość boską, nie zabiorę ci wszystkiego! - zawołała Aleksandra. - Tylko spódnice i bluzę, palto i buty.

- Tylko nie buty! Kupiłam je za zarobione pieniądze, nie mogę ich panience dać.

Hrabianka skarciła ją, że zachowuje się jak dziecko, ale i to nie odniosło skutku.

- Panienko - rzekła w końcu Praskowia. - Panienska nie może wyjść w tym na ulicę.

- Rozsunęła ręce, ukazując chłopski strój. - A jeżeli ktoś panienkę zobaczy? Wówczas cały Petersburg się o tym dowie.

Miała rację. Nie mogła też wysłać służącej do adwokata. Nawet gdyby się odważyła wypuścić Praskowię na ulicę, oznaczałoby to, że Trieniakow zjawi się w pałacu. Tylko w czym by go przyjęła? W koszuli nocnej?

Praskowia chodziła po pokoju, podziwiając swoje nowe czerwone buty. Czerwony był ulubionym kolorem rosyjskich chłopów, równie przyjemnym jak dla żołądka chleb. Spacerując, podzwaniała umocowanymi do paska kluczami. Był to symbol jej pozycji w domu, opiekunki i strażniczki domowego ogniska. Brzęk kluczy miał pokrzepiającą moc.

Oznaczał, że Praskowia ma wszystko pod kontrolą, zagląda do pokoi i pilnuje domowego porządku. Teraz pokoi się nie zamykało, a pustej spiżarni nie trzeba było chronić przed nieuczciwymi służącymi, dlatego Matriona, zawsze zazdrosna o te klucze, ich nie zabrała.

Wtem Aleksandra uniosła głowę, tknięta nagłą myślą.

Młody człowiek pchnął drzwi prowadzące do kancelarii Olega Trieniakowa.

- Tak? - Jeden z kancelistów uniósł wzrok znad paznokci, które czyścił końcem pióra. Palce miał poplamione atramentem, co w połączeniu z wytartymi mankietami i rozczochraną czupryną nadawało mu niechlujny wygląd, rażąco kontrastujący z wyglądem młodego człowieka, stojącego przed nim w wypolerowanych butach, kremowym palcie z merynosów i w cylindrze włożonym na bakier.

- Mój dobry człowieku - powiedział młodzieniec, wskazując na urzędnika laską ozdobioną złotą gałką - proszę wstać i sprowadzić mi pańskiego szefa. Mam z nim ważną sprawę do omówienia.

Oparł się na lasce i spojrzał z taką wyniosłością na kancelistę, notabene zbiegłego służącego, że ten aż spocił się ze strachu, pewny, że zjawił się ktoś od jego pana.

- No prędzej - ponaglił go młodzieniec. - Nie będę tu czekał cały dzień.

Zniewieściały głos wyraźnie dowodził, że przybysz nie jest detektywem, lecz jednym z miejskich elegantów. Kancelista odetchnął z ulgą. Wielu takich przychodziło do jego szefa. Afektowany głos i dekadencckie maniery wskazywały na członka ekskluzywnej grupy bystrych młodych ludzi, którzy doprowadzali ojców do wściekłości rozwiązłym, choć z pozoru wytwornym stylem życia. Z gamy miejskich grzechów wybierali te najpowszechniejsze, za to najbardziej irytujące ojców - hazard, kobiety, szalone wybryki. Potem zjawiali się u Trieniakowa z prośbą o pomoc w uporządkowaniu sprawy, zanim ojcowie się dowiedzą i odetną ich od funduszy.

- Pańskie nazwisko - poprosił urzędnik, spuszczać głowę.

Młody człowiek, który zdejmował właśnie rękawiczki, lecz nie cylinder, stłumił uśmiech, jakby kancelista powiedział coś zabawnego.

- Odmawiam podania nazwiska - odparł ze sztucznym uśmiechem. - Jestem jednak pewien, że pański szef mnie przyjmie, jak tylko się dowie, kim jestem.

Kancelista miał ochotę powiedzieć, że to niemożliwe bez podania nazwiska, ale onieśmielił go głos i maniery eleganckiego młodzieńca, jak również to, że nie zdjął on cylindra. Wstał z za biurka i zniknął za drzwiami gabinetu adwokata. Po chwili wrócił wzmocniony zdecydowaną postawą Trieniakowa, który odmówił przyjęcia kogoś, kto nie chce podać swego nazwiska.

- Nie przyjmie pana.

Młodzieniec pochylił się w przód, opierając na lasce.

- Myślę, że przyjmie - rzekł. - Proszę mu powiedzieć, że mam sprawę do egzekutora majątku zmarłego hrabiego Korwina. - Wyprostował się i trzepnął rękawiczkami z miękkiej skórki w rękaw palta, po czym ostentacyjnie pociągnął nosem.

Urzędnik ponownie zniknął za drzwiami. Wrócił z wiadomością, że Trieniakow go przyjmie. Młody człowiek minął go i wszedł do gabinetu adwokata.

Trieniakow spojrzał na gościa znad okularów. Nie był to ktoś, kogo znał.

- Kim pan jest? - spytał. - Znam wszystkich wierzycieli i partnerów zmarłego hrabiego Korwina, ale pana sobie nie przypominam. Odmowa podania nazwiska mojemu pracownikowi wskazywałaby na nieczyste motywy lub niezgodne z prawem cele.

Może były to zbyt ostre słowa, lecz Trieniakow nie lubił, gdy mu przeszkadzano w pracy. W tym właśnie momencie oglądał przez szkło powiększające nierówną powłokę marmurowej rzeźby, którą ostatnio nabył i, jak mu się zdawało, słono za nią przepłacił.

W odpowiedzi młodzieniec oparł się na lasce, kryjąc twarz w cieniu wysokiego jedwabnego cylindra.

- Skoro nie chce pan podać nazwiska, to proszę przejść do sprawy - powiedział Trieniakow.

Gość odchrząknął.

- Wymuszenie - powiedział zdecydowanym tonem.

Trieniakow podniósł się z krzesła i w tej właśnie chwili młody człowiek zdjął cylinder, uwalniając falę włosów, która opadła mu aż do talii, po czym zgiął się w ukłonie.

- Oszukałam pana! - wykrzyknęła hrabianka, prostując się. - No niech pan przyzna. Nie poznał mnie pan.

Trieniakow klapnął na krzesło, wyciągnął chustkę z wewnętrznej kieszeni surduta i

otał nią czoło.

- Rzeczywiście, nie poznałem - odparł z westchnieniem. Miał ochotę wytrzeć również szyję, lecz uznał, że to zbyt prostacki gest wobec damy. Wsunął chustkę do kieszeni, tworząc w miejscu serca wielkie wybrzuszenie.

Aleksandra usiadła na stojącym przed biurkiem krześle i położyła cylinder na kolanach.

- Na pewno zastanawia się pan, czemu jestem tak ubrana - powiedziała z wesołością, jakiej adwokat nigdy u niej nie widział.

- W istocie.

- I pewnie zastanawia się pan, co mnie do tego przywiodło.

- W istocie.

- To długa historia.

- Chętnie posłucham - odrzekł Trieniakow.

Aleksandra poprosiła o szklankę wody, tłumacząc, że ostatnio chorowała i przysłała tu na piechotę.

- Chora? I szła pani na piechotę? Jaśnie panienko! - Trieniakow zerwał się z krzesła i wyszedł zza wielkiego biurka, ciężko stąpając na krótkich nogach. - Nie tylko dam pani szklankę wody, ale jeśli pani pozwoli, zaproszę na obiad.

Hrabianka zerwała się ochoczo z krzesła. Nigdy nie była w restauracji. Dziewczęta z dobrych domów i szanowane mężatki unikały tego typu miejsc. Większość lokali miała na piętrze sale z drzwiami, które otwierały się jedynie od wewnątrz, żeby jedzącym tam gościom nikt nie przeszkadzał. Przyzwoite młode damy przypominały cieplarniane kwiaty: pokazywały się rzadko i nigdy w publicznych miejscach.

- W pani stroju - powiedział adwokat, zdejmując palto i cylinder z wieszaka stojącego w rogu pokoju - możemy pójść wszędzie, oczywiście pod warunkiem, że nie obrazi to pani skromności i nie zdejmie pani cylindra.

Tworzyli dość dziwną parę, schodząc razem po schodach: niski i wysoki mężczyzna, obaj ubrani na czarno. Kiedy wyszli na ulicę, dołączyli do tłumu podobnie ubranych mężczyzn. Przypominali kruki na pokrytym śniegiem polu. Spieszący ulicą panowie nawet nie spostrzegli, że twarz jednego z nich jest zbyt piękna, by mogła należeć do męż-

czyzny.

- Może powinienem odwiedzić panią do domu - powiedział Trieniakow, którego nagle ogarnęły wątpliwości, i uniósł rękę, by zatrzymać przejeżdżającą dorożkę. Dorożkarz natychmiast ściągnął lejce, osadzając konie przed dziwną parą.

- O nie - odparła hrabianka. - Druga taka okazja może się nie trafić.

Trieniakow zdecydował, że należy wybrać najbardziej szanowaną restaurację, taką, w której rzadko bywają aktorki i kobiety z półświatka, chociaż domyślał się, że Aleksandra chętnie by je zobaczyła. Ujął hrabiankę pod łokieć i pomógł wsiąść do dorożki, po czym z wielkim wysiłkiem, prawie bez tchu wszedł za nią i klapnął na siedzenie, które zaskrzypiało i ugięło się pod jego ciężarem. Zdenerwowany widokiem przebranej za mężczyznę Aleksandry, adwokat zaniemówił i nie śmiał prosić jej o wyjaśnienia. W trakcie krótkiej drogi do restauracji gapił się w sufit dorożki i od czasu do czasu poruszał ustami, by udać, że zajmują go skomplikowane problemy natury prawnej o żywotnym znaczeniu dla kraju.

Po wejściu do restauracji Trieniakow musiał przeprowadzić Aleksandrę obok kobiety siedzącej przy kasie i bawiącej się bezmyślnie palcami z polakierowanymi paznokciami. Hrabianka po raz pierwszy widziała z bliska tego rodzaju kobietę i miała ochotę podejść jeszcze bliżej. Przysunęła się ku niej, zafascynowana nienaturalnie różowymi policzkami i krwistoczerwonymi wargami. Na szczęście adwokatowi udało się odciągnąć jej uwagę, wskazując na zbliżającego się właśnie kierownika sali. Ubrany we frak mężczyzna, ze sterczącymi po bokach połami z powodu niezwykle szerokich bioder, biegł ku nim z radosnym uśmiechem na twarzy, by powitać sławnego adwokata Trieniakowa i jego towarzysza, młodego dżentelmena. Młody dżentelmen stanowczo odmówił oddania cylindra, ale pozwolił zdjąć sobie palto. Kierownik sali uznał, że to pewnie jakaś nowa moda obowiązująca wśród złotej petersburskiej młodzieży, i zanotował ten fakt w pamięci, dodając do długiej listy dziwactw i zwyczajów arystokratycznych klientów. Orientacja w tej materii należała do obowiązków kelnera, bo pozwalała zachowywać niewzruszony spokój w obliczu nawet najdziwaczniejszych zwyczajów.

Poprowadził gości do stolika pod głównym żyrandolem. Aleksandra usiadła, wzięła kartę, nie otwierając jej, i rozejrzała się po sali. Nie dostrzegła ani jednej kobiety, za to



wielu mężczyzn, siedzących po dwóch, czterech, ośmiu. Wszyscy oni tworzyli obiadową symfonię dźwięków, szorując srebrnymi sztućcami po porcelanowych talerzach, brzęcząc i dzwoniąc kieliszkami, wybuchając śmiechem, który wybijał się ponad ogólny szum rozmów.

Przy stoliku obok siedziało dwóch mężczyzn: jeden niski i krępy, drugi wysoki blondyn z brodą, którzy żywo ze sobą rozmawiali. Aleksandra żałowała, że nie może ich usłyszeć. Miała ochotę się dowiedzieć, o czym mówią ci wszyscy mężczyźni należący do nieznanego świata płci przeciwnej. Kiedy Trieniakow kontemlował kartę dań, wznosząc oczy do nieba, jakby szukał w nim boskiej rady przy wyborze potraw, Aleksandra odchyliła się na oparcie krzesła.

- Daj mi dobrą radę - poprosił jeden z mężczyzn z sąsiedniego stolika.

- A mianowicie?

- Mianowicie... Przypuśćmy, że jesteś żonaty, kochasz żonę, ale zaplątałeś się w romans z inną kobietą.

Tę interesującą wypowiedź przerwało pojawienie się kierownika sali, który z szerokim uśmiechem podał drugą kartę. Trieniakow przyjął ją, nie przestając studiować pierwszej.

- Czy już pan wybrał, hrabio? - zwrócił się do hrabianki adwokat, nie podnosząc wzroku.

Kierownik sali, słysząc słowo „hrabia”, popatrzył na Aleksandrę z taką radością, że dziewczyna zaczęła się obawiać o jego zdrowie psychiczne.

- Wasza ekscelencjo - powiedział, pochylając się ku niej na tyle nisko, na ile pozwalał mu gruby brzuch i opięta kamizelka. Aleksandra zaczęła się obawiać, że za chwilę potrzaskają mu guziki, lecz jej niepokój okazał się bezpodstawny. - Czy mogę zaproponować flensburskie ostrygi? Są bardzo świeże.

Aleksandra wzruszyła ramionami i spojrzała na Trieniakowa, który mruknął z niezadowolaniem.

- Nie macie ostendzkich?

- Niestety nie, wasza miłość. Ale te są świeże. Wczoraj dostaliśmy.

- Hrabio? - zwrócił się do niej Trieniakow, wreszcie podnosząc na nią wzrok. Ką-

cik ust drżał mu z rozbawienia, a ponad zsuniętymi na pulchny nos okularami płonęły rozjaśnione oczy.

- Niech pan zdecyduje - odparła Aleksandra, odwracając głowę w stronę, skąd dochodziła ją intrygująca rozmowa. - Cokolwiek pan wybierze, na pewno będzie dobre.

- W takim razie jeszcze chwileczkę - powiedział Trieniakow i odesłał kelnera, po czym wrócił do studiowania karty z większą niż przedtem uwagą, co pozwoliło Aleksandrze przysłuchiwać się rozmowie dwóch mężczyzn.

- Przepraszam cię, ale widzisz... Dla mnie wszystkie kobiety dzielą się na dwa rodzaje... To jest nie... raczej: są kobiety i są... Czarujących upadłych istot nigdy nie widziałem i nie zobaczę, a takie, jak na przykład ta farbowana, ufryzowana Francuzka przy kasie, to dla mnie gadziny, jak wszystkie upadłe kobiety.

- A ta z Ewangelii?

- Ach, daj pokój. Chrystus nigdy by tych słów nie wyrzekł, gdyby wiedział, jak ludzie będą ich nadużywali. Z całego Nowego Testamentu tylko to jedno się pamięta. Zresztą mówię nie to, co myślę, ale to, co czuję. Mam wstręt do upadłych kobiet. Ty się boisz pajaków, a ja tych gadzin.

To było fascynujące. Wiedzieć, o czym mężczyźni rozmawiają, gdy są sami, poznać ich śmiałe, nieskrępowane opinie, zazwyczaj skrywane przed kobietami. Taka rozmowa nie nadawała się dla uszu przyzwoitej młodej damy, jakże więc czarująca zdawała się możliwość jej wysłuchania! Oczywiście Aleksandra знаła pewnego mężczyznę na tyle źle wychowanego, by mógł rozmawiać z nią na takie nieprzyzwoite tematy. Tymczasem zakochał się w niej i stał się równie nudny jak inni.

Nadstawiła ucha.

- Co robić? - jęknął pierwszy głos. - Żona się starzeje, a człowiek jest pełen życia. Ani się obejrzyysz, a już czujesz, że nie jesteś w stanie kochać żony prawdziwą miłością, mimo całego dla niej szacunku. A tu nagle nawinie się miłość, i wówczas zginąłeś, przepadłeś z kretesem.

Ta rozmowa stawała się coraz ciekawsza.

- Moim zdaniem miłość - powiedział z wielkim przejęciem drugi mężczyzna - obie miłości, których definicję, jak pamiętasz, Platon daje w *Uczcie*, są dla ludzi kamieniem

probierczym. Jedni rozumieją tylko jedną z nich, inni drugą...

O jakich dwóch miłościach oni mówili?

Uwagę Aleksandry odciągnęło od rozmowy ponowne pojawienie się kierownika sali, który z wyrazem służalczego oczekiwania na twarzy patrzył na Trieniakowa. Adwokat zamknął kartę i spojrzał na Aleksandrę.

- Melon astrachański i szynka parmeńska na początek? Hrabianka kiwnęła głową.

- Bulion cesarski?

Hrabianka uśmiechnęła się zachęcająco.

- Homar w śmietanie zamiast ryby - ciągnął adwokat, nabierając śmiałości - pieczona pardwa, polędwica w gęstym sosie, szparagi, groszek i rosyjska szarlotka.

- Doskonały wybór, wasza miłość - szepnął kierownik sali, kręcąc z niedowierzaniem głową nad wyrafinowanym zestawieniem składników i smaków. Aleksandra kłaśnęła w dłonie. Trieniakow spuścił nieśmiało oczy, a przeredzona łysina lekko poczerwieniała.

Druga połowa popisu adwokata - wybór win odpowiednich do każdego z dań - zaparła dech kierownikowi sali.

- Nadzwyczajny wybór - rzekł, wznosząc oczy do nieba.

Aleksandra zauważyła, że dwaj panowie z sąsiedniego stolika wstają i zbierają się do wyjścia, co pozwoliło jej przyjrzeć im się bliżej. Niższy, który już nie kochał starzejącej się żony, był otyły, co dowodziło, że lubił dobrze zjeść, i miał sine worki pod oczami, zapewne pozostałość po nadużywaniu ciemnego porto. Z rozmowy wynikało, że jest zdecydowanym sensualistą, zwolennikiem tego drugiego rodzaju miłości, o którym ten wyższy mówił z dezaprobatą w głosie. O jaką miłość im chodziło? Wyższy mężczyzna - szczupły i silny, z brodą koloru pszenicznego i prześwieconymi słońcem oczyma - sprawiał wrażenie, jakby spędzał dużo czasu na powietrzu. O jakiej miłości on mówił? Był typem człowieka, którego Aleksandra chciałaby poznać, a może nawet się w nim zakochać.

Kelner biegł już z butelką w jednej ręce i dwoma talerzami z szynką parmeńską, zgrabnie trzymanymi w drugiej.

- A teraz - powiedział Trieniakow, odchylając się lekko, by zrobić kelnerowi miej-

sce na postawienie talerza - chciałbym wysłuchać pańskiej historii.

Aleksandra dotarła do momentu, w którym odkryła perfidię madame Lavorine. Wcześniej, kiedy jedli homara, opisała, jak doszło do tej zdrady, a potem do zdrady Matryony, teraz zaś, gdy jedli poledwicę pływającą w rzadkim naturalnym sosie, zaprawionym na gęsto jajkiem, wyjaśniła, jak ta mała, podstępna kobieta odsunęła ją na bok podczas dyskusji z przystojnym hrabią Kołyginem o sposobach wywabiania plam i jak wepchnęła się między nią a hrabię, tak że Aleksandra musiała stanąć z boku i w końcu odejść. Oczywiście hrabianka zataiła fakt, że bez powodzenia sama usiłowała odebrać innej kobiecie konkurenta. Zamierzała również przemilczeć oświadczenia Uljanowa w obawie, że Trieniakow, znając jej rozpaczliwą sytuację, będzie nalegał, by je przyjął. Kiedy doszła w swej opowieści do momentu ogłoszenia zaręczyn madame Lavorine z hrabią, przy wejściu na salę powstało jakieś zamieszanie - rozległy się bełkotliwe, głośne krzyki i stonowane prośby o spokój. Trwało to jakąś minutę i wzbudziło zainteresowanie wszystkich gości, którzy bezskutecznie nadstawiali uszu, by się dowiedzieć, co jest powodem kłótni, po czym, ku zaskoczeniu Aleksandry, na salę wszedł chwiejnym krokiem Uljanow w towarzystwie dwóch pań. Na widok oficera orkiestra, niemrawo przygrywająca do obiadu, obudziła się i zagrała hymn jego pułku, w tym wypadku Siedemnastego Pułku Huzarów Zamoyskiego. Uljanow był kompletnie pijany, miał pognieciony, rozpięty mundur, poplamiony jedzeniem. Szedł, obejmując dwie panie wątpliwej reputacji. Wyciskał całusa raz na jednym, raz na drugim uróżowanym policzku i co chwila się potykał. Orkiestra odprowadziła go uroczyście do stolika, znajdującego się w niewielkiej odległości od stolika Aleksandry i jej towarzysza. Goście ucichli, oczekując na urozmaicenie spokojnego obiadu. Orkiestra również umilkła. Uljanow ich nie rozczarował.

- Wódki! - krzyknął i machnął ręką z taką siłą, że aż się zatoczył. - I nie jakiś tam głupi kieliszek, tylko całą butelkę. Porządnie schłodzoną!

Nie czekając, aż mu ją podadzą, wskoczył na blat stołu, rozrzucając srebro stołowe, porcelanową zastawę i lniane serwetki. Panie zaczęły piszczeć. Chwiejąc się, huzar powiódł groźnym spojrzeniem po sali. Już otworzył usta, żeby zakomunikować zebranyemu coś ważnego, kiedy jego uwagę odwróciło bezceremonialne pojawienie się kozackiego policjanta w wielkiej futrzanej czapie, z ładownicą na piersi i karabinem w ręku. Z po-

mocą kierownika sali i dwóch pań kozak przekonał delikwenta, by ten opuścił „podium” i poszedł do domu. Chwilę później Uljanow został wyprowadzony z sali.

- Ach, młody Mecklenburg-Uljanow - powiedział Trieniakow, wracając do przerwane go obiadu. - Czekają go kłopoty i wielka odpowiedzialność. Niech się wyszumi.

Aleksandra, która skuliła się w krześle z obawy, że Uljanow ją rozpozna, wyprostowała się. Orkiestra znów zaczęła grać hymn wojskowy. Hrabianka obejrzała się, sądząc, że wrócił ten żaloszny pijak. Choć nie lubiła Uljanowa, jednak było jej przykro oglądać go w takim stanie. Śmierć kochanki musiała nim wstrząsnąć, zwłaszcza że częściowo był za nią odpowiedzialny. Tymczasem okazało się, że to witano jakiegoś innego oficera. Prowadzono go z wielkimi rewerencjami i uniżonością do najlepszego stolika, przy którym usiadł z ubranymi po cywilnemu panami.

- Kto to jest? - Aleksandra przyłożyła dłoń do piersi, by uciszyć bicie serca. Brakło jej tchu, całe bowiem powietrze uszło jej z płuc na widok Uljanowa, skorzystała więc z okazji, że może zaprzętnąć czymś rozbiegane myśli.

- Kto taki? - zainteresował się Trieniakow, odwracając głowę.

- Ten oficer. Czemu robią wokół niego tyle zamieszania?

Trieniakow spojrział na nią i uśmiechnął się zagadkowo, a potem pokręcił głową.

- To doprawdy dziwne - rzekł cicho, rozbawiony. - Bardzo dziwne. Cóż za historia!

- To proszę ją opowiedzieć.

- Mnie tylko uderzył nadzwyczajny zbieg okoliczności - wyjaśnił Trieniakow. - Teraz mamy dwie. Dwie w jednym miejscu.

- Czego dwie? - spytała Aleksandra.

Coraz więcej głów odwracało się w stronę gościa, szepty stawały się coraz głośniejsze, a kilku gości wstało i podeszło do stolika oficera, by złożyć mu swoje uszanowanie. Aleksandra nie mogła zrozumieć, dlaczego składali wyrazy szacunku temu niczym niewyróżniającemu się oficerowi niższej rangi, w średnim wieku i w zniszczonym mundurze. Przecież nie był nawet pułkownikiem, nie mówiąc już o generale. I miał dziwny wygląd - szczupłą sylwetkę i delikatną twarz. Przypominał chłopca, który mimo oznak starości nie osiągnął wieku męskiego.

Trieniakow pochylił się ku niej.

- Dwie kobiety ubrane jak mężczyźni - powiedział. - Ten oficer też jest kobietą.

Starzejący się chłopiec w jednej chwili przeistoczył się w kogoś innego. To, co było w nim dziwne, stało się groteskowe - spalona słońcem twarz, krótkie włosy i męski sposób bycia czyniły jego wygląd dziwnym.

- To Nadieżda Durowa - wyjaśnił Trieniakow Aleksandrze, która nie mogła odebrać od niej wzroku. - Właśnie opublikowała swój niezwykle pamiętnik, czym zyskała sobie wielką popularność. Nazywają ją kawalerzystką. To szlachetnie urodzona dama jak pani. Znudziło jej się być kobietą, uznała to za zbyt ograniczone. Zapragnęła przeżyć przygodę, odrzucając życie, które ją czekało. Dlatego uciekła z domu, przebrała się za mężczyznę i wstąpiła do pułku huzarów, gdzie służy z powodzeniem od wielu lat. Niezwykła kobieta. Powinna ją pani poznać.

- Boże uchowaj - odparła Aleksandra. - Robi okropne wrażenie.

- Nie gorsze od pani, moja droga - rzekł Trieniakow, wskazując na jej cylinder.

- Tak, ale ja przebrałam się za mężczyznę z konieczności, nie z własnej woli. Po prostu nie miałam w co się ubrać. Na szczęście garderoba ojca pasowała na mnie jak ulał.

- Ach, więc tajemnica się wyjaśniła - stwierdził Trieniakow - nadal jednak nie znam jej przyczyny.

Aleksandra powróciła do przerwanej opowieści. Tymczasem podano ser i owoce, wniesiono z pompą szarlotkę i kawę po turecku w małych filiżankach z pudrowanym cukierkiem na brzegu spodeczka.

- To straszne - powiedział Trieniakow, odkładając na brzeg spodeczka nadgryziony cukierek z różanym nadzieniem, którego wspaniały smak wywołał w nim poczucie winy wobec tragicznego położenia Aleksandry. - Prawdziwe nieszczęście - dodał. - Serdecznie pani współczuję. Co pani teraz zrobi?

Hrabianka wyraźnie posmutniała pod współczującym spojrzeniem adwokata. Poczuli na barkach ciężar trosk, jakby słowa Trieniakowa potwierdziły to, co dotychczas starała się ignorować. Oczy jej zwilgotniały, ale na szczęście łzy nie spłynęły po policzkach.

Trieniakow taktownie milczał. Patrząc na kawałek cukierka, pozwalał Aleksandrze w spokoju oddawać się emocjom. Czubkiem palca rysował wzory w gęstym, słodkim



pudrze, który równie dobrze mógł być policzkiem hrabianki. Rozwiązanie wydawało się proste: powinien się ożenić z Aleksandrą. Miał pieniądze, wpływy, nawet sławę. To chyba nie najgorszy wybór dla zbiedniałej arystokratki. W jego żyłach również płynęła szlachetna krew, mimo że był synem służącej. Jednak...

Poruszył się na krześle, czując napór koszuli na brzuch. Wyprostował się, dzięki czemu wydał się sobie szczuplejszy, a jednocześnie sięgnął bezwiednie do przerzedzonej czupryny, by ją przygładzić. To oczywiście i tak nie pomogło.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by pani pomóc - rzekł. - Może księżna, przyjaciółka pani ojca, mogłaby coś zrobić. - Sam wstydził się zaproponować jej pieniądze.

- Nie - odparła Aleksandra. - To okropna kobieta. Dręczyła mnie przez całe życie.

- W takim razie nie - stwierdził Trieniakow.

Zaczął się zastanawiać nad rozwiązaniem jej problemu i nagle przysłała mu do głowy straszna myśl. Bieda mogła pchnąć hrabiankę do szukania wyjścia typowego dla zrozpaczonej, pozbawionej środków do życia kobiety. On sam przyczynił się do upadku jednej z takich bezbronnych istot, wysokiej blondynki, bardzo podobnej do hrabianki, z dobrej rodziny, ale bez pieniędzy. Wybrana spośród pięknych kobiet w najlepszym miejskim domu publicznym, dała mu wiele przyjemności, spełniając fantazje erotyczne, a jego serce, skryte za ochronną tarczą, bawiło się w miłość, za którą płacił szczerze, obsypywał kosztownymi prezentami i deklaracjami o głębokim uczuciu, bo dziewczyna była urocza i godna litości. Kiedy jednak poczuł, że ciepło w jego sercu rośnie z każdym spotkaniem, postanowił zerwać z dziewczyną i wybrał mniej go poruszającą, praktyczniejszą kurtyzanę z sercem równie twardym, jakie sam chciał mieć. Kilka miesięcy później spotkał tę uroczą dziewczynę na ulicy, zdegradowaną do zwykłej dziwki, i na jej widok się odwrócił.

Oddychając chrapliwie, wyjął z kieszeni portfel. Nalegał, by hrabianka przyjęła od niego wszystko, co miał przy sobie. Nalegał tak gwałtownie, że na pewno ją przestraszył. Wcisnął Aleksandrze do ręki całą zawartość portfela, a po odwiezieniu jej do domu wrócił do biura.

Pokoje były puste i ciemne. Trieniakow ukląkł na podłodze przed żelaznym sejfem,

chłodząc przez chwilę głowę o metal, po czym go otworzył. Wnętrze wypełniały prawie po samą górę stosy schludnie powiązanych sznurkiem papierowych rubli. Wyjął połowę zawartości, włożył do teczki i opuścił kancelarię.

Owinał się szczelniej szalikiem i wcisnął głębiej cylinder na głowę, by ochronić się przed zimnym wiatrem, wiejącym od strony Zatoki Fińskiej i jeszcze dalej od lodowatej Północy na krańcu świata, po czym ruszył przez pusty plac. Przeszedł wiele takich pustych placów, aż znalazł jeden tętniący życiem. Zaczęło kiwać na niego wiele rąk, zsiniałe z zimna piersi odkrywały się na chwilę i ponownie zakrywały, gdy nie chciał ich kupić. Tego bowiem wieczoru nie zamierzał nikogo kupować. Spoglądał w zniszczone, umalowane twarze, kręcił przecząco głową, lecz wciskał w dłonie papierowego rubla lub monetę. Nie znalazł tego, czego szukał, i kiedy opróżnił teczkę, wrócił do domu.

Aleksandra, choć zmęczona, nie mogła zasnąć. Tyle nieszczęść spadło na nią ostatnio, że nie miała czasu spokojnie pomyśleć. Teraz, leżąc w łóżku, nie potrafiła powstrzymać natłoku myśli.

Co ma począć?

Stopy Praskowii, sterczące przy twarzy Aleksandry, brzydko pachniały, a od strony głowy służącej dochodziło rozgłośnie chrapanie. Jednak dzięki tej żywej butelce z gorącą wodą i mruczącemu piecowi w jednej postaci hrabianka przynajmniej nie marzła.

Co ma robić? Pieniądze, które dał jej Trieniakow, wystarczą na kilka tygodni, jeżeli będzie oszczędnie nimi gospodarować. Ale co potem? Adwokat wspomniał o księżnej, tej starej kurtyzanie, lecz duma nie pozwalała Aleksandrze ponownie prosić jej o pomoc. Wsparcie, które już otrzymała, było podszyte złością i okrucieństwem wypalonej duszy ofiarodawczyni.

- Taka kobieta - powiedział kiedyś ojciec - oddziela serce od duszy i żyje z niego jak z pieniędzy, póki się nie wyczerpie.

Najwyraźniej się wyczerpało.

Do kogo jeszcze mogła się zwrócić?

Do Uljanowa. Chciał się z nią ożenić, ale haniebne zachowanie w restauracji dowodziło, że jego serce jest nękanie wspomnieniem innej kobiety i poczuciem winy z powodu jej śmierci. Nawet gdyby Aleksandra chciała go poślubić, jakimże byłby mężem?

Jego już i tak nadwątloną reputację skalał teraz skandal z samobójstwem. Przez małżeństwo z takim człowiekiem nie odzyskałaby majątku, byłby to raczej kolejny krok wstecz. Tak czy owak, nawet gdyby się zdecydowała, jak to miała załatwić? Pójść do niego i zapytać, czy oferta nadal jest aktualna? Powiedzieć mu, że jest teraz zdana wyłącznie na jego łaskę? Na pewno roześmiałyby się jej w twarz lub, by jej dokuczyć, ofiarował inną formę związku.

Jak on ją oblał! Z przyjemnością wyzwałaby go na pojedynek za tę zniewagę, wycelowała mu pistolet w serce albo wbiła ostry jak brzytwa czubek rapiera i pozbawiła życia. Ta jego deklaracja miłości była wstępną zagrywką, mającą na celu przyjęcie jego oświadczeń, podstępem, by zwabić ją w pułapkę. Jakże on właściwie miał względem niej zamiary? Pewnie chciał ją uwieść, porzucić, zhańbić, zostawić z dzieckiem, żeby musiała zebrać na ulicach o mleko i chleb.

Sto tysięcy dusz! Jak mogła pozwolić, by wymknął się jej hrabia Kołygin? Dlaczego w swym zadufaniu sądziła, że nie dając mu nic, zatrzyma go przy sobie? Sto tysięcy dusz! Będzie miała szczęście, jeżeli jutro uda jej się zjeść jajko, może kawałek czerstwego chleba, kiszzonego ogórka, buraka, pół kartofla. Co ma robić?

Uklęknij i módl się o radę - odpowiedział wewnętrzny głos.

Trzęsąc się z zimna, wstała z łóżka, podeszła do ikony i uklękła przed nią, czując ból w kolanach przy zetknięciu z twardą podłogą. Niech boli, to kara za jej arogancję, przez którą straciła Kołygina. Ale za tą butą kryła się jeszcze chciwość, i to wydało jej się najgorsze. Prawdziwy chrześcijanin powinien posypywać głowę popiołem i żywić się powietrzem. Dlaczego nie może zapomnieć, kim była, i cieszyć się z tego, kim jest teraz?

- O Matko Święta! - wyszeptała, patrząc na srebrną ikonę. Właściwie dlaczego jej nie sprzedała? Srebrny oktad zwiększyłby jej i tak już dużą wartość, bo namalował ją sławny artysta. Poza tym była bardzo stara.

No i znowu grzeszy. Uniosła się z podłogi i ponownie uklękła, by poczuć karzący ból.

A jaką rolę sama odegrała w śmierci nieszczęsnej dziewczyny przez znajomość z tym rozpustnikiem Uljanowem? Nie miała odwagi spojrzeć w oblicze Bogurodzicy, by o to zapytać, tylko położyła się krzyżem na podłodze i otworzyła usta, smakując kurz.

Uświadomiła sobie, że to teatralne umartwianie się nie zapewni jedzenia ani jej, ani Praskowii. Przecież nie można żywić się kurzem, popiołem i powietrzem. Pieniądze od Trieniakowa wkrótce się skończą, a nie może prosić o więcej bez narażania na szwank dobrego imienia. Gdyby zaczęła brać od niego pieniądze, byłaby na jego utrzymaniu i prędzej czy później musiałyby za to zapłacić.

Przekreśliła głowę na bok, przykładając ucho do podłogi. Słuchała, jak krew tętni w jej żyłach, usiłując odnaleźć w tym szumie bicie własnego serca, a w jego rytmie prawdę o sobie. Jakby ten skomplikowany organ był małą planetą, którą musi odkryć, drogowskazem. Kim była? Może wcale nie hrabianką Korwiną? Może jej ubóstwo, utrata pozycji to skutki oddziaływania losu, który jedynie prostował to, co niewłaściwe, kierując ją ku życiu w biedzie i skromności?

- Nonsens!

Wstała z podłogi i wróciła do łóżka. Położyła się na wznak i rozmyślała dalej, uciekając w marzenia. Ta kobieta w restauracji, Durowa, mądrze zrobiła, nie godząc się na pozycję zależnej od innych kobiety. Nie musiała szukać bogatego męża, bo znalazła własne miejsce wśród mężczyzn. Och, gdyby tylko Aleksandra miała pieniądze na kupno patentu oficerskiego, też uciekłyby od świata kobiecego. Tak dobrze czuła się w męskiej skórze, nikt nawet by nie podejrzewał, że jest kobietą.

Czemu ojciec jej to zrobił? Jak mógł ją tak zostawić bez środków do życia? Miała ochotę napluć i przeklinać jego imię. Usiadła gwałtownie na łóżku, gotowa ponownie uklęknąć przed ikoną i błagać o wybaczenie za niegodne myśli. Czuła się jednak zmęczona i bolały ją kolana. Och, wiedziała, że ojciec nie chciał tego zrobić. Trieniakow starał się jej to wytłumaczyć. Ojciec, niepoprawny marzyciel, oczekiwał, że wydarzy się coś, co przywróci utracony majątek. Żył we własnym, szczęśliwym świecie, w którym wszystko było możliwe.

Jakie to musiało być przyjemne, jakie miłe - pomyślała, czując, że robi się śpiąca. Odwróciła się na bok, podłożyła ręce pod głowę i otworzyła zmęczony umysł na przyjęcie snu. Surowe struktury zmieniające myśl w logiczny kształt zaczęły się rozluźniać i to, co niemożliwe, okazywało się możliwe. Znowu usłyszała głos ojca, wołający do niej z daleka, a ponieważ przytrafiało się to jej już tyle razy w najdziwniejszych momentach,

teraz nie przywiązała do tego wagi, zapadając powoli w sen. Głos jednak brzmiał na tyle głośno, że po raz pierwszy słyszała wyraźnie sylabę, a właściwie jej dźwięczny początek, brzmiący jak spółgłoska „w”, po którym następowała samogłoska, potem znowu jakaś spółgłoska i kolejna samogłoska, jakby ojcu udało się wreszcie przebić przez mur oddzielający dwa światy. A może musiał wybić w nim kilka otworów tymi dźwiękami, aż wreszcie mur pękł i mógł przez niego przejść, by błagać ją o wybaczenie. Słyszała bowiem powtarzane kilkakrotnie słowo „wybacz”.

Rano poszła się ubrać do sypialni ojca. Uznała za niewłaściwe trzymanie jego strojów w swoim pokoju, dlatego przed wieczorem odwieszała je do jego szafy. Kiedy zapinała spodnie, jej wzrok padł na drobne przedmioty leżące na stole. Nie mogła sprzedać ubrań ojca, bo musiała w czymś chodzić, ale za ozdobne, pokryte emalią pudełka dostałyby kilka rubli i obie z Praskowią miałyby co jeść przez najbliższe dni. Również srebrna brzytwa poszłaby na targu za parę kopiejek. A kryształowe jajko? Na pewno ktoś zechce kupić taką piękną rzecz. Wzięła je do ręki i chwilę potrzyzymała, wyobrażając sobie, jak ojciec je trzyma, i tak jak on obróciła je w dłoni. Poczowała zadowolenie, jakiego on zapewne doświadczał, pieszcząc palcami gładką powierzchnię. Ogarnął ją spokój, jakby znalazła się w skórze ojca, we wnętrzu jego umysłu. Nie, nie sprzeda go. Wsunęła jajko do kieszeni, tak jak to robił ojciec.

W tym momencie usłyszała głos ojca, wołający ją z oddali. Był głośniejszy, bardziej niecierpliwy, pobrzmiwały w nim histeryczne tony.

- Nie trzeba - powiedziała głośno, współczując udręczonej duszy i pragnąc ją pocieszyć. - Prosiłeś o wybaczenie, słyszałam. Wiem, że jest ci przykro. Możesz już odejść i odpocząć.

Głos jednak nie chciał odpocząć. Krążył w jej myślach, krzyczał coś niezrozumiale. Nagle poczuła szarpnięcie dłonią, w której trzymała kryształ, i wyraźne słowa: „Sprzedaj go”.

## Rozdział 17

Był to oczywiście brylant - w dodatku ogromny. A ojciec nosił go w kieszeni i kładł w różnych dziwnych miejscach. To takie typowe dla niego.

Dostała za ów brylant sporą sumkę. Wystarczyła nie tylko na używany powóz, parę koni, ale też na skromną garderobę, może nawet na drugą służącą i oszczędne życie przez rok lub dwa dla niej i dla Praskowii. Miała więc czas na znalezienie bogatego męża.

Wzmocniona sygnałem otrzymanym od ojca, tym transcendentnym dowodem miłości, czuła się przez chwilę tak, jakby unosiła się nad światem, lecz rzeczywistość szybko ściągnęła ją na ziemię. Przymiarki nowych sukien męczyły ją i irytowały bardziej niż przedtem, przyjęcia, kotyliony, bale i herbatki okazały się jeszcze nudniejsze, a mężczyźni uprzejmiem nieciekawi. Z trudem znosiła ograniczenia kępujące ją jako kobietę. Wbita w ciasny gorset, potykając się o brzeg sukni, przechodziła z pałacu do powozu, z powozu do innego pałacu, znowu do powozu i do domu. Krążyła bezmyślnie po ciasnym towarzyskim kręgu, bo tylko to mogła robić, i czuła się tak, jakby tkwiła w szklanej kuli, zdolna jedynie gapić się z tęsknotą na szeroki świat na zewnątrz.

Nadszedł dzień ślubu Olgi. Aleksandra wykręciła się chorobą, została w łóżku, paliła cygaro za cygarem, wpatrywała się w mokre plamy na suficie i - jakby to były chmury - szukała w nich kształtów i znaczeń, lecz nic nie znalazła. Coraz częściej też nie przyjmowała zaproszeń i wędrowała bez celu po pustym pałacu, o niczym nie myśląc i paląc jeszcze więcej cygar.

Przyszła wiosna, a z nią odwilż. Gigantyczne serce miasta zdawało się pękać podobnie jak gruby lód na rzekach pod działaniem ciepła. Nocami lodowa pokrywa trzeszczała i jęczała, jakby opłakiwała koniec sennej zimy z wolno płynącym czasem i bladym słońcem. Aleksandrę również ogarnął smutek z powodu upływającego czasu.

Pewnego wieczoru, ulegając irytującym namowom Praskowii, żeby gdzieś pójść i znaleźć sobie męża, zanim wypadną jej zęby i piersi obwisną, hrabianka wybrała się na koncert organizowany w domu jednego z wybitnych obywateli miasta. Sala muzyczna przypominała inne sale muzyczne, a na widok palm „zalesiających” większość wewnątrz pałacowych miała ochotę kogoś pobić, nie tylko ormiańskiego księcia, którego serce ura-



biała bez większego przekonania przez ostatnie kilka tygodni. Stał teraz obok niej. Grała muzyka, a on szemrzącym głosem opowiadał o ojczyźnie, której nigdy nie widział, o chłopach wykorzystujących w sposób niezwykle pomysłowy aromatyczne jabłka i wielkie soczyste gruszki, z których robią likiery.

- I góry w mojej ojczyźnie są przepiękne - dodał.

Ciemne oczy błyszczały, gdy starał się powstrzymać przed spoglądaniem na szeroki dekolt hrabianki, kryjący według jego mniemania piersi twarde jak gruszki, ale jeszcze mało dojrzałe.

- Nie wątpię - odparła Aleksandra.

- Stworzyły je ręce Boga.

- Jak wszystko.

- Ale te szczególnie. Proszę posłuchać historii, jaką opowiada się w moim kraju. Gdy Bóg stwarzał świat, wszyscy ludzie zebrali się w koło, by obserwować Jego pracę i wybrać sobie miejsce, gdzie będą żyć. Lecz my, Ormianie, jesteśmy niezależni, kochamy życie i nie chcieliśmy odchodzić od stołu, przy którym piliśmy, jedliśmy i rozmawialiśmy. Kiedy Bóg skończył dzieło stworzenia, wszystkie ziemie zostały już rozdane i dla nas nic nie zostało. „Zapomniałeś o nas” - powiedzieliśmy Bogu. On myślał i myślał, aż w końcu rzekł: „Dobrze, dam wam ziemię, którą zachowałem dla siebie. Nazwałem ją Rajem”.

Aleksandra uderzyła wachlarzem o dłoń, potem jeszcze raz, aż w końcu ustaliła pewien rytm, który podziałał na nią uspokajająco. Popatrzyła ponad ramieniem księcia z nadzieją, że znajdzie kogoś bardziej interesującego, przekonując siebie, że już wystarczająco długo spoglądała na niego jak na najwspanialszego mężczyznę na świecie i że nadszedł czas, by dać mu do zrozumienia, iż nie ma ochoty go więcej widzieć.

- Czy to nie czarująca historia? - spytał. Wyczuł jej nagły brak zainteresowania i przysunął się bliżej, chłonąc świeży zapach włosów i czując zbliżającą się miłość. Gdyby tylko mógł odzyskać jej zainteresowanie i sprawić, by znowu na niego spojrzała!

- Wygląda na to, że zostaliście oszukani - powiedziała nagle Aleksandra.

- Tak? - Wciągnął w nozdrza jej rozkoszny zapach.

- Dostaliście to, czego inni nie chcieli, to, co pozostało.

- Ależ nie, pani - odparł tym razem stłumionym głosem, jakby uciekło z niego powietrze, gdy wbiła szpilę w jego dumę narodową. - To naprawdę jest raj.

- Skoro to jest raj, to co pan tu robi?

Patrzyła, jak odchodzi, i zadawała sobie pytanie, dlaczego to zrobiła. Książę był przyzwoitym człowiekiem, nawet przystojnym, o śniadej cerze. Pachniał jesienią, palącym się drewnem, jakby zgodnie z południowymi zwyczajami gotował w sypialni na węglu drzewnym. Jednak dzięki tej złośliwej ripoście choć na chwilę wyzbyła się irytacji.

Wycofała się pod ścianę, kryjąc w cieniu palmy. Założyła ręce do tyłu i przyglądała się gościom. Jedni krążyli po sali niczym marionetki z przyklejonymi uśmiechami i wysoko uniesionymi brwiami w permanentnym zachwycie. Stara hrabina Protopopowa płaszczyła się przed swoją rywalką, madame Rienczenko, całując ją, gładząc i ściskając za rękę. Inni siedzieli na sztywnych fotelach, trzymając na kolanach talerzyki z dużymi kawałkami tortu, rozmawiali o niczym i czekali, by się od siebie uwolnić, kiedy pozwoli na to muzyka.

Oni wszyscy mają siebie dość - pomyślała Aleksandra. - I marzą o chwili, kiedy będą mogli wrócić do swoich domów i zaprosić ludzi, którzy też się nimi znudzą.

Hrabiankę bolały nogi. Oszczędzała na butach i teraz gniotły ją w palce. Gorset też. Praskowia, chcąc bardziej uwydatnić jej drobne piersi, zbyt ciasno ją zasznurowała.

Zbliżał się ku niej Anton Pawlinski. Na jego dziecięcej twarzy malował się zachwyt, który, o czym dobrze wiedziała, nie był sztuczny. W zeszłym tygodniu na balu u hrabiny Bariatynskiej zajął jej całą godzinę. Nie pozwolił się wymknąć i zmusił do wysłuchania opowieści o swojej najnowszej pasji - jaszczurkach. O radościach z ich hodowli, niebezpieczeństwach, konieczności delikatnego obchodzenia się z tymi małymi gadami, o tym, co jedzą, gdzie śpią, jak się (tu zniżył głos) łączą w pary i jakie mają charakter. Poinformował ją, że temu wszystkiemu poświęcał cały swój czas.

Taki temat mógłby poprawić jej nastrój, ale nie zniosłaby tego po raz drugi.

Wiedziała, że powinna uzbroić się w cierpliwość i porozmawiać z nim. W jej sytuacji nie należało odrzucać żadnego konkurenta. Jej obowiązkiem było odzyskanie dobre-

go imienia i majątku, dlatego musiała zapanować nad rozdrażnieniem i nudą, cierpliwie znosić fałszywe uprzejmości i nieszczerze zachwyty, a przede wszystkim - to było najważniejsze - nie dopuścić, by w najwyższych sferach petersburskiej socjety wystawiono jej złą opinię. Każdy mężczyzna należący do towarzystwa miał prawo wiedzieć, co ona ma do zaoferowania, innymi słowy sprawdzić, czy chciałby to kupić.

I co takiego mogliby od niej kupić? Bogatych kupców pragnących dostać się do wyższej sfery interesowało jej pochodzenie i krew, którą pragnęli zmieszać ze swoją, wnikać w jej ciało i zasiać w nim ziarno społecznego awansu w osobie półszlacheckiego potomka. Starszych interesowała jej młodość, a młodsi szukali podziwu i pożywki, które podbudowałyby ich niskie ego, niszczone w czasie mozolnego procesu stawania się mężczyzną, a podnoszone dzięki wsparciu i opiece żony.

W tej chwili nie miała ochoty służyć za pożywkę dla czyjś niskiego ego, bardziej interesowało ją jej własne. Odwróciła się i wyszła na balkon, na pachnące wiosną powietrze. Oparła się o balustradę i zsunęła z nóg buty. Chłód kamienia podziałał odświeżająco na piekące podeszwy. Przed sobą miała piękną panoramę miasta. Tysiące świateł odbijały się w wodzie, a rzeka i kanały tonęły w blasku gwiazd. W każdym z okien poruszały się drobne figurki, mieszkające w żółtych oświetlonych pudełkach. Wszędzie toczyło się życie. Co ci ludzie robili? Nigdy się tego nie dowie, bo do końca życia będzie wędrować z powozu do pałacu, z pałacu do powozu. Oczywiście, jeżeli uda jej się wyjść za mąż, zanim skończą się pieniądze. A jeżeli nie? Wolą o tym nie myśleć.

Od strony drzwi dobiegły ją kobiece głosy. Była zaskoczona, że słyszy swoje nazwisko.

- Biedna ta córka Korwina - powiedziała jedna z kobiet.

- Myśli, że my nie wiemy, i nie przestaje mydlić nam oczu - odezwała się druga. -

To skandaliczne.

- Och, niech sobie myśli. Biedaczka stara się, jak może, z tym, co ma.

- A ma niewiele - stwierdziła druga.

- Doprawdy? Uważam, że jest raczej ładna i wysoka. Ma w sobie sporo elegancji.

- Nie w tym rzecz. Mój brat się nią zainteresował. Kiedy się o tym dowiedziałam, położyłam temu kres. Łowczyni posagów? Nie w mojej rodzinie. Mój brat to wielki głu-

piec.

Aleksandra skądś знаła ten głos, lecz nie mogła sobie przypomnieć skąd. Wsunęła stopy w niewygodne buty i wróciła na salę. Miała wrażenie, że serce rozsadza jej piersi i tamuje oddech, ale szła z dumnie uniesioną głową. Przez zasłonę z łez trudno było znaleźć gospodynię, jednak zmrużywszy oczy, zdołała ją wypatrzeć. Udając, że kicha, uniosła dłoń do oczu, otarła gromadzące się łzy.

- Mam straszny ból głowy - oznajmiła gospodyni, przyciskając palce do skroni.

- Rzeczywiście, wyglądasz, jakbyś cierpiała - stwierdziła gospodyni. - Idź do domu, kochanie.

Aleksandra wezwała powóz, włożyła pelerynę i uderzając stopą o podłogę, czekała w holu, aż nadjedzie. Nie odezwała się do nikogo, chociaż wychodzący goście usiłowali ją zagadać. Po powrocie do pałacu minęła Praskowię, która już otwierała usta, by zapytać, co jej pani robi tak wcześniej w domu, wbiegła po schodach do swego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie zdejmując sukni, usiadła na krześle, zapaliła cygaro, wstała, przespacerowała się po pokoju, ponownie usiadła i zapaliła następne cygaro. Potem położyła się na łóżku, żeby odpocząć, ale nie mogła usnąć, więc wstała i znowu zaczęła spacerować, paląc cygaro za cygarem. Wiele godzin później z przepalonym gardłem, piekącymi oczyma i bólem głowy otworzyła wreszcie drzwi.

Był wczesny ranek i Praskowia spała spokojnie na sienniku. Aleksandra trąciła ją nogą i kazała sobie przynieść nożyczki. Kiedy służąca wróciła na górę, trzymając nożyczki w jednej ręce, a drugą unosząc spódnice. Aleksandra wyrwała je Praskowii i wbiegła do pokoju, zanim ta zdążyła ją powstrzymać.

- Panienska oszalała! Trzeba wezwać doktora! - zawołała służąca, usiłując odebrać jej nożyczki, lecz Aleksandra była szybsza.

Z wyrazem determinacji na twarzy stanęła przed popękany lustrem i po chwili pierwszy pukiel spadł na podłogę. Objechała całą głowę, tnąc pasmo za pasmem i rzucając je na ziemię, gdzie ułożyły się w połyskujący stos. Klęcząca nad nim Praskowia wyglądała, jakby płakała nad świeżo usypaną mogiłą.

- Wstań i pomóż mi zdjąć te ubrania - powiedziała Aleksandra, rzucając nożyczki na podłogę.

Gdy pozbyła się dopasowanej sukni, koronkowej bielizny, ciasnego gorsetu, podszła nago do szafy, wyjęła z niej kalessony, kamizelkę, sztywną białą koszulę, kołnierzyk, mankiety, spinki łączące je z koszulą, spodnie, krawat oraz surdut, które wcześniej tu przeniosła, i włożyła je na siebie. Na koniec wcisnęła na głowę szapoklak i kazała przygotować powóz. Praskowia przywołała nowego stangreta, młodego chłopca, który spał na piecu pod schodami. Zerwał się z miejsca i wbiegł na górę, zapinając po drodze spodnie.

- Do adwokata Trieniakowa - powiedziała Aleksandra.

Z płaczącą Praskowią u boku zeszła na dół, trzymając w ręku laskę zakończoną srebrną gałką i kręcąc nią od czasu do czasu. Wyszła przed pałac i pogwizdując, zaczekała na schodach, aż nowy stangret wyjedzie powozem ze stajni.

Jaki piękny wiosenny poranek - pomyślała, patrząc z uśmiechem w niebo i stukając niecierpliwie laską w ziemię. Kiedy zjawił się stangret, odepchnęła jego pomocną dłoń i wskoczyła do powozu. Jazda do Trieniakowa była niezwykle przyjemna - tyle widoków i dźwięków. Wystawiła głowę przez okno, by się nimi delektować, rozciągając nieelegancko nozdrza, jak to robili mężczyźni. Zajechała przed budynek, w którym mieściła się kancelaria, wysiadła z powozu, poszła prosto na górę, pchnęła drzwi, weszła do środka, gdzie oznajmiła głośno i wyraźnie, że chce się widzieć z adwokatem Trieniakowem. Gdy uchylił drzwi, zaskoczony hałasem, ruszyła prosto do gabinetu. Tu zdjęła cylinder, odsłaniając krótkie włosy, usiadła na krześle stojącym na wprost biurka, skrzyżowała nogi, zapaliła cygaro, spojrzała na adwokata i oznajmiła, że chce wstąpić do wojska.

Trieniakow otworzył mimowolnie usta, po czym zamknął je i uśmiechnął się figlarnie, jakby zjadł coś smakowitego.

- A do jakiej formacji? - spytał. Podszedł pospiesznie do biurka i usiadł za nim. Odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie na wydatnym brzuchu, jakby właśnie skończył jeść wyśmienite danie.

O tym nie pomyślała. Nic nie wiedziała o wojsku. Zaciągnęła się cygarem, wydmuchnęła kółka dymu i odpowiedziała: Siedemnasty Pułk Huzarów Zamoyskiego. To jedno przyszło jej w tej chwili do głowy.

## Rozdział 18

Aleksandra nigdy się nie dowiedziała, jakie sprężyny poruszył Trieniakow w Ministerstwie Obrony i kogo przekupił, płacąc z własnej kieszeni za przywilej spotkania się z młodą kobietą naruszającą społeczne zasady, ale wszystko załatwił, i to szybko. Patent oficerski można było zdobyć na dwa sposoby: należało skończyć jedną z wojskowych akademii lub odsłużyć rok razem z chłopskimi rekrutami, a potem zdać egzamin na oficera. Z obu tych możliwości zrezygnowano. Przez wzgląd na wysoką społeczną pozycję kandydata na oficera Aleksandrze pozwolono zdawać egzamin bez odbycia służby w wojsku. Następnie miała otrzymać swój patent oficerski.

W ten oto sposób hrabianka Aleksandra Korwina zniknęła z Petersburga. Kilkoro najbliższych przyjaciół i znajomych, których interesował jej los, otrzymało listy informujące o tym, że hrabianka Korwina wyjechała za granicę do jednego z europejskich kurortów i nie wiadomo, kiedy wróci. Wyjaśniono również, że młody człowiek, wchodzący i wychodzący z pałacu, to jej daleki krewny, hrabia Anatolij Karpacki. Młodzieniec przyjechał do Petersburga, by wstąpić do kawalerii, i przygotowuje się do egzaminu na oficera. Dlatego nie należy mu przeszkadzać zaproszeniami na herbatki, tańce, widowiska komediowe, kolacje, przyjęcia czy bale. Tak więc nowo narodzony hrabia Karpacki siedział samotnie przy świeżo zakupionym biurku w małym pustym gabinecie na pierwszym piętrze pałacu i krzepiąc się niezliczonymi szklankami mocno osłodzonej herbaty i ogórkami, które Praskowia uważała za wyjątkowo zdrowe, zgłębiał wiedzę z zakresu taktyki, artylerii, łączności, inżynierii, zaminowywania i budowy mostów, dowodzenia pułkiem, właściwej obsługi broni palnej (karabinów, pistoletów) i białej broni (szabla, lancy), służby w garnizonie i poza nim, zwiadu i prowadzenia walki oraz tresury koni dla potrzeb wojska.

Specjalnie wynajęty nauczyciel jazdy konnej szlifował jej umiejętności jeździeckie, krzycząc na nią, gdy w szkole jazdy na tyłach pałacu wykonywała niekończące się rundy po okręgu, usiłując opanować sadystyczny kawaleryjski kłus. Trzy razy w tygodniu przychodził nauczyciel fechtunku, pocąc się pod maską. Dwa razy w tygodniu Aleksandra jeździła do pułkownika Spirkina, emerytowanego oficera z pułku Zamoyskiego, któ-



ry odpowiadał za jej postępy w nauce i zaznajamiał ją ze skomplikowanym kodeksem etycznym obowiązującym w tym regimencie.

Zgodnie z jego zasadami oficer Zamoyskiego był skromny i nie przechwalał się. Należące do niego lub wynajęte pojazdy były proste i niczym nieupiększone. Z tego też powodu nawet gdyby stał pijany na ulicy i chciał wezwać dwukólkę lub dorożkę, powinien unikać tych ozdobnych lub jaskrawo pomalowanych. Kiedy doganiał pojazd, w którym jechał oficer z tego samego pułku, nie powinien go wyprzedzać, lecz poprosić o pozwolenie - nawet gdyby się spieszył, bo na drugim końcu miasta czekała na niego dama. W operze lub teatrze obowiązywały go specjalne miejsca oraz bardzo skomplikowane, surowe i bezsensowne zasady zachowania się w czasie przerw.

Trzymając na szerokiej szorstkiej dłoni delikatną filiżankę z chińskiej porcelany do kawy po turecku i popijając z niej od czasu do czasu, pułkownik Spirkin spacerował po wytartym dywanie salonu i podkreślał, jak ważna jest dbałość.

- O co? - pytała Aleksandra, chociaż знаła odpowiedź.

- O honor pułku. O cara, wiarę i ojczyznę.

Oficer Zamoyskiego chełpił się jedynie niepowodzeniami i nigdy nie mówił o sukcesach. Zginał kolana tylko przed carem. Chętnie pił i jadł z innymi oraz wyciągał przyjazną dłoń. Nie wylewał za kołnierz, był wesoły i opiekuńczy w stosunku do kobiet, i to wszystkich, bez względu na pochodzenie.

- Honor pułku nawet za cenę śmierci - oświadczył, patrząc na Aleksandrę groźnym wzrokiem.

- Za cenę śmierci?

Pułkownik wyjaśnił, że szlify należało chronić własnym życiem, bo symbolizowały to, kim się jest. Dlatego wszyscy oficerowie Zamoyskiego zawsze noszą przy sobie (tu pułkownik pochylił się, stęknął i wyjął zza cholewy mały pistolet) broń, by bronić honoru epoletów. Zerwanie naramiennika oznaczało pojedynek. Jeżeli ktoś nie zdołał zabić kanalii, dopuszczającej się obrazy naramienników, należało skierować pistolet na siebie.

Ojejku! - pomyślała Aleksandra, odchylając się na oparcie fotela z nadzieją, że to da jej czas na oswojenie się z tą kwestią.

- Polska - powiedział nagle pułkownik z powagą, w której wyczuła ukryte znacze-

nie.

- Polska? - powtórzyła, zaskoczona dziwną logiką. Jeszcze przed chwilą mówił o konieczności - nie, o obowiązku popełnienia samobójstwa, jeżeli zostanie splamiony honor munduru.

- To Chrystus narodów - rzekł niskim głosem, oglądając się przez ramię, jakby za chwilę miała się pojawić tajna policja. - Rozdarta na trzy i pozostawiona, by zgnić w trujących brzuchach szatańskiej trójki.

Aleksandra zmarszczyła czoło, usiłując znaleźć jakiś rozsądny związek między Polską a rozdarciem munduru. Co zaś się tyczy szatańskiej trójki, domyśliła się, że miał na myśli rozbiór niegdyś wielkiego narodu między trzy państwa: Prusy, Austrię i Rosję.

- Ale co to ma wspólnego z epoletami? - spytała.

- Bardzo wiele - odpowiedział.

- Aha - mruknęła z zakłopotaniem. - A dlaczego?

- Bo jesteśmy polskim pułkiem - wyjaśnił pewnym siebie tonem, jakby stwierdzał oczywisty fakt.

- Ale Polski już nie ma - odparła zaskoczona.

- Pozostał w nas polski duch. Jesteśmy żywym sercem rodu Zamoyskich, wielkich polskich magnatów. Jesteśmy dziedzicami polskiego konia, potomkami najlepszej kawalerii, jaką znała Europa.

- Ale jesteśmy przecież Rosjanami - upierała się przy swoim do reszty skołowana Aleksandra.

- Proszę tak nie mówić. - W jego oczach błysnęły łzy. - Sercem jestem Polakiem, tak jak wszyscy huzarzy z pułku Zamoyskiego.

Choć Aleksandra miała w głowie zamęt, to jednak poczuła się obrażona sugestią, że utożsamia się ją z tymi przemądrzałymi Polakami. Wielkie snoby wschodniej Europy. Przy lada okazji przypominali silniejszym sąsiadom o wyższości polskiej kultury i dobrych manier, z rozkoszą dorzucając również to, że jeszcze nie tak dawno rosyjskie książki pisano po polsku, bo język rosyjski okazał się zbyt ubogi, by wyrazić delikatną myśl, zbyt chropawy i suchy jak kartofel wykopany z ziemi i nieoczyszczony z wiejskiego brudu. „Nadal jecie surowe mięso?” - usłyszała z ust jednego z nich przy kolacji, gdy

podano na stół tatar. Tacy byli ci hardzi Polacy Owa hardość wyzierała również z kodeksu wojskowego który przedkładał honor i odwagę nad roztropność, jakby Polacy byli zbyt dumni, by cenić wartość codziennego, przyziemnego sukcesu. Nie dla nich ukradkowsy, tchórzliwy choć błyskotliwy odwrót Kutuzowa przed Napoleonem o czym się właśnie uczyła. W bitwie zachowywali się jak szaleńcy i szczęśliwi samobójcy, nie dbając o to, że zginą byleby z honorem. Lepsze samobójstwo niż dyshonor. Epolety i Polska - nareszcie doszukała się w tym logicznego związku, ale to jej nie przekonało. Polski pułk z polskimi zasadami?

- To musiało być wspaniałe - tak pędzić konno po polskich równinach w poszumie husarskich skrzydeł, by zetrzeć w proch hordy tatarskie, pokonać Turków u bram Wiednia i ocalić kontynent przed niewiernymi, rozbić prymitywnych germańskich rycerzy, wbić w ziemię plugawe szwedzkie nosy.

- Ale pan jest Rosjaninem - stwierdziła Aleksandra. - I na szczęście ja też jestem Rosjanką.

- Wiem - odparł pułkownik. - Ale chyba mogę sobie pomarzyć, nawet jeżeli pani nie ma wyobraźni ani duszy.

Kiedy po trzech miesiącach codziennych treningów i wyteżonej nauki Aleksandra potrafiła podkuć konia, wyrecytować z pamięci dwadzieścia stron regulaminu wojskowego, rozprawiać mądrze o taktyce, dyscyplinie i musztrze, galopować po polu, zdjąć siodło i trzymać je na ręku, przeskakiwać trzy niskie płoty bez spadnięcia z konia, pozwolono jej wreszcie podejść do egzaminu, który zdała.

Pewnego dnia świeżo upieczony oficer, ubrany w czerwono-biały mundur huzarów Zamoyskiego, dosiadł konia, wielkiego czarnego ogiera imieniem Herkules, wybranego przez pułkownika Spirkina, i wyjechał z miasta w towarzystwie ordynansa i masztalerza, którzy przybyli do Petersburga po swego oficera, by dołączył do pułku, odbywającego manewry jakieś pięćdziesiąt kilometrów za miastem.

Praskowia, płacząc rzewnie, stała przed pałacem, machała chusteczką na pożegnanie, a w myślach widziała już wszystkie smakowite rzeczy, które sobie kupi po odjeździe pani. Najpierw jednak zwolni stangreta i zatrzyma jego pensję dla siebie.

Późnym popołudniem cała trójka wyjechała na drogę prowadzącą ku małym wio-

skom, gdzie kwaterował pułk. Nie spieszili się, bo nadeszła pora białych nocy, inaczej zwanych północnym słońcem. Oznaczało to, że co najmniej przez miesiąc nie będzie zupełnie ciemno. Aleksandra nie miała odwagi odezwać się do swoich towarzyszy, chociaż służyli pod jej rozkazami, gotowi na każde zawołanie. Jeden miał się opiekować końmi, drugi pełnić rolę osobistego służącego. Patrzyła przed siebie, a koń, unosząc miarowo muskularny zad, kołysał ją w siodle łagodnie jak do snu.

Droga z brukowanej zmieniła się w wąski piaszczysty trakt porośnięty na poboczach zielonymi drzewami. Aleksandra utkwiała wzrok w uszach konia, które żyły własnym życiem, chwytając dźwięki dla niej niesłyszalne. Od czasu do czasu spoglądała w niebo ponad koronami drzew, obserwując nadchodzący zmierzch.

- Wasza miłość - odezwał się ordynans Paweł, podjeżdżając do niej. - Proszę o pozwolenie oddalenia się za potrzebą.

O matko! - przeraziła się Aleksandra. Co zrobi, gdy sama będzie musiała pójść na stronę, zanim dotrą do miasteczka? Przecież nie może tak po prostu przykucnąć pod drzewem albo iść w krzaki jak kobieta. Nie przewidziała tej sytuacji.

- Zezwalam - powiedziała, czując lekkie drżenie dłoni, ściągających wodze.

Paweł nawet się nie odwrócił i trzymając w dłoniach swój instrument, skierował strumień moczu na drzewo. Aleksandra po raz pierwszy widziała tę rzecz w całej okazałości. Nie chciała patrzeć, ale nie mogła odwrócić wzroku. Kiedy masztalerz skończył, potrząsnął członkiem niczym drapieżnik szyją swej ofiary z zamiarem jej przetrącenia.

Paweł dosiadł konia i gdy ruszyli w dalszą drogę, zaczął bez żenady opowiadać ordynansowi o imieniu Nikifor o swoich wyczynach z pewną pokojówką na polu za stogiem siana. Aleksandra zastanawiała się, dlaczego oni zawsze muszą siusiać na drzewo. Czemu nie na ziemię jak kobiety? Paweł patrzył z dumą na złocisty strumień, celując nim w drzewo, i uśmiechał się z satysfakcją, kiedy trafił w cel. Czy wszystko musi być od razu wyczynem?

Wieś, do której zmierzali, nazywała się Warioszka. Była to raczej osada. Jej pierwszym zwiastunem był dym unoszący się z wiejskich chat. Herkules wyczuł, że kolacja już blisko, bo zrobił się niespokojny i zaczął szarpać uzdę, dopóki Aleksandra nie puściła go kłusem. Nie pomogło to, co prawda, jej pęcherzowi, ale zapowiadało rychłą ulgę. Mu-

siała się z tym wstrzymać do czasu, aż zsiądzie z konia. Potem jeszcze należało dopilnować, by Paweł odprowadził wierzchowca, pójść do chaty, nazywanej tu karczmą, i zameldować się u dowódcy pułku. Spożywał właśnie posiłek w otoczeniu swoich sztabowców, a młoda wiejska dziewczyna z brudnymi bosymi stopami przygrywała na bałałajce z pękniętą struną.

Pułkownik, potężny mężczyzna, obrzucił przybyszów podejrzliwym spojrzeniem, obojętnie przyjął meldunek i wrócił do kolacji. Jego wielkie szczęki zaczęły znowu pracować nad skrzydłem kurczęcia, które trzymał w tłustych palcach. Zaniepokojony Nikifor odczekał jakiś czas, nim ponownie ośmielił się odezwać. Aleksandra również poczuła niepokój, lecz stała sztywno na baczność, trzymając czako w zgięciu łokcia i usiłując nie zwracać uwagi na pełny pęcherz. Dowódca rozerwał pierś kurczaka i wgryzł się w delikatne białe mięso. Bałałajka nie przestawała brzęczeć. Pułkownik oblizał tłuste palce i odgryzł następny kawałek mięsa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ekscelencjo - odezwał się ordynans.

Pułkownik przerwał jedzenie i spojrzał wrogo na nieśmiałego ordynansa. Małe oczka dowódcy zdawały się ginać w fałdach policzków.

- Proszę wybaczyć, ale nie przydzielił pan szwadronu kornetowi hrabiemu Karpac kiemu. Do jakiego szwadronu otrzymuje przydział?

Aleksandrze zdawało się, że czeka całą wieczność na odpowiedź pułkownika.

- Uljanowa - rzekł dowódca, po czym dał znak, że audiencja skończona. - Są w polu.

Ulga, błogosławiona ulga. Aleksandra siedziała na nocniku w swojej nowej jednoizbowej kwaterze i myślała o zbliżającym się spotkaniu z Uljanowem. Czy to naprawdę był ten sam Uljanow, którego znała i który się jej oświadczył, który ją obejmował i jej dotykał? Oczywiście, że tak. Przecież to jego pułk. Och, dlaczego nie pomyślała o innym? Słyszała niecierpliwy stukot butów Nikifora, spacerującego po żwirze przed chatą. Zignorowała go. Oczywiście spodziewała się, że spotka Uljanowa, nie przypuszczała jednak, że będzie służyć pod jego dowództwem. To najbardziej ją irytowało. Krew się w niej burzyła na myśl o wykonywaniu jego rozkazów.

Mimo to czuła się szczęśliwa. Ciekawe dlaczego - myślała, opierając łokcie na ko-

lanach i brodę na zaciśniętych w pięści dłoniach. Ta nędzna chata, którą musiała dzielić z jeszcze nieznanym jej oficerem (na brudnej podłodze stały jego oficerki), wydała się przytulnym schronieniem. A przecież czekało ją spanie na podłodze, na wypchanym słomą sienniku. To dopiero odmiana! Maleńkie okno zalewała upiorna jasność letniej rosyjskiej nocy. Aleksandra mogła jedynie domyślać się ukrytych za tą poświatą gwiazd.

Wyszła z chaty, wciągnęła głęboko powietrze w płuca i ponownie dosiadła Herkulesa. Paweł i Nikifor jechali za nią na swoich wierzchowcach, pozwalając jej prowadzić jako oficerowi, chociaż nie miała pojęcia, dokąd jechać. Drogą - wyjaśnili - a potem w pole.

W pole. Jak to cudownie brzmiało! Pole bitwy. Czy weźmie udział w walce, pozna smak pierwszej krwi? Będzie gnać po równinach, słuchając szumu wiatru w uszach, jak opowiadał pułkownik Spirkin?

Pole okazało się jednak zwykłą łąką na skraju przerzedzonego lasu, w którym czwarty szwadron „zasadził się” na grzyby. W srebrzystym świetle wieczoru migają wśród drzew sylwetki żołnierzy. Szli pochyleni, trzymając w rękach odwrócone czapki, do których wkładali to, co znaleźli.

Paweł stanął w strzemionach i popatrzył w stronę drzew.

- Widzę go - powiedział i skierował tam konia.

Aleksandra też go zobaczyła. Uljanow leżał w trawie, z dolmanem pod głową i złożonymi na brzuchu rękoma. Nie wstał na ich powitanie. Oczy miał zamknięte i nie otworzył ich.

- Ciii - szepnął jego kozacki ordynans, który stał nad Uljanowem, jakby trzymał straż. Na ogorzałej twarzy żołnierza malował się wyraz irytacji na myśl o tym, że kapitan może zostać obudzony z tak trywialnego powodu jak przedstawienie nowego oficera. - On odpoczywa. Miał dużo pracy z miejscowymi kobietami. Wszyscy o tym wiemy.

Służbista Nikifor postąpił jednak krok do przodu, płonąc z niecierpliwości, by dokonać prezentacji zgodnie z protokołem.

- Ekscelencjo - oznajmił pewnym głosem, stukając obcasami i wykonując szybki skłon głową. - Mam obowiązek przedstawić korneta hrabiego Anatolija Karpackiego. Przybył właśnie z Petersburga na miejsce korneta Jurija Arkadjewicza, którego, niestety,



wyrzucono z pułku.

Aleksandra zrobiła krok w przód, lecz Uljanow nawet się nie poruszył.

- Ekscelencjo! - krzyknął Nikifor. - Melduję przybycie korneta hrabiego Anatolija Karpackiego!

Nie bardzo wiedząc, co robić, Aleksandra pochyliła się i spojrzała w spokojną twarz śpiącego. Zauważyła kilkudniowy zarost na brodzie i policzkach oraz rozpiętą bluzę. To było niezgodne z regulaminem. Miała ochotę trącić go czubkiem buta, a jeszcze bardziej kopnąć. Dostałby nauczkę za takie traktowanie oficera.

Nikifor przestąpił niecierpliwie z nogi na nogę. Kozacki ordynans wysunął brodę i złapał za rękojeść szabli.

Uljanow otworzył oczy, zobaczył pochyloną nad nim twarz, popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym zamknął oczy, odwrócił się na bok i podłożył ręce pod głowę.

- Jaki miły sen! - powiedział.

- Dość tego! - wrzasnął kozacki ordynans i machnął Nikiforowi szablą przed nosem. Ten jednak nie zwracał na niego uwagi.

- Jakie są pańskie rozkazy? - zwrócił się do śpiącej postaci.

- Ej! - krzyknął czerwony na twarzy sierżant, który siedział na ziemi i rwał płatki stokrotek. - To moja rola! On wydaje rozkazy mnie, a ja przekazuję je innym. - Poderwał się z ziemi i stuknął obcasami.

- Co pan rozkaże, panie kapitanie?

- Och... niech idzie zbierać grzyby - padła od niechcienia rzucona odpowiedź.

Sierżant wyprostował się na baczność i odwrócił do Aleksandry.

- Kapitan Mecklenburg-Uljanow rozkazuje kornetowi hrabiemu jak-mu-tam zbierać grzyby.

Zapomniał nazwiska nowego oficera, ale resztę przekazał zgodnie z regulaminem. Potem usiadł w trawie i zerwał następną stokrotkę.

Tak więc Aleksandra dołączyła do setki innych ubranych jak na paradę żołnierzy, którzy skradali się cicho, z pochylonymi ku ziemi głowami, mocząc buty w wieczornej rosie.

Grzybobranie, ulubiona rozrywka Rosjan, przemawia do czegoś nieokreślonego w

ich duszy. Dziko rosnące grzyby rodzą się w przesyconym melancholią powietrzu, w specyficznym północnym krajobrazie popielatych brzóz i smętnych jodeł. Jakże rosyjskie w charakterze są te grzyby - o nieokreślonych kolorach, takich jak kości czy kurzu, lub pozbawione barw. Są typowym produktem ubogiej europejskiej gleby. Można odnaleźć w nich smak dymu, pustych dróg, ostrej zimy, białego nieba.

W drodze powrotnej do wsi zmęczeni żołnierze trzymali czapki, te zaimprovizowane koszyki, przed sobą na siodłach. Wracali ze śpiewem na ustach, dając znać o swoim przybyciu gospodarzom, u których kwaterowali. Tymczasem kobiety w czerwonych chustkach i zniszczonych spódnicach chodziły tam i z powrotem po kuchni, czekając na nich z gorącymi rondlami. Skwierczało w nich masło, cebula i śmietana. Aleksandra nie miała jednak jeść z żołnierzami ze szwadronu, bo oficerowie spożywali posiłki w karczmie.

Kiedy zsiadła z konia przed swoją kwaterą, Nikifor, który wrócił wcześniej, pojawił się z miską gorącej wody i kawałkiem mydła. Postawił je na ławce przed chatą i patrzył z niepokojem, jak kornet Karpacki nabiera w dłonie wody i moczy twarz, obawiając się, czy aby nie jest za gorąca. Następnie zerwał z ramienia ręcznik, gdy oficer odwrócił się do niego z mokrą twarzą. Praskowii nawet by do głowy nie przyszło, by się tak starać. Na myśl o czymś takim wybuchnęłaby śmiechem. Aleksandra roześmiała się, ciesząc się uroczym wieczorem i nadzwyczajną wolnością.

- Proszę mi wybaczyć, że popędzam, ale dziś wieczór je z nami pułkownik i nie możemy się spóźnić - odezwał się cichym głosem Nikifor, gdy wytarła do sucha twarz. - Wszyscy pewnie już tam są.

- Czy on nie jadł kolacji, kiedy go widzieliśmy w karczmie?

- Ciii. - Nikifor przycisnął palec do ust. - O tym się nie mówi.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział. Aleksandra mogła się jedynie domyślić, że pułkownik jest wrażliwy na punkcie swojej tuszy. To był temat tabu, zwłaszcza liczba posiłków.

- Możemy o tym mówić tylko wtedy, gdy on chce, byśmy go podziwiali - wyjaśnił Nikifor.

- Podziwiali?

- Tak. On często rzuca sobie wyzwanie. Ustala cel i stara się go osiągnąć. Wówczas lubi mieć publiczność.

- Czemu nie rzuci wyzwania komuś innemu?

Ordynans pokręcił ze smutkiem głową.

- Bo nie ma sobie równego.

Aleksandra nie mogła się doczekać, by zobaczyć tego człowieka w akcji. W narodzie łasuchów brak przeciwnika był czymś niespotykanym.

- Czy on co wieczór z nami jada? - spytała z nadzieją w głosie.

- Nie, wasza miłość. Pułk stacjonuje w wielu wsiach i z każdym szwadronem pułkownik je raz w tygodniu. To daje sześć wieczorów.

- A siódmego dnia odpoczywa?

- Nie, wasza miłość, zaczyna od nowa.

Nikifor przełożył grzyby Aleksandry z czerwono-śliwkowego czaka ozdobionego złotem do wielkiej chusty, po czym wytarł wnętrze czaka ręcznikiem. Aleksandra włożyła je na głowę, umocowała pasek pod brodą i dziarsko zarzuciła na ramię obszuty barankiem dolman. Ordynans ukląkł i wyczyścił jej buty, plując na nie i polerując ręcznikiem. Aleksandra doszła do wniosku, że nigdy jeszcze nie miała na sobie czegoś równie wspaniałego jak mundur huzara. Składał się z obcisłej bluzy ze złotymi szamerunkami, na które zużyto co najmniej pół kilograma złotej taśmy, opiętych bryczesów, ozdobionych na udach wyszyciami w skomplikowane wzory, błyszczących wysokich butów z chwastami, czaka, zarzuconej na ramię kurtki zwanej dolmanem, błyszczącej szabli i przymocowanych w pasie wyszywanych kieszeni oraz woreczków. Był w tym stroju barbarzyński urok i wschodni przepych, jego części składowe nie miały żadnego użytecznego przeznaczenia, za to uwznioślały duszę, dodawały jej wojowniczości, by była zdolna do walecznych czynów, odpowiadających wspaniałości munduru. Niech ma się na baczności ten, kto się ośmieli go zhańbić. Aleksandra czuła, że w tym wspaniałym mundurze z łatwością mogłaby kogoś zabić.

Ruszyła do karczmy, dzwoniąc ostrogami, z przypiętą do boku szablą. Kilka kroków za nią szedł Nikifor z chustą pełną grzybów. Jednak cała jej odwaga wyparowała w chwili, gdy otworzyła drzwi karczmy i zobaczyła utkwione w siebie oczy siedzących

przy stole oficerów. Ujrzała dziewięć twarzy o różnych proporcjach, wysoko sklepionych czołach, ostro zarysowanych podbródkach, wydatnych nosach i karnacjach w dwóch odcieniach. Wszystkie te cechy składały się na męskie rysy i odróżniały je od kobiecych. Z trudem przełknęła ślinę. Czy oni się domyślą? A może to już się stało? Czy przyszło im do głowy, że jest dla nich kimś w dwójnasób obcym? Wskutek choroby i dzięki treningom straciła zbędne kilogramy, piersi stały się prawie płaskie, a biodra wąskie jak u mężczyzny; chociaż epolety poszerzały jej ramiona, a włosy były obcięte po męsku, nie mogła jednak zmienić delikatnych rysów twarzy i wypełnić pustego miejsca w spodniach, na które pewnie tamci się gapili.

Poczuła, że ma mokre od potu dłonie.

Co oni zrobią? Wyśmieją ją? Obrzucą czymś? Wypędzą? A może ściagną z niej mundur, a potem przytrzymają i ukarzą za arogancję, wypełniając, każdy po kolei, to puste miejsce.

Jeden z oficerów wstał i wznosił kieliszek.

- Kornecie Anatoliju, hrabio Karpacki! Witamy w pułku!

- Hura! Hura! Hura! - krzyknęli wszyscy.

- Za cara!

- Za sławę pułku!

Dziewięć kieliszków uniosło się do dziewięciorga ust, dziewięć gardeł przyjęło ich zawartość i dziewięć kieliszków z brękiem rozbiło się o podłogę.

Młodszy oficerowie zerwali się z miejsc, wskoczyli na stół, jakby chcieli dać upust rozpierającej ich energii oraz radości z przybycia nowego oficera i kolegi, i podbiegli, by go przywitać. Ściskali jej rękę, klepali po plecach, obejmowali i w typowo rosyjski sposób całowali po trzykroć w policzki, aż zaczerwieniły się od kontaktu z zarostem, chociaż rano wszyscy się golili. Starsi oficerowie z aprobatą obserwowali tę scenę ze swego miejsca u szczytu stołu.

- Wódka dla naszego brata oficera!

Postawiono przed nią pełny kieliszek. Dziewięć par oczu obserwowało, jak go opróżnia, odrzucając głowę w tył zgodnie z sekretnymi naukami ojca.

- Jeszcze jedna wódka dla naszego brata oficera! - rozległo się wołanie.

Aleksandra wypła następną, ciesząc się, że wszystko tak łatwo poszło i zyskała prawdziwą męską przyjaźń kolegów.

Uljanow, który ze względu na funkcję dowódcy szwadronu siedział obok pułkownika, przyglądał się nowemu oficerowi z niepewnością na twarzy.

- Jeszcze jedna wódka dla naszego brata oficera!

Karczmarz, uśmiechając się chytrze (bo widział to już wiele razy), napełnił kieliszek. Aleksandra przypomniała sobie przestrogę ojca, że aby się nie upić, należy zapewnić żołądkowi odpowiednią porcję tłuszczu i kiszonych ogórków, które zatrzymają wodę w organizmie, a tym samym nie dopuszczają do jego odwodnienia i podrażnienia ścianek żołądka. Dlatego sięgnęła po talerz z kielbasą i ogórkami. Wówczas usłyszała pomruki dezaprobaty. Zrozumiała, że to częstowanie wódką nie jest zwykłą oznaką przyjaźni czy ugoszczenia nowo przybyłego.

- To nieuczciwe! - To oszustwo!

- Zabierzcie mu tę kielbasę!

Żołądek Aleksandry, który przez cały dzień spał, obudził się i zaczął się głośno domagać swoich praw. W proteście przeciw zaniedbywaniu go ścisnął się gwałtownie. Och, dlaczego nie zjadła kanapek i sera, które Praskowia dla niej przygotowała?

W oczach młodszych oficerów płonęło wyzwanie, a starsi przyglądali się z sympatią temu obrzędowi inicjacyjnemu i próbie męskiej wytrzymałości, bo wszyscy przez nią przeszli, więc i ten chłopiec także powinien. Uljanow, widząc nad sztywnym kołnierzem młodego korneta twarz hrabianki, pomyślał, że chyba traci zmysły. Pułkownik pochłaniał posiłek i nawet nie podniósł wzroku.

Aleksandra chwyciła kieliszek i uśmiechając się krzywo do patrzących na nią z wyczekiwaniem dziewięciu par oczu, uniosła go do ust. Wypiła jednym haustem, po czym z głośnym stuknięciem odstawiła szkło na stół i otarła usta wierzchem dłoni. Ile jeszcze zdoła znieść? Żołądek, uraczony żrącą wódką zamiast jedzenia, wydał głośny pomruk. Jeszcze jeden kieliszek i ona padnie. A co tamci sobie wtedy pomyślą? Ale, zdaje się, tego właśnie oczekiwali po nowo przybyłym.

- Jeszcze jedna wódka dla naszego brata oficera!

Karczmarz ponownie napełnił kieliszek.

Aleksandra utkwiała wzrok w ten zgubny, morderczy eliksir. Przez chwilę miała ochotę się rozplakać, szukać we łzach pociechy i schronienia, jednak stłumiła w sobie ten impuls.

Weszła do świata mężczyzn, którego istotą była bezsensowna odwaga, i powinna przyjąć obowiązujące w nim zasady. Oczywiście, jeżeli chciała w nim pozostać.

Niedoczekanie wasze! Skoro tak, to będzie grała według ich reguł. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na pułkownika, który jadł w milczeniu, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje, i wstała ze swego miejsca.

- Wyzywam was - oznajmiła.

Wśród oficerów rozległ się pomruk zaskoczenia. Wyzywa ich na co? Na pojedynek? Przecież nie złamali żadnych zasad, okazywali tylko przyjaźń, zapraszali kolegę do picia.

- Na pojedynek w jedzeniu.

Pułkownik uniósł wzrok znad talerza. Udało się.

- To nieuczciwe! - zawołał jeden z młodszych oficerów. - To pojedynek na kieliszki! Nie wolno niczego zjeść, dopóki się nie upijesz.

Pułkownik milczał. Zaległa cisza. Znając jego możliwości i pragnienie wypróbowania ich w pojedynku z godnym siebie przeciwnikiem, oficerowie wstrzymali oddech i czekali, co on zrobi.

- Wspaniały pomysł, młody człowieku - rzekł pułkownik z uśmiechem. Jego okrutna twarz złagodniała na myśl o zaprezentowaniu swoich talentów. - Od ponad roku nie miałem takiej okazji. Nie było z kim się zmierzyć. Chętnie zobaczę, co potrafisz. Jaką broń wybierasz?

Młodszy oficerowie westchnęli, zawiedzeni, że ich własny pojedynek nie dojdzie do skutku.

Pułkownik ważył ze sto trzydzieści kilogramów. Aleksandra nie miała więc żadnych szans. Ale przynajmniej odciągnie uwagę kolegów od wódki i dostarczy żołądkowi trochę pokarmu, zanim zemdleje, zwymiotuje lub umrze.

- Jajka - odpowiedziała. Były pożywne i lekkostrawne.

- Gotowane czy smażone? - spytał pułkownik, odsuwając talerz.



- Gotowane. I kiszone ogórki.

- Rozsądny wybór - pochwalił pułkownik. - Szybkość czy ilość?

Jedzenie jaj na twardo na czas i przegryzanie ich kiszonymi ogórkami z czosnkiem groziło kłopotami żołądkowymi i rychłym końcem pojedynku na korzyść pułkownika, zwłaszcza po wypitej przez nią wódce. Powinna przynajmniej wyjść z tego z honorem. Zmierzyła wzrokiem przeciwnika. Tak, był duży, ale ona też. Mogła zjeść więcej od kobiety średniego wzrostu, w dodatku miała pusty brzuch, podczas gdy on przez cały dzień się opychał. Nie, to nie będzie zbyt krepujące.

- Ilość - zdecydowała. - Najpierw jednak chciałbym coś przekąsić. Zjeść moje grzyby uduszone w śmietanie. I trochę chleba, zanim jajka się ugotują. Widzę na stole kielbasę. Czy ekscelencja pozwoli?

Pułkownik spojrzał na nią z uwagą.

- Jest pan pewny? To może postawić pana w niekorzystnej sytuacji.

Oczywiście był to z jej strony wybieg. Chciała nie tylko dostarczyć żołądkowi pożywienia, lecz również uniemożliwić młodszym oficerom wmuszenie w nią kolejnej porcji wódki w czasie, gdy jajka będą się gotować.

- W ten sposób wyrównamy nasze szanse, panie pułkowniku. Jeszcze nic nie jadłem, a nie chciałbym wykorzystać faktu, że pan jest już po kolacji. - I to podwójnej - miała ochotę dodać, ale się powstrzymała.

- Bardzo uczciwie - stwierdził pułkownik. - Doceniam to. Tak, zdążyłem już coś zjeść. Szanse nie byłyby równe.

Aleksandra sięgnęła po kielbasę. Żuła ją wolno, patrząc wyzywająco na młodszych oficerów. Nic nie mogli na to poradzić.

Nikifor rzucił karczmarzowi chustę z grzybami i wybiegł na dwór.

- Pojedynek! Pojedynek! - zawołał. - Nowy kornet wyzwiał naszego pułkownika!

Huzarzy zaczęli pospiesznie zapinać kurtki, wciągać spodnie i buty, po czym zgromadzili się pod oknami i w otwartych drzwiach karczmy. Wkrótce dołączyli do nich miejscowi i zaczęli się przepychać do przodu, by lepiej widzieć. Dzieci wspinały się dorosłym na ramiona, a kobiety stawały na palcach, chcąc zajrzeć do środka.

Wójt zajął się zbieraniem zakładów, a jego wnuczka zapisywała patykiem na pia-

sku nazwiska, stawiając koślawe litery i robiąc błędy ortograficzne. Wkrótce pokryły one cały teren wokół karczmy i weszły na drogę. Jednak nieuważny tłum tratował i zasypywał tę prowizoryczną książkę zakładów, więc wybrano inny sposób. Znalaziono kawałek starej gazety i ogryzek ołówka z odsłoniętym grafitem. Był to jedyny we wsi przedmiot do pisania, bo nikt prócz wnuczki wójta nie umiał pisać ani czytać. Ją zaś nauczył miejscowy pop, który z powodu nadużywania wódki często zapominał liter.

Zakłady dawały przewagę pułkownikowi, ale i wiara w boską opiekę nad jego przeciwnikiem też miała zwolenników.

- Tylko spójrzcie na niego. Toż to jeszcze chłopiec. Chudzina - mówili jedni.

- Dawid też był taki, a pokonał Goliata - odpowiadali drudzy z wyższością i szturchali ich w żebra.

Ktoś przyniósł kanapki z boczkiem, ktoś inny ruszt, odkorkowano butelki z wódką. Po plecach lało się piwo, mocząc ubrania, prowokując krzyki i razy. Płakały jakieś dzieci.

Tymczasem Aleksandra zjadła duszone grzyby w śmietanie. Wstała, podeszła do miejsca, gdzie siedział pułkownik, i teatralnym gestem odpięła jeden z guzików kurtki. Potem wzięła serwetkę, wytarła nią ręce, rzuciła zmiętą na ziemię i usiadła na wprost pułkownika. Na stole pojawiła się pierwsza partia gorących, ugotowanych na twardo jaj. Mierząc się wzrokiem, obaj zawodnicy wzięli po jednym jajku i unieśli w górę, by wszyscy mogli zobaczyć.

- Zaczynajcie!

Hrabianka z rozkoszą wbiła zęby w miękkie jajko. Zawsze lubiła jeść, choć nigdy nie miała okazji sprawdzić swoich możliwości. Co prawda, na przyjęciach dotrzymywała kroku mężczyznom, podlegała jednak ograniczeniom, jakie nakładały na nią zasady dobrego wychowania, nakazujące kobietom umiar w jedzeniu. Oczywiście mężczyźni mogli jeść, ile chcieli, co stanowiło kolejny dowód dyskryminacji kobiet; Czemu u mężczyzn tolerowano obżarstwo, a nawet je aprobowano? Dlaczego kobiety musiały koniecznie uosabiać najwyższe cnoty?

Gdybyż tylko Uljanow nie patrzył! Nagle zaczęła mieć wątpliwości, czy chce, by on to oglądał. Należało jednak odrzucić tę kobiecą skromność, bo oto nadarzyła się

wreszcie sposobność, by pokazać, co ona, Aleksandra, potrafi.

Wbiła zęby głębiej w jajko. Było dość suche, a żółtko w środku jeszcze zbyt ciepłe. Trudno będzie je przełknąć. Nie mogła jednak pić za dużo wody, żeby zostawić jak najwięcej miejsca w żołądku.

Skoro czas nie grał roli, pułkownik zaczekał na nią, nim sięgnął po drugie. Pierwsze dwanaście jajek, całą zawartość miski, zjedli równocześnie, z zamkniętymi oczyma, poruszając miarowo szczękami.

- Remis - dobiegł głos od strony drzwi, ogłaszając koniec pierwszej rundy.

Przez tłum przebiegło westchnienie.

Druga runda zaczęła się od kiszonych ogórków, zielonkawobeżowych, wyjętych z solanki. Miały wyborny, ostry smak, lecz zawierały dużo wody. Aleksandra wiedziała, że powinna uważać, bo mogą ją szybko wyeliminować z pojedynku.

Zasalutowała przeciwnikowi ogórkiem (*morituri te salutant!*) i wbiła zęby w twardą skórkę, oblewając sobie pierś sokiem. Pułkownik zrobił to samo. Uśmiechnęli się do siebie i poświęcili sztuce jedzenia. Z talerza zniknęło sześć dorodnych okazów, które zostały ze smakiem schrupane.

- Koniec drugiej rundy. Remis.

Czekając na kolejną porcję jaj, pułkownik - którego kurtka była na tyle obszerna, że nie musiał rozpinać guzików - rozparł się w krześle i wdał w filozoficzne rozważania o jedzeniu.

- Mogłoby się wydawać, że taki monotony posiłek, jajko za jajkiem, ogórek za ogórkiem, niszczy apetyt, tymczasem jest odwrotnie. Za rzadko zwracamy uwagę na różnorodność smakową poszczególnych okazów jednej kategorii w ich czystej formie. Pozwolę sobie to wyjaśnić. Ktoś mógłby powiedzieć, że jajko to jajko, że wszystkie smakują jednakowo. Jeśli jednak zwróci się bacniejszą uwagę, wyczuje się subtelne różnice. Roczники tego samego gatunku wina na przykład mogą się minimalnie różnić smakiem i zapachem zależnie od miejsca dojrzewania winorośli, czyli od tego, ile otrzymała słońca, jakie szkody poczynił wiatr i ile spadło na nią deszczu. Podobnie jest z jajkami. Ich smak zależy od gatunku kury, od tego, co w danym dniu jadła, nawet od jej nastroju.

- Wszystkie jajka pochodzą od kury Pelagii - oznajmił karczmarz urażonym tonem.
- Je zawsze to samo, według niej za mało, i zawsze jest w złym nastroju.

Postawił trochę zbyt energicznie na stole nową porcję gotowanych jaj.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział pułkownik, skłaniając głowę. - Nie kwestionuję jakości znoszonych przez Pelagię jajek. Jedynie stwierdzam fakt. - Ujął jajko w palce i podniósł do góry. - Jak często w nawale codziennych obowiązków mamy okazję podziwiać piękno i złożoną strukturę jajka, doświadczać jego subtelnej magii?

Aleksandra przyznała, że do tej pory nie zwracała uwagi na piękno jajka. Po prostu je zjadała i koniec.

- Do tego właśnie zmierzam. Proszę zwrócić uwagę na jego idealny kształt, dzięki któremu z taką łatwością wydostaje się na świat. Z jednego końca jest okrągłe jak główka dziecka, a z drugiego spiczaste, by kura łatwo mogła je znieść, a po nim kolejne w niekończącym się łańcuchu identycznych produktów, uosabiających wieczność.

Aleksandra przyznała, że jajko rzeczywiście ma w sobie wielką magię.

- A wewnątrz tej czystej bieli... - tu pułkownik ugryzł kawałek - ...tkwi miniaturowe słońce.

Aleksandra ośmieliła się wysunąć tezę, że powszechność jajka w światowej kuchni wynika zarówno z jego symbolicznego znaczenia, jak i odżywczych wartości.

- Słuszny wniosek - zgodził się z nią pułkownik. - Zwłaszcza w północnym klimacie, takim jak nasz, gdzie słońce ma magiczne znaczenie, a czerpanie z jego cennego ciepła daje specjalną moc.

- Dlatego jajko ma takie znaczenie w rosyjskiej ikonografii - dodała Aleksandra. - Jego biel oddaje pewien duchowy aspekt, czystość duszy, transcendentalną negację własnego ja w łączności z Bogiem. Rosja zawsze była duchowym przywódcą.

- Proszę jeść jajka - warknął karczmarz.

Zaczęła się kolejna runda. Żując powoli, Aleksandra naprawdę poczuła się w duchowej łączności z jajkiem. Jeżeli się na tym nie skupi, to przepadła.

Przyszła kolej na ogórki. Aleksandra zwolniła.

Jajka.

Ogórki.

Jajka.

- Koniec rundy siódmej. Przewaga pułkownika.

Aleksandra zebrała się w sobie, wydobywając z wnętrza duszy siłę, o jaką siebie nawet nie podejrzewała. Pułkownik też zaczął słabnąć, jego możliwości zostały ograniczone przez spoczywające w żołądku dwie obfite kolacje. Aleksandra wysunęła się na prowadzenie.

- Runda ósma. Przewaga korneta.

Pułkownik jednakowoż nie dał się tak łatwo pokonać. Wezwał na pomoc całą dyscyplinę wyrobioną przez lata spędzone w wojsku i zmusił organizm do takiego wysiłku, że jajka zaczęły znikać mu w ustach niczym płatki śniegu. Opróżnił miskę do czysta i spojrzał na Aleksandrę. Tłum wstrzymał oddech. Czy poprosi o następne?

- Poddaję się - powiedziała.

Tyle wysiłku i pozostał tylko wstyd. Wcale nie czuła się dumna, chociaż walczyła dzielnie. Nie osiągnęła więcej, niż mogła, nie pokonała własnych ograniczeń. Czuła się okropnie. Co właściwie osiągnęła? Brzuch miała taki wzdęty, jakby połknęła kulę ziemską. Uległa męskiemu nakazowi zmuszającemu do bezsensownej brawury i teraz była chora z bólu. I co sobie pomyślał Uljanow? Nie zależało jej na nim, ale skoro uważał ją za pociągającą, to chciałaby taką pozostać. To, że nie mógł wiedzieć, iż kornet Karpacki to ona, nie miało w tej chwili znaczenia. Kobieca natura ciągnęła ją w jedną stronę, a obecna sytuacja w drugą.

Marzyła teraz o tym, żeby zaniecono ją do łóżka, delikatnie ułożono, utulono i ucałowano. Żeby posiedziano przy niej, kiedy będzie walczyła z szalejącym systemem trawiennym, na wypadek gdyby miała umrzeć przed nadejściem dnia. Tymczasem zgodnie z drakońskimi męskimi zasadami, nakazującymi dzielnie znosić ból, musiała wrócić na kwaterę o własnych siłach.

I wróciła. Nikifor z podejrzeniem wypchanymi kieszeniami, wskazującymi na zwitki banknotów, szedł obok niej, lecz nie podał jej ramienia. Młodszy oficerowie patrzyli. Musiała sama dojść do chaty.

- Ani słowa - szepnął. - Nawet jęku, bo nie będą pana szanować i nie zaakceptują. Nie wolno panu zwymiotować ani upaść. Proszę się wyprostować i patrzeć pod nogi. Ca-

ły czas patrzeć pod nogi.

Równie dobrze mogła się upić, wyszłoby na jedno. Ale chyba właśnie o to im chodziło. Jednak wygrali.

Leżąc w chacie na sienniku, Aleksandra czuła się jak żywe trofeum zwycięskich oficerów. Wzdęty brzuch zasłaniał stopy, z których Nikifor ściągał buty. Wieczne powietrze przepływało łagodnie między palcami. Poruszyła nimi - jedynymi częściami ciała, którymi miała odwagę poruszyć. Ordynans postawił jej przy sienniku nocnik.

- Dobranoc, wasza miłość - powiedział z ukłonem, po czym wyszedł, Bóg wie dokąd.

Przez otwarte okno wpadało do środka letnie wieczorne powietrze z domieszką arktycznego chłodu, z jego bladym słońcem i białymi bezkresnymi równinami. Była w nim Syberia i Finlandia, i ziemie rdzennych Lapończyków, którzy jedli języki reniferów oraz ubierali się w ich skóry, i zimne pustynie Azji, rozległe niczym kontynent. To szczęście być Rosjaninem w lecie. Kiedy inni pocą się w duszną noc, Rosjanie śpią błogo, wdychając chłodne stepowe powietrze, Aleksandra szybko usnęła.

A we wsi trwała zabawa. Słyszeć było śmiechy, śpiew, rytmiczne stukanie w garnki, pisk przerażonych kurcząt, kwik prosiąt, kroki tańczących, fałszywe dźwięki skrzypiec. Dla Warioszki była to noc pełna wrażeń.



## Rozdział 19

Aleksandra przespala kilka godzin. Obudził ją jakiś hałas - kobiecy chichot, szepty, chrapliwy oddech, jęk, ssący odgłos namiętnego pocałunku, klepnięcie.

- Ciii. - Następne pocałunki. - Nie obudź tego biedaka - szepnął męski głos.

Znowu chichot i kobiecy głos o ostrych wiejskich tonach;

- Niech sobie posłucha i popatrzy. To jak okrasa dla pierożka.

Ciężki oddech, szuranie i głuchy odgłos ciała przyciskanego do ściany. Kolejne pocałunki.

- O, jaki mały pierożek - zdziwił się kobiecy głos. - Co by tu zrobić, żeby urósł? - Sprośny chichot.

- Nie tak mocno - rzekł mężczyzna gniewnym szeptem.

Aleksandra leżała nieruchomo, oddychając przez usta z nadzieją, że jej nie usłyszą. Nie miała zamiaru uczestniczyć w tym, co miało nastąpić, a tym bardziej polewać komuś śmietaną pierożka, lecz gdyby zakryła uszy rękami, mogłaby zwrócić ich uwagę. Och, dlaczego uszy nie były takie jak oczy, z powiekami, które można by zamknąć?

- Ech! - prychnęła lekceważąco kobieta. - Jesteś do niczego. Lepiej by mi wyszło z ogórkiem.

- Daj mi minutkę. Jedną chwileczkę - wyszeptał mężczyzna.

- Już wiem. Obudzę tego chłopca. Zrobi za ciebie, co trzeba.

- Nie, zaczekaj. To właśnie przez niego nie mogę...

- Rzeczywiście nie możesz - przyznała pogardliwym tonem kobieta i zachichotała sprośnie.

- Chciałem powiedzieć, że to przez niego nie mogę się skoncentrować.

- Co z ciebie za mężczyzna! Robiłam to z trzema naraz i jeden patrzył na drugiego, żeby okrasić pierożek. Nieśmiały chłopczyk się znalazł, boisz się, że ktoś zobaczy twój mały ogóreczek?

Mężczyzna najwyraźniej potraktował serio jej pytanie. Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał.

Na jego miejscu złożyłabym jej skórę - pomyślała Aleksandra.

- Nie, nie, to nie to - szepnął w końcu. Jego sposób wysławiania się wskazywał na oficera. - Sęk w tym, że on mi kogoś przypomina. Dziwna sprawa.

Aleksandra gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Uljanow!

- A kogo ci przypomina?

- Nikogo - odparł Uljanow. - Za dużo wypilem. To wszystko.

- Nie podobam ci się - stwierdziła ponuro kobieta.

- Ależ podobasz, i to bardzo.

Jego głos zabrzmiał łagodniej, przeszedł w mruczenie, stał się słodki jak miód. Za chwilę będzie jego - pomyślała Aleksandra, wyobrażając sobie, jak Uljanow przyciska dziewczynę do ściany, unieruchamia jej nogi, tak jak i ją uwięził w lepkiej pajęczynie głosu, ale zdołała się wyrwać.

Nie słuchaj! - chciała krzyknąć do dziewczyny. Powinnyśmy zatkać sobie uszy wołaniem, jak ci żeglarze przy spotkaniu z syrenami. Było jednak za późno. Nagły pisk powiedział Aleksandrze, że dziewczyna jednym silnym pchnięciem została przyszpilona do ściany niczym motyl rozciągnięty na drewnianej desce i zaczęło się rytmiczne pompowanie.

Aleksandra zakryła sobie uszy. Jęki i ciche okrzyki rozpląły się w odgłosach płynących z jej własnego ciała. Wsłuchiwała się w siebie, w wewnętrzną pustkę, którą potęgował chrapliwy oddech i monotonne bicie serca. Nos zaczął ją szczypać i z oczu popłynęły łzy. Nie zdołała ich powstrzymać. Przedarły się przez zasłonę z powiek i spłynęły po policzkach. Nie mogła pojąć, skąd się wzięły.

Okazało się, że Uljanow nie jest jej współlokatorem. Stojące przy sienniku wysokie buty należały do jednego z młodszych oficerów, który czekał cierpliwie na zewnątrz, zagładając od czasu do czasu przez okno, by sprawdzić, czy jego dowódca, kapitan Meklenburg-Uljanow, skończył już swoje spotkanie, a on będzie mógł wrócić na kwaterę.

- Nie śpisz, Karpacki? - zapytał, kiedy Uljanow i jego towarzyszka wymknęli się z chaty, po czym rzucił się na siennik i zaczął ściągać buty. - Nie wiem, jak mogłeś to wytrzymać.

Aleksandra mruknęła coś niewyraźnie, udając, że śpi.

- Robi to co wieczór i zawsze, gdy chcę się położyć. Szału można dostać. Czy to

takie trudne pójść do stodoły? Och, nie odważyłby się sprowadzać dziewcząt do domu kupca. Tam są młode córki i im też by nie przepuścił. Na szczęście ojciec dobrze ich pilnuje.

Aleksandra usłyszała szelest układającego się na sienniku ciała. Przyszło jej do głowy straszne podejrzenie, że jej towarzysz się rozbiera. Miała nadzieję, że się myli. Niestety, jej przypuszczenia się sprawdziły.

- Właściwie to się nie znamy - powiedział oficer, wstając z siennika.

Usłyszała, jak przechodzi przez izbę, stukając bosymi piętami.

- Jestem Łopuchin.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi przed nią nagi, z wyciągniętą ręką i członkiem dyndającym tuż nad nią.

Ojejku! - pomyślała, starając się nie patrzeć. Usiadła i uściśnęła mu dłoń. Łopuchin wrócił na swoje miejsce, wyciągnął się na sienniku i podłożył ręce pod głowę. Nie mogła się powstrzymać, musiała popatrzeć. Nigdy nie widziała nagiego mężczyzny, jedynie wiejskich chłopców z małymi przyrodzeniami, chlapiących się w strumieniu lub pod rynną.

Sądziła wtedy, że te ich przydatki będą rosły proporcjonalnie do wzrostu całego ciała. Te przypuszczenia potwierdziły greckie rzeźby, lecz patrząc na tego młodego mężczyznę bez żadnych zahamowań, przekonała się, jak bardzo się myliła. Jego instrument był ogromny, daleko większy, niż wymagały tego proporcje, i wydawał się błędem konstrukcyjnym, jakby coś rozproszyło uwagę Pana Boga w chwili tworzenia lub może sobie zażartował. Poczła się dezorientowana i przerażona, nie mogła jednak oderwać wzroku od męskiego ciała. Na szczęście nieziemskie światło letniej nocy pozwalało jej na obserwację.

- Dobrze się dziś sprawiłeś, Karpacki - odezwał się Łopuchin. Leżał z zamkniętymi oczyma i nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest obserwowany. - Miałeś świetne wejście. Myśleliśmy, że wcześniej polegniesz, ale się nie dałeś. I zdobyłeś przyjaźń pułkownika. Po twoim wyjściu mówił tylko o tobie. Nie zdziwiłbym się, gdyby mianował cię swoim adiutantem.

Aleksandra przewróciła się na bok i podłożyła rękę pod głowę, by móc patrzeć na

oficera. Miał cudownie płaski tors z nieznacznymi wybrzuszeniami zakończonymi małutkimi brodawkami. Po co mężczyznom brodawki? - przemknęło jej przez myśl. Pewnie to kolejna pomyłka Pana Boga.

- No i co myślisz o Uljanowie? - spytał Łopuchin.

Nie spodziewała się tego pytania. Nie mogła przecież powiedzieć prawdy.

- Wydaje się sympatyczny. Ale trudno mi go oceniać. Jeszcze go nie znam.

- Polubisz go - zapewnił Łopuchin. - To świetny dowódca i prawdziwy mężczyzna. Nie przepuści żadnej kobiecie. Ślubował, że prześpi się z każdą poznaną kobietą. Wszyscy uważają go tu za Boga. Co kilka dni idą do jego ordynansa Babbisza i pytają ile. A on prowadzi kartotekę jak Leporello w tej operze.

- No i ile ich jest? - spytała Aleksandra z nagłą irytacją w głosie.

- Kto to wie? - odparł sennym głosem i zaczął nucić szeptem: - *Ma in spagna, son già mille e tre, son già mille e tre...*

Aleksandra rozpoznała fragment „arii rejestrowej” z *Don Giovanniego*, kiedy to Leporello, służący Don Juana, czyta z kartki rejestr kobiet uwiedzionych przez jego pana: „tyle kobiet tu, tyle tam, ale w Hiszpanii tysiąc i trzy”. Czy naprawdę było ich aż tyle?

- Chcesz powiedzieć, że on prowadzi rejestr? - spytała.

Lecz Łopuchin już spał. Wkrótce i ona przestała walczyć z ciężkimi powiekami i poszła za jego przykładem.

Nagie ciało Łopuchina spoczywało nieruchomo na sienniku, połyskując bielą w porannym słońcu. Aleksandra nie miała teraz odwagi patrzeć na jego nagość z kępkami gęstych czarnych włosów. Był zbyt prawdziwy, jak ta pospolita, nędzna chata, w której kwaterowali. Zbito ją tak nieporządnie, że przez deski przeświecały promienie słońca. Nocnik, stojący na środku izby, cuchnął - Łopuchin musiał korzystać z niego w nocy.

Jakie to dziwne, że tu jestem - pomyślała hrabianka. A więc tak wygląda życie mężczyzn. Nie było jednak czasu na leżenie i rozmyślanie. Pęcherz domagał się swoich praw. Trzeba wstać i ubrać się, zanim Łopuchin się obudzi. Aleksandra podniosła się niepewnie. Bolały ją wszystkie kości, jakby ktoś obił je kijem. Ku swemu zdziwieniu czuła okropny głód; pewnie żołądek rozciągnął się ponad miarę i domagał się więcej. Ale

co tu zrobić? Nie może przecież załatwić się do pełnego nocnika. Poza tym jak miała się umyć?

Na szczęście Nikifor, który czekał na zewnątrz, nasłuchując, czy się obudziła, poinformował ją przez otwarte okno, że zaraz przyniesie wodę do mycia i herbatę. Wszedł do chaty, zabrał nocnik i wyniósł go ostrożnie, by nie rozlać. Usłyszała, jak opróżnia go gdzieś niedaleko okna.

- Proszę zająć się sobą, a ja przyniosę, co trzeba - rzekł, stawiając puste naczynie na podłodze.

Ale jak miała to zrobić w obecności mężczyzny, w dodatku młodego i przystojnego? Skupiwszy uwagę na jego twarzy, żeby nie widzieć reszty, zauważyła, że promienieje ona samozadowoleniem młodości rozkoszującej się wypoczynkiem. Porastające tors mokre od potu kędzierzawe włosy oblepiały muskularną szyję młodzieńca. Aleksandra spojrzała tęsknie na nocnik. Nie, będzie musiała poczekać, aż Łopuchin wyjdzie.

Wrócił Nikifor z miską wody, kawałkiem mydła i ręcznikiem, które postawił na stole między łózkami. Wśród tych rzeczy znalazła się też szklanka gorącej herbaty.

- Proszę wybaczyć, wasza miłość, ale nie mogłem znaleźć brzytwy w pańskich rzeczach - powiedział, prostując się i stukając obcasami.

- Nie zabrałem ze sobą brzytwy - odparła z powagą Aleksandra. - Jeszcze się nie gołę, chociaż czuję, że zaczynają mi rosnać bokobrody. - Przesunęła palcami po policzku.

- No tak, jest pan bardzo młody - stwierdził Nikifor, lecz zanim kiwnął głową, musnął wzrokiem miejsce, które wskazała. Potem wyszedł z izby, by poczekać na nią na zewnątrz.

To nie było takie trudne, pomijając sprawę z nocnikiem. Obmyła twarz wodą, namydliła, spłukała i wytarła ręcznikiem. Kiedyś używała migdałowego kremu, by zmiękczyć suchą skórę twarzy i rąk, ale dawno o nim zapomniała, jak również o lawendowym olejku do kąpieli, płynie do płukania o zapachu gardenii czy pudrze o zapachu płatków róż. Obecne życie niewiele różniło się od poprzedniego. Jeżeli zaś chodzi o skromność, to wystarczyło się odwrócić, rozpiąć bluzę, namydlić się pod pachami, a potem spłukać wodą i wytrzeć ręcznikiem. Bluza była na tyle szeroka, że zasłaniała ją przed wścibskimi

oczyrna. Tak, z tym powinna dać sobie radę.

Pozostawał jednak problem z nocnikiem. Nie miała jednak na to czasu. Zapięła bluzę, zarzuciła dolman na ramię, przypięła szablę i ustawiła czako w zgięciu łokcia. W tym momencie zorientowała się, że nie włożyła butów. Oblała się rumieńcem i usiadła na sienniku, by wciągnąć oficerki.

Nikifor czekał na nią na zewnątrz.

- Co teraz? - spytała, idąc obok niego.

- Do dowództwa zameldować się u kapitana. Potem śniadanie i otrzyma pan rozkazy na dzisiejszy dzień.

Dowództwo mieściło się po drugiej stronie piaszczystej drogi, w tej samej karczmie, w której wczoraj wieczorem Aleksandra nabawiła się bólu żołądka. Wewnątrz zastała Uljanowa, siedzącego u szczytu wielkiego stołu, pochylonego nad papierami, ze szklanką herbaty w ręku. Obok stał pusty talerz, leżały czysty widelec i nóż oraz rozłożona serwetka. Przy stole siedziało trzech młodszych oficerów, a za kapitanem stali trzej sierżanci. Kiedy weszła, wszyscy unieśli głowy. Popatrzyła na leżące przed oficerami talerze ze skorupkami po jajkach, plamami z żółtka, kromkami chleba z wiejskim masłem i serem. Pośrodku leżał bochenek ciemnego chleba w otoczeniu słoików z jasnymi konfiturami. Poczowała wilczy apetyt.

- Kornet hrabia Karpacki melduje się na rozkaz - powiedział Nikifor.

- Dobrze, dobrze - rzucił zirytowanym tonem Uljanow, machnął lekceważąco ręką i spojrział na nowego oficera.

Aleksandra miała teraz okazję przyjrzeć mu się w świetle dnia i zaskoczyła ją zmiana w jego wyglądzie. Pod rozpiętą kurtką widać było wystające kości obojczyka, a ostro zarysowana linia szczęki, z widocznym na niej zarostem, wydatne kości policzkowe i wyciągnięty nos wskazywały, że schudł od czasu ich ostatniego spotkania. Wyraz zmęczenia w błyszczących oczach podkreślały jeszcze ciemne obwódki.

Takiego Uljanowa nie znała. Wydawał się starszy i chociaż w ustach tkwił mu kawałek cygara, z którego wydmuchiwał nad głowę kółka dymu, sprawiał wrażenie przygaszonego i zamkniętego w sobie, jakby zajmował go jakiś wewnętrzny problem, daleko ważniejszy od zewnętrznego świata, który pozbawił blasku jego ciało i wybielił włosy na



skroniach.

Kiedy Aleksandra stanęła przed nim na baczność, trzymając czapkę w zgięciu ramienia, popatrzył na nią tym samym co wczoraj pytającym wzrokiem i zmrużył oczy, jakby chciał jej się dokładniej przyjrzeć. Jeden ze stojących za nim sierżantów - potężny mężczyzna o kręconych szpakowatych włosach - pochylił się i szepnął mu coś do ucha.

- Karpacki - powiedział Uljanow, rzucił okiem na leżące przed nim papiery i zapisał coś ołówkiem. - Czy chciałby pan objąć dowództwo nad swoim plutonem, czy też jest pan zbyt zmęczony po wczorajszym wysiłku?

To ty jesteś zmęczony - miała ochotę się odciąć, ale tylko zacisnęła usta.

Nie słysząc odpowiedzi, podniósł na nią wzrok. Młodszy oficerowie przerwali rozmowę i zaczęli się jej przyglądać.

- Widzę, że nie chce pan dowodzić plutonem - stwierdził Uljanow. - Jest pan najwyraźniej zmęczony. Może chciałby pan dziś zostać w łóżku i wypocząć po wielkiej bitwie z pułkownikiem?

- Nie chciałbym - odparła zdecydowanie, chociaż tego właśnie pragnęła, i dodała: - panie kapitanie - chociaż nie miała na to ochoty.

Traktował ją z wyraźną wrogością. Tylko czy odnosiło się to do Karpackiego, czy do niej? Nie potrafiła rozsądzić. Czowała jedynie, że to on ma teraz nad nią władzę. Ale tego się przecież spodziewała. To była cena, jaką musiała zapłacić za ucieczkę z Petersburga.

- Ach, więc chce pan przejąć komendę nad plutonem. Proszę siadać i pokrzepić się śniadaniem. Może pan jeść, jeść i jeść.

Jego głos brzmiał tak ostro, że młodszy oficerowie nawet się nie zaśmiali z tej wyraźnej drwiny. Dlaczego Uljanow jest taki okrutny?

Aleksandra jadła w milczeniu. Karczmarz zadbał o to, by nie dostała jajek (wygrał sporą sumę we wczorajszych zakładach), i przyniósł ser oraz zimne mięsa. Zjawił się Łopuchin, usiadł na wprost niej i sięgnął po stojące przed nią jedzenie, jakby fakt, że razem mieszkali, pozwalał na taką swobodę. Korzystając z okazji, Aleksandra wstała od stołu, by wrócić na kwaterę i opróżnić pęcherz.

- Karpacki - odezwał się Uljanow. - Dokąd pan idzie? Czyżby miał pan dość na-

szego towarzystwa? A może pan nie wie, że powinien otrzymać pozwolenie na odejście?

Usiadła z powrotem przy stole.

Łopuchin popatrzył zdumiony na Uljanowa, a potem na Aleksandrę i pochylił się ku niej.

- Nie przejmuj się tym - szepnął. - On zwykle jest bardzo życzliwy, zwłaszcza dla nowych. I nie zwraca uwagi na dyscyplinę. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Już od jakiegoś czasu nie jest sobą. Pewnie wciąż się nie może otrząsnąć.

- Z czego? - spytała szeptem Aleksandra.

- Po tej tragedii, za którą się obwinia.

Aleksandra spuściła wzrok i zaczęła się bawić jedzeniem na swoim talerzu. Nie chciała myśleć o roli, jaką odegrała w owej tragedii, lecz w tej chwili tylko to zaprzętało jej umysł. Zabawiła się sercem Uljanowa, odebrała go tej, która go szczerze kochała, chociaż była jedynie służącą. Wykorzystała ten delikatny organ, by zaspokoić własną próżność, doskonalić umiejętności w miłosnych potyczkach i nauczyć się manipulować męskimi uczuciami. Była to taktyka konieczna do przeżycia, ale haniebna. Świadomość tego zepsuła jej humor, a jeszcze parę minut temu cieszyła się, że będzie dowodzić prawdziwym plutonem i wykorzysta w praktyce swoją z takim mozołem zdobytą wiedzę.

Na szczęście wszyscy oficerowie wkrótce wstali od stołu i rozmawiając żywo między sobą, wyszli z karczmy. Poszła za nimi, czując na plecach wzrok Uljanowa. Za drzwiami rzuciła się biegiem do chaty. Mogła wreszcie na osobności skorzystać z nocnika. Kiedy się zapięła, poprawiła mentyk oraz czako i wróciła do karczmy. Przed drzwiami czekał na nią starszy sierżant z kręconymi włosami. Uljanow gdzieś znikł. Pojawił się Paweł, prowadząc Herkulesa. Wielki ogier, nie mogąc się doczekać przejażdżki, parskął i kręcił zadem raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby chciał tańczyć z Pawłem. Masztalerz najwyraźniej źle zrozumiał jego intencje, bo uderzył konia w sam środek szerokich ciemnych chrap. Na widok zmierzającej ku niemu z wyrazem dezaprobaty na twarzy Aleksandry spuścił głowę i wymruczał przeprosiny.

Aleksandra uspokoiła wierzchowca, gładząc go po pysku. Herkules zaczął wpychać jej w dłonie delikatne niczym aksamit chrapy w poszukiwaniu smakołyków. Z pewnością nic mu się nie stało i być może nawet nie poczuł uderzenia, lecz chciał wykorzy-

stać sytuację, wydając ciche dźwięki, które można było wziąć za płacz.

- Wasza miłość - odezwał się sierżant - jaką karę pan wyznacza?

- Karę?

- Za użycie bata w obecności żołnierzy.

- Nic się nie stało - odrzekła Aleksandra, patrząc na Pawła, który ze spuszczoną głową, zawstydzony i wystraszony, kopał nogą grudkę piasku.

- Za to dostałby dwadzieścia batów i pozbawienie racji chleba na siedem dni.

- Czy to zwyczajowa kara za takie przewinienie?

- Tak jest.

Musiała się nad tym zastanowić. To przecież jej pierwsza decyzja jako oficera. Skłaniała się ku darowaniu kary, lecz to mogłoby podkopać dyscyplinę w pułku. Rozejrzała się za Nikiforem, ale nie było go w pobliżu. Chciała postąpić zgodnie z obowiązującymi zasadami i zyskać tym akceptację, jednak byłoby to wbrew jej własnym zasadom, poczuciu rozsądku i sprawiedliwości. Zwyczajowa kara wydawała jej się zbyt surowa.

- Później się tym zajmę - powiedziała, wsuwając nogę w strzemień i sadowiąc się w siodle, które cicho zaskrzypiało. Objęła łydkami ciepły brzuch Herkulesa. Na olbrzymim rumaku czuła się bezpieczna, spoglądając z góry na świat.

Sierżant nie dał się tak łatwo zbyć. Podszedł do niej i uniósł głowę.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. Jaką karę pan wymierza?

Na litość boską - pomyślała Aleksandra. Skoro jednak trzeba, to trzeba. Musi przestrzegać zasad dyscypliny wojskowej. Było coś fascynującego w tym umartwianiu się, jakby chłostą i surowymi karami próbowano przekroczyć granice możliwości natury ludzkiej, jakby ciało miało służyć wyłącznie wyższemu celom. Zachowanie Pawła było przecież naturalne, uzewnętrzniało zniecierpliwienie, lecz widocznie regulamin na to nie zezwalał.

- Nie dostanie obiadu - zdecydowała pewnym siebie głosem.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

Najwyraźniej sierżant oczekiwał surowszej kary.

- A więc dobrze - powiedziała. - Pozbawiam go dziennej racji.

Oburzony niską karą, sierżant odwrócił się do Pawła, oczekującego zapewne chło-

sty, i przekazał mu jej decyzję. Masztalerz kiwnął głową z wyraźną ulgą i łzami w oczach.

- Pozbawienie dziennej racji - mruknął sierżant, kręcąc głową, i podszedł do swojego konia.

A teraz stała przed plutonem, złożonym z trzydziestu mężczyzn na koniach. Trzydzieści par oczu spoglądało na nią wyczekująco. Co ona miała z nimi robić? W słońcu połyskiwało trzydzieści wysokich czapek i trzydzieści szabel. Trzydzieści koni parskało, usiłując dosięgnąć trawy, i odsłaniało zęby w nadziei na smaczny kąsek, lecz kawalerzyści im na to nie pozwalali. Aleksandra patrzyła na nich bez słowa. Miała kompletną pustkę w głowie, bo cała wiedza gdzieś się ulotniła. Zaciśnęła palce na wodzach, żeby powstrzymać drżenie dłoni. Zaszło jej w ustach. Przełknęła ślinę, ale nic to nie dało.

- Wasza miłość - odezwał się cicho sierżant i pochylił ku niej. - Nie dosłyszałem rozkazu. Zdaje się, że powiedział pan, aby żołnierze ćwiczyli zwroty.

Aleksandra zamknęła oczy, po czym otworzyła je i uśmiechnęła się z ulgą.

- Tak, właśnie to powiedziałem - odparła.

- Chce pan, aby żołnierze ćwiczyli zwroty?

- Tak.

- Doskonale miejsce na takie ćwiczenie. - Skinął z powagą głową. - Bardzo mądra decyzja.

Odwrócił się i wydał rozkaz sygnaliście, który również siedział na koniu. Ten przytknął do ust błyszczący instrument i zagrał odpowiedni sygnał składający się z cichych, miękkich dźwięków. Trzydzieści koni ustawiło się natychmiast w jednej linii i ruszyło ku niej kłusem. Coś fascynującego. I to wszystko działo się na jej rozkaz?

- W prawo zwrot! - krzyknął sierżant i sygnalista zagrał odpowiednią komendę.

Konie obróciły się w prawo. Wyglądały jak czarna fala sunąca po złocistej trawie.

- Środek wolniej. Wyrównać. Nie trzymacie linii. Żle! Wszystko źle! - wrzeszczał sierżant. - Jeszcze raz od początku, wy niechlujne wieprze!

Aleksandra nie miała tu nic do roboty.

Krzyki sierżanta i dźwięki sygnałówki rozmywały się w mlecznej porannej mgle. Wkrótce słońce stanęło wysoko na niebie i zaczęło mocno przygrzewać. Stłumiony tętent

kopyt i przekleństwa żołnierzy mieszały się z ostrym pokrzykiwaniem ptaków i szelestem liści, wzbijanych przez gorący wiatr. Siedząc na koniu z miną doświadczonego kawalerzysty i obserwując ćwiczących żołnierzy, poczuła, jak wzdłuż skroni spływa jej strumyczek potu i znika za wysokim, haftowanym złotą nicią kołnierzem. Dlaczego nie mogłaby zdjąć czapki i pozwolić odetchnąć głowie? Dlaczego oni wszyscy nie mieliby tego zrobić? Nie ma nic gorszego od zetknięcia szorstkiej wilgotnej wełny ze spoconą skórą. Czemu nie zdjąć również kurtek? Przecież i tak nikt nie widzi.

Przekonana o słuszności swoich racji, w trosce o podległych jej ludzi, przekazała swoje sugestie sierżantowi, musztrującemu żołnierzy z takim zapałem, że nawet ani razu nie sięgnął ręką do twarzy, by wytrzeć spływające po niej strugi potu.

- Co?

Powtórzyła swoją propozycję.

- Przynajmniej czapki, sierżancie - dodała, jakby prosiła go o pozwolenie. Powinna się pilnować, przecież ona tu dowodzi.

Nie spuszczać oka z żołnierzy, którzy przeskakiwali teraz parami przez leżące na ziemi kłody, sierżant podrapał się po nosie, jakby zaskoczyła go jej propozycja.

- Regulamin nie pozwala zdejmować czapek - odpowiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Ale dlaczego muszą je nosić w takim upale?

- Bo czapki chronią głowy przed porażeniem, a daszki osłaniają oczy przed słońcem, dzięki czemu widzą, co robią.

- Och - mruknęła Aleksandra, czując się głupio.

Wzrok sierżanta nie wyrażał żadnych uczuć.

- Czy to jest pański rozkaz? Chce pan, żeby ludzie zdjęli czapki?

- Nie - odparła zdecydowanie. - Nie chcę.

- Ciężkie kurtki mają oddziaływać na ich umysły, przypominając o ciężkiej na nich odpowiedzialności, jaką jest obrona ojczyzny. Niewygoda, którą muszą znosić w upale, ma ich przygotować na trudy wojny. Czy chce pan, aby je zdjęli?

- Nie - odpowiedziała, spuszczać głowę.

Sierżant milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się nieznacznie. Tak przynajm-

niej zdawało się Aleksandrze.

- Sierżant bardzo się cieszy, że oficer troszczy się o podległych mu ludzi - rzekł szorstkim głosem. - Sierżant jest rad, słysząc taką propozycję z ust oficera, i w przyszłości będzie mówił o tym oficerze z najwyższym uznaniem.

Wspólnie przyglądali się ćwiczącym żołnierzom.

Po trzech godzinach nieustannej musztry sierżant pochylił się w stronę Aleksandry i osłonił ucho, jakby chciał pochwycić słowa, których nie wypowiedziała.

- Czy polecił pan, żeby ludzie i konie zażyli odświeżającej kąpieli przed obiadem?  
- spytał, chociaż niczego takiego nie proponowała, bo akurat zajmowała ją spływająca po nosie chłodna kropelka potu.

Żołnierze mieli więc popływać, co przyjęli dzikimi wrzaskami radości, wyrzucając w górę czapki, i skierowali konie ku odległej rzece, połyskującej między drzewami. Galopując z godną podziwu zwinnością, jakiej nie powstydziliby się Kozacy, zrzucali z siebie bluzy, szable, buty, a nawet spodnie.

Zanim zniknęli w lesie, uraczyli Aleksandrę widokiem trzydziestu gołych pośladków, podskakujących lekko w siodłach, miękkich i białych niczym gotowane jajka.

Aleksandra zsiadła z konia i przytuliła twarz do błyszczącego boku Herkulesa. Czarny ogier spuścił łeb w poszukiwaniu trawy. Sierżant i trębacz ruszyli za żołnierzami. Ich konie szły wolno, rzucając łbami i otwierając pyski w proteście przeciw tkwiącym w nich wędzidłom, które nie pozwalały im galopować za innymi. Aleksandra została sama na łące, słuchając, jak potężne zęby Herkulesa chrupią trawę.

Wiedziała, że nadszedł czas obiadu i w karczmie zastanie teraz wszystkich: Łopuchina, młodszych oficerów i Uljanowa. Ale na łące było tak przyjemnie i cicho, trawa taka świeża. I żadnego oficera, który poddawałby ją próbie, żartował z niej, może nawet ją zdemaskował. Rzuciła czako na ziemię, rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi, po czym rozpięła bluzę, odsłaniając mokrą od potu, klejącą się do piersi lnianą kamizelkę. Rozciągnęła się na murawie, wystawiając twarz do słońca z nadzieją, że od ostrych promieni stwardnieją jej delikatne rysy. Gdyby jeszcze sprawiło, by wyrosła jej broda, wykiełkowała jak kwiaty i trawa! Niestety, pod jej skórą nie było nasion.

Właściwie to wcale nie chciała mieć brody, bardziej zazdrościła mężczyznom ży-



ciowej energii i odwagi, którą mogli poddawać próbie, niebezpieczeństw, na jakie się narażali, wolności pozwalającej im chodzić tam, gdzie chcieli, i mnóstwa tylko im przysługujących przywilejów.

Słońce przyjemnie grzało, a umysł powoli tracił ostrość i odpływał w sen. Miejsce logicznych struktur zajmowały dziwne myśli i dźwięki. Usłyszała mruczący głos Uljanowa, jak tej nocy w chacie, gdy leżała na sienniku, lecz teraz to ona była tą kobietą i jego głos brzmiał jej w uszach. Czuła jego dłonie na ciele, rozchyłały brzegi bluzy, delikatne palce szukały piersi, a potem zsunęły się niżej, między nogi. Ale równie dobrze mógł to być wiatr, takie miękkie były te mięśnięcia, takie przyjemne i usypiające, że w końcu odpłynęła w niebyt.

Obudziło ją głośnie chrząknięcie, Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego nad nią Uljanowa.

- Karpacki, pan tu sobie leży, a pański koń może odejść Bóg wie dokąd. Proszę natychmiast wstać i zająć się koniem. Zaczynam wątpić, czy nadaje się pan na oficera, zwłaszcza w pułku Zamoyskiego. I czekają na pana w kantynie. Nie mogą zacząć jeść bez pana. Nie pomyślał pan o tym? - Trącił ją czubkiem buta.

Miała ochotę odpowiedzieć, że nie dalej jak wczoraj ona znalazła go w podobnej sytuacji. Kiedy przyszła się zameldować, pan kapitan spał na ziemi w otoczeniu oficerów. z których jeden zrywał kwiaty, cały szwadron zaś, zapominając o swojej groźnej reputacji, krążył po lesie, ale bynajmniej nie w poszukiwaniu wroga, tylko grzybów. Jednak posłuszna rozkazowi wsiadła na konia i ruszyła do wioski za jadącym przodem dowódcą.

Jeżeli przypuszczała, że młodszy oficerowie zapomną o rzuconym jej wczoraj wyzwaniu, to bardzo się myliła. Gdy weszła do karczmy, siedzieli przy stole ze złośliwymi błyskami w oczach, a przed jedynym pustym miejscem czekał rząd dziesięciu kieliszków wypełnionych jasnym płynem, który z pewnością nie był wodą. Domyśliła się, że to ona ma je opróżnić.

Uljanow zasiadł u szczytu stołu i wyglądał znacznie weselej niż rano - zniknęły gdzieś ciemne chmury, a twarz się rozjaśniła. A może to wpadający przez okno promień słońca przyczynił się do tej zmiany.

- Zdrowie nowego oficera! - zawołał, unosząc kieliszek.

Wszyscy poszli za jego przykładem z wyjątkiem Aleksandry.

- Karpacki, czemu pan nie pije? - spytał Uljanow, porzucając formalny ton, z jakim zwracał się do niej na łące, i z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Kapitanie Mecklenburg-Uljanow - odpowiedziała Aleksandra, zdając sobie sprawę, że zyska jedynie chwilę - daleki jestem od kwestionowania pańskich manier, lecz chyba zapomniał pan, że nie pije się za własne zdrowie.

Wśród młodszych oficerów przeszedł szmer aprobaty. To prawda, Uljanow o tym zapomniał. Jedna kolejka ją ominęła. Patrzyła z satysfakcją, jak opróżniają swoje kieliszki. Karczmarz wlał następną kolejkę. Uljanow spojrział na nią z błyskiem w oku. Młodszy oficerowie czekali na jego reakcję.

- Kornecie Karpacki - rzekł - daleki jestem od kwestionowania pańskich manier, ale nie kwestionuje się manier dowódcy.

Młodszy oficerowie przenieśli spojrzenia na Aleksandrę.

- Kapitanie Mecklenburg-Uljanow, daleki jestem od kwestionowania pańskiego zwierzchnictwa. Ja tylko kwestionuję pańską pamięć.

- Brawo, brawo! - mruknęli młodszy oficerowie i przenieśli wzrok na Uljanowa.

Aleksandra z tęsknotą spojrziała na talerze pełne ogórków i kiełbasy, bardziej jednak pragnęła zamienić stojącą przed nią wódkę w wodę. Spędziła na słońcu wiele godzin, w gardle czuła suchość, twarz ją paliła i swędziała skóra pod mundurem. Położyła ukradkiem rękę na stole, zamierzając chwycić ogórek, który wyglądał jak biała kostka lodu w zielonej otoczce.

- Dobrze powiedziane, Karpacki - stwierdził Uljanow, kiwając głową.

Nadal sprawiał wrażenie, jakby walczył ze śmiechem, a właściwie powstrzymywał się przed potężnym wybuchem wesołości. Nie mogąc dłużej nad nią zapanować, parsknął rubasznym śmiechem. Młodszy oficerowie tręcili się łokciami i zerkali na niego z ukosa. Od kilku miesięcy ich dowódca chodził osowiały i upijał się.

- Niemniej jednak - ciągnął Uljanow - nie podoba mi się pański ton i niestety muszę zamknąć pana w areszcie.

- W areszcie?! - wykrzyknęła Aleksandra. - Za co?

- Oczywiście za niesubordynację - odparł z uśmiechem.

- Tylko dlatego, że ośmieliłem się pana skrytykować? - spytała Aleksandra tonem, jakim zwróciłaby się do niego jeszcze kilka miesięcy temu.

- Właśnie dlatego - potwierdził Uljanow.

Młodszy oficerowie przenosili spojrzenia raz na nią, raz na dowódcę, zaskoczeni brakiem wzajemnego szacunku, łamaniem przez obu regulaminu i zasad dobrego wychowania. Mieli nadzieję, że się na tym nie skończy.

- I dlatego, że mogę to zrobić - dodał Uljanow. - Łopuchin, sprowadź Bobrinskiego i każ mu odprowadzić korneta Karpackiego.

- Dla pana korneta hrabiego Karpackiego - odparowała Aleksandra.

- Przepraszam, każ mu odprowadzić korneta hrabiego Karpackiego do aresztu. I jeszcze dodatkowo dwanaście godzin za ten popis dumy, panie hrabio.

Aleksandra wpatrywała się przez chwilę w Uljanowa, ale on nie podniósł wzroku. Zamiast tego usiadł wygodniej, włożył do ust kawałek kiełbasy i zaczął żuć ze smakiem, czego nikt w pułku nie widział od dłuższego czasu. Dotąd bowiem jadł bez apetytu, a kiedy jego zmartwiony ordynans przypominał mu, że musi jeść, robił to niechętnie i mechanicznie. Skończywszy kiełbasę, kapitan zatarł dłonie, popatrzył na stojące na stole smakołyki, wziął widelec i nóż, po czym włożył sobie na talerz ogórki, ser, szynkę, jajka i chleb. Młodszy oficerowie patrzyli ze zdziwieniem, jak zabiera się ochoczo do jedzenia, kroi kawałek szynki, patrzy na niego z uśmiechem, po czym wkłada do ust.

- To wszystko, komecie - powiedział, unosząc wzrok znad talerza. - Trzydzieści dwie godziny o chlebie i wodzie.

Sierżant Bobrinski wziął Aleksandrę za ramię i wyprowadził z karczmy. Przeszli na drugą stronę drogi do walącej się stodoły, pełniącej rolę tymczasowego aresztu. Przybiegł Nikifor i podał jej dwie szklanki wody, które natychmiast opróżniła, ocierając usta wierzchem dłoni, i kilka kawałków chleba z masłem i serem, które zjadła na stojąco. Ordynans zaszalutował i zostawił ją samą w ciemnej stodole. Z promieni słońca wpadających przez szpary w deskach wywnioskowała, że dawno minęło południe. Ta pora wprawiała ją zawsze w melancholię ze względu na przygnębiające światło o zimnej metalicznej barwie. Co ona będzie robić przez tyle godzin? Usiadła na sianie i oparła brodę

o kolana, wodząc w zamyśleniu palcami po błyszczącej powierzchni butów.

Ciekawe, czy Uljanow ją rozpoznał. Wpatrywał się w nią z wyrazem zaskoczenia na twarzy i potrząsał głową, jakby chciał rozproszyć cienie. Poranna wrogość i surowość, z jaką ją potraktował po przyłapaniu na drzemce w polu, pasowały do mężczyzny, któremu zraniła serce. Skoro tak, to dlaczego ją aresztował? Dżentelmen potraktowałby damę z większą delikatnością, zwłaszcza jeśli wyzna jej miłość. Ale on przecież nie był dżentelmenem.

Czy naprawdę ją kochał? Szczerze? A jeśli złożone listownie wyznanie i oświadczyły to tylko wybieg, taktyka, broń w arsenale uwodzenia, kolejna strzała w kołczanie, która miała trafić w serce kobiety? W ciągu ostatnich kilku miesięcy Aleksandra często zadawała sobie te pytania. Nadal nie wiedziała, jakie ma względem niej zamiary, jednak sądząc z tego, co jej opowiadano o głębokim załamaniu po śmierci kochanki i co sama zaobserwowała, utwierdzała się w przekonaniu, że wyznanie Uljanowa nie było szczerze. Tak. Wbrew temu, co mówiła Praskowia, hrabianka nie wierzyła, by ktoś mógł kochać dwie osoby naraz.

Jednakże można powiedzieć, że ją, celowo czy też nie, uratował. Młodszy oficerowie chcieli ją upić. Nie było nic gorszego jak upić się wódką i nie było gorszego kaca jak kac po wódce (udręczony mózg obijał się o ścianki czaszki, wołając, by ktoś go wypuścił). Aresztując Aleksandrę, Uljanow wybawił ją od losu gorszego niż śmierć, a może nawet i od śmierci, gdyby wlała w siebie tyle wódki. To się zdarzało, pisano o tym w gazetach, gdy ten i ów młody dżentelmen w czasie zawodów w picciu zatruwał organizm i umierał.

Usłyszała, że ktoś idzie. Kroki nie ucichły, ale też nie zatrzymały się przy drzwiach stodoły. Światło w szparach między deskami to zniknęło, to znów się pojawiało, jakby ktoś chodził tam i z powrotem, pobrzękując ostrogami. Czyżby postawiono przy niej wartownika? Po co? By chronić wieś przed jej złodziejskimi zapędami? A może była zdrajcą ojczyzny? Nie, tylko ośmieliła się skrytykować przy obiedzie czyjeś manieri. Nigdy nie zrozumie serca mężczyzny.

- Stać! - krzyknął wartownik, chwytając za broń. - Kto idzie?

- Kornet Łopuchin.

Och, na litość boską, przecież jest dzień. Wartownik doskonale widział, kto idzie.

- W jakiej sprawie?

- Porozmawiać z kornetem hrabią Karpackim.

Czy nie ma końca tym formułkom, przepisom, regulaminowi, wojskowej ostentacji, przebieraniu się w mundury, dekorowaniu orderami, zabawie szablami i karabinami?

- Proszę, wasza miłość.

Łopuchin załomotał do drzwi stodoły.

- Karpacki!

- Tak? - Aleksandra przyłożyła ucho do ściany.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że wszyscy cię podziwiamy za to, co zrobiłeś.

- Naprawdę?

- Tak. Nieczęsto mamy okazję być świadkami podobnej odwagi. Przeciwwstawić się wyższemu rangą oficerowi, i to z taką ostentacją, w takim stylu. Od miesiący próbowaliśmy zmusić Uljanowa, by zamknął nas w areszcie, niestety, bezskutecznie. A tobie udało się to już pierwszego dnia.

Aleksandra nie mogła się powstrzymać i zapytała, dlaczego młodszy oficerowie tak bardzo pragnęli trafić do aresztu. Miała nadzieję, że to pozwoli jej zrozumieć męskie serce.

- Każdy chce trafić do aresztu - odparł wyraźnie zdziwiony Łopuchin. - Uljanow siedział tam tyle razy, że trudno zliczyć. Chyba nikt z nas nie zdoła go przebić. Może ty.

Rozejrzała się po stodole - na klepisku, wyłożonym przegniłą trawą i starą słomą, wałyły się zaschnięte kurze odchody i świeże psie kupy. Nie, o taką nagrodę z pewnością by się nie ubiegała.

- Ale dlaczego wszyscy chcą trafić do aresztu?

- Cóż to za pytanie? To jedyny sposób, by dowieść odwagi i lekkomyślności.

Jak ktoś mógł pragnąć zasłużyć na miano lekkomyślnego? Tak czy owak otrzymała odpowiedź na swoje pytanie. Tylko czy aby nie wzbudziła podejrzeń w Łopuchinie, pytając o coś, co najwyraźniej stanowiło fundament męskości?

- Podejdz do drzwi - polecił Łopuchin. - Mam coś dla ciebie.

- Stać! - krzyknął wartownik, ponownie chwytając za broń.

- Griszka, to tylko butelka wódki.

W uchylonych drzwiach ukazała się dłoń Łopuchina, trzymająca butelkę. Aleksandra przyjęła podarunek.

- To od nas wszystkich - szepnął.

Doszła do wniosku, że może ją wypić i sprawdzić swoje możliwości bez świadków i złośliwych komentarzy ze strony młodszych oficerów. Co godzina pociągała kilka łyków i starannie rejestrowała wszelkie reakcje fizyczne, by się z nimi oswoić. Kiedy jasne smugi światła przenikające przez deski pociemniały, poczuła, że jest pijana. Spróbowała chodzić po stodole i siadać bez tracenia równowagi. Gdy alkohol przestawał działać, wypijała następną porcję. Przyniesiona przez Nikifora kolacja - chleb z masłem i herbata - posłużyła do sprawdzenia skutków mieszania jedzenia z wódką. Aleksandra chciała być przygotowana na wypadek, gdyby znowu przyszło jej podjąć wyzwanie.

Kontynuowała doświadczenie przez godzinę lub dwie po kolacji, bo nie opróżniła jeszcze butelki. Wtedy usłyszała zbliżające się kroki i okrzyk wartownika:

- Panie kapitanie!

Uljanow wszedł do stodoły i zamknął za sobą drzwi. Oparł się o ścianę, skrzyżował nogi, stawiając jedną przed drugą, założył ręce na piersi i spojrzał na Aleksandrę. W półmroku błyszczał pomarańczowy ognek palącego się cygara, które trzymał w zębach. Aleksandra powinna stać w obecności dowódcy, usiłowała więc podnieść się z podłogi, rozkładając ręce dla utrzymania równowagi, lecz nie dała rady. Zdołała jedynie w miarę elegancko usiąść z powrotem.

- Jest pani gotowa wrócić do domu? - spytał.

Uniosła wzrok, mimowolnie otwierając usta.

- Jak...? - spytała, kręcąc głową.

- Wolałbym nie odpowiadać. Był tylko jeden sposób. Przepraszam panią za to.

Aleksandra oblała się rumieńcem. A więc ta ręka między nogami wcale jej się nie śniła. Spuściła głowę na kolana.

- Nie wiem, co pani tu robi - powiedział szybko Uljanow, pragnąc ominąć drażliwy temat - ale natychmiast trzeba z tym skończyć. Mogło się pani coś stać. Jak dziś po południu, póki tego nie przerwałem, każąc panią aresztować.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła niezbyt wyraźnie, czując, jak język jej się



plącze. Następnym razem musi zwrócić na to uwagę.

- Doskonale pani wie - odrzekł.

Była zbyt pijana, by z nim dyskutować. Pragnęła tylko, żeby sobie poszedł i żeby mogła się położyć na słomie. Przyzwoitość nie pozwalała jej zrobić tego w obecności mężczyzny, który wiedział, że jest kobietą.

Uljanow przykucnął przy niej.

- Co to jest? - spytał, wyciągając spod słomy butelkę. Otworzył ją i powąchał. - A jednak panią dopadli.

- To prezent - wyjaśniła ponurym głosem. - Są ze mnie dumni. Podziwiają mnie.

- Nie podziwiają. Po prostu chcieli wygrać. I najwyraźniej im się udało. Hrabianko Korwina, jest pani pijana.

Ukląkł, wyjął z kieszeni chusteczkę, splunął na nią i wytarł jej z twarzy brud, przeniesiony z butów. Była zbyt pijana, by go odepchnąć. Jednak delikatne dotknięcia palców sunących po jej twarzy sprawiły, że żołądek podszedł jej do gardła.

- Nie jest to przyjemne miejsce - zauważył z niesmakiem. - Niestety, jestem zmuszony zatrzymać tu panią na całą noc pod opieką wartownika, żeby młodsi oficerowie znowu pani nie dopadli. Jutro odeślę panią do domu i nikt się nigdy nie dowie o pani... przygodzie.

Wsunął butelkę pod pachę i wstał.

- Jeżeli już potrzebuję jakiejś ochrony, to przed panem.

Poczuła skurcz żołądka, który protestował przeciw takiej ilości wódki. Opadła na rękę i kolana i zwymiotowała prosto na buty Uljanowa.

- Zasłużyłem sobie na to - stwierdził, gdy Aleksandra zaczęła płakać. - Wiele kobiet mówiło mi, że mój widok przyprawia je o mdłości, ale pani pierwsza tego dowiodła. Tak. Proszę to z siebie wyrzucić. To najlepsze, co można zrobić. Przynajmniej na tym znam się dobrze.

Nie protestowała, kiedy przykrył ją przyniesionym ze sobą kocem i ułożył na boku. Usnęła, zanim ponownie zdążyła go obrazić.

Po przebudzeniu miała głowę wielką jak bania. Zauważyła też, że ktoś zdjął jej buty i rozpiął kurtkę. Pomieszczenie wysprzątano, przegniłą słomę zastąpiono świeżą i

uprzątnięto zwierzęce odchody. Na sianie obok niej siedział Nikifor z kuflem piwa. Cichym głosem, świadczącym o latach praktyki w leczeniu głów i żołądków młodych oficerów z porannego kaca, wyjaśnił zasady kuracji.

- Jajko ma osłonić spalone ścianki żołądka. Piwo ma oszukać mózg. On chce wódki, jest wściekły i będzie pana nękał, póki jej nie dostanie. Więc damy mu piwo. Początkowo mózg będzie zły, ale potem pogodzi się z tym, co dostanie. Piwo go uszczęśliwi i zostawi pana w spokoju.

Dopiero po kilku godzinach przekonała się o skuteczności kuracji. W południe zjadła kawałek chleba, o czwartej przełknęła trochę herbaty z konfiturami, o siódmej poczuła głód i zaczęła chodzić tam i z powrotem po stodole, nasłuchując kroków Nikifora, który miał jej przynieść kolację. W końcu usiadła na podłodze.

Zamiast ordynansa zjawił się Uljanow z lampą naftową i tacą przykrytą serwetką.

- Przyniosłem pani chleb i wodę - oznajmił, stawiając tacę i lampę na ziemi.

Spojrzała na niego bez słowa. Nie zapomniała o zniewadze, jakiej się dopuścił, gdy spała na łące, a on dotykał jej w intymnych miejscach.

Uljanow usiadł naprzeciwko niej, przysunął tacę i zdjął serwetkę. Stała na niej mała szklanka z wodą i spory stos kromek chleba.

- Proszę to wypić - powiedział, wskazując głową szklankę.

Zakrztusiła się, gdy poczuła wódkę, ale wypiała ją do dna.

Tego właśnie potrzebowała, by dokończyć kurację. Po kilku sekundach poczuła się zupełnie zdrowa.

- Nie wszystko jest takie, jak się nam wydaje - stwierdził Uljanow. - Coś może wyglądać tak samo, lecz w środku jest zupełnie inne. Jak istoty ludzkie. A teraz proszę zjeść chleb.

Aleksandra wzięła kawałek. Leżał pod nim pieczony kurczak. Oderwała udko, obtoczyła je w kupce soli usypanej na brzegu talerza i patrząc na Uljanowa spod zmrużonych powiek, odgryzła kawałek mięsa z żarłocznością, którą uznał za szczególnie pociągającą.

- Czasami trzeba usunąć przeszkodę, wierzchnią warstwę, by odkryć ukrytą pod nią prawdę - rzekł sentencjonalnie Uljanow. - Czy wybaczy mi pani?

- Nie rozmawiam z panem - odparła.

- Och, moja droga, jeżeli pani mi nie wybaczy, będę zmuszony wyzwać się na pojedynek w obronie pani honoru. A jako swój przeciwnik będę musiał się zastrzelić.

Aleksandra nie uznała tego za zabawne.

- Proszę się śmiać - powiedział Uljanow. - To miał być żart.

- Ha, ha - mruknęła i dalej jadła w milczeniu.

- A może nie jest pani hrabianką Korwiną, tylko mężczyzną. Skoro tak, to nie spotkał panią żaden dyshonor i nie ma powodu, żeby pani ze mną nie rozmawiała. A ja nie mam powodu, by się zastrzelić.

Miał rację. Jeżeli wyzna, kim jest, wtedy będzie mogła dalej się gniewać, co wydało jej się raczej zabawne, a jeżeli nie, pozostanie nadal kornetem hrabią Anatolijem Karpackim, który nie okazał szacunku swojemu dowódcy, za co spotkała go słuszna kara.

- Myślę, że strzelenie sobie w łeb to świetny pomysł - odrzekła, decydując się na pierwsze wyjście, które uznała za bardziej interesujące.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny - powiedział. - Wiem, że dopuściłem się gwałtu na pani osobie, ale musiałem sprawdzić, czy to, co podejrzewałem, jest prawdą. W przeciwnym razie kto wie, jak długo mogła to pani ciągnąć.

- Och, wcale nie zamierzam rezygnować - oświadczyła.

- Chyba nie mówi pani tego poważnie.

- Jak najpoważniej.

- No to zobaczymy - odparł Uljanow. - Wystarczy, że pójde do pułkownika.

Nie pomyślała o tym. Rzeczywiście, mógł ją z łatwością powstrzymać.

- Rozważę to. Może uda mi się pokrzyżować panu plany.

Uljanow otworzył szabeltas, wiszący mu u pasa, wyjął cygaro i spojrzał pytająco na Aleksandrę, czekając na jej przyzwolenie. Kiedy kiwnęła głową, zapalił zapałkę o podeszwę buta, po czym przytknął płomyk do cygara.

- Proszę mi coś wyjaśnić - rzekł, marszcząc czoło i gasząc zapałkę wstrząśnięciem ręki. - Co pani tu robi?

- Wyjaśnię, jeżeli poczęstuje mnie pan cygarem. Strasznie chce mi się palić.

Uniósł brwi i wybuchnął śmiechem.

- Moja droga, chyba pani nie pali. Taka dystyngowana młoda dama?

Zapalił drugie cygaro, podał Aleksandrze i patrzył ze zdziwieniem, a potem przyjemnością, jak zaciąga się dymem z wprawą doświadczonego palacza. Siedzieli, patrząc na siebie, identycznie ubrani i paląc takie same cygara.

- Wcale nie jestem taka dystyngowana - odparła, podpierając się na łokciu i kładąc stopę na kolanie. - Palę od lat. Ojciec mnie tego nauczył.

- Ale proszę odpowiedzieć na pytanie. Co pani tu robi?

- To długa historia. I nie wiem, czy mogę wyznać panu całą prawdę.

Z zakłopotaniem uświadomiła sobie udział Uljanowa w tej historii i uciekła spojrzeniem w bok, przyglądając się tłustej plamie na ścianie.

- Prawda to coś, z czym kobiety mają kłopoty - stwierdził. - Jeżeli jest pani tutaj, bo chce być mężczyzną, to proszę od tego zacząć. Musi pani powiedzieć mi prawdę.

- Nie wiedziałam, że mężczyźni mają monopol na prawdę. Zawsze myślałam, że jest odwrotnie.

- Interesująca obserwacja. Może mimo wszystko tak bardzo się nie różnimy. Proszę jednak odpowiedzieć. Co pani tu robi?

- A pan? - spytała, wciągając dym do ust i owijając go wokół języka, jakby smakowała wyborne wino.

- Co ja? Co tu robię? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Tego chyba ode mnie oczekiwano. Wszyscy młodzieńcy w moim wieku wstępują do wojska, przynajmniej na rok lub dwa.

- Ale dlaczego? Dlaczego właśnie do wojska? Dlaczego nie na uniwersytet?

- Nigdy nie myślałem o uniwersytecie. Zawsze chciałem iść do wojska. Pewnie, by przeżyć przygodę. Wojsko ma swój urok: mundury, barwy, fantazja, możliwość sprawdzenia siebie, swojej odwagi, śmiałości, pomysłowości.

- No właśnie. Ze mną jest podobnie - stwierdziła Aleksandra.

- A po co kobieta miałaby sprawdzać swoją odwagę?

- A dlaczego by nie? Sądzi pan, że kobiety są gorsze od mężczyzn, że nie chciałyby się sprawdzić?

- Nie, nie przyszło mi to do głowy. Jeżeli zaś chodzi o to, czy jesteście gorsze, to

oczywiście, że nie. Jesteście lepsze.

- Nie wierzę, że pan tak myśli. Proszę powiedzieć prawdę, kapitanie.

- Prawdę? - Uljanow stuknął palcem w cygaro, strącając z niego popiół. - Jesteście jednocześnie i lepsze, i gorsze.

- Ale nie takie same. Nie równe.

- Są jabłka i pomarańcze - odpowiedział. - Nie można ich ze sobą porównywać.

Nie mają wspólnego mianownika.

- Mają.

- Jakiż to?

- Wnętrze, duszę. Kobiety mogą inaczej wyglądać, lecz wewnątrz jesteśmy takie same. Odwrotnie do tego, co mówił pan o szklance wody.

Uljanow milczał przez chwilę.

- Nigdy nie myślałem, że kobiety mają takie same dusze jak my, mężczyźni. Niektóre religie tak nie uważają.

- To znaczy jak?

- Że kobiety mają dusze. Jednak mężczyźni bardziej interesują serca kobiet, to, czy je mają. Duszę jestem gotów pani oddać. To o serce się martwimy.

- Czy naprawdę jesteśmy bez serc?

- Niektóre z was tak - odparł, nie patrząc na nią. Odwróciła wzrok, domyślając się, o kim myśli.

- Niektóre nie. Są i takie, które mają go więcej, niż są w stanie udźwignąć. Nie tak dawno sam się o tym przekonałem. Czasami zachowywałem się tak, jakbym był pozbawiony serca. Właściwie to nawet często. Chyba wiara w to, że kobiety są bez serca - powszechna wśród mężczyźni - sprawiła, że traktowałem je tak, jakby rzeczywiście go nie miały. I dlatego stało się to, co się stało. Ponoszę odpowiedzialność za zniszczenie ludzkiego życia. - Milczał chwilę. - Ale nie o to tu chodzi - dodał pośpiesznie, by zakończyć temat. - Ta sprawa pani nie dotyczy. Pani nie zrobiła nic złego. - Wstał z zamiarem odejścia.

Aleksandra przyjęła z ulgą jego słowa, choć nie bez wątpliwości, czy na nie zasłużyła. Zaskoczyło ją również to, że odniósł się, co prawda nie wprost, do ich dawnej zaży-

łości, o której wolą zapomnieć. Nie chciała, żeby odszedł. Był tu jedyną znajomą twarzą. I dobrze się czuła w jego towarzystwie.

- Proszę zostać, kapitanie - powiedziała, podnosząc na niego wzrok.

Pokręcił głową, rzucił cygaro na ziemię i przydeptał obcasem.

- Nie, moja droga, nie musi pani okazywać mi uprzejmości. Na pewno czeka pani, żeby uwolnić się od mojego widoku, co wkrótce nastąpi. Jutro odeślę panią do domu.

I wyszedł. Aleksandra usłyszała, jak wartownik staje na baczność, gdy kapitan go mijał.

Leżąc na słomie z cygarem w ręku i stopą po męsku opartą o kolano, rozmyślała o rozmowie z Uljanowem. Wydała jej się niezwykle interesująca, a Uljanow jakiś inny. To wszystko było fascynujące. Powinna jednak się zastanowić, co zrobić, by kapitan nie odesłał jej do domu.

Na zewnątrz była letnia noc. Przez szpary w deskach dochodziły odgłosy prawdziwego życia, których dotąd nie знаła - wesole pogwizdywanie żołnierza załatwiającego potrzebę za stodołą i strumień moczu tryskający niczym fontanna; kłótnia jakiejś pary, przerywana siarczystem policzkiem i głośnym całusem; sapanie świni, wsuwającej ryj w szparę w podłodze w poszukiwaniu jedzenia; krzyki dzieci, a wszystko to daleko od grubych, wysokich ścian zrujnowanego pałacu nad Newą.

Okazało się, że Aleksandra nie musi się martwić. Możliwość pokrzyżowania Uljanowowi planów nadarzyła się następnego dnia. Na obiedzie pojawił się pułkownik. Kiedy zobaczył, że Karpackiego nie ma, i dowiedział się, że siedzi w areszcie, kazał go natychmiast zwolnić, chociaż została już tylko godzina do końca kary.

- Proszę tu usiąść, panie kornecie - poklepał puste krzesło obok siebie - i opowiedzieć mi o sobie. Ktoś z takim apetytem to dla pułku cenny nabytek.

Cały promieniał, pochylał głowę ku Aleksandrze i śmiał się trochę zbyt głośno, czym dawał dowody wielkiej dla młodego korneta sympatii. Oficerowie wymienili między sobą spojrzenia, a Uljanow, siedzący z drugiej strony pułkownika, zagryzł z niepokojem wargę, czekając na okazję, by poinformować pułkownika o rychłym odejściu nowego korneta, co wobec entuzjazmu przełożonego uznał za sprawę niecierpiącą zwłoki - upodobanie pułkownika do przystojnych i lekko zniewieściałych młodych mężczyzn by-



ło powszechnie znane.

- Ekscelencjo - powtarzał, usiłując bezskutecznie wtrącić się do rozmowy, Aleksandra bowiem ze swadą opowiadała o swojej przeszłości i edukacji, a pułkownik reagował na to rubasznym śmiechem i dalszymi pytaniami.

- Po wyprawie na Borneo, skąd przywiozłem kolekcję piór niespotykanych gdzie indziej gatunków ptaków - ciągnęła Aleksandra, rzucając ukradkiem spojrzenia na Uljanowa - i jaj olbrzymich jaszczurek, noszących młode w kieszeniach po obu stronach głowy, wróciłem do Petersburga i okazało się, że nie mam co robić. Wtedy mój przyjaciel, obecny tu kapitan Mecklenburg-Uljanow...

- Zacny człowiek - wtrącił pułkownik, kładąc ciężką dłoń na ramieniu Uljanowa.

- ...namówił mnie, żebym wstąpił do pułku. Początkowo nie chciałem. Miałem wątpliwości, czy będę pasował do tej męskiej kompanii, ja, akademik, poeta, naukowiec niewyszkolony w typowo męskich dziedzinach. Lecz kapitan Uljanow, którego znam od wielu, wielu lat, zapewnił mnie, że to żaden problem, w służbie cara znajdzie się bowiem miejsce dla każdego.

- Brawo! Brawo! - zawołał pułkownik. - Zacny człowiek.

I odwrócił się rozpromieniony w stronę Uljanowa, który gapił się na Aleksandrę z wyrazem takiej irytacji, że aż przesunęła językiem po wewnętrznej stronie policzka z uciechy, że zdołała go przechytryć. On również wbił język w policzek, doskonale wiedząc, że jej zapewnienia o nieznanym typowo męskiej konkurencji tylko zachęcały pułkownika. Przekona się o tym, gdy ten zacznie robić jej awanse. Ciekawe, co wówczas uczyni sprytna hrabianka. Pułkownik był przecież wielkim i silnym mężczyzną.

- A więc to pan ściągnął tego czarującego chłopca do służby naszemu ojczulkowi, naszemu wielkiemu i wspaniałemu władcy. Zacny człowiek - powtórzył pułkownik, patrząc na Uljanowa jak na dobrodzieja, który sprowadził przemiłego młodego korneta, a Aleksandra cieszyła się w duchu, że osiągnęła to, co zamierzyła.

- Za cara! - zawołał jeden z młodszych oficerów, zrywając się z miejsca, i tak energicznie wznosił kieliszek szampana, że wylał prawie połowę zawartości.

- Za cara! - zakrzyknęli chórem oficerowie, wstając i wznosząc kieliszki, po czym opróżnili je jednym haustem i rozbili o podłogę.

Stojąca w drzwiach córka karczmarza natychmiast przybiegła ze szczotką, by zmyć potłuczone kawałki szkła. Spodziewała się tego. Podobne sceny powtarzały się każdego dnia. Wystarczyło jedynie zaczekać.

Oficerowie usiedli i powrócili do przerwane go posiłku.

- Na twoją cześć, mój drogi Karpacki, poleciłem memu osobistemu szefowi kuchni przygotować małą niespodziankę - oznajmił pułkownik. - Mały biszkopt z owocami i bitą śmietaną w dowód uznania dla twoich talentów.

Strzelił palcami i Aleksandra, unosząc wzrok znad talerza, ujrzała, jak wnoszą olbrzymich rozmiarów tort.

- No, Karpacki - odezwał się Uljanow, gdy potworna biała konstrukcja o wysokości przekraczającej pół metra, udekorowana falbankami z czystego, lśniącego, ocukrzonego smalcu, stanęła przed nią. - Skosztuj, to wszystko dla pana.

- W rzeczy samej - przyznał pułkownik, patrząc na Aleksandrę pożądanym wzrokiem. - Chcę zobaczyć, jak pan go zje.

## Rozdział 20

Słodka niespodzianka nie stłumiła jednak uczucia triumfu, z jakim następnego ranka Aleksandra wyruszyła z całym pułkiem do oddalonego o sto kilometrów miasteczka. Nie musiała się już obawiać wyrzucenia z wojska, bo stała się oczkiem w głowie pułkownika. Promienie słońca błyskały między drzewami, gdy długa kawalkada sunęła drogą. Szwadron za szwadronem, po trzech jeźdźców w rzędzie, kapitan za kapitanem, przy tenorowych dźwiękach trąbek, mieszających się z gardłowymi tonami basów, przypominającymi rechot żab.

Przed sobą Aleksandra widziała plecy Uljanowa, siedzącego sztywno w siodle, w pozie, jak jej się zdawało, pełnej dezaprobaty. Obok niej jechał Łopuchin. Pracujące w polu wiejskie dziewczęta pozdrawiały huzarów okrzykami, unosiły dłonie, a nawet spódnice, i wtedy hrabianka piekła raka, miała jednak nadzieję, że śmiejący się Łopuchin tego nie zauważy .

- Ładne grube uda ma ta mała - powiedział Łopuchin. - Chętnie zatopiłbym w nich

zęby i coś jeszcze.

- Pewnie - odparła Aleksandra.

Czasami do jeźdźców podbiegały dzieci, prosząc o datki. Aleksandra widziała w tych wzruszających małych istotach z bladymi zasmarkanymi twarzyczkami, krzywymi nogami, zamglonymi chorobą oczami i wzdętymi brzuchami całą nędzę rosyjskiej wsi. Żołnierze rzucali im monety lub kromki chleba. Dzieci, którym nie udało się ich złapać, pluły na ofiarodawców lub obrzucały ich wyzwiskami. Właściwie nie były dziećmi, lecz przedwcześnie dojrzałymi dorosłymi, zmuszonymi walczyć o przetrwanie z biedą, chorobami i brakiem wszelkich praw.

Nie taki jednak obraz Rosji widzimy przed oczami. To jest rzeczywistość. Przedstawmy więc sobie te dzieci jako szczęśliwe, złotowłose cherubinki o rumianych pulchnych policzkach, patrzące z podziwem na przejeżdżających żołnierzy i machające do nich nieśmiało.

W czasie tego długiego marszu na północ wyboistymi drogami Aleksandrę rzucało w siodle w tył i w przód, w górę i w dół w zależności od biegu konia, aż w końcu poczuła się poobijana i obolała. Jeździła już przedtem konno i uważała się za doświadczoną amazonkę, ale to było co innego. Straciła władzę w nogach, bolały ją ręce, a kiedy słońce zaczęło mocno przygrzewać, język przykleił jej się do podniebienia.

Na szczęście trębacze dali sygnał do postoju. Tysiąc pięciuset ludzi zeszło z drogi, rozsiadło się na trawie i wyciągnęło menażki z wodą. Niektórzy natychmiast usnęli pod drzewami, trzymając wodze w zaciśniętych palcach, podczas gdy konie szczypały trawę. Inni rozpalali ogniska i gotowali wodę na herbatę, którą popijali z cynowych kubków, trzymając w ustach kostki żółtego cukru. Rozmawiali o udach wieśniaczek, zastanawiali się nad ciężarem ich piersi, grali w karty i opowiadali bajki o panu sprytnie wyprowadzonym w pole i pozbawionym żony, konia lub siana. Na kolejny sygnał trąbek żołnierze, klnąc, wstawali z ziemi, zapinali kurtki, dosiadali koni, formując szyk, i ruszali w dalszą drogę, kiwając się w siodłach. I tak przez dziesięć godzin.

Kiedy wreszcie dotarli do miasta, nogi Aleksandry zmieniły się w galaretę. Zaczęła się giąć jak szmaciana lalka i Łopuchin, chichocząc, musiał przytrzymać ją z tyłu za kurtkę, by nie spadła z konia.

- Jak ci się podoba w kawalerii, kolego? Aleksandra oparła się o szyję Herkulesa i wymiotowała.

- Jest wspaniale - odparła, wycierając usta wierzchem dłoni.

- Doskonale, Karpacki - pochwalił ją Łopuchin. - Wymiotujesz jak kawalerzysta. To nic złego.

Aleksandra ponownie wymiotowała. Ruszyli w stronę dużego eleganckiego domu. Łopuchin wciąż ją podtrzymywał i przywołał ordynansa.

- To żaden wstyd - powiedział Nikifor, wyrastając jak spod ziemi. - Żaden wstyd.

Łopuchin puścił ją, a ona zsunęła się z grzbietu konia prosto w ramiona ordynansa. Stojący w pobliżu Uljanow klepał się z irytacją dłonią po udzie i patrzył, jak Aleksandrę prawie wloką do domu. Gdy znaleźli się w środku, Nikifor wziął ją na ręce i zaniósł na górę. Gospodyni, pulchna wdowa w marszczonym czepku, która upatrzyła już sobie jednego z żołnierzy, zapewniła uroczyście, że da wszystko, co potrzeba, wystarczy jedynie poprosić. Za idącym po schodach Nikiforem weszła grupa młodszych oficerów. Stanęli w drzwiach pokoju, chichocząc i rzucając złośliwe komentarze, kiedy ordynans delikatnie kładł Aleksandrę na łóżku.

- Hej, Karpacki, co ty, baba jesteś?

- Hej, Karpacki, może powinieneś nazywać się Karpacka!

- Hej, Karpacki, może chciałbyś wrócić do domu i pobawić się lalkami!

Nikifor wstał i zamknął drzwi. Potem zdjął jej buty, umył stopy w misce z zimną wodą, przyniesioną przez służącą, otulił ją kocem i zanim zdążył wyjść z pokoju, Aleksandra już spała.

Ocknęła się po kilku godzinach. Nad jej łóżkiem stał Uljanow - wysoki i niezwykle męski, z barczystymi ramionami, skórzanymi rzemykami przy butach i błyszczącymi ostrogami. Czy to wszystko nie jest jedną wielką pomyłką? - pomyślała. Nigdy nie będzie mężczyzną, po co więc się starać? Te męskie próby wytrzymałościowe nie są dla kobiet. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin rozchorowała się z przejedzenia, upiła do nieprzytomności i zamęczyła prawie na śmierć, a wszystko po co? By udowodnić, że jest się mężczyzną?

- Jest pani gotowa wrócić do domu? - spytał Uljanow.

- Nie - odpowiedziała.

- Świetnie.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, dzwoniąc ostrogami i prężąc barczyste ramiona. Wyglądał bardziej męsko niż kiedykolwiek.

A teraz musiała jeszcze tańczyć. Jak mężczyzna.

Wyglądali jak piękne drapieżne ptaki w purpurowo-złoty mundurach, z ostrogami przypiętymi do błyszczących butów. Podpierali ścianę prowincjonalnej sali balowej i patrzyli ze znudzoną miną, jak tutejsze piękności tańczą w takt muzyki granej przez miejscową orkiestrę. Koledzy Aleksandry zdawali sobie sprawę, że nie zabawią się z tymi przyzwoitymi pannami, dla których to oni byli zwierzyną łowną, a celem małżeństwo z jednym z nich. Dlatego przytupywali niecierpliwie i uśmiechali się uprzejmie, czekając odpowiedniej chwili, żeby się wymknąć na festyn z okazji Dnia Świętego Prokopa z Wołogdy, sługi Chrystusowego i cudotwórca, rozpoczynający się przy księżycu, na polu za młynem. Tam wódka popłynie strumieniami, a wiejskie spódnice będą ochoczo unosić się w górę. Z grzeczności nie spoglądali co chwila na zegarki, mogli jedynie patrzeć przez okno na zmieniające się światło, z którego odczytywali upływ czasu.

Samotna palma zdołała zniszczyć podłogę sali balowej, przykrytą na co dzień dywanem, zwiniętym teraz i leżącym pod ścianą.

Aleksandra z pogardą przyglądała się wyszukanym strojom panien, groteskowym podróbkom paryskich modeli, źle skrojonym i przeładowanym ozdobami. A te fryzury! Co one porobiły z włosami? Stwierdziła z satysfakcją, że jest najatrakcyjniejszą kobietą na sali, mimo że w męskim stroju. Panny zerkały nieśmiało na oficerów, płoniły się i kręciły energicznie głowami, by wprawić w ruch loki, i śmiały się trochę zbyt głośno.

- Czy nie będziemy tańczyć? - syknęła Aleksandra do Łopuchina.

- Powinniśmy - odpowiedział. - Oczekują tego od nas, więc najwyższy czas to zrobić. Im szybciej zatańczymy, tym prędzej wyjdziemy. Szkoda tylko dobrego jedzenia.

- No tak.

Aleksandra odkleiła się od ściany z zamiarem przejścia na drugą stronę sali. Po raz pierwszy znalazła się w roli mężczyzny, który musi zrobić pierwszy krok, dający początek wszelkim romantycznym znajomościom, i doświadczała mąk niepewności, czy aby

nie dostanie kosza. A jeśli mi odmówi? - przemknęło jej przez myśl jak każdemu młodzieńcowi. I to przy wszystkich?

Wybrała najładniejszą dziewczynę na sali. Skoro już się przekonała, że jest atrakcyjna dla mężczyzn, to teraz mogła wypróbować swój męski urok na kobietach. Będzie to najlepszy sprawdzian autentyczności odgrywanej przez nią roli.

Młoda panna, chowając twarz za wachlarzem, spłonęła rumieńcem. Czy ja też byłam taka głupia? - pomyślała Aleksandra. Oczywiście, zwłaszcza w obecności Rybinskiego. Dziewczyna oddała matce filiżankę z kawą, a Aleksandra poprowadziła ją na parkiet i objęła w talii, tak jak robili to mężczyźni.

Czekając chwilę na złapanie rytmu przed włączeniem się w krąg tancerzy, Aleksandra doznała dziwnego wrażenia, czując pod ręką delikatne żebra dziewczyny, które wznosiły się i opadały niczym żywa istota. Nagle straciła całą pewność siebie. Do tej pory tańczyła jedynie z mężczyznami, wspierając się na ich solidnych ramionach, pełniących rolę bezpiecznej kotwicy podczas wirowania w walcu, skały, na której można się było oprzeć. Teraz to ona musiała przejąć prowadzenie i to jej ktoś będzie się kurczowo trzymał. Poza tym - jako mężczyzna - posuwała się w przód zamiast w tył, w dodatku w oficerkach, a nie w pantofelkach na wysokich obcasach.

Myśląc tylko o tym, wypadła z rytmu i zderzyła się z biustem dziewczyny. Doznała wrażenia, jakby nadepnęła na coś miękkiego. Jak mężczyźni mogą to lubić?

Spróbowała jeszcze raz i w końcu zdołała wprowadzić partnerkę w krąg tańczących. Niestety, nie wzięła pod uwagę długości ostróg. Cichy okrzyk i odgłos rozrywanego materiału oznajmiły jej, że źle obliczyła odległość i zahaczyła końcem ostrogi o suknię innej tancerki. Skłoniła głowę w geście przeprosin i udała, że nie dostrzega gniewnych spojrzeń jej partnera, po czym uniosła wyżej brodę i próbowała jeszcze raz. Pot spływał jej po plecach, a prowadzenie partnerki i konieczność wykonywania wszystkiego na odwrót sprawiły, że z wysiłku podkuliła głowę. Na szczęście dziewczyna nie skarżyła się i przyjmowała wszystko ze spokojem. Zniosła z uśmiechem nadepnięcie na nogę, uderzenie w klatkę piersiową i zbyt mocno ściśnięte palce. Dlaczego więc im nie wychodziło?

Łatwiej jest być kobietą - skonstatowała Aleksandra. To ja ponoszę winę za tę fu-



szerkę. Gdyby jednak mi się udało, sobie mogłabym przypisać zasługę.

Minął ją Uljanow z partnerką. Ich kroki współgrały ze sobą, były jakby lustrzanym odbiciem. Patrząc na nich, Aleksandra zrozumiała, że nie prowadzenie jest najważniejsze, tylko wyczucie partnera. Od niego zależy, jak kto tańczy, i nie jest ważne, czy to kobieta, czy mężczyzna. Partnerzy powinni dostosowywać się do siebie i uzupełniać nawzajem. Jako kobieta zawsze starała się wyczuć partnera, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że mężczyzna również musi mieć baczenie na partnerkę, bo dobrzy tancerze tak postępują.

Postanowiła więc skupić się na krokach partnerki i po kilku błędach odnalazła wreszcie właściwy rytm. Bardzo więc żałowała, gdy orkiestra przestała grać. Wspaniale jest być tak blisko drugiej osoby, oddychać w jednym rytmie, nie czując dystansu, jakby stanowili jedność.

Nagle uświadomiła sobie, że właściwie to nigdy nie tańczyła z Uljanowem.

A co myślały o Aleksandrze kobiety na balu? Czy przekonujące było jej męskie przebranie? Co mówiły, kryjąc się za wachlarzami?

- Zbyt chłopięcy ten kornet. Brak mu mięśni i właściwej wagi. To płotka. Trzeba ją wyrzucić z powrotem do wody.

- Poeta.

- Słabeusz.

- Aniołek.

- Taki bezpłciowy.

Był jednak na balu ktoś, kto miał inne zdanie o kornecie Karpackim. Kiedy Aleksandra wyszła z sali do ogrodu, by zaczerpnąć powietrza, podążył za nią pułkownik. Przez cały wieczór obserwował ją z nateżoną uwagą i podziwem. Anioł? Oczywiście. Bezpłciowy? Nie dla niego.

- Czy mogę zaproponować panu coś pokrzepiającego? - spytał, wylaniając się zza gęstwiny liści z dwoma kieliszkami szampana w potężnych rękach. - Z taką pracowitością spełniał pan swoje obowiązki wobec miejscowych dziewcząt, że pomyślałem, iż musi być pan spragniony.

- To żaden obowiązek - zapewniła zadyszana Aleksandra, przyjmując kieliszek. -

To prawdziwa przyjemność. Dziewczęta są czarujące.

Usiadła na kamiennej ławce, a pułkownik obok niej.

- Mam szczerą nadzieję, że tak nie jest - szepnął. Aleksandra przełknęła łyk szampana. Co on miał na myśli? Oby nie to, co podejrzewała.

- Och, zupełnie się z panem zgadzam, ekscelencjo - powiedziała, udając, że go nie zrozumiała. - Nie są równie eleganckie jak nasze damy w Petersburgu, ale jednak miłe i całkiem ładne. Wzorzec kobiecej atrakcyjności określamy na podstawie tego, co widzimy.

- Z pewnością - przytaknął pułkownik. - A czy znalazł pan kogoś, kto przyciągnął pańską uwagę? Kogoś, o kim marzyłby pan w nocy?

- Och nie - odparła Aleksandra, mając się na baczności. - Wszystkie mi się podobały.

- Proszę mi powiedzieć, panie kornecie, czy był pan już z kobietą? - spytał pułkownik, przysuwając się bliżej.

Przywykła już do swobody, z jaką koledzy oficerowie rozmawiali o płci pięknej, więc nie zaszokowało jej, ale raczej rozbawiło to pytanie. Tylko co powinna powiedzieć pułkownikowi?

- Tak, miałem kobietę - wyznała po chwili, wychodząc z założenia, że skoro jest kobietą, to siebie posiadała.

- I co, podobało się panu?

Pamiętając o kłopotach ze swoją partnerką na parkiecie i o naturalnej niechęci do własnego ciała, dała odpowiedź negatywną, spodziewając się, że sprowokuje interesującą reakcję.

- Ach, wobec tego może zalicza się pan do grupy ludzi odrzucających społeczne konwenanse i szukających piękna w sile, nie w słabości, ludzi przeciwstawiających się marnotrawieniu własnych sił na życie rodzinne i odrzucających śmierć.

Pomyślała, że z pewnością się do nich zalicza, lecz była ciekawa, jak to się przekłada na codzienne życie, poprosiła więc pułkownika o więcej szczegółów.

- Nigdy nie dorosnąć - wyjaśnił z nagłą pasją w głosie - nigdy się nie zestarzeć, na zawsze pozostać chłopcem. Żyć wiecznie.

- To byłoby wspaniałe - stwierdziła - ale jest niemożliwe. Czas płynie, a nasze ciała się starzeją.

- Ale nie nasze umysły i dusze, mój drogi panie kornecie - odrzekł pułkownik. - Wiem, że to potężne ciało, które dźwigam, zwiotczało, pomarszczyło się i zużyło, za to mój umysł jest równie świeży, a serce równie szczere jak u chłopca.

- Jednak nasze umysły i dusze muszą nadążać za naszymi ciałami - powiedziała. - W przeciwnym razie dochodzi do żalosnej dysharmonii.

Pomyślała o kawalerzystce Durowej, starzejącym się chłopcu, który nigdy nie stał się mężczyzną, i starzejącej się dziewczynie, która nigdy nie stała się kobietą. Chyba pragnęła w ten sposób zatrzymać upływ czasu, pozostając osobą bezpłciową jak dziecko, kimś, kto został z boku i nie dał się wciągnąć w wir życia. Jej ciało starzało się nieubłaganie, a dusza, wyzierająca z pomarszczonej twarzy, zdawała się odzwierciedlać ten dysonans, czyniąc z niej istotę skarłowaciałą i wynaturzoną.

- Nie - dodała, czując nagły niepokój w sercu - nie możemy powstrzymywać natury. Musimy jej ulec.

- Ale wszystkie wielkie rzeczy na świecie powstały w wyniku przeciwstawiania się naturze - zaproponował pułkownik. - Czymże jest nauka, wynalazki, sztuka? Triumfem człowieka nad prawami natury, potęgą czystego umysłu, który pokonał je i nagiął do własnej woli.

- To prawda - przyznała. Jej niepokój się rozwiął i znowu patrzyła na błyszczące oficerki z dumą i satysfakcją. - Prawdą jest też, że natura niekiedy zachowuje się dziwnie, jakby sama opierała się upływowi czasu i zbliżającej się śmierci - dodała, wskazując na niebo, które rozjaśniał świt, jaki tak naprawdę nie nadchodził, a potem zalewało je światło słońca, które tak naprawdę nigdy nie zachodziło, pozostawiając niebo w stanie zawieszenia.

- A więc to, co wydaje się nienaturalne, nie jest wcale takie nienaturalne i może być najbardziej naturalną rzeczą na świecie - skonstatował pułkownik, patrząc na nią płomiennym wzrokiem.

- Tak - przyznała Aleksandra, usiłując się od niego odsunąć.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak pan - rzekł nagle pułkownik. - Jest pan

zupełnie niepodobny do znanych mi mężczyzn.

Nic dziwnego - pomyślała. - Bo jestem kobietą.

- I z nikim jeszcze tak nie rozmawiałem. Skąd u pana taka mądrość?

Bo jestem kobietą?

- Ja nigdy... - Emocje wzięły nad nim górę. Odwrócił się od niej i zacisnął dłonie na kolanach, jakby zmagął się ze sobą. - Jestem samotnym człowiekiem - powiedział w końcu, po czym spojrzał w niebo. - Znienawidzonym i odrzuconym przez innych.

- Nikt pana nie nienawidzi, ekscelencjo - zapewniła Aleksandra. - Wszyscy pana kochają.

Pokręcił głową.

- Ale nie...

Ktoś wszedł do ogrodu. Aleksandra odwróciła głowę, słysząc skrzypienie skóry i brzęk ostróg. Po chwili ujrzała Uljanowa. Na jego twarzy malował się wyraz dezaprobaty. Wskazał ręką na Aleksandrę.

- Proszę wybaczyć, panie pułkowniku, muszę wypożyczyć na moment korneta.

Ruszył przodem, prowadząc Aleksandrę za róg domu, z dala od uszu pułkownika. Tu, patrząc jej w oczy, ostrym tonem ostrzegł ją, żeby uważała na dowódcę pułku.

- Niby dlaczego? - spytała nonszalanckim tonem, chociaż doskonale wiedziała, co on ma na myśli.

- Bo ma dość niezwykle upodobania.

- Może pan mówić otwarcie - powiedziała, pragnąc wrócić do interesującej rozmowy, zirytowana, że Uljanow podaje w wątpliwość jej ocenę lub wiedzę o szerokim świecie i jego wielu dziwnych odmianach. - Nie jestem dzieckiem.

- On lubi chłopców - wyjaśnił, zniżając głos i rozglądając się na boki, czy nikt ich nie podsłuchuje. W mroku błysnęła jego twarz, szczupła i pełna życia.

- Cóż z tego? Nie jestem chłopcem, więc nic mi z jego strony nie grozi.

Odwróciła się z zamiarem odejścia, ale Uljanow złapał ją za rękę.

- On tego nie wie. I to nie pani grozi niebezpieczeństwo, tylko jemu. Proszę go nie zachęcać. Pani postępowanie wobec niego jest wysoce niewłaściwe.

Aleksandra, wściekła z powodu krytyki jej zachowania, próbowała się wyswobo-

dzić, lecz Uljanow wzmocnił uścisk. Kiedy udało jej się wyszarpnąć rękę, chwycił ją za nadgarstek, który z łatwością objął palcami, obojętny wobec jej wysiłków.

- Oboje wiemy, że nie należy pani do osób zbyt miłych, Aleksandro - powiedział, gdy hrabianka chciała go kopnąć, ale jej się nie udało. Uwięziona w żelaznym uścisku dłoń boleśnie ją piekła, jakby zakuto ją w kajdany. - Ale jeżeli mam tu coś do powiedzenia, będzie pani traktować pułkownika z życzliwością.

- Nie ma pan tu nic do powiedzenia - warknęła, spocona i zdyszana.

- Czyżby? - Puścił ją tak nagle, że omal się nie przewróciła. - Jako pani przełożony odpowiadam za pani zachowanie. Moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby zachowywała się pani przyzwoicie i nie robiła głupca ani z siebie, ani z nikogo. W przeciwnym razie - dodał, uśmiechając się lekko - sąd wojskowy i egzekucja. Tak więc - przysunął się bliżej - jest pani całkowicie w mojej mocy.

Ze wściekłości zaniemówiła. Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym pluła mu w twarz. Tylko się zaśmiał.

- Mój drogi kornecie, hrabio Karpacki, plucie na wyższego rangą oficera to wykroczenie przeciw regulaminowi.

- A czy regulamin zezwala na stosowanie fizycznej przemocy wobec niższego rangą oficera, będącego pod czyjąś opieką? - spytała, wciąż nie mogąc złapać tchu.

- Oczywiście. Mógłbym kazać panią wychłostać.

To nie była prawda, tylko poborowi podlegali karze chłosty, oficerowie nigdy. Aleksandra zamilkła. Wiedziała jednak, że nawet gdyby tak było, Uljanow, świadom, że ona jest kobietą, nigdy nie wydałby takiego rozkazu.

- Ale nie zrobi pan tego, kapitanie? - Spuściła głowę i spojrzała na niego spod rzęs. Chociaż nie chciała się do tego przyznać, bardzo jej się podobała ta szamotanina. Przyjemnie było znaleźć się w mocy Uljanowa, ulec silniejszemu. To dziwne, ale ekscytowała ją ta sytuacja.

- Proszę mi tu nie stosować babskich sztuczek - rzekł Uljanow. - Wydawało mi się, że chce pani zostać żołnierzem i zachowywać się jak mężczyzna. Proszę więc nie domagać się tu kobiecych przywilejów.

- Przywilejów? - powtórzyła Aleksandra. - Jakich przywilejów?

- Ot, choćby okazywania szacunku i stawiania się ponad obowiązującymi zasadami.

- Skoro nie dopuszcza się nas do gry - odparła - to te zasady nas nie dotyczą. To, co pan nazywa przywilejem, jest jedynie wykluczeniem nas z gry.

- Świetna riposta - stwierdził. - Kiedy udowodnicie, że umiecie grać, dopuścimy was do gry.

- Skoro jednak nas nie dopuszczacie, skąd będziecie wiedzieć, że umiemy grać? - odparowała, zakładając ręce na plecy i kiwając się w przód i w tył.

- Punkt dla pani - stwierdził. - Ale dlaczego pani tak bardzo na tym zależy?

- Bo to jest gra o życie w wielkim świecie.

- Więc nie lubi pani tego mniejszego, bezpieczniejszego świata kobiet?

- Ani trochę.

- Szczera odpowiedź. Musi mi jednak pani udowodnić, że umie grać.

- Zamierzam to zrobić - powiedziała, tym stanowczym stwierdzeniem kładąc kres dyskusji, po czym odeszła.

Chcąc udowodnić, że mówiła poważnie, nie poszła na festyn za młynem. Nie wymknęła się, jak inni oficerowie, z sali balowej, uciekając przed źle ubranymi, nieśmiały mi miejscowymi pięknościami i ich pretensjonalnymi matkami, by upić się z wieśniakami i skorzystać z usług chętnych kobiet. Nie słyszała jęków i chichotów podczas spótkowania na sianie przy księżycu, zawodzenia skrzypiec, tupotu bosych stóp po ziemi, świstu grubych warkoczy dziewcząt, wirujących wokół ich głów w czasie szalonego tańca. Nie była też świadkiem jedzenia ziemi, zwyczaju mającego swoje korzenie w pogańskim świecie, który przeniesiono na grunt chrześcijański.

Zrezygnowała z tego wszystkiego, poszła prosto do domu i położyła się spać. Jutro czekała ją bitwa i chciała się do niej przygotować. Co prawda nie była to prawdziwa bitwa, ale działa miały strzelać, a konie szarżować. Na wielkie manewry pod Petersburgiem ściągnięto pułki piechoty, artylerii i kawalerii, by sprawdzić ich umiejętności i odwagę. Była to największa z męskich zabaw - rozgrywka generałów z udziałem prawdziwych żołnierzy.

Następnego dnia Aleksandra wstała wcześnie. Korzystając z tego, że Łopuchin



chrapał w drugim końcu pokoju (niedawno wrócił), umyła się starannie i klnąc na biust, zabandażowała go paskami materiału. Owinęła również nogi onucami (kawaleria nie nosiła skarpetek) i wciągnęła oficerki za pomocą metalowych haftek, które zaczepiła o pętelki z materiału, przyszyte w tym właśnie celu do wewnętrznej strony buta. Zapięła metalowe guziki bluzy i przesunęła z zadowoleniem dłońmi po złotym szamerowaniu. Przypięła szablę, szabeltas i z czakiem w zgięciu ramienia zaczęła maszerować wokół pokoju, wsłuchując się w miarowy stuk, obcasów i patrząc z zadowoleniem na kołyszącą się szablę. Potem wzięła brzytwę Łopuchina i ogoliła prawie niewidoczne, cienkie jak pajęczyna włoski na twarzy. Pomyślała, że takie brutalne drapanie wzmagają mordercze zapędy, zwłaszcza jeśli się to robi codziennie. Nic dziwnego, że mężczyźni mieli ochotę zabijać.

Po śniadaniu, na zbiórce w porannym słońcu, skąd mieli się udać na pole bitwy, dowiedziała się, że nie będzie dowodzić swoim plutonem w czasie szarży kawalerii. Uznano (ciekawe kto; nie miała wątpliwości, komu to zawdzięcza), że jej brak doświadczenia może zniweczyć sukces manewru. Przyjęła tę nowinę jak mężczyzna, zasalutowała, odwróciła się i dosiadła konia.

Podjechał do niej Uljanow i delikatnie przesunął jej czako na tył głowy, by móc spojrzeć w oczy. Popatrzyła na niego z kamienną twarzą. Uśmiechnął się i ustawił czako we właściwej pozycji.

Komenda, dźwięk trąbki i tysiąc huzarów ruszyło drogą. Kłusowali w milczeniu, podekscytowani czekającym ich zadaniem. Słyszał było jedynie skrzypienie siodeł i tętent kopyt. Z oddali dochodziło głucho dudnienie i huk dział, a nad drzewami unosiła się chmura dymu, która przesuwała się i rozpływała w powietrzu.

Zatrzymali się na skraju pola: szwadron przy szwadronie, pluton obok plutonu, kapitanowie na czele, młodszy oficerowie z tyłu, a w środku pułkownik na ciężkim koniu, chroniony przez oficerów, którzy tworzyli wokół niego żywy mur. Na rozkaz pułkownika stojący za nim sygnalista zagrał na trąbce komendę i masa ludzi oraz koni rozwinęła się w potężną falę, szeroką na trzy rzędy, szykującą się do uderzenia o brzeg. Proporczyki lanc furkotały na wietrze, a po przeciwnej stronie pola piechota - ich domniemany wróg - czołgała się, niczym mrówki, w kłębach dymu.

Konie parskaly z podniecenia i rwały się do przodu.

Patrząca prosto przed siebie Aleksandra, którą ku jej irytacji ustawiono tuż za Uljanowem, z trudem przełknęła ślinę, czując suchość w ustach. Herkules prychnął przez nos i westchnął tak głęboko, że poczuła, jak rozszerzają mu się żebra.

- Szable w dłoń! Lance w górę! - wydał komendę pułkownik.

Oficer przekazał rozkaz sygnaliście, siedzącemu na koniu obok niego. Ten zamienił słowa w dźwięk. Tysiąc szabel i lanc strzeliło w niebo, tworząc gęsty las. Oficerowie, wyposażeni tylko w szable, wyjęli je z pochew. Aleksandra miała z tym pewne trudności, bo ręce jej się trzęsły, lecz w końcu wydobyła broń i oparła o udo.

- Huzarzy Zamoyskiego, naprzód!

Trąbka ponownie zagrała i zaczęło się.

Stojąc w strzemionach, Aleksandra z całej siły ściągała wodze, powstrzymując zniecierpliwionego Herkulesa, który parskał i gryzł wędzidło. Idący przed nią koń Uljanowa wyglądał, jakby wyszedł na przechadzkę.

- Kłusem!

Popuściła nieznacznie wodze, a Herkules natychmiast przyspieszył, kręcąc łbem, bo to mu nie wystarczało. Siedź równo - powtarzała sobie w myślach, kiwając się w siodle. Uczono ją kłusować, lecz kłus kawaleryjski był inny, najwyraźniej nastawiony na maksymalne utrudnianie życia jeźdźcowi. Czako zsunęło jej się na oczy, podniosła więc do twarzy rękę trzymającą szablę, by ściągnąć pasek pod brodą, ale w tym momencie świetnie wyszkolony Herkules usłyszał trąbkę wzywającą do galopu i nagle uniósł się niczym fala i przetoczył po ziemi, wchodząc w miarowy rytm. Pot zalał jej oczy.

Ziemia zadudniła pod tysiącem kopyt, a stalowy las zamigotał w słońcu. Aleksandra nigdy jeszcze nie doświadczyła takiego podniecenia, można powiedzieć: ponadzmysłowego, chociaż pot zalewał jej twarz, a czako zsuwało się na oczy, Serce waliło jej jak bęben w rytm tysiąca innych serc.

- Cwałem! Szarża!

Trąbka odegrała komendę i konie wydłużyły krok, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Strzelisty las położył się nagle, kierując ostrza na cel - piechotę, która powinna teraz pokazać, co potrafi. Tymczasem piechurzy na widok tysiąca stalowych ostrzy, zbli-

zających się ku nim nieubłagane w chmurze pyłu, wpadli w panikę. Nie bacząc na to, że ich oficerowie rozdawali razy na prawo i lewo, przeklinali, zdzierali gardła, żołnierze porzucali pistolety, karabiny i wszystko, co im utrudniało ucieczkę.

- Pozostać na pozycjach! - krzyczeli oficerowie.

- Mamy to gdzieś! - odpowiadali piechurzy, a przynajmniej ci z nich, którzy w ogóle mogli cokolwiek powiedzieć bo w powstałym tumulcie wpadali na siebie, tratowali się próbowali przeczołgać pod nogami zawracających wystraszonych koni, przedzierali się między jaszczami i armatami, bijąc każdego, kto stanął im na drodze. Oficerowie byli zdruzgotani. Oto rosyjski żołnierz - mówili. Ale przecież to nowi rekruci.

Aleksandra była zachwycona i nie mogła się doczekać, by przeżyć to jeszcze raz. Otrzymała taką sposobność. Dowodzący manewrami doszli do wniosku, że nie uzyskali zadowalającego wyniku, bo piechurzy uciekli. Należało ich wyleczyć ze strachu przed szarżującą kawalerią. Taki był cel ćwiczeń. Kazano więc powtórzyć manewr.

Huzarzy zawrócili na skraj pola. Aleksandra poprawiła czako, podciągnęła pasek pod brodą i wsunęła nogi w strzemiona. Czuła się wspaniale. Nie myśląc o tym, co robi, zaśmiała się głośno, mijając Uljanowa, on zaś pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak czarującej kobiety. Na twarzy miała smugi z kurzu i potu, ale zęby lśniły bielą, a w oczach migotały gwiazdy.

Kapitan odetchnął z ulgą, widząc, że nie połamała sobie tych ślicznych nóżek i nie rozbiła pięknej główki. Pokłusował za nią uszczęśliwiony, lecz kiedy ją mijał, na jego twarzy malowała się obojętność.

## Rozdział 21

Nie musiał się o nią martwić. Aleksandra, zdecydowana dowieść swoich racji, odzywała się do niego jedynie w sprawach regulaminowych. Przez kilka następnych tygodni wykonywała jego rozkazy, salutowała służbiście, ale nie było żadnych rozmów w cztery oczy, żadnych spotkań za stodołą, żadnych słownych potyczek, które nocami pobudzały jego wyobraźnię i z których zawsze wychodził zwycięsko. Nie miał też okazji, by znowu złapać ją za rękę lub posunąć się dalej, gdyż wyraźnie go ignorowała.

Każdego dnia obserwował, jak hrabianka coraz pewniej czuje się w siodle i - jako dowódca plutonu - nabiera wprawy w posługiwaniu się szablą w galopie i coraz celniej strzela z pistoletu. Piła na równi z innymi oficerami, nie stroniła od rozmów, ale omijała wzrokiem Uljanowa, gdy się do niej zwracał, jakby w ogóle go nie słyszała. Brała udział w potyczkach, przeprowadzała zwiady i manewry oskrzydłające przy pozorowanych atakach. Dzięki temu jej twarz ogorzała od słońca i nabrała koloru brzoskwini, oczy stały się bardziej niebieskie, zęby bielsze, a włosy jaśniejsze i wyglądały jak łan pszenicy. Na jej widok ścisnęło go w żołądku, a serce zaczęło mocniej bić.

Okazało się też, że pomimo niezbyt fortunnych początków na parkiecie zdobyła serca miejscowych dam i służących. Doprowadzała je do szaleństwa z powodów, których nie mógł pojąć on, pozeracz serc niewieścich. Jakaś wiejska dziewczyna podeszła do niego z chustką pełną jeżyn, prosząc nieśmiało, by dał ją hrabiemu Karpackiemu. Z jakichś niezrozumiałych powodów poczuł się wówczas zazdrosny. Wieczorami, kiedy Aleksandra piła w towarzystwie młodszych oficerów, Uljanow, zapraszany na kolację do miejscowego kupca, siedząc przy suto zastawionym stole, musiał odpowiadać na pytania matki o zdrowie hrabiego Karpackiego, podczas gdy stojąca za jej plecami córka płonęła się i trzepotała rzęsami.

Któż mógł się oprzeć temu wysokiemu, przystojnemu młodzieńcowi u progu męskości, dziwnie delikatnemu i kruchemu, rozpalającemu ogień w piersiach kobiet? Na pewno nie ja - myślał Uljanow - i nie pułkownik, który wzdychał i oblewał się rumieńcem za każdym razem, gdy młody kornet był w pobliżu.

A Łopuchin? Pochylali ku sobie głowy, śmiali się z im tylko znanych żartów, za-

kładali, kto więcej zje, szybciej wypije, wyżej skoczy lub zwycięży w którejś z wielu konkurencji, wymyślanych przez młodych ludzi jedynie po to, by upajać się młodością i siłą. Uljanowowi niedobrze się robiło, gdy widział, jak Aleksandra jechała z Łopuchinem na wieczorną przejażdżkę po lesie, jak pochylała się ku niemu z uwagą, kiedy po porannej musztrze szli ulicami miasteczka w poszukiwaniu rozrywek, jak śmiała się z jego głupich żartów. Wspólnie jedli, wspólnie jeździli, dzielili wspólny pokój.

Szukał w zachowaniu Łopuchina oznak czułości, jakimi kochanek obdarza ukochaną. Nie miał wątpliwości co do jego seksualnych preferencji - był stuprocentowym mężczyzną. Ale czy wiedział, kim naprawdę jest jego towarzysz? Czy nie podkradł się którejś nocy do łóżka hrabianki, gdy mocno spała, by unieść koc i odkryć to, co się pod nim znajdowało? Czy poznał jej tajemnicę i wykorzystał jej naiwność oraz to, że mieszkają razem? Czy zerwał dla siebie jej delikatny kwiat?

Chyba padłbym trupem - pomyślał Uljanow. - A potem bym go zabił.

Łopuchina, który polubił towarzystwo Aleksandry bardziej niż któregośkolwiek z dotychczasowych przyjaciół, zaskoczyła wyraźna wrogość okazywana mu przez Uljanowa. Od czasu tragedii kapitan nie brał udziału w pijatykach, nie śpiewał sprośnych piosenek w czasie wieczornych spotkań w karczmie, ale przynajmniej był uprzejmy, na swój sposób przyjacielski, chociaż roztargniony, milczący i zamknięty w sobie. A teraz rzucał wrogie i pełne dezaprobaty spojrzenia w jego stronę. Co takiego zrobił, czym zasłużył sobie na jego niechęć?

- To bardzo dziwne - powiedział pewnego wieczora do Aleksandry, szykując się do snu w ich małym pokoju w domu wdowy. Aleksandra leżała na łóżku i szukała czegoś w szabeltasie. Łopuchin rozebrał się i rzucił na łóżko, podkładając sobie poduszkę pod głowę ze zręcznością, która nie przestawała fascynować Aleksandry i którą starała się naśladować. - Ale Uljanow się zmienił. Niegdyś go uwielbialiśmy. Nie tylko brał udział we wszystkim, ale nam przewodził. Jakże go podziwialiśmy, kiedy po tej tragedii zapowiedział, że prześpi się z każdą poznaną kobietą. Taki właśnie jest prawdziwy mężczyzna: nie daje się omotać kobietom, szantażować uczuciami, nie pozwala, by one krępały jego swobodę. Ta kobieta popełniła samobójstwo, by ukarać go za to, że nie dostała tego, czego chciała. Cóż za głupota! I co osiągnęła? Lepiej byłoby go zabić; niestety,

żadnej nie przyjdzie to do głowy, chociaż, jak się nad tym zastanowić, to kilka z nich próbowało. Tak czy owak, znowu stał się sobą i odzyskał siły. Służące, wieśniaczki, męzkatki w każdym mieście. Szkoda, że go nie widziałeś w akcji. Mógłbyś się wiele nauczyć. Nie pamiętam, ile ich było, ale Babbisz zapisywał je kredą na ścianie kantyny. Mówię ci, kiedy patrzyliśmy na te rosnące liczby, to aż chciało się żyć. Od tego zaczęliśmy dzień. A teraz... sam widzisz. Minęło kilka miesięcy od tamtej tragedii, a jemu wcale się nie poprawia, przeciwnie, coraz z nim gorzej. Martwię się o niego.

Aleksandra słuchała go z rozbawieniem. Nie wiedziała, co było śmieszniejsze: to, że udało jej się zemścić na Uljanowie za jego arogancję, okazując mu całkowitą obojętność i obnosząc się z sympatią do Łopuchina, czy też to, że Łopuchin wciąż nie dostrzegał tego, co rzucało się w oczy każdego ranka i każdego wieczoru. Jak mógł nie zauważyć, że jego współlokator nigdy nie rozbiera się w jego obecności? On sam paradował nago po pokoju, siusiał do nocnika i mówił z cygarem w ustach. To było typowo męskie zachowanie ostentacyjnie nieskromne, a sądząc ze sposobu, w jaki Łopuchin mówił o samobójstwie tej biednej służącej - także pozbawione skrupułów i szorstkie. To zapewne owa szorstkość, brak wrażliwości, egocentryzm i agresja, z których mężczyźni byli tacy dumni, zapewniały im sukces i uznanie kolegów. Ich egoizm, wielkopański i wyniosły, stanowił źródło ich siły. Tak, sekret męskiej siły niewątpliwie krył się w egotyzmie, w samouwielbieniu. Nic dziwnego, że kobiety tak mało uzyskiwały, bo się nie ceniły, poświęcały dla innych, ustępowały i stały z tyłu.

Obróciła się na bok, podłożyła rękę pod głowę i patrzyła z przyjemnością na nagie ciało Łopuchina, na wspaniały okaz męskiej siły, spoczywającej w niedbałej pozie na sąsiednim łóżku, zamkniętej w formie kości i mięśni.

Łopuchin zapalił papierosa i zatopił się w myślach. Jego wspaniała pierś unosiła się i opadała.

- Jest jeszcze coś - powiedział. - Może mi się zdaje, ale odnoszę wrażenie, że on czuje do mnie niechęć. Nie wiem co jest tego przyczyną.

Ach, więc się udało. Aleksandra nie powinna jednak wykorzystywać Łopuchina. Był na swój sposób miłym chłopcem, chociaż niezbyt spostrzegawczym. Nie chciała też niszczyć przyjaźni łączącej porucznika z kapitanem. Dobre stosunki między oficerami



wpływały na jedność szwadronu. Jako oficer powinna spróbować to naprawić.

Nie miała jednak ku temu okazji. Przez kilka następnych tygodni rzadko widywała Uljanowa. Nadal wypełniała swoje obowiązki, zdobywała doświadczenie, męźniała i coraz lepiej poznawała psychikę mężczyzny. Ze swoim plutonem ćwiczyła strzelanie z karabinu w galopie. W tym celu ustawiano specjalną tarczę ze słomy, w którą żołnierze musieli trafić lub wbić w nią szablę. Przeprowadzała zwiady, by zdobyć informacje o nieprzyjacielu, którym był pluton rosyjskiej piechoty. Ukrywali konie w przepuście pod drogą, a sami wchodzili na drzewa, wstrzymując oddech i starając się nie parsknąć śmiechem, gdy pod nimi szła piechota, nie dostrzegając, że zastosowali najstarszy ze wszystkich tricków. Kazała swoim ludziom poukładać na ścieżce pod drzewami połamane gałęzie, żeby żołnierze piechoty musieli się schylać i je odsuwać lub kopnięciem odrzucać na bok, co odwracało ich uwagę od obserwujących ich z góry huzarów.

Pełniła również służbę w rozmieszczonych po całym terenie placówkach, usytuowanych u stóp wzniesień, wypatrując szpiegów, nieprzyjacielskich zwiadów i podejrzanych ruchów obcych wojsk pod osłoną nocy. Siedząc na ziemi obok spacerujących wartowników, wyciągała źdźbła trawy i gryzła je, delektując się ich gorzkim smakiem, lub kładła się na plecach i wpatrywała w gwiazdy, zastanawiając się nad tym, jak mogłaby naprawić stosunki między Uljanowem a jej współlokatorem. Wyglądało na to, że Uljanow jest zazdrosny, ale dlaczego? Czyżby nadal ją kochał? A może jako kobieciarz, tęskniący za zapachem kobiecego ciała, i kolekcjoner samotnych serc zazdrościł Łopuchinowi towarzystwa jedynej kobiety w szwadronie. Tak czy owak, sprawiało jej przyjemność dręczenie go okazywaniem sympatii przystojnemu Łopuchinowi. Z oddali dobiegło wycie wilków. Zimą podejną bliżej, lecz jeszcze nie teraz.

Szwadron znów wyruszył w drogę, tym razem do miasta. Mieli biwakować na dworze, ucząc się żyć na łonie natury. Aleksandra bez trudu utrzymywała się w siodle i słuchając chóralnego śpiewu, potrafiła się wyłączyć i drzemać. Siodło kołysało ją do snu, a parskanie koni, głosy ludzi, brzęk uprząży powoli się oddalały. Inni żołnierze również spali w marszu z głowami spuszczoneymi na piersi.

Otworzyła oczy na sygnał trąbki ogłaszający postój. Słońce stało wysoko na niebie, a upał kładł się ciężarem na głowie. Zdjęła czako, otarła czoło rękawem i podrapała się

po mokrych od potu włosach. Padła komenda: „W prawo zwrot, naprzód!” Szwadron skręcił na łękę. W oddali połyskiwała woda. Zatrzymali się, by napoić konie i nakarmić ludzi. W suchym wrześniowym powietrzu brzęczały owady.

Rosnące nad brzegiem rzeki drzewa kładły się cieniem na trawie. Aleksandra przejechała pod nimi, wprowadziła Herkulesa do wody i poczuła, jak pęcznieje mu brzuch. Z mokrymi po uda nogami wyprowadziła konia na brzeg i zeskoczyła na ziemię, by mógł skubać trawę. Ale ogier, szukając towarzystwa innego konia, podszedł do wielkiego czarnego wierzchowca, który wyciągał muskularną szyję ku trawie obok siedzącego w cieniu huzara. Był to Uljanow.

W pobliżu ani żywej duszy. Wszyscy poszli dalej. Aleksandra popatrzyła niepewnie na kapitana. Wyrwał trawę i rzucał z gniewnym zamachem do rzeki. Podkraśniała się bliżej, próbując to zrobić jak najciszej. Chociaż znalazła się tuż obok niego, nie dostrzegł jej i nie przestał rzucać pęków trawy do wody. Odchrząknęła, by zaznaczyć swoją obecność, ale Uljanow nie podniósł wzroku. Przykucnęła obok niego.

- Ładny dziś dzień, kapitanie - odezwała się. - Niezbyt gorąco.

Nie odpowiedział. Westchnął głęboko, jakby zirytowało go, że ktoś przerywa mu letnią idyllę nad rzeką. Potem spuścił głowę i oparł ręce o kolana, zwieszając luźno dłonie.

Do tej pory nie zwracała na niego uwagi, chociaż pamiętała, jak zacisnęły się wokół jej nadgarstka. Zazdrościła mu tych szerokich dłoni z wydatnymi kośćmi, mocnymi ścięgnami i jasną smugą włosów. Jej własne były blade, wąskie i drobne. Nawet po wielu latach ściągania wodzy, noszenia ciężkiego karabinu, machania szablą pozostała słaba i szczupła.

Podeszła jeszcze bliżej i usiadła obok niego, przybierając tę samą elegancką pozę z rękami opartymi o kolana i luźno spuszczonej dłońmi.

- Jak pan myśli, czy żołnierze poradzą sobie dziś wieczorem z furazowaniem? - spytała. - Ja sądzę, że tak. To świetni ludzie i bardzo zgrani, prawda? Nie sądzi pan, kapitanie, że najważniejszą rzeczą jest jedność oddziału? Jedność myśli i czynów. Podobnie jest z oficerami, nie sądzi pan?

Zamierzała teraz przejść do sprawy Łopuchina i raz na zawsze ją wyjaśnić. Cho-

ciaż sprawiała jej to przyjemność, postanowiła przerwać tę dziecinadę i dać spokój Łopuchinowi. Żołnierz tak nie postępuje, to nie po męsku wykorzystywać kolegę oficera. Zastanawiała się właśnie nad kolejnym zdaniem prowadzonej z sobą rozmowy, bo Uljanow do tej pory nawet nie mruknął, gdy nagle - nigdy się nie dowie, jak zdołał zrobić to tak szybko, tak nieoczekiwanie, w tym właśnie tkwił sekret męskiej zręczności, która pozwalała jedną ręką budować mosty i rozpinać haftki gorsetu - znalazła się w ramionach Uljanowa, z głową opartą na szerokiej dłoni. Jego oddech ogrzewał jej twarz, a męski intensywny zapach wnikał w nozdrza i odurzał niczym środek nasenny, od którego powieki robiły się ciężkie. Zaskoczona, rozchyliła usta, czego zapewne oczekiwał, bo pochylił się i przywarł do nich w mocnym pocałunku. Uśmiechnął się, nie odrywając ust, gdy poczuł, że nieśmiało otacza jego szyję ramionami, po czym uniósł głowę, popatrzył na Aleksandrę przez chwilę ze złośliwym uśmiechem i zostawił ją na ziemi.

Z otwartymi i wilgotnymi ustami, leżąc tam, gdzie ją zostawił, patrzyła, jak podchodzi do konia w swoich błyszczących oficerkach, wsuwa stopę w strzemię i płynnym ruchem sadowi się w siodle.

- Koniec przerwy, kornecie - oznajmił. - Czas wsiadać na konia.

Trącił piętami krągłe boki konia (na co zwierzę rzuciło zadem) i odjechał galopem, powiewając pustymi rękawami dolmana.

Jechali aż do zmroku. W powietrzu czuć było jesień. Białe noce zmieniły się w czarne i znów widać było gwiazdy, rozsypane po niebie niczym śnieg, który już wkrótce miał spaść. Aleksandra, jadąc przez obozowisko, spojrzała w górę i odczytała ich obecność jako tajemny znak. Część huzarów spała już przy ogniskach, trzymając w zaciśniętych pięściach kawałki niedojedzonego chleba, inni, zebrani w pięcio- lub sześćoosobowych grupach, jedli kaszę gryczaną, wybierając ją z cynowego garnka cynowymi łyżkami. Niektórzy zamiast łyżek używali palców i wpychali kleiste krupy do ust. Po polu niósł się śmiech i szmery rozmów. Aleksandra wybrała sobie miejsce jak najdalej od Uljanowa, zsiadła z konia, położyła się na trawie i owinęła w dolman, czekając na ciężki, niespokojny sen.

## Rozdział 22

Zgodnie ze zwyczajem ordynans mieszkał razem z oficerem, by być na każde jego zawołanie. Jak inaczej mógłby dbać o oficerki, czyścić je i polerować, odlepić kawałki błota przyklejonego do obcasów i ostróg? Pilnować, by mundur był oczyszczony i wyprasowany, chociaż nie idealnie, bo należało zachować wrażenie nonszalancji w stroju? Dbać o rękawiczki, chustki do nosa, szczotki, brzytwy, grzebień i pomadę do włosów? I zajmować się tysiącem innych spraw potrzebnych oficerowi do życia w ciągłym ruchu?

Aleksandrze nie przyszło jednak do głowy, że Nikifor zechce z nią zamieszkać. Po długiej podróży do Petersburga zostawili konie w koszarach w centrum miasta, po czym przyjechali dorożką do pałacu nad Newą. Wchodząc po schodach, Aleksandra zauważyła z niepokojem, że ordynans idzie za nią, niosąc jej i swoje bagaże. Pukając do wielkich frontowych drzwi, zastanawiała się, jak go wyżywi, gdzie będzie spał i jak zamknie gębę Praskowii, by nie zdradziła sekretu.

Służąca otworzyła drzwi i gębę jednocześnie.

- Wróciła i jest w ciąży - wypaliła bez słowa powitania, czerwona z gniewu.

- Kto? - spytała Aleksandra, nie rozumiejąc, o kogo chodzi.

- Matriona, a któż by inny?

- O Boże! - wykrzyknęła Aleksandra, zapominając o stojącym za nią Nikiforze. -

Gdzie ona jest?

- W kuchni, opycha się.

Aleksandra wyminęła Praskowię, zostawiając ją z Nikiforem, który wszedł potulnie do holu, i pobiegła do kuchni. Dawna pokojówka siedziała rozparta na jedynym wyściełanym krześle, jakie pozostało w pałacu. Na stole przed nią leżało mnóstwo smakołyków - marynowana ryba, zimne pieczone kurczę, któremu brakowało już nóg, naleśniki, śmietana i konfitury - którymi Matriona zajadała się z takim zapalem, że nawet nie raczyła zwrócić uwagi na obecność swojej pani. Siedziała wygodnie na krześle i wpychała sobie naleśnika do ust.

- Gdzie moje pieniądze? - spytała Aleksandra. - I co zrobiłaś z moimi rzeczami?

- Przejedzone - odparła pogodnie Matriona, oblizując grube palce. - Wszystko

przejedliśmy. Dobrze się bawiliśmy.

- Właśnie widzę - stwierdziła hrabianka, patrząc na wydatny brzuch Matriony, który powstrzymał ją przed zbiciem służącej na kwaśne jabłko. - A gdzie Istvan? Też wrócił?

- Kto to wie? Pewnie wrócił, ale do Budapesztu. Zostawił mnie, gdy skończyły się pieniądze. No to jestem znowu w domu.

- Złodziejka! - wrzasnęła Praskowia, stając w drzwiach kuchni. - Zawsze wiedziałam, że jesteś złodziejką. Zawsze to mówiłam, panienko. Proszę spojrzeć, jak to się opycha.

- Cicho! - powiedziała Aleksandra, odwracając się do niej. - A skąd ona to ma? Kto jej dał te wszystkie drogie rzeczy?

Praskowia zakryła twarz fartuchem.

- To dla dzidziusia - wyjaśniła płaczącym głosem. - Dla dzidziusia, nie dla niej.

Matriona, czując się bezpiecznie w swoim stanie, uśmiechnęła się z satysfakcją. Odniosła kolejne zwycięstwo w wojnie z Praskowią. Popatrzyła chytrze na swoją panią.

- Więc co to za strój? - spytała. - I jeszcze jedno. Kiedy panienka zamierza sprzedać ten pałac, byśmy wszyscy mogli trochę lepiej żyć? Panienka już nie jest hrabianką Korwiną, którą kiedyś była.

Aleksandra podeszła do niej, stukając groźnie obcasami po kamiennej podłodze i pogrążając szablą. Miała ochotę ją uderzyć, lecz zadowolili ją zerwaniem nowej chustki z jej głowy.

- Zamknij gębę, bo znajdziesz się na ulicy razem z takimi jak ty - zagroziła.

Praskowia podbiegła do Matriony.

- Jak panienka może mówić takie rzeczy?! - zawołała, przesuwając pieszczotliwie dłonią po wydatnym brzuchu pokojówki i patrząc z wściekłością na Aleksandrę. - To jest jej dom. Ma prawo tu być. Ma prawo do naszej pomocy, a zwłaszcza do jedzenia, tyle ile możemy jej dać. I ona ma rację. Panienka powinna sprzedać ten pałac. Jak długo zdołamy przeżyć, ciułając kopiejkę do kopiejki, teraz gdy mamy dodatkową gębę do wykarmienia? A właściwie dwie.

- Z tego powodu mam sprzedać pałac?! - wrzasnęła Aleksandra, wskazując na

brzuch Matriony. - A kim wy jesteście, żeby mi mówić, co mam robić?! Przecież wy należycie do mnie!

- To prawda - odparła Praskowia, wysuwając brodę. - I dlatego właśnie powinna panienka sprzedać pałac. Jest nam to panienka winna. To panienki obowiązek zapewnić nam utrzymanie.

- Nigdy! - zawołała Aleksandra, czując się zraniona tym argumentem, który trafił w jej sumienie niczym kula armatnia.

- To niech panienka przestanie udawać mężczyznę i znajdzie sobie prawdziwego, takiego z majątkiem - odparła rozsądnie Praskowia.

- Nie ma mowy. Zrobię to, co będę chciała.

- Egoistka! - rzuciła Praskowia.

- Impertynentka. Arogantka - wysyczała Aleksandra.

- Może wasza miłość chciałby przejrzeć korespondencję - odezwał się potulnie Nikifor, stojąc w drzwiach i obserwując całą scenę. - Nie było pana tyle czasu. Na pewno przyszły jakieś ważne listy, może z zagranicy, lub coś niecierpiącego zwłoki, czym należałoby się zająć.

Aleksandra zrozumiała, że Praskowia i Matriona zjednoczyły się przeciwko niej, zamierzając przekonać ją do sprzedaży rodzinnego domu. Nie, nie i nie! Nie zrobi tego. Nadal jest hrabianką Korwiną i nie zniży się do poziomu biednej arystokratki, która żyje skromnie z jakiegoś nędznego majątku na prowincji. Jej powrót na salony jako panny na wydaniu także nie wchodził w grę. Znowu miałyby się wcisnąć w gorset kobiecych ograniczeń i unізoności? Nigdy!

Jestem żołnierzem - pomyślała. Ale jak może nim być (ta myśl znowu trafiła w nią niczym kula armatnia), jeżeli Nikifor, który zapewne wszystkiego się domyślił, będąc świadkiem sceny Jaka rozegrała się w kuchni, rozpowie o tym komu trzeba? Jak miała go przed tym powstrzymać?

Tymczasem stojący w drzwiach ordynans zachowywał się, jakby niczego nie zauważył.

- Jestem pewny, że wasza miłość chciałby przejrzeć korespondencję - powiedział, uparcie obstając przy swojej wersji. - Gdybym wiedział, gdzie ona jest, przyniosłbym ją



panu. Ale w takiej sytuacji może - tu wskazał na Praskowię - wasza... - Chwilę szukał właściwego słowa i jako dobry dyplomata znalazł je. - Może wasza ciotka pokazałaby mi, gdzie ona jest.

Poskutkowało. Praskowia, zachwycona taką nobilitacją, która stawiała ją znacznie wyżej od jej rywalki Matriony (ciotka hrabianki!), pospiesznie wyszła z kuchni, by przynieść listy. Aleksandrę opuściło napięcie i gotowa była wybaczając.

- Jakoś sobie poradzimy, Praskowio! - zawołała w ślad za nią. - I Matriona dostanie wszystko, co będzie chciała do jedzenia.

Nikifor załatwił sprawę. Przerwał kłótnię między panią a jej służącymi. Oczywiście od samego początku wiedział, że jego pan jest panią. A teraz poszedł za Aleksandrą na górę do jej pokoju, nie komentując tego, co widział wokół siebie, a co kiedyś było wspólnym pałacem. Ukląkł przed Aleksandrą, zdjął jej buty, po czym wstał, a gdy uniosła rękę, odpiął szablę oraz szabeltas i podsunął jej krzesło. Potem zszedł na dół, wziął od podekscytowanej i zalotnej Praskowii listy oraz herbatę i natychmiast dostarczył swemu oficerowi, który przyjął z ochotą jedno i drugie.

- Nikiforze - odezwała się Aleksandra. - Muszę ci wyjaśnić...

- Nie trzeba niczego wyjaśniać - rzekł, stukając obcasami. - Służę mojemu oficerowi zgodnie z jego potrzebami.

- A twoja dyskrecja...

- A moja dyskrecja jest niepodważalna - odpowiedział. - Lojalność też.

- Możesz odejść - odrzekła, uśmiechając się z ulgą. - I sprawdź, co tam Praskowia może ci dać do zjedzenia, zanim ta Matriona wszystko pochłonie. Praskowia na pewno jej nie powstrzyma.

No, przynajmniej ta sprawa została załatwiona. Nikifor nie zdradzi jej sekretu, a poza tym dobrze go było mieć przy sobie. Sięgnęła więc po listy, których sporo się nabywało. Popijając herbatę, zaczęła je przeglądać.

Zaproszenia - od tych, którzy nie wiedzieli o jej wyjeździe na zachód Europy lub o tym zapomnieli. Zaproszenia na bale, herbatki, popołudniowe przyjęcia, weekendy na wsi i wieczory teatralne od zupełnie obcych ludzi, przedstawicielei tej bezosobowej grupy należącej do towarzystwa. Wszystkie te wydarzenia miały miejsce w świecie, który opu-

ściła. To tak, jakby przeniosła się na inną planetę. Tymczasem życie na ziemi toczyło się dalej, ale już bez niej.

Otworzyła następną kopertę. Tym razem nie było to zaproszenie.

*Moja droga hrabino Korwina - brzmiały pierwsze słowa listu. - Mieliśmy okazję jedynie być sobie przedstawieni, lecz to krótkie spotkanie wryło się w moją pamięć i wy-ciskało coraz większy ślad przez te wszystkie miesiące.*

Spojrzała na podpis i rozczarowała się. Widniało tam zdanie: *Od tego, który kocha Panią nad życie.* Charakteru pisma nie rozpoznała, ale z pewnością nie było to pismo Uljanowa. On ograniczył się do krótkiego i prozaicznego „Kocham Panią. Uljanow”. Po tym obraźliwym incydencie nad brzegiem rzeki stało się dla niej oczywiste, że jego wy-znanie było nieszczerze, bo w przeciwnym razie włożyłby w nie więcej pracy. A ten list ociekał ckliwością i obejmował cały ustęp.

Zaraz. Czy to możliwe, by Rybinski w końcu się zdeklarował? Tyle razy usiłowała o nim zapomnieć, a mimo to nadal tkwił w zakamarkach umysłu, niebywale chłodny i idealny, niczym wcielenie szczęścia, sukcesu, niedościgniony wzór dla pospolitości świata. Drżącymi palcami odwróciła list w poszukiwaniu adresu. Nie znalazła żadnego. A jednak papier, na którym go napisano, był gruby i ładny, w kolorze kremowym, do-kładnie takt, jakiego używał jej ojciec i jaki wybrałby ktoś pokroju Rybinskiego. Z biją-cym sercem i rozbudzoną nadzieją otworzyła list i rozprostowała go delikatnie.

*Moja droga - przeczytała jeszcze raz, po czym przeszła do miejsca, gdzie przerwa-ła czytanie. - Wznosi się Pani niczym dumny i silny dąb w lesie moich myśli. - To w ogóle nie pasowało do Rybinskiego. Ona dębem? Czy smukła brzoza nie byłaby lepsza, cho-ciaż nie brzmiała zbyt oryginalnie? Ten człowiek najwyraźniej nie grzeszył talentem po-etyckim. - Proszę mi wybaczyć, że ośmielam się pisać tak szczerze, ale moje serce i umysł są tak Panią przepelnione, że muszę przelać na papier wrzące we mnie uczucia. Ten list to mój lancet. Powiedziano mi, że obecnie przebywa Pani w zachodniej Europie i mogę mieć jedynie nadzieję, ii mój list tam dotrze, by Pani serce mogło się przygotować na przyjęcie nasion mojej miłości, z których wyrosnie piękny kwiat i rozkwitnie w słońcu mojego serca.*

Cóż za szmira! Nie, Rybinski nie napisałby czegoś tak ckliwego i w złym guście.

Autorem musiał być ktoś, kogo spotkała, być może na herbatce, przyjęciu, balu lub koty-lionie, na których bywała w ostatnim sezonie. Rzuciła list na kupkę już otwartych, po czym wzięła go ponownie i przeczytała jeszcze raz. Odłożyła i sięgnęła po nieotwarty.

Kolejne zaproszenia. Nagle dostrzegła znajomy charakter pisma. Otworzyła list, zaciekawiona. *Kochana Oleńko, jestem taka nieszczęśliwa. Kiedy wrócisz z zagranicy? Tego, o czym chcę Ci powiedzieć, nie mogę przelać na papier. Twoja Olga.*

Co za złośliwa ironia!

Olga nieszczęśliwa? Dlaczego? Przecież powinna być najszczęśliwszą z kobiet. Mieszkała w pełnym przepychu pałacu, mogła pławić się w blasku wspaniałego intelektu i urody męża, nieustannie mieć go przy sobie - zarówno w dzień, jak i w nocy. I ona śmie być nieszczęśliwa.

Aleksandra zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju. Jej wzrok padł na filiżankę z herbatą. Miała wyszczerbiony brzeg, jakby kawałek odgryzło jakieś małe stworzenie, na przykład gryzoń, jeden z tych, które chronią się przed chłodem w szczelinach i pozostają jako towarzysze biedaków. Ile czasu minie, zanim szczury zmienią pałac w kupę gruzu? Jego wnętrzności już zostały zjedzone. Wkrótce cały rozsypie się w proch. Podbiegła do filiżanki, by ją ukryć, ale była tak wściekła, że zaczęła udem o brzeg małego rozklekotanego stołu, zbyt starego i zniszczonego, by go sprzedać. Kopnięciem odrzuciła mebel na ścianę. Filiżanka spadła na podłogę i rozbiła się na kawałki.

Aleksandra przypomniała sobie o liście anonimowego wielbiciela. Na pewno musi być bogaty, skoro znał ją przedtem. Wzięła list do ręki i przebiegła wzrokiem treść.

*Od tego, który kocha Panią nad życie.*

Okazało się, że jej sekretnym wielbicielem jest brat hrabiny Bielkinej. To jego ostrzegła przed nią siostra, o czym Aleksandra dowiedziała się z podsłuchanej rozmowy owego wieczoru, gdy ścięła włosy. Pewnego wieczoru, gdy wychodziła na spotkanie z Łopuchinem, zauważyła jakiegoś mężczyznę stojącego przed pałacem. Umówiła się z Łopuchinem w cygańskiej restauracji u Szekelego i była już spóźniona. Schodziła po schodach, wciągając rękawiczki, kiedy nieznajomy zakaszłał, by zwrócić na siebie uwagę.

- Przepraszam, panie poruczniku - zagadnął, nie zdejmując kapelusza, jak wszyscy

mężczyźni, którzy się z nią teraz witali. - Czy jest pan może znajomym rodziny Korwinów? Widziałem, że wyszedł pan z pałacu. A może zna pan panienkę Korwiną?

Nic dziwnego, że go nie pamiętała. Był zupełnie przeciętny - średniej tuszy, średnio przystojny i średniej budowy. Takich ludzi zazwyczaj myliło się z kimś innym.

- Proszę mi wybaczyć, że ośmieliłem się pana zaczepić, ale po prostu muszę wiedzieć. Zauważyłem, że często wchodzi pan do pałacu i wychodzi, więc proszę mi wybaczyć, że zadam osobiste pytanie, chociaż ledwie się znamy: Czy jest pan może narzeczonym panienki?

Aleksandrę rozśmieszył jego pompatyczny styl i pomysł, że może być swoim narzeczonym. Opanowała jednak wesołość.

- W żadnym razie - zaprzeczyła zdecydowanie, po czym wpadła na pomysł wyjaśnienia dziwnego podobieństwa między hrabianką i sobą. - Jestem jej ciotecznym bratem.

Nieznajomy, który nerwowo zaciskał ręce, roześmiał się i wsunął dłonie do kieszeni. Aleksandra odetchnęła z ulgą, bo obawiała się nerwowych mężczyzn.

- A więc to pan jest tym kuzynem, który miał wstąpić do pułku huzarów! - wykrzyknął. Uśmiechnął się radośnie, ujął jej dłoń i potrząsnął nią energicznie. - Nazywam się Durinow. Czy mógłbym zaprosić pana kiedyś na kolację?

Czuła się rozczarowana, że jej tajemniczy wielbiciel okazał się taki nijaki, lecz musiała wziąć pod uwagę również fakt, że jest bogaty. Przynajmniej to przemawiało na jego korzyść. A jak lepiej ocenić przyszłego męża, jeśli nie wtedy, gdy nie wie, że jest oceniany?

- Nie wiem, czy znajdę czas - odparła. - A czy jest pan zajęty dziś wieczorem? Jem kolację z moim kolegą oficerem. Na pewno będzie mu miło pana poznać.

- Mnie również - odpowiedział Durinow.

Przywołali dorożkę, celowo niezbyt okazałą (Aleksandra dobrze zapamiętała zasady zachowania wpajane jej przez pułkownika Spirkina). W czasie drogi Durinow nie mógł się powstrzymać, by nie wspomnieć o hrabiance.

- Mieszka pan w jej pałacu - rzekł, przyglądając się jej bacznie - więc musi pan czuć jej zapach.

- Pałac jest zbyt duży - wyjaśniła Aleksandra, wyjmując futerał z cygarami i podsuwając nowemu znajomemu, lecz zakochany w niej młodzieniec nawet tego nie zauważył.

- Ale może pan oglądać jej rzeczy. Na przykład koszulę nocną?

- Nigdy nie wszedłbym do pokoju damy bez zaproszenia, zwłaszcza gdy nie ma jej w domu.

- Ach, zapomniałem, że jest pan jej kuzynem, więc nie działają na pana jej wdzięki - stwierdził Durinow.

- Zdecydowanie - przyznała Aleksandra, zapalając zapałkę o podeszwę i wsłuchując się w miły dla ucha trzask i syk, kiedy pokryta siarką główka rozbłysła płomieniem. Długo ćwiczyła tę sztukę w samotności swojego pokoju i uznała z zadowoleniem, że wychodzi jej to zupełnie przyzwoicie.

- A proszę mi powiedzieć, czy to tylko ja tak uważam, czy rzeczywiście hrabianka Korwina jest najpiękniejszą istotą na ziemi.

- Nigdy nie uważałem jej za piękną - odparła, wydmuchując dym z cygara, niestety taniego, ale lepsze takie niż żadne.

Mówiła prawdę. Jak wiele kobiet widziała jedynie swoje wady, co więcej, nie mogła pojąć, co takiego mężczyźni widzą w kobietach i ich wypukłościach.

- Zechce mi pan wyjaśnić - zwróciła się do swojego znajomego, pragnąc poznać ten aspekt męskiej natury - co jest w niej pięknego. Zawsze uważałem, że jest za wysoka i trochę dziwna. Nie zauważył pan, jak się garbi, by ukryć wzrost?

- To bluźnierstwo - zachnął się Durinow. - Ona jest boginią. Gdyby nie był pan jej kuzynem, co daje panu prawo do krytyki, wyzwałbym pana na pojedynek.

Czy on mówił szczerze? Naprawdę pojedynekowałyby się z tego powodu? Chociaż od sześciu tygodni przebywała w towarzystwie mężczyzn, starając się ich poznać, to ich umysły nadal były dla niej tajemnicą.

- Ma zbyt proste włosy - dodała, by się z nim podrażnić.

- To czysty, niefarbowany jedwab. Skrzywiła się na to niezdarne porównanie.

- A jej skóra mogłaby być bielsza - ciągnęła. - Kuzynka je za dużo słodczy.

- Jej skóra jest alabastrowa.

- Nie sądzi pan, że jej... są raczej skromne?

- Rzeczywiście są drobne, lecz doskonałe. Dałbym wszystko, żeby móc wielbić je ustami.

Czy mężczyźni naprawdę myślą w ten sposób o kobietach? Wielbić je ustami? Nie wyobrażała sobie, by mogła kogokolwiek wielbić, no, może z wyjątkiem Rybinskiego, ale z pewnością nie ustami. Musiała jednak przyznać, że brzmiało to słodko, gdyby tylko jego porównania były bardziej oryginalne.

- Według mnie słowo „alabastrowa” to zbyt pospolite określenie na jej karnację - stwierdziła, mając nadzieję, że zmusi go do dalszych porównań, które wyjaśniłyby sekret jej kobiecości. - Wszyscy tak mówią. Mógłby pan wymyślić coś lepszego.

Durinow zmarszczył czoło.

- Kość słoniowa.

- To też już było.

- Mlecznobiała.

- To już lepsze, ale chyba zbyt przyziemne i mało wzniosłe.

Durinow nie był jednak taki głupi, jak sądziła, i teraz patrzył na nią, jakby nagle odzyskał rozum. Zrezygnował z bezskutecznych prób opisanego urody Aleksandry i wpa-trywał się w nią tak intensywnie, że poczuła się co najmniej niepewnie.

- Karpacki - powiedział wolno, jak zahipnotyzowany. - Jest pan nadzwyczaj podobny do kuzynki. Co prawda ma pan w rysach męską surowość, lecz również pewną czystość i delikatność...

- Nasze matki były bliźniaczkami - wyjaśniła Aleksandra bez mrugnięcia okiem i chciała dodać, że ojcowie też. Uznała jednak, że Durinow nie jest taki głupi, by w to uwierzyć, i zamilkła, żeby wszystkiego nie zepsuć.

- Ach, to wiele wyjaśnia - rzekł Durinow, kiwając głową.

Najwyraźniej jednak to mu nie wystarczyło, a raczej musiało zaintrygować, bo pochylił się w przód i spojrzał na swojego towarzysza spod zmrużonych powiek, jakby oczekiwał, że jego rysy zmienią się w idealny wizerunek, istniejący tylko w wyobraźni.

- Patrząc na pana, ulegam złudzeniu, że to ją widzę - powiedział, tak mocno mrużąc oczy, że zmieniły się w szparki, i mimowolnie uniósł górną wargę, odsłaniając dźwię-



sła i pokryte kamieniem zęby. Wyglądał teraz jak mały zaciekawiony szczur, co bynajmniej nie dodawało mu urody.

Może powinnam być bardziej liberalna w swoich sądach - pomyślała Aleksandra, mając na uwadze majątek Durinowa. Zaczęła rozmyślać o miłości i o tym, jaka jest ślepa. Tymczasem dorożka zatrzymała się przed restauracją. Na zewnątrz spacerował Łopuchin, pałac modnego papierosa ze złotym ustnikiem. Sprowadzano je z Francji i kosztowały majątek. Aleksandra coś o tym wiedziała, bo ojciec je palił. Na widok wysiadającej z dorożki Aleksandry Łopuchin rzucił papierosa na ziemię i podszedł do niej uśmiechnięty.

- Kim jest twój przyjaciel? - zapytał ciepło.

Dokonano prezentacji i cała trójka weszła do budynku.

Aleksandra spodziewała się czegoś równie eleganckiego jak angielska restauracja, jedyna w Petersburgu, w której była, tymczasem znalazła się w chmurze dymu tak gęstego, że musiała machać rękami, by coś zobaczyć.

Cóż to za miejsce? - chciała zapytać, lecz się powstrzymała, by się nie zdradzić ze swoją niewiedzą o tej drugiej stronie życia. Słyszeć było dziwną, melancholijną muzykę o lekko orientalnym brzmieniu. Równie dziwny wydawał się dym, bo kiedy nim odechnęła, głowa zaczęła jej puchnąć niczym ciasto w piecu, tylko krzywo, więc i szła zyg-zakiem.

- Uważaj, Karpacki - ostrzegł Łopuchin, chwytając ją za łokieć.

- Co to za wspaniały zapach? - spytała, gdy usiedli przy stole przykrytym brudnym obrusem, na co nie zwróciła uwagi.

- Opium. Ale nie dla ciebie, młodziku - odparł Łopuchin i poprosił o kartę.

Tymczasem Durinow nie przestawał wychwalać wdzięków hrabianki Aleksandry Korwinej.

- A tak. Znam ją - powiedział Łopuchin, studiując zatłuszczoną kartę dań.

- Naprawdę? - spytała Aleksandra z nagłą uwagą, prostując się w krześle. Czyżby odkrył jej sekret? To właśnie zrobił, gdy spała w drugim końcu pokoju?

- Trzy razy gulasz węgierski, trzy pieczone gęsie wątróbki, trzy sałatki jarzynowe, tokaj i szampan, oczywiście nie w tej kolejności - oznajmił Łopuchin uśmiechniętemu

kelnerowi, któremu brakowało dwóch zębów. Słusznie uznał, że jego towarzysze nie są w stanie jasno myśleć, on zaś był przyzwyczajony do oparów opium. Kiedyś palił je razem z Uljanowem, chociaż to było wieki temu. Wrócił do tematu hrabianki Korwinej. - Nie powinienem mówić, że ją znam. To przesada i arogancja z mojej strony. Widywałem ją w ostatnim sezonie, nawet zostałem jej przedstawiony. Niestety, nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by z nią porozmawiać. Patrzyła na mnie, jakbym był jakimś... insektem.

- A ja wyznałem jej miłość - oświadczył z dumą Durinow.

- Szkoda, że nie miałem tyle odwagi. - Łopuchin westchnął. - Jest bardzo piękna, ale niedostępna i zimna jak posąg. Spisał się pan lepiej ode mnie, Durinow. Co odpisała?

- Jeszcze nie dostałem odpowiedzi. Wątpię jednak, by mój list do niej dotarł. Hrabianka przebywa teraz za granicą.

- Wiem - odparł Łopuchin, zdejmując z języka kawałek tytoniu. - Kiedyś poszedłem do pałacu. Powiedziano mi, że wyjechała. Zresztą i tak niepotrzebnie się trudziłem. To bardzo bogata panna. Nie miałbym szans. Jestem nikim. Mogę ją tylko kochać z daleka.

Aleksandra może i miała zmacony umysł, lecz nie uczucia. Czy naprawdę potraktowała tego miłego, niezbyt bystrego chłopca z taką pogardą? Ukryła twarz w dłoniach i potarła skronie, jakby chciała przywrócić sprężystość skórze, która spuchła, zmiękła i zwiotczała. Opary opium dotarły do żołądka i poczuła, że za chwilę zwymiotuje. Poczciwy Łopuchin, widząc, co się z nią dzieje, szepnął coś do Durinowa, przywołał kelnera, zapłacił rachunek, chociaż nic nie zjedli, i pomógł wstać chwiejącemu się na nogach koledze.

Świeże powietrze oczyściło Aleksandrze płuca i umysł z odurzających oparów. Podtrzymujący ją za łokieć Łopuchin nalegał, by nie przestawała chodzić. Lecz bladość na jej twarzy była wynikiem nie tylko działania opium, ale również uświadomienia sobie krzywdy wyrządzonej przyjacielowi.

- Tak mi przykro, tak mi przykro - powtarzała Łopuchinowi, podczas gdy Durinow stał z tyłu, patrząc na nią z troską na drobnej, bladej twarzy. Nie przestawała szarpać Łopuchina za rękaw, pragnąc, by zrozumiał jej rozpacz. - Wybaczysz mi? Proszę, powiedz, że wybaczasz.

- Nie ma potrzeby przepraszać - odpowiedział. - To mogło się przydarzyć każdemu z nas. Po prostu nie jesteś do tego przyzwyczajony. Mnie też się to zdarzyło, kiedy pierwszy raz paliłem opium. Na szczęście był przy mnie kapitan i pomógł je „wychodzić”. A teraz ja pomagam tobie, bracie oficerze. Pomagamy sobie nawzajem. I nikt tu nikogo nie osądza i nie ma czego się wstydzić. A teraz weźmy dorożkę i jedźmy gdzieś, gdzie nie miałbyś takich kłopotów.

Aleksandra usiadła na skraju chodnika.

- Nigdzie się nie ruszę, dopóki nie powiesz, że mi wybaczasz - oznajmiła, patrząc na Łopuchina oczami pełnymi łez, po czym ukryła twarz na kolanach.

Łopuchin wiedział, że owa egzaltacja jest skutkiem działania opium, nie zdziwiła go więc ta scena skruchy, uwłaczająca męskiej godności, która nie pozwalała na publiczne okazywanie słabości. Niemniej jednak chłopak był niezdolny.

- Karpacki - rzekł, kucając przy Aleksandrze - weź się w garść. Nie możesz tu siedzieć. Wstawaj, pomogę ci.

Aleksandra odepchnęła jego rękę, wydeła wargi i ukryła głowę między kolanami.

- Już wiem, gdzie pójdziemy - oznajmił Łopuchin, gładząc ją po plecach. - Czas zrobić z ciebie mężczyznę.

Nie był to jeden z ekskluzywnych domów rozkoszy w Petersburgu, raczej trzeciorzędny burdel, do którego Łopuchin, biorąc pod uwagę grubość ich portfeli, wprowadził swoich towarzyszy. Klientelę stanowili tu niskiej rangi urzędnicy państwowi i bogaci włościanie, którzy po raz pierwszy w życiu odwiedzali stolicę i z właściwą Rosjanom pokorą omijali bardziej eleganckie przybytki, nie chcąc dzielić łoża z dziewczyną stojącą od nich wyżej, mimo że mogli sobie na to pozwolić.

Aleksandra, która zdążyła już odzyskać jasność umysłu, siedziała sztywno w wytartym fotelu w salonie, trzymając złączone kolana i stopy, i uparcie wpatrywała się w lśniące czubki oficerek. Czuła się zbyt zażenowana, by zachowywać się równie swobodnie jak Łopuchin (z nogą przewieszoną przez podłokietnik fotela) czy niecierpliwie jak Durinow, który wyciągał szyję, by lepiej widzieć. Obaj przyglądali się zgromadzonym przed nimi kobietom.

Aleksandra wzbraniała się podnieść na nie oczy, jakby się obawiała, że już sam

widok tych żalonych istot splugawi jej dziewiczą czystość albo ją samą zamieni w kamień. Oczywiście wiedziała, że takie kobiety istnieją. W mieście było ich pełno. Spotykało się je, jak szły przez most nad kanałem, rażąc oczy krzykliwymi strojami, czy spacerowały w ponury zimowy dzień z parasolkami w rękach lub grzały sobie dłonie w futrzanych mufkach w upalny letni dzień, czy też zbyt wysoko unosiły spódnicę, przechodząc przez kałużę. Z tymi niestosownymi akcesoriami i krzykliwymi strojami, mającymi przyciągać uwagę mężczyzn, i lubieżnym odsłanianiem nóg i piersi były dla niej zaprzeczeniem naturalnego porządku rzeczy, w którym kobieta broni się przed zaczepkami mężczyzn skromnym zachowaniem i niezwracaniem na siebie uwagi.

Teraz, w salonie burdelu, te kobiety prezentowały swoje wdzięki z trudną do wyobrażenia lubieżnością. Eksponowały tłuste piersi, sterczące nad brzegami gorsetów, niektóre pochylały się, by pokazać pulchne tyłeczki w brudnej bieliźnie i ciemny zarys narządów płciowych, nabrzmiiałych jak u małp w ogrodzie zoologicznym. Jedna z kobiet rozsunęła nogi i dotykała się w kroczu. Aleksandra starała się oddychać tak płytko, jak to możliwe, nie chcąc wciągać w płuca powietrza, którym oddychały te kobiety.

- No, wybieraj - zachęcał ją Durinow. - Widzę tam uroczą mademoiselle, której najwyraźniej wpadłeś w oko.

Oddychając chrapliwie z podniecenia, wskazał na dziewczynę z chudymi udami, siedzącą przy niewielkim stoliku z łokciem na blacie i policzkiem wspartym na dłoni, która wpatrywała się z ciekawością w Aleksandrę. Miała wyblakłe jasne włosy, jakby zbyt mało jadła, by przywrócić im kolor.

- Ja wybieram tę soczystą grubą brunetkę. Jej uda mają pewnie niezłą siłę. Dam głowę, że byłaby w stanie rozłupać mnie na pół.

- Zamknij się - przerwał mu Łopuchin - bo go przestraszysz. Potraktuj to jako ćwiczenie w sztuce miłości, Karpacki. Nie ma się czego obawiać. Pewnego dnia się zakochasz i ożenisz. Musisz wiedzieć, co robić.

Aleksandra była zbyt zdenerwowana, by mu odpowiedzieć. Łopuchin zauważył, że młody Karpacki sprawia wrażenie urażonego widokiem obnażonych kobiecych ciał. Miał nadzieję, że nie okaże się świętoszkiem. Co prawda, nie było w tym nic złego (rosyjskie wyższe sfery słynęły z niezwyklej tolerancyjności wobec odmienności seksualnych), lecz

Łopuchin wiedział, że odmienny gust - jeżeli Karpacki go miał - stworzy barierę między nimi i wpłynie na ich przyjaźń, w której opowieści o miłosnych podbojach odgrywały dużą rolę. A może Karpacki był po prostu religijny i traktował miłość zbyt poważnie. A może po prostu się bał. Tak czy owak Łopuchin nie miał teraz ochoty zajmować się tak skomplikowanymi sprawami. Za bardzo rozpraszały go nagie piersi i pulchne pośladki, w których pragnął się zanurzyć.

- Nie ma się czego obawiać - szepnęła do Aleksandry, pochylając się ku niej. - One naprawdę są milutkie. I pamiętaj, że, bez względu na to, co się stanie, nie będą się z ciebie śmiały. One rozumieją. Kobiety są w tym dobre. Zawsze rozumieją.

- Jeżeli im zapłacisz - przerwała mu ostro Aleksandra.

- Oczywiście - odparł Łopuchin ze śmiechem.

- Tracimy czas. Chodźmy do nich - powiedział Durinow, wykazując wysoce negatywną zmysłową niecierpliwość, która definitywnie przekreśliła go w oczach Aleksandry.

Jej towarzysze i w ogóle mężczyźni głęboko ją rozczarowali. Doszła do wniosku, że ich wytworność oraz troskliwość względem dam były jedynie pozorne, a te wszystkie sonety i ody sławiące kobiecą czystość i miłość to czysta hipokryzja, za którą kryły się okrucieństwo i żądza.

- Durinow ma rację - stwierdził Łopuchin, wstając. - Tracimy czas. Nic jeszcze nie jedliśmy, a kiedy się z tym справimy, pójdziemy do pewnego wiedeńskiego lokalu, gdzie można dostać dobre sznycle.

Ach, więc nie ma już mowy o miłości, tylko o sprawieniu się z czymś, jakby chodziło o czynność fizjologiczną, na przykład mycie zębów czy wypróżnienie. Jednak nic, co Łopuchin czy Durinow by powiedzieli, nie było w stanie uśmierzyć jej gniewu, gdy się przekonała, do czego zdolni są mężczyźni. Patrzyła, jak najpierw Durinow, a potem Łopuchin opuszczają salon, nawet nie ujmując za ręce wybranych przez siebie prostytutek, lecz kładąc im ręce na plecach.

Pozostałe prostytutki, widząc, że Aleksandra nie ma zamiaru wybrać żadnej z nich, zasłoniły kolana i piersi i zaczęły trajkotać jak uczennice po wyjściu z klasy nauczyciela. Aleksandra spostrzegła ze zdumieniem, że wyglądają teraz zupełnie zwyczajnie, i zaczę-

ła im się otwarcie przyglądać. Wcale nie były lubieżne i nieskromne. Widocznie poniżały się tylko po to, by zwabić klientów. Ale w jakim celu? Co takiego było w tym upodleniu, co przyciągało mężczyzn? Pewnie musiało coś być w męskiej psychice, co wymagało profanowania i poniżania kobiety po to, by „okrasić pierożek”. Może właśnie znalazła odpowiedź na swoje pytanie. Przypomniała sobie, z jakim okrucieństwem chłopcy traktowali wałęsające się wilki, gdy je złapali, z jaką przyjemnością rozbijali im łby i rozcinali puste brzuchy, by wyciągnąć z nich wnętrzności i ułożyć w śmieszne kształty. Czy wynikało to ze strachu? To, co wzbudzało strach, należało upodlić, unieszkodliwić, zniszczyć, ośmieszyć. Może właśnie dlatego mężczyźni lubili poniżać kobiety. Czemu jednak miałyby się ich bać? Przecież jesteśmy zupełnie nieszkodliwe, a z pewnością nie takie okrutne i niebezpieczne jak oni. I łagodne.

Tak bardzo pochłonęły ją te rozmyślenia, że nie zauważyła, jak młoda blondynka wstała ze swojego miejsca i podeszła do niej.

- Chodźmy - powiedziała. - Oni zapłacili. Nie musisz robić nic, czego nie chcesz, ale jeżeli nie pójdziesz ze mną, będę musiała zwrócić pieniądze.

W jej głosie było tyle błagania, że Aleksandra nie mogła odmówić. Wstała i poszła za dziewczyną trzeszczącymi schodami na górę, gdzie mieściły się pokoje. Zza zamkniętych drzwi dochodziło skrzypienie sprężyn, tłumione pomruki, okrzyki i niski jęk.

Prostytutka otworzyła jakieś drzwi, wpuściła Aleksandrę do środka, po czym zamknęła je za sobą. W pokoju stało jedynie stare wyściełane krzesło, niegdyś obite jedwabiem, teraz podarte i poplamione, oraz łóżko. Aleksandra patrzyła, jak dziewczyna bierze wielki ręcznik, leżący na brzegu łóżka, i rozkłada go na środku materaca.

- Po co to? - spytała z nadzieją, że nie chodziło o to, o czym myślała.

- Żeby nie pobrudzić materaca - wyjaśniła dziewczyna, siadając na łóżku, które ohydnie skrzypnęło nawet pod tak niewielkim ciężarem.

Aleksandra zaczęła się zastanawiać, czy te sprężyny skrzypią od częstego używania, czy też specjalnie zostały tak zrobione z powodów, o których wolą nie myśleć.

- Nie możemy zmieniać pościeli w ciągu dnia. To by kosztowało fortunę - dodała dziewczyna, śmiejąc się nerwowo, jakby chciała pokryć skrepowanie.

Nie była ucieleśnieniem zła, robiła wrażenie łagodnej i biednej. Jej do połowy od-



słonięte piersi wcale nie wyglądały na ponętne, a wystający obojczyk wskazywał na to, że dziewczyna nie dojada.

Aleksandra nie wiedziała, co robić, usiadła więc na zniszczonym krześle. Miała ochotę najpierw je wytrzeć, ale nie chciała wprowadzić dziewczyny w jeszcze większe zamieszanie.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście - powiedziała dziewczyna, chwytając obronnym gestem za słupki i wzruszając lekko ramionami, jakby się obawiała jakiejś ekscentrycznej prośby, która mogła sprawić jej ból, lecz z góry się na nią godziła. W jej oczach była łagodność.

- Dlaczego to robisz? Wydajesz się... - Aleksandra nie wiedziała, jak to określić. Nie chciała obrazić dziewczyny, ale bardzo pragnęła wiedzieć. - Wydajesz się lepsza niż to tutaj. Wszystkie wyglądacie na lepsze. Dlaczego?

- Żeby pomóc rodzinie - odpowiedziała szybko dziewczyna, jakby chciała zasłużyć na dobrą opinię.

- Nie ma innych sposobów? - spytała Aleksandra, podejrzewając, że nie ma.

- Są, ale oni płacą nie więcej jak piętnaście kopiejek na dzień, a to za mało. Pracowałam tak przez jakiś czas, szyłam lniane koszule. Uszyłam sześć, ale pan radca Klopstock mi nie zapłacił. Powiedział, że źle wszyłam kołnierzyki. I dzieci były głodne. A to nie jest takie złe, proszę nie myśleć, że to takie złe.

- Nie uważam, że jesteś zła - odparła łagodnie Aleksandra.

Ta łagodność roztopiła chłód w sercu dziewczyny. Zaczęła mówić szybko, opowiadając swoją historię.

- Nie chciałam tego robić. Tak bardzo nie chciałam. Proszę nie myśleć, że jestem zła. Daria Francowa od miesięcy mnie do tego namawiała, lecz się opierałam, ze wszystkich sił. Któregoś wieczoru moja macocha też zaczęła mnie namawiać. Kiedy zmarła mama, ojciec się z nią ożenił. Ona jest damą, stworzoną do czegoś lepszego, a ojciec za dużo pije i nie może utrzymać się na posadzie. Wiem, że ona nie chciała nikogo skrzywdzić, ale nie mogła znieść płaczu dzieci wołających o coś do jedzenia i pewnej nocy powiedziała do mnie: „Mieszkasz z nami, jesz i pijesz, jest ci ciepło, a nie robisz nic, żeby pomóc”. A ja na to: „Jekatierino Iwanowna, czy ja naprawdę mam to zrobić?” A ona: „A

dlaczego nie? Czy jesteś jakimś drogocennym skarbem, którego trzeba strzec?" Uświadomiłam sobie, że ona ma rację. Dzieci, jest ich trójka, były takie głodne, więc sobie pomyślałam: Co jest takiego cennego w moim ciele, żeby te dzieci głodowały? Przecież będę robić tylko to, co się robi w małżeństwie. A czy my, kobiety, nie wychodzimy za mąż dla pieniędzy? No to co za różnica? Więc to wcale nie jest takie złe.

Aleksandra musiała jej przyznać rację. Sama miała wątpliwości, czy powinna wychodzić za mąż dla pieniędzy, nigdy jednak nie łączyła tych dwóch spraw ze sobą. Wbrew pozorom tak bardzo się od siebie nie różnimy - pomyślała. Czyż Praskowia nie robiła podobnie? Czy nie namawiała jej, by poślubiła kogoś majątnego? Zadrzała, patrząc na brudne łóżko z rozłożonym na nim ręcznikiem, przeznaczonym do czegoś, o czym wolała nie myśleć. Ale czy i ona nie znajdzie się prędzej czy później w podobnej sytuacji?

- Jak ty możesz znosić, żeby oni cię dotykali?

- Nie jest tak źle - odparła dziewczyna. - Większość ich stara się być miła. Bardzo się stara. To zwykli ludzie, tacy sami jak inni, ani źli, ani dobrzy. Ale nie mogą się powstrzymać. Oni tego potrzebują. To przynosi im ulgę. Nam, kobietom, trudno to zrozumieć.

Aleksandra nagle zdała sobie sprawę, że ta dziewczyna mówi do niej jak do kobiety. Powiedziała „nam, kobietom”, jakby znała prawdę.

- Czy ty wiesz, że ja...

- Och, wiedziałam od początku. - prostytutka zaśmiała się z własnej spostrzegawczości. - Jeżeli jest coś, na czym się znam, to na mężczyznach. Od razu wiedziałam, że pani nie jest jednym z nich. To było widać z pani twarzy, ze sposobu, w jaki pani na nas patrzyła. Jakby niczego od nas nie chciała. A oni zawsze czegoś chcą. Pani nie.

- A czego oni chcą? - spytała Aleksandra, zadowolona, że znalazła kogoś bliskiego, kto może jej powiedzieć o wielu rzeczach.

- Na pewno nie tego, czego, jak sądzą, chcą - odrzekła dziewczyna, podciągając kościste kolana pod brodę i obejmując je ramionami. Rozmowa sprawiała jej wyraźną przyjemność. - Oni myślą, że przychodzą tu po rozkosz, a tak naprawdę przychodzą do nas po miłość.

- Po miłość?! - wykrzyknęła Aleksandra i zerwała się z krzesła, brzęcząc ostrogami, szablą i innymi metalowymi częściami zawieszonymi u pasa. - Co to ma wspólnego z miłością? To jest zwierzęce.

- W gruncie rzeczy jesteśmy zwierzętami, nie? - odparła dziewczyna, wstając z łóżka i podchodząc do Aleksandry, która była od niej wyższa. Ten wysoki wzrost był skutkiem dobrego odżywiania, a niski wzrost dziewczyny dziedzictwem biedy. - Nie trzeba się denerwować. Proszę spróbować to zrozumieć. Czasami wydaje mi się, że oni chcą się we mnie ukryć, uciec przed smutkami i rozczarowaniami. Staram się ich pocieszyć. Świat jest twardy i zimny, a ciało kobiety miękkie. Daję im miłość najlepiej, jak umiem. Tylko tak mogę to znieść, jeśli tak właśnie o tym myślę. - Wzięła Aleksandrę za rękę, poprowadziła do krzesła i zmusiła, by na nim usiadła. - Pani jest damą. Dlatego pani musi siedzieć, a ja stać. Czy mogę spytać, dlaczego pani się tak ubiera?

Aleksandra, ujęta dobrocią dziewczyny, opowiedziała jej swoją historię. Niczego nie ukrywała. Mówiła o tym, jak po śmierci ojca znalazła się bez pieniędzy, o zdradzie Kołygina, odrzuceniu przez Rybinskiego, o kradzieży całego dobytku i o odnalezieniu wolności w męskim przebraniu. Przyjemnie było móc zwierzyć się ze wszystkiego kobiecie. Nagle pomyślała o Oldze. Jednakże jej kłopoty dziwnie zmalowały wobec kłopotów dziewczyny, a wielkie plany, by stać się bogatą i wolną, wydały jej się banalne i nic nieznaczące wobec wysiłków tej małej, drobnej prostytutki, która starała się znaleźć dobre strony, ludzkie ciepło i godność w tym poniżającym życiu. Paradoksalnie cała była duszą, nie ciałem, kimś, kto poświęcił siebie i znalazł prawdziwą wolność oraz autentyczne bogactwo.

- Ale pani musi wyjść za mąż z miłości - powiedziała dziewczyna.

- Nadal wierzysz w miłość? - spytała Aleksandra.

- Oczywiście. I któregoś dnia znajdę kogoś, kto mnie pokocha i zapomni o tym, kim byłam.

Aleksandra chciała zadać małej prostytutce kolejne pytanie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Usłyszała głos Łopuchina, pytał, czy Karpacki już skończył. Hrabianka się spłoniła.

- Jesteś bardzo miła - powiedziała, zdając sobie sprawę, że te słowa nie oddają te-

go, co chciała wyrazić. - Jestem damą, to prawda, ale ty jesteś kimś lepszym. Ja nigdy taka nie będę. Mogę tylko mieć nadzieję, że znajdziesz mężczyznę, który okaże się ciębie wart.

Nie wiedząc, jak wyrazić to, co czuła, stuknęła obcasami i zasalutowała jak oficer, gdy wita się lub żegna z damą.

## Rozdział 23

Uświadomienie sobie okrucieństwa, z jakim potraktowała Łopuchina, i zetknięcie się z przykładem prawdziwej moralności w wydaniu - o paradoksie! - małej prostytutki nie dawały Aleksandrze spokoju, odsłaniały bowiem zakamarki umysłu, do których nie chciała zaglądać. Wspomnienia popełnionych przez nią niegodnych czynów - grzechów okrucieństwa lub chciwości - padały niczym krople gorącego wosku na jej duszę, niszcząc wysokie mniemanie o sobie. Ta rewizja przewinień nie pociągnęła jednak za sobą zmian w zachowaniu. Wręcz przeciwnie, Aleksandra zaczęła utwierdzać samą siebie w przekonaniu o słuszności swego postępowania, starała się zagłuszyć wyrzuty sumienia i oderwać myśli od kłopotliwego poczucia winy, usprawiedliwiając własne wady.

Zaczęła jednak od czasu do czasu wciskać Praskowii dodatkową kopiejkę ze swej oszczędnej sakiewki na świeże mleko dla Matryony, mniemając błędnie, że jest chuda i niedożywiona, chociaż w rzeczywistości dawna pokojówka wyglądała zdrowo i okazale. Nic dziwnego, skoro zjadała codziennie dwa pieczone kurczaki, bochenek ciemnego chleba, jajka, konfitury z jeżyn, marynowane buraki, gotowaną dynię, olbrzymie ilości kiszzonej kapusty i garnek kaszy z masłem. Wszystko to podtykała przyszłej matce Praskowia, sama zaś nie dojadła i oszczędzała na domowych wydatkach, włączając w to cygara Aleksandry, bo kupowała tańsze marki i wkładała je do pudełek po droższych.

Nowy stangret, którego Aleksandra wynajęła tuż przed wyjazdem na manewry, stał się następną ofiarą jej wystudiowanej dobroci. Był tak nieśmiały, że nawet nie chciał podać swojego imienia, dlatego wszyscy mówili o nim per „on”. Ów wysoki i szczupły młody człowiek miał szpecącą zajęczą wargę i burzę włosów, którą zakrywał twarz. Uparł się, że będzie spał w stajni razem z końmi, chociaż Praskowia przygotowała mu

siennik w kuchni, żeby czuł się jak w domu. Po powrocie ze służby, zwykle późnym popołudniem, Aleksandra nalegała, aby stangret szedł z nią do kuchni na szklanek herbaty i kawałek chleba z masłem. Stawał wówczas onieśmielony przy drzwiach, popijając herbatę, skubiąc chleb i przez cały czas zerkając w stronę stajni. W końcu zirytowana Praskowia, pragnąc zająć się Nikiforem, mówiła mu, że może sobie iść. To wokół niego koncentrowało się teraz całe jej życie i porządek dnia. Kiedy pojawiał się w kuchni, to jakby wschodziło słońce, przy którym bladł nawet wydatny brzuch Matriony.

Czasami, gdy Aleksandra jechała rano z Nikiforem do koszar, dostrzegła leżącą na chodniku i potracaną przez przechodniów stertę łachmanów, spod której wysuwała się ręka i drapała po głowie. W takich momentach kazała stangretowi stanąć, wyskakiwała z powozu, pochylała się nad tą stertą szmat i wciskała kopiejkę lub dwie w zdeformowaną brudną dłoń wypelzającą z wnętrza, by odebrać jałmużnę. Często przyjeżdżała do koszar w ogóle bez pieniędzy, co jednak nie miało większego znaczenia. Obiady i napoje spożywane przez nią w kantynie oficerskiej były starannie rejestrowane, każdy kawałek szynki, każde jabłko, każdy kieliszek szampana i rachunki za nie przekazywane jej pod koniec miesiąca.

Co się zaś tyczy Uljanowa, to unikała jego towarzystwa, podobnie jak on jej. Czuli się zażenowani, przypominając sobie, jak łatwo dała mu się przewrócić na wznak i pocałować. Niewymownie to ją gniewało. Dlatego odnosiła się do kapitana z dystansem i pewną nieśmiałością. Uznała, że posunęła się za daleko i pozwoliła sobie na zbyt wiele po to tylko, by się przekonać, jak to jest być całowaną przez mężczyznę, i pragnęła, by Uljanow to zrozumiał. Chyba zrozumiał, bo również zachowywał się z chłodną uprzejmością, kiedy wydawał jej rozkazy lub prosił o podanie chleba podczas posiłków w kantynie. Aleksandra okazywała jeszcze większą życzliwość Łopuchinowi, przesiadując z nim do późna, gdy inni odchodzili od stołu, przewracając oczyma i po raz kolejny wysłuchując opowieści o dzieciństwie spędzonym na Kaukazie, gdzie jego rodzina miała majątek, o koczowniczych plemionach Turków i Tatarów, o sięgających nieba majestatycznych górach.

Jakże kochała kawalerię! Wchodząc co rano do koszar, spoglądała na fasadę głównego budynku, idealnie harmonizującą z pozostałymi. Był to jeszcze jeden element impe-

rium, fragment kości wpasowany w strukturę stolicy. Idąc po lśniącej marmurowej podłodze, wsłuchiwała się z zadowoleniem w głośny, energiczny stuk obcasów.

Kochała też zapach siana w szkole jazdy, gdzie wraz z innymi oficerami uczyła konie skomplikowanych kroków, starając się nadać ich naturalnym ruchom szlachetniejszą formę. Lubiała czuć między swoimi udami ciepło masywnego ciała Herkulesa. Patrząc w lustro, nie mogła uwierzyć, że to naprawdę ona. Jeździła teraz z precyzją, o jaką nawet siebie nie podejrzewała. Był to efekt wielogodzinnych ćwiczeń, polegających na czymś więcej niż galopowaniu, wesołych gonitwach i leniwym kłusowaniu po parku, do czego sprowadzało się całe jej doświadczenie jako amazonki, zanim wstąpiła do wojska.

Najbardziej jednak lubiała twarze rekrutów, których kolejną grupę przywieziono właśnie do koszar z październikowego poboru. Sami jasnowłosi wiejscy chłopcy, pochodzący z Polski i Ukrainy. Nie bardzo rozumieli, co się do nich mówi, rozróżniali jedynie poszczególne słowa, te brzmiące podobnie jak w ich rodzimych językach. Nieustanny wysiłek umysłowy nadawał ich twarzom wyraz rozbijającej niepewności. Daleko od rodzinnych domów, tak ciemni, że nie potrafili nawet określić w przybliżeniu odległości (wiele, wiele dni drogi), popędzani przez wrzeszczących na nich sierżantów, którzy okładali ich szpicrutami, maszerowali tam i z powrotem ze spuszczonej głowami. Czasami zmuszano ich, by przechodząc z budynku do budynku, kłusowali lub galopowali jak konie. Na protesty Aleksandry odpowiadano, że muszą być gotowi wsiąść na konia i nauczyć się rozróżniać biegi.

Pewnej nocy, pełniąc służbę jako oficer dyżurny, spacerowała długimi korytarzami koszar, zaglądając do ciągnących się bez końca sal, w których spali skuleni rekruci. Byli ściśnięci niczym ziarna w kaczanie kukurydzy, wszyscy jasnowłosi, co też w jakiś sposób kojarzyło jej się z kukurydzą. Spali głębokim snem jak dzieci. Wiedząc, że są pod jej opieką, Aleksandra myślała o nich jak o swoich dzieciach. Kiedy jeden z nich, najwidoczniej dręczony koszmarem, ukrył twarz w dłoniach i krzyknął coś w swoim dziwnym języku, pochyliła się nad nim i uspokoiła ciepłymi słowami. Chwycił ją za rękę i trzymał, dopóki jej nie cofnęła i nie poszła dalej. Zaglądała tak do każdej sali z nadzieją, że rekruci, świadomi jej obecności, będą spać spokojnie, że da im poczucie bezpieczeństwa.

Starsi, doświadczeni huzarzy spali inaczej: nago, w swobodnych pozach. To byli



mężczyźni, nie chłopcy, zahartowani wojownicy. Wielu z nich uczestniczyło w bitwach i odniosło rany. Aleksandra nie mogła wyjść z podziwu, ile ta ich nagość ujawniała. Za dnia, ubrani w mundury, wyglądali jak zwyczajni, cywilizowani ludzie, tyle że żołnierze. Teraz miała przed sobą splecione włosy porastające ich torsy, przypominające sierść lisów czy futro niedźwiedzia. W tym futrzanym gąszczu można było dostrzec szerniałe, pomarszczone miejsca o różnorodnych kształtach. To blizny, symbole zwycięstwa odniesionego w tej najbardziej nienaturalnej, dlatego wysoko ocenianej, męskiej konkurencji - postępowania na przekór instynktowi samozachowawczemu. Również sinoczerwone genitalia śpiących mężczyzn wydawały się kolejnym dowodem ich wyjątkowej pozycji, erupcją wewnętrznej dzikości.

Aleksandra przeszła przez podwórze do stajni.

- Wszystko w porządku w stajniach pierwszego szwadronu, panie kornecie! - krzyknął wartownik na jej widok, pospiesznie zapinając kurtkę i wstając od stolika, przy którym pił herbatę i grał w jakąś grę.

Aleksandra powiedziała: „Spocznij!” - i ruszyła wzdłuż boksów z końmi, które spały tak lekko, że na dźwięk jej kroków przestępowały z nogi na nogę, denerwując się, że ktoś zakłóca im spokój. Wyszła z budynku i przeszła do następnej stajni.

- Wszystko w porządku w stajniach drugiego szwadronu, panie kornecie!

I do kolejnej.

- Wszystko w porządku w stajniach trzeciego szwadronu, panie kornecie!

Zajrzała do stajni wszystkich sześciu szwadronów, a potem jeszcze raz przemierzyła podwórze, kierując się do ciemnego teraz budynku administracyjnego, gdzie mieściła się kantyna oficerska, biblioteka, biura i muzeum, w którym pełnili służbę oficerowie dyżurni, oraz jej tymczasowa kwatera. Nie było tu normalnego łóżka, jedynie polowe, bez żadnego koca czy poduszki. Nie należało jednak z niego korzystać. Oczekiwano od niej, że będzie siedzieć przez całą noc w stanie gotowości, nawet nie zdejmując butów. Jej służba miała trwać do ósmej rano. Tak więc, wyjąwszy nagłe wypadki, jak choroba żołnierza czy atak na miasto, cały budynek i noc należały do niej.

Po wejściu do muzeum Aleksandra pozapalała stojące na stołach kandelabry, wzięła małą świecę i przeszła się po pomieszczeniu. Na ścianach wisiały portrety dowódców

sprzed stu lub więcej lat, obrazy przedstawiające sławne bitwy z udziałem kawalerii (szaleństwo barw, splątane nogi rumaków, las proporców, morze krwi), gabloty z krzyżami i gwiazdami bez błyszczących wstążek i dziwne relikwie - zmumifikowany palec słynnego generała, pomarszczony i brązowy, wielka rękawiczka Piotra Wielkiego, wyschnięte i puste w środku kości kury jezionej przez Napoleona podczas okupacji Moskwy. W rogu, pod portretem hrabiego Zamoyskiego, wisiała wyblakła polska flaga, a obok stał manekin odziany w zbroję dawnego polskiego husarza: pięknie pleciona kolczuga, szyszak i skrzydła ze skórzaną uprzężą do mocowania na ramionach. Wyblakłe pióra przytwierdzone do drewnianego szkieletu podsuwały myśl, że ten, kto je miał na plecach, nie był zwykłym człowiekiem, lecz aniołem zemsty, zesłanym na ziemię, by ukarać niecznych ludzi. Skrzydła wydawały na wietrze przerażające dźwięki, przypominające nienaturalne, zwiastujące śmierć, zawodzenie, jakby sam jeździec był śmiercią na polskim koniu. Ten, kto wpadł na pomysł takiej zbroi, musiał mieć niezwykłą wyobraźnię. Uosabiała ona bowiem ducha walki i takie abstrakcyjne pojęcia, jak odwaga, honor, godność i sprawiedliwy gniew.

Aleksandra usiadła przy biurku po drugiej stronie sali. Do końca służby pozostało jeszcze wiele godzin, a ona nie miała co robić. Czy popełni jakieś straszne wykroczenie, jeżeli położy na chwilę głowę na biurku? Tylko na chwileczkę. Gdyby coś się stało, strażnicy obudzą ją pukaniem do drzwi i nawet nie zauważą, że spała. Nie wolno im było otwierać drzwi bez pozwolenia. Błat biurka wydawał się miękki i gładki w zetknięciu z policzkiem. Otoczyła głowę ramionami i po chwili usnęła.

Nie wiedziała, ile spała. Ocknęła się, czując, że ktoś potrząsa jej ramieniem. Wolno uniosła powieki i napotkała wzrok Uljanowa. Spłonęła rumieńcem, zerwała się z miejsca, stuknęła niezdarnie obcasami i zaszalutowała, lecz nie była w stanie stłumić ziewnięcia. Uljanow się roześmiał.

- Bez obawy, Karpacki. Jako pański dowódca mogę zapewnić, że nie poinformuję siebie, iż zastałem pana śpiącego na służbie.

Uśmiechnęła się blado. Uljanow wskazał jej krzesło.

- Spocznij - rzekł. - Proszę się mną nie krępować.

Stracił nagle całą pewność siebie i stał pośrodku pokoju, nie bardzo wiedząc, co

dalej robić. Aleksandra zauważyła, że przełknął ślinę, zaczerwienił się, pokręcił głową, jakby zły na siebie, zamrugał powiekami, po czym otworzył usta, ale nic nie powiedział. Wyraźnie drżał. Jego skrępowanie udzieliło się również Aleksandrze. Po raz pierwszy od czasu pocałunku nad rzeką byli sami. To wydarzenie urosło w ich wyobraźni do takich rozmiarów, że nie potrafili go ominąć. Aleksandra siedziała za biurkiem, a Uljanow stał zakłopotany. Nagle przypomniał sobie, że trzyma w ręku pakunek, i pospiesznie skorzystał z okazji, by zmienić temat.

- Och! - zawołał. - Coś pani przyniosłem. To długa noc i pomyślałem, że może przyda się pani jakieś... wsparcie, by ją przetrzymać.

Położył paczkę na biurku i rozwinął. Oboje poczuli ulgę, że mogą mówić o czymś innym niż o tym kłopotliwym pocałunku. Aleksandra zdołała wreszcie spojrzeć na Uljanowa i okazać radość na widok tego, co przyniósł. Był tam placek z konfiturą, szynka, żółty ser i mały bochenek chleba, ułożone wzorem myśliwych wokół puszki z gorącą herbatą. Aleksandra zaczęła jeść, używając papieru jako talerza. Herbatę zaś piła prosto z puszki jak prawdziwy huzar.

Uljanow przysunął sobie krzesło i usiadł z drugiej strony biurka, delektując się widokiem hrabianki pochłaniającej przyniesione przez niego jedzenie. Jednak po kilku minutach wspomnienie pocałunku znów stanęło między nimi. Oboje zamilkli. Aleksandra zmagала się z wielkim problemem, co wybrać: placek z konfiturą czy kawałek szynki, a Uljanowa zainteresowały nagle wąsy zdobiące twarz generała na portrecie wiszącym na ścianie za biurkiem.

Wreszcie kapitan miał dość i postanowił wyjaśnić sprawę z pocałunkiem, która kładła się cieniem na dobrych stosunkach między oficerami, tak ważnych dla jednościi pułku. Odchrząknął, żeby odwrócić uwagę Aleksandry od jedzenia.

- Muszę pana przeprosić, kornecie - powiedział, krzywiąc się i oblewając pąsem. - Przed kilkoma tygodniami zachowałem się nie po dżentelmeńsku, w sposób dalece nie-stosowny. Dlatego proszę o wybaczenie.

Aleksandra przełknęła kawałek szynki i utkwiała wzrok w kolanach.

- Pani nie jest tu niczemu winna - ciągnął, uwalniając ją od wszelkiej odpowiedzialności, choć nie do końca czuła się usprawiedliwiona, biorąc pod uwagę to, jak bezli-

tośnie dręczyła go Łopuchinem. - Chyba byłem trochę zły na panią, ale to nie dawało mi prawa, by w tak wysoce nietaktowny sposób zademonstrować swoją siłę, a pani słabość. Postąpiłem okrutnie.

- Trochę sobie na to zasłużyłam - odezwała się Aleksandra, czując przyływ łagodności, wywołany sutym posiłkiem, na co Uljanow liczył. - Proszę o tym zapomnieć, kapitanie.

- Zasłużyła sobie pani? Czym sobie pani zasłużyła na tak grubiańskie zachowanie?

- No cóż - westchnęła, nie podnosząc wzroku - przyznaję, że starałam się pana sprowokować, rozgniewać i ukarać. Ja też byłam na pana zła, kiedy zwątpił pan w mój rozsądek i skrytykował moje zachowanie. Jak również za to, że nie traktował mnie pan poważnie jako oficera.

Ta niespodziewana szczerść zdziwiła nawet Aleksandrę, biegłą w sztuce wykrętów i mijania się z prawdą. Wrażenie okazało się jednak tak przyjemne, że nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć z życzliwością na osobę, która ją sprowokowała. Uniosła wzrok, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Byłem tym jedynie zaintrygowany - rzekł. - Musi pani przyznać, że to raczej ekscentryczny pomysł przebrać się za mężczyznę i wstąpić do wojska.

- To prawda - przyznała, kiwając głową. - Ale dziękuję, że pan mnie nie zdradził i nie zmusił do odejścia.

- Nie wydaje mi się, że bym zasługiwał na podziękowania - odparł Uljanow. - Nie jestem pewny, czy dobrze robię, pozwalając pani ciągnąć tę zabawę. Bardzo się boję o pani bezpieczeństwo. Chociaż muszę przyznać, że radzi sobie pani całkiem dobrze.

- Naprawdę? - powiedziała, czerwieniejąc z zadowolenia.

Uśmiechnął się krzywo, jakby niechętnie się do tego przyznawał, i kiwnął twierdząco głową.

- Ale naprawdę boję się o panią - dodał, poważniejąc. - Nie wiem, jak długo zamierza pani to ciągnąć.

- Oczywiście tak długo, jak będę chciała - odparła. - Bardzo mi się to podoba. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się równie szczęśliwa.

- Tylko jak długo zdoła pani to ciągnąć? Może uzna to pani za impertynencję, ale

życie oficera jest kosztowne, a wydaje mi się, może się mylę, że żyje pani dość oszczędnie. Nie martwi to pani?

Wcale jej nie dotknął tym, że poruszył sprawy finansowe, przecież dawała sobie świetnie radę.

- Moja sytuacja nie jest taka zła. Utrzymanie konia wiele nie kosztuje, a rachunki z kantyny nie są zbyt wysokie. Jedzenie w domu kosztowałoby mnie drożej.

- Pani rachunki nie są wysokie, bo ja je płacę - rzucił Uljanow bez zastanowienia i zaczerwienił się, niepewny, czy powinien się przyznawać do tego aktu dobroczynności. - Chciałem w ten sposób naprawić zniewagę, jakiej się wobec pani dopuściłem. Nie jestem jednak pewny, czy to był dobry pomysł. To tylko ułatwi pani pozostanie.

Aleksandra aż otworzyła usta ze zdumienia i wpatrywała się w niego bez słowa.

- Stanowczo nalegam, żeby pani zrezygnowała z tego szaleństwa. Aż boję się pomyśleć, co mogłoby się pani stać. Dość już krzywd wyrządziłem kobietom, a zwłaszcza jednej, czego sobie nigdy nie wybaczę. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogąc chronić inną kobietę, nic w tym celu nie robię. Musi pani to zrozumieć.

W jego oczach malowała się niezwykła powaga.

- Czy bardzo pan ją kochał? - spytała Aleksandra.

Ta sprawa od dawna ją intrygowała.

- Czy ją kochałem?! - wykrzyknął, po czym zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju. - Przecież ona nawet nie była dla mnie człowiekiem. - Ukrył twarz w dłoniach, lecz po chwili podjął spacer. - Traktowałem ją jak psa, kochającego psa, który lizał mnie po rękę i przychodził na zawołanie, a kiedy przestał być użyteczny, wyrzuciłem, jak wyrzuca się psa. - Zacisnął dłonie na oparciu krzesła i spojrzał na Aleksandrę. - Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu, gdy powiedziałem, że ją odsyłam. Były takie ciepłe i zdziwione jak u psa.

Spuścił głowę. Aleksandrze zdawało się, że dostrzegła wilgoć na policzkach, ale mogła się mylić.

- To nie pana wina, kapitanie - powiedziała. - To nie pan ją zabił. Sama to zrobiła.

- Czyżby? Wykorzystałem ją, gdy... Była pod moją opieką. Należała do mnie. To ja jestem za to odpowiedzialny.

Aleksandra, nie mogąc patrzeć na jego ból, zaczęła się zastanawiać, jak go pocieszyć.

- Można osiąść ciało kobiety - odezwała się w końcu - lecz nie jej duszę czy wolę.

- Przecież to to samo.

- Och nie. Żaden człowiek nie może mieć na własność czyjejś woli. Arogancją byłoby myśleć inaczej. Nie kazał jej się pan zabić. To ona sama o tym zdecydowała dzięki swojej wolnej woli. I w ten sposób na zawsze pana ukarała.

- Na zawsze mnie ukarała - powtórzył, nie spuszczać wzroku z twarzy Aleksandry.

- Tak, kapitanie. To pana ukarała, nie siebie. Jej pragnienie, by pana zranić, okazało się silniejsze od tego, by żyć, a nawet silniejsze od uczucia. Nie jestem wcale pewna, czy była taką żalosną, pokorną duszyczką. W tym samobójczym akcie jest tyrania, chęć narzucenia panu swojej woli, kontrolowania pańskiego życia i myśli. Wiedziała, że będzie to pana dręczyło. Dzięki temu ona pozostanie z panem na całe życie. Są inne sposoby wywierania na kogoś nacisku prócz siły. Nie wiem nawet, czy pana kochała. Jak mogła tak pana zranić?

- Och, często raniemy tych, których kochamy - rzekł Uljanow. - Wówczas nabiera to większego znaczenia. - Wydawał się teraz spokojniejszy. - Może i ma pani rację. Nie zapomnę jej do końca życia. A jednak dopięła swego. Zawsze tak było.

Aleksandra nie miała pojęcia, czy to, co powiedziała, jest prawdą. Właściwie nie знаła tej kobiety. Ostra ocena jej charakteru wynikała z chęci podniesienia Uljanowa na duchu, a może i z zazdrości. Zresztą nawet gdyby w tym, co mówiła, tkwiło zaledwie ziarnko prawdy, to i tak udało jej się złagodzić jego ból. Bardzo ją to ucieszyło, choć nie wiedziała dlaczego.

Kapitan westchnął dramatycznie, klepnął się dłońmi po udach i wstał.

- Czas na mnie. Zbyt dużo zabrałem pani czasu. Są ciekawsze rzeczy niż wysłuchiwanie moich problemów.

- Och nie! Proszę nie odchodzić! - Noc była taka długa, a budynek taki pusty.

Usiadł. Siedzieli tak przez kilka minut, wsłuchując się w tykający zegar, który właśnie wybił trzecią.



- Do końca służby zostało mi jeszcze pięć godzin - odezwała się wreszcie Aleksandra, nie mogąc znieść ciszy. - Nie wie pan przypadkiem, jak zdobyć talię kart?

Oczywiście, że wiedział. Zerwał się, wybiegł z pokoju, a kiedy Aleksandra zbierała z biurka resztki jedzenia, zostawiając jedynie puszkę z herbatą, Uljanow przeszukał szuflady w jadalni, znalazł to, co chciał, i wrócił kłusem do muzeum.

- Zagramy w pikietę - oznajmiła. - I zamierzam pana ograć.

Oczywiście go nie ograła. A raczej wygrywała tylko wtedy, gdy Uljanow jej na to pozwolił. Ojciec nauczył ją grać w karty, lecz nie mogła współzawodniczyć z kimś, kto spędził wiele godzin przy karcianych stolikach w domach hazardu i uczestniczył w prywatnych wieczorach karcianych, gdzie grało się o wysokie stawki, paląc cygaro za cygarem i nie odchodząc od stolika aż do świtu. Mimo to pozwolił jej wygrywać na tyle często, by mogła uważać się za bezlitosnego szulera, patrzącego na przeciwnika zza wachlarza z kart. Udawał, że się bardzo boi.

Po tej nocy Uljanow przyłączył się do grupy oficerów, której przewodziła Aleksandra, biorąc udział w nocnych wyprawach po mieście. Łopuchin początkowo ucieszył się z tej zmiany, sądził bowiem, że kapitan ich zdradził, tracąc zainteresowanie ulubionymi rozrywkami. Zauważył jednak, że chociaż Uljanow przesiadywał z nimi w kawiarniach i podejrzanych spelunach, niewiele mówił, mało pił i nic nie jadł. Łopuchin dostrzegł również ukryty ton dezaprobaty w jego zachowaniu. Kapitan sprawiał wrażenie, jakby pilnował, by na wesołe towarzystwo nie spadło jakieś nieszczęście. Ale jego uważne spojrzenie koncentrowało się przede wszystkim na młodym Karpackim.

Co dziwniejsze, zaczął traktować młodego korneta z przesadną troskliwością, która była czymś zaskakującym i niewłaściwym. Decydował na przykład, kiedy chłopak ma dość, i patrzył z niechęcią na każdego, kto chciał mu nalać jeszcze jeden kieliszek. Nie pozwalał też Karpackiemu uczestniczyć w co śmielszych wyczynach, takich jak chodzenie po balustradzie balkonu wiszącego nad ulicą, przy jednoczesnym wlewaniu w siebie butelki wódki. Nie pozwolił również wejść chłopakowi do palarni opium, choćby tylko po to, by się rozejrzeć, mimo że Łopuchin przekonywał, iż kornet powinien poznać szeroką gamę męskich przyjemności i sam zdecydować, które wybierze. Kapitan obrzucił go wtedy chłodnym spojrzeniem i nic nie powiedział. Najgorsze jednak w tym wszystkim

było to, że gdy Karpacki dobrze się bawił i udało mu się przemyścić jeszcze jeden kieliszek wódki czy szampana w czasie bytności Uljanowa w ustępie, ten po powrocie, dostrzegając lekką zmianę w zachowaniu korneta, wstawał od stołu, podchodził do Karpackiego, kładł mu rękę na karku i ogłaszał całemu towarzystwu, że chłopak ma dość i powinien iść spać. Prowadził go potem przez tłum gości do drzwi, żegnany jękami rozczarowania kolegów oficerów. Tymczasem korki od szampana nadal strzelały, a oni bawili się do świtu, by wreszcie powlec się do koszar na poranny apel i musztrę z kaprawymi oczyma, poplamionymi tłuszczem mundurami, roztaczając wokół siebie woń niemytych od wielu dni ciał i brudnej bielizny.

W takie dni Karpacki, świeży jak poranek po dobrze przespanej nocy, witał ich w szkole jazdy z tak złośliwym uśmiechem, że pomimo dudnienia w ich biednych, skacowanych głowach mieli ochotę rzucić się na niego z okrzykami wściekłości, ściągnąć z konia, przewrócić na ziemię i pobić do nieprzytomności. Lecz chrząknięcie i groźny wzrok kapitana Uljanowa, który z łokciami opartymi o balustradę przyglądał się, jak kornet jeździ, nie pozwalały im na to. Zawstydzeni, postanawiali, że dziś pójda spać o przyzwoitej godzinie, ale później, w chmurze dymu papierosowego, szumie szampana i w ciepłe grzejących im kolana dziewcząt, zapominali o swych postanowieniach. Najwięcej bowiem radości sprawiało im towarzystwo kolegów oficerów, owa przyjacielska więź, która zmieniała ich w grupę rozbrykanych, wałęsających się po mieście szczeniaków.

Dlaczego kapitan patrzył niechętnie na udział Karpackiego w tych wesołych hulankach, było dla Łopuchina zagadką. Nie mógł też zrozumieć jego spojrzeń, którymi obdarzał młodego korneta, sugerujących, że dawny idol nie jest tym, kim sądził, że jest, i być może skrywa pragnienia, których Łopuchin nie chciał nazwać. Nie było w tym nic złego, lecz wymagało ponownej oceny kapitana i jego możliwości. A może to właśnie owe możliwości doprowadziły go do takiego stanu. Uljanow już jakiś czas temu, ku rozczarowaniu młodszych oficerów, stracił zainteresowanie kobietami i zapomniał o swoim ślubowaniu. Od miesięcy w kartotece nie zachodziły żadne zmiany - dziwnym trafem od chwili, gdy pojawił się Karpacki. Już dawno nie widziano kapitana w towarzystwie kobiety. Może uznał, że nie ma już kogo zdobywać, rozczarował się łatwością, z jaką ko-

biety wpadały w jego sidła, i skierował swoje zainteresowania ku innej płci z nadzieją, że tu znajdzie większe wyzwania? Łopuchin nie mógł w to uwierzyć. Nie, na pewno patrzył na młodego korneta jak starszy brat na młodszego. Kształtował chłopca, ćwiczył i prowadził, chociaż jeśli chodzi o sprawy typowo męskie, popełniał błąd.

- Panie kapitanie, niech się chłopak zabawi - zaprotestował pewnego wieczoru, kiedy miał już mocno w czubie.

Uljanow popatrzył na niego bez słowa, trzymając rękę na karku Karpackiego. Łopuchin wstał, wysunął buńczucznie brodę i położył dłoń na rękojeści szabli.

- Niech wreszcie będzie mężczyzną. To jest, chciałem powiedzieć: mężczyzną - wymamrotał, chwiejąc się na nogach. - Pan go rozpieszcza.

- Rozpieszczam go?

- Tak jest! - poparła Łopuchina Aleksandra. Zrzuciła z ramienia rękę Uljanowa i zerwała się z miejsca.

Tak po prawdzie, to bardzo jej odpowiadała ta nadopiekuńczość Uljanowa, jego czujność i troska, zwłaszcza wtedy, gdy odwoził ją późną nocą do domu. Dorożka jechała chłodnymi jesiennymi ulicami, a ona drzemała z głową opartą o jego ramię, on zaś rozcierał jej palce w rękawiczkach, by nie zmarzły. Pewnego razu wniósł ją pijaną po schodach do pałacu i przekazał Nikiforowi, chociaż tylko udawała, że jest pijana, by zobaczyć, co zrobi.

- Rozpieszcza mnie pan. Dość tego! Chcę zostać!

Tego wieczoru porządnie szumiało jej w głowie, bo zdołała wlać w siebie dwa kieliszki wódki, kiedy Uljanow rozmawiał z oficerem z innego pułku.

Kapitan popatrzył na nią, a potem zajął swoje miejsce przy stole i zapalił cygaro.

- Proszę bardzo - rzekł, krzyżując ręce na piersi. Wyglądało, jakby dym z cygara wypływał mu prosto z serca. - Tylko jutro proszę nie narzekać, że jest pan zmęczony.

- Nie jestem z porcelany! - oburzyła się Aleksandra, stojąc niepewnie na nogach. - Nie jestem delikatny.

- A kto ciągle wymiotuje? - spytał Uljanow.

- Tylko kilka razy, dopóki nie przywykłem.

- A kto jest zmęczony i spada z konia?

- To było raz - odpowiedziała i klapnęła na krzesło, uznając, że nieroztropnie jest stać.

Wszyscy popatrzyli na kapitana, czekając, jak zareaguje na tę demonstrację nieposłuszeństwa, ale on tylko rzucił cygaro na ziemię, przywołał kelnera, zamówił butelkę szampana, a kiedy ją przyniesiono, otworzył i przytknął do ust. Musujący płyn spływał mu po brodzie i plamił mundur. W końcu Uljanow oderwał się od butelki, uśmiechnął się i otarł usta. Młodszy oficerowie przyjęli to z aplauzem. Nareszcie powrócił dawny Uljanow.

- Zdaje się, że chciał pan wyjść - powiedziała Aleksandra, która wcale nie była tym zachwycona.

- Ależ nie - odparł. - Zbyt dobrze się bawię. Godzina jest jeszcze młoda.

- Upije się pan.

- Świetny pomysł.

Ponownie uniósł butelkę do ust i wszyscy patrzyli z podziwem, jak jego grdyka unosi się i opada. Kiedy skończył pić, przód munduru miał zalany szampanem. Rzucił butelkę na podłogę i otarł usta wierzchem dłoni.

Podejrzenia Łopuchina co do dziwnych stosunków łączących kapitana z kornetem ożyły na nowo. Nie podobała mu się ta rozmowa. Brzmiała jak... Nie chciał tego przyznać nawet w myślach.

Jestem pijany - uznał wreszcie - bo Karpacki nie mógł zachowywać się i mówić... Niemożliwe. A jednak w głosie korneta dźwięczał ten wyniosły ton, jakiego używają kobiety, gdy robi się coś, czego nie aprobuje, lub ten obłudny, nieuprzejmy ton, w który wpadają, kiedy sądzą, że są czyimś sumieniem, a nawet gorzej, czyjaś matką. Ale Karpacki nie mógł być przecież kobietą. Był za wysoki. Czy w takim razie mógł być kochankiem Uljanowa? Czy stąd brał się ten władczy ton, te zbyt intymne uwagi?

Łopuchin tak gwałtownie potrząsnął głową, że zakręciło mu się w żołądku, a pokój zaczął wirować. To nie był dobry pomysł. Usiadł na krześle i położył głowę na obrusie, by ją podtrzymać i uspokoić. Chwilę później głośno chrapał. Tymczasem wokół niego nadal toczyło się życie towarzyskie.

- Karpacki! - zawołał ktoś z drugiego końca sali. To pijany Durinow zbliżał się do

stołu na niepewnych nogach, ciągnąc ze sobą ubraną w falbanki młodą kobietę. - Karpacki! Krewniaku mojej bogini!

- Och, odejdz - powiedziała Aleksandra, lecz jej nie usłuchał.

Przysunął do niej krzesło, usiadł na nim i posadził sobie na kolanach kobietę w falbankach, która roześmiała się, gdy ujął ją za piersi.

- Karpacki, powiedz mi, nie miałeś od niej jakichś wieści? Kiedy wraca? - Durinow zostawił w spokoju piersi dziewczyny i chwycił Aleksandrę za ramię.

- Kiedy kto wraca? - spytał Uljanow, zaciekawiony znajomym Karpackiego, którego nie znał. - Krewniak jakiej bogini?

- A z kim mam przyjemność? - zapytał Durinow.

- Andriej Mecklenburg-Uljanow - odpowiedział kapitan, wstając z miejsca i stukając obcasami. - Siedemnasty Pułk Huzarów. A pan?

- Uljanow! - wykrzyknął pijany Durinow. - Legenda! Mit!

- Ależ nie. To ja jestem Uljanow. A pan kto?

- Czy to prawda, że spał pan ze wszystkimi kobietami w mieście?

- Chciałbym, żeby tak było - odparł Uljanow. Usiadł i położył nogę na stole. - Lecz nawet ja nie mam takich nadludzkich sił, by tego dokonać.

- Jest pan zbyt skromny - rzekł Durinow i skłonił głowę. - Ale proszę pozwolić, że się przedstawię: jestem Oleg Durinow.

Uljanow kiwnął głową.

- Czy zechce mi pan zdradzić, na czyj powrót pan tak czeka? Wspominał pan coś o krewnej naszego drogiego korneta Karpackiego.

- O ślicznej hrabiance Korwinej! - wrzasnął Durinow, a Aleksandra skuliła się w krześle w obawie przed konsekwencjami jego odpowiedzi.

Uljanow chwilę dłużył w zębach, po czym zmarszczył czoło i przekrzywił głowę.

- O hrabiance Korwinej? - powtórzył. - Hmm. Miałem okazję ją poznać.

- Naprawdę? - spytał Durinow z niepokojem w głosie. - Chyba nie chce pan powiedzieć, że ona...

- Jest jedną z moich zdobyczy?

- Nawet przez myśl by mi nie przeszło, że ta bogini mogłaby zostać w ten sposób

zhańbiona.

- A jednak tak pan pomyślał - stwierdził Uljanow.

Wyjął cygaro z cygarnicy, włożył je do ust, zapalił i oparł się wygodnie na krześle. Wszyscy czekali, co się teraz stanie.

- Myślę, że moja kuzynka Aleksandra Korwina byłaby zszokowana, wiedząc, że rozmawia się o niej w takim miejscu - odezwała się Aleksandra, korzystając z chwili przerwy w rozmowie, by skierować ją na inne tory.

- Pańska kuzynka? - powtórzył Uljanow i zaczął się coraz szerzej uśmiechać.

- Wszyscy wiemy, że nie rozmawia się o damach w takim miejscu i w takich okolicznościach - odpowiedziała Aleksandra, patrząc najpierw na Uljanowa, a potem na Durinowa.

- Pańska kuzynka damą? - spytał Uljanow. - Powiedziałbym, że damą to ona na pewno nie jest.

Zacisnął usta i spojrzał znacząco na Aleksandrę.

Durinow zerwał się z krzesła. Siedząca mu na kolanach kobieta chciała sięgnąć po leżącą na stole torebkę i wylądowała na podłodze.

- Wyzywam pana! - zawołał Durinow, chwiejąc się lekko, lecz zacisnął pięści, by pokazać swoją siłę. Aleksandra, która pomagała kobiecie się podnieść, zamknęła oczy.

Uljanow nawet nie spojrzał na Durinowa. Cały czas patrzył na Aleksandrę.

- Często je więcej, niż wypada - zaczął wyliczać na palcach. - Sam widziałem. Nie kładzie się spać, gdy jest zmęczona. Nie słucha tych, którzy dają jej dobre rady. Jest uparta, samolubna, czasami nawet okrutna. Czy tak zachowuje się dama?

- Ona jest aniołem - oświadczył Durinow.

- Prawdę powiedziawszy - ciągnął Uljanow - to nawet pan sobie nie wyobraża, pod jakimi względami ona nie jest damą. - Zachichotał i wydmuchnął strumień dymu.

To stwierdzenie, sugerujące znajomość intymnych i kompromitujących hrabiankę sekretów, wprawiło Durinowa we wściekłość. Z wytrzeszczonymi oczami i włosami w nieładzie rzucił się na Uljanowa, zrzucając ze stołu sztućce i talerze. Jednakże kapitan patrzył na niego obojętnie i nawet się nie cofnął. Dwóch młodszych oficerów chwyciło Durinowa pod ręce i przytrzymało.



- Karpacki! - zawołał, usiłując się wyswobodzić. - Proszę cię, jako kuzyna hrabianki Korwinej, na swojego sekundanta, gdy będę przemawiał temu łajdakowi do rozsądku albo zetnę go z powierzchni ziemi.

Ojejku! - jęknęła w duchu Aleksandra. Durinow, ciężko dysząc, patrzył na nią, poruszając ustami, jakby przeżuwał swój gniew. Uljanow też na nią patrzył, ciekaw, co zrobi. Oczy kolegów oficerów płonęły oczekiwaniem. Tylko Łopuchin, który spał z głową na stole, nie zdawał sobie sprawy z rozgrywającego się dramatu.

To szaleństwo - chciała powiedzieć. - Hrabianka na pewno nie jest damą, w każdym razie nie w tej chwili. Uljanow ma rację. Pojedynek w tej sytuacji to szaleństwo. Ja, Aleksandra Korwina, zabraniam tego. Uljanow sobie żartuje, a wiadomo, w jakim stanie jest Durinow. - Wiedziała jednak, że jej słowa ich nie powstrzymają. Może jako sekundantka zdoła wynegocjować jakiś kompromis. Tak, to najlepszy sposób na opanowanie sytuacji.

- Zgadzam się - powiedziała.

- Mój sekundant, hrabia Karpacki, zgłosi się do pana jutro rano, kapitanie Meklenburg-Uljanow - oznajmił Durinow.

- Z przyjemnością będę go oczekiwał.

Kiedy Aleksandra weszła do holu domu Uljanowa w jednej z mniej eleganckich dzielnic miasta, szynel miała biały od śniegu, a pod pachą trzymała drewniane pudło. Poranek spędziła na rozmowach z Durinowem (gdy trzymała filiżankę z herbatą, ręka tak jej się trzęsła, że zaląła sobie brodę) i Łopuchinem, który wreszcie się obudził i został jednocześnie sekundantem Uljanowa oraz jej przewodnikiem po skomplikowanych zasadach pojedynkowania się.

- Bardzo dobrze - stwierdził Łopuchin. - Najwyższy czas. To pomoże zrobić z ciebie mężczyznę.

Aleksandra posłuchała rady Łopuchina i zasugerowała Durinowowi, że pojedynek można uznać za nieważny, ponieważ Durinow nie zna hrabianki Korwinej, a jego sekundant, hrabia Karpacki, może go zapewnić, iż wszystko, co Uljanow o niej powiedział, jest prawdą. Niestety, nic to nie dało. Wtedy Aleksandra zrozumiała, że nie chodzi tu o hrabiankę Korwinę, ale o samego Durinowa. To była sprawa jego honoru, nie jej, to on

miał teraz okazję pokazać światu, czym jest dla niego honor.

Łopuchin wytłumaczył Aleksandrze, że Durinow, jako wyzywający na pojedynek, ma prawo wyboru broni. Jeżeli jednak wybierze pistolety, co zresztą się stało, należy postarać się o dwa identyczne, sprawdzone egzemplarze, strona przeciwna zaś musi je zaakceptować. Co więcej, nie mogą to być pistolety znane którejs z stron, lecz nowe lub od kogoś pożyczone. Zdobycie ich i sprawdzenie należało do sekundantów. Oni też wybierali odsłonięte miejsce pojedynku, by stojący naprzeciw siebie mężczyźni widzieli wyraźnie swoje sylwetki. Należało też ustalić liczbę kroków dzielących przeciwników i liczbę dozwolonych strzałów. A wszystko w zgodzie ze skomplikowanymi zasadami, które określały liczbę kroków i wystrzałów w zależności od stopnia zniewagi i poniesionej ujmy na honorze.

Po wyjściu z pałacu Durinowa Aleksandra udała się do domu niejakiego księcia Wleżko, który, zdaniem Łopuchina, miał parę stosownych pistoletów. Aleksandra musiała jeszcze pokwitować ich odbiór, co zwalniało księcia od wszelkiej odpowiedzialności na wypadek śmierci spowodowanej użyciem jednego z nich. Potem pojechała z Łopuchinem na pułkową strzelnicę sprawdzić broń, a stamtąd za miasto, na miejsce wskazane przez Łopuchina, które według niego idealnie nadawało się na pojedynek i było bardzo popularne. Na koniec zaś musiała jako sekundant Durinowa złożyć wizytę Uljanowowi. Odwiozła Łopuchina do domu, a sama pojechała do kapitana, by zgodnie z zasadami rozmówić się z nim w cztery oczy.

Był sobotni poranek i Uljanow, odziany w szlafrok, jadł właśnie śniadanie w gabinecie, gdy zaanonsowano mu przybycie Aleksandry.

- Proszę się poczęstować - zaproponował, wskazując na stół, na którym stały konfitury, chleb, ser, koszyk jajek na twardo i półmisek z marynowaną rybą.

Pokręciła przecząco głową.

- Nawet filiżanki herbaty? Gdzie się podział pani sławny apetyt? - spytał ze śmiechem i jakby pragnąc podkreślić, że nic sobie nie robi z niebezpieczeństwa, włożył do ust kawałek białego sera ze śmietaną.

Ręce jej się trzęsły, kiedy otwierała pudło z pistoletami, tak jak ją poinstruował Łopuchin. Zaschło jej w gardle, więc tylko wskazała je gestem, zamiast powiedzieć: „Do

pańskiej akceptacji".

- W porządku. Na pewno są dobre. Nie ośmieliłbym się kwestionować opinii Łopuchina. On się na tym zna - rzekł z pełnymi ustami.

Przełknął, uśmiechnął się, po czym dał Aleksandrze znak, by usiadła.

- Czy przyjmuje pan wyzwanie? - starała się mówić obojętnym tonem, który przećwiczyła sobie w dorożce.

- Dlaczego nie? Oczywiście - odparł Uljanow.

- Ale dlaczego? - spytała. Ta sprawa nie dawała jej spokoju przez cały ranek. - Czemu pan to robi?

Uljanow odchylił się na oparcie fotela.

- Bo to, co powiedziałem, jest prawdą. Hrabianka Korwina nie jest damą.

- Jak rozumiem, gotów jest pan zginąć, by dowieść, że nie jestem damą?

- Może nie będę musiał ginąć, jeśli hrabianka dowiedzie, że jest damą. Wtedy mój honor nie zostanie skompromitowany odmową przyjęcia wyzwania. Gdybym bowiem odmówił, przyznałbym, że jest damą.

Aleksandra natychmiast pojęła, do czego on zmierza. Wyprostowała się w fotelu i zacisnęła dłonie na podłokietnikach.

- Chodzi panu o to, żebym wystąpiła z pułku?

- Właśnie.

Osunęła się na oparcie. On to wszystko ukartował. Dobrze wiedział, że Durinow wyzwie go na pojedynek za obrazę Aleksandry Korwinej, tak samo jak wiedział, że ona zarozumiale odmówi wypicia kolejki za swoje zdrowie owego popołudnia, kilka miesięcy temu, kiedy kazał ją aresztować.

- Teraz będzie pani miała na sumieniu czyjaś śmierć, moją lub jego - powiedział, krzyżując ręce na piersi. - Oto do czego doprowadziło to szaleństwo. Chyba że pani udowodni, że jest damą.

Pokręciła głową.

- A więc pan mi grozi. To nieuczciwe. Tylko dlatego, że pan nie chce, bym została w pułku, bo uważa pan to za niewłaściwe, zaryzykuje pan własne życie, by mnie do tego zmusić? To nie do zniesienia. Nie zrobię tego. Nie wystąpię z wojska. Nie dbam o to, że

pan zginie.

- A jeśli to Durinow zginie? Czy jest pani aż tak zarozumiała, by pozwolić, żeby zginął człowiek tylko po to, by mogła się pani dalej bawić w swoją grę?

- To on rzucił wyzwanie. To nie moja sprawa.

- Och, Aleksandro - rzekł Uljanow. - Pani naprawdę staje się mężczyzną. To jest okrutne. Gdzie pani kobieca delikatność, współczucie, umiłowanie życia?

- Nie pojmuję, dlaczego to takie ważne dla pana, żebym złożyła rezygnację. Komu ja tu robię krzywdę?

- Na razie nikomu - powiedział, otwierając cygarnicę i częstując Aleksandrę cygarem, które przyjęła. - Ale czy nie pomyślała pani, co będzie, jeżeli wyruszymy na wojnę? Myśli pani, że wojsko to tylko paradowanie w pięknym mundurze i wydawanie rozkazów?

Aleksandra nie dała zbić się z tropu. Przytoczyła przykład Nadieždy Durowej, która brała udział w bitwach i dzielnie się spisała.

- To było dawno temu - odparł, zapalając cygaro najpierw jej, a potem sobie. - Jeszcze zanim pojawiły się nowe pociski artyleryjskie. Czy pani wie, co ta nowa broń może zrobić z ludzkim ciałem? Widziała pani?

Nie widziała. Lecz jakie to miało znaczenie?

- To moja sprawa, to ja ponoszę ryzyko. Nie pan.

- Niezupełnie. Naraża pani innych na niebezpieczeństwo.

- Dlatego, że jestem kobietą? Nie wierzy pan w moją odwagę?

- Może pani okazać się tchórzem, a może i nie. Nikt z nas tego nie wie, dopóki sam się nie przekona, kim naprawdę jest i jak zachowa się w ogniu walki. Czy ucieknie, czy też zostanie i będzie walczyć. Durowa była oczywiście odważna, a ja widziałem już wielu tchórzy, ale nie w tym rzecz.

- Więc w czym?

- W tym, że naraża pani na niebezpieczeństwo podległych mi ludzi - odpowiedział.

- Czy myśli pani, że niepokojąc się o panią, będę w stanie dobrze wypełniać swoje obowiązki?

Czy myśli pani, że nie zaryzykuję własnego życia i życia innych, by ocalić panią przed niebezpieczeństwem?

- Ale dlaczego? - spytała. - Tylko dlatego, że jestem kobietą?

- Tak. Każdy przyzwoity mężczyzna postąpiłby tak samo.

- Skoro tak panu na tym zależy, przeniosę się do innego pułku - oświadczyła Aleksandra.

- Nie dopuściłbym do tego.

- Jaka to dla pana różnica?! - wykrzyknęła. - Tylko pan wie, że jestem kobietą. Gdybym służyła w innym pułku, nikogo nie narażałabym na niebezpieczeństwo, jedynie siebie.

- Ale ja nie mogę na to pozwolić, Aleksandro.

- Dlaczego? - spytała. - To ja za to odpowiadam, nie pan.

- Zapomina pani, że już jestem odpowiedzialny za śmierć kobiety. Nie będę spokojnie patrzył, jak inna naraża się na niebezpieczeństwo, jeżeli mogę temu zapobiec. Skoro mam taką możliwość, by zmusić panią do wystąpienia z wojska, to ją wykorzystam, ryzykując własne życie i życie drugiego człowieka. Wybór należy do pani. Jeżeli pani dowiedzie, że jest damą, że drogie jest jej życie, jak każdej kobiecie, to zrezygnuje pani ze służby w pułku. W przeciwnym razie jeden z nas zginie. A pani udowodni, że jest prawdziwym mężczyzną.

Aleksandra zastanawiała się przez chwilę. Jakże kochała kawalerię! Nie mogła z niej zrezygnować.

- Zostanę w pułku, dopóki nie wyślą nas na wojnę. Wtedy zrezygnuję.

- Więc chce się pani bawić w żołnierzyki jak dziecko?

- Dość tego! - krzyknęła, zrywając się z fotela, i zrzuciła wszystkie talerze na podłogę.

- Jak dziecko. Spuściła głowę.

- Zrezygnuję - powiedziała - ale nigdy więcej się do pana nie odezwę.

Wzięła szynel i wyszła z gabinetu.

Durinow jednak nie chciał się wycofać.

- Za późno - rzekł. - Słowa zostały rzucone. On musi zginąć.

- Ale ty też możesz zginąć - odparła Aleksandra.

- No cóż, będzie to chwalebna śmierć w obronie mojej damy.

Aleksandra rozłożyła ręce w desperacji i odwróciła się. On jest szalony - pomyślała, po czym ponownie zwróciła się ku niemu.

- Przecież ty jej nawet nie znasz.

Durinow popatrzył na nią, jakby to ona postradała zmysły.

- Moje serce ją zna - odpowiedział.

- Co mam ci rzec, by odwieść cię od tego szaleństwa? Wiem, że moja kuzynka by tego nie chciała.

- To, czego ona chce, nie ma tu znaczenia. Aleksandra podeszła do drzwi i chwyciła za klamkę.

- Doskonale o tym wiem - odparła i wyszła.

Kiedy dotarła do domu Uljanowa, spływała potem. Uljanow sam otworzył jej drzwi i wprowadził do gabinetu.

- Nie chce się wycofać - oznajmiła, ciężko dysząc, jak tylko zamknął drzwi.

Ciche przekleństwo wyrwało się z ust Uljanowa.

- Wobec tego jutro rano po prostu pan się nie zjawi - zdecydowała Aleksandra, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Durinow jest niespełna rozumu. Nie będzie w tym żadnego wstydu. Ustąpi mu pan pola i tyle.

Myślała o tym, jadąc do Uljanowa. Powtarzała sobie raz za razem: „To proste. Uljanow nie przyjdzie i już”. Kapitan rzucił się na krzesło.

- Za późno - rzekł. - Już nie mogę się wycofać.

- Wszyscy jesteście szaleni.

- A pani chciała być jednym z nas. Aleksandra usiadła na krześle i spuściła głowę.

- Zresztą nie ma to znaczenia - dodał. - Nie jestem aż taki cenny. Właściwie to zasługuję na kulę. Jest w tym jakaś sprawiedliwość, nie sądzi pani? Życie za życie.



- Chwileczkę - przerwała mu, unosząc rękę, jakby nagle zrozumiała sens jego słów.

- Chce pan powiedzieć, że po prostu pozwoli się pan zastrzelić?

- Oczywiście.

- Nie będzie pan się bronił?

- Nie - odpowiedział. - Nie mogę. Przyznając mu rację, zrezygnowałem z prawa do zastrzelenia go. Oczywiście, gdybym chciał, mógłbym się bronić. Ale nie chcę. To byłoby niehonorowe. Dostałem to, czego chciałem: pani rezygnację. W takiej sytuacji nieuczciwością byłoby zabić tego człowieka.

- Przecież to samobójstwo.

- Wcale nie. On może spudłować. To jest trochę jak hazard. Zawsze byłem w tym dobry.

- Ale tu chodzi o pańskie życie.

- Gra idzie o najwyższą stawkę. Czy tak nie jest ciekawiej?

Był niesamowity w tym swoim niefrasobliwym podejściu do śmierci. Siedział oto, palił i tylko lekko stukał nogą w podłogę, co było jedyną oznaką napięcia. Za oknem zrobiło się już prawie ciemno, chociaż minęło zaledwie południe. Wilgotne płatki śniegu uderzały w szybę, jakby coś chciało się dostać do środka i już teraz dopaść Uljanowa.

Gromadzące się pod powiekami łzy spłynęły Aleksandrze po policzkach. Wstała z krzesła, podeszła do kapitana i położyła mu rękę na ramieniu.

- Błagam pana, proszę tego nie robić. Proszę się wycofać. To nie jest tego warte.

- To nie jest kwestia wartości - odpowiedział, klepiąc ją po rękę. - Tu chodzi o zasady. Bez zasad jesteśmy tylko zwierzętami.

- Nie rozumiem.

- I nie zrozumie pani. Te zasady zostały ustanowione po to, by pokazać, jak mało znaczymy. Wystarczy chwila i... puf, nie ma nas. Ważne są idee, to co mamy w duszy. Jeżeli nie będziemy w stanie poświęcić siebie w imię zasad czy dla jakiejś idei, upodobnimy się do zwierząt, których jedynym celem jest przeżycie. Istnieją sprawy daleko ważniejsze od życia. - Przytrzymał jej rękę. - Powinna pani już iść. Mam jeszcze wiele do zrobienia, muszę uporządkować swoje sprawy.

Odprowadził ją do drzwi.

- Aleksandro, a gdzie pani rękawiczki? - spytał żartobliwym tonem. - Przyszła tu pani bez nich? Przeziębi się pani.

Nie mogła mówić. Odwróciła twarz, starając się ją ukryć za wysokim kołnierzem szynela.

- Ma je pani w kieszeni? Zobaczmy.

Poczuła jego dłonie w kieszeniach płaszcza. Znalazł rękawiczki i przytrzymał je, ona zaś wsunęła trzęsące się dłonie do środka. Potem wygładził skórkowe palce.

- A teraz proszę iść do domu, zjeść coś i dobrze się wypaść - rzekł, trzymając jej rękę i pochylając głowę, by spojrzeć w twarz, którą usiłowała przed nim ukryć. - A jutro zobaczymy, co się stanie. Proszę pamiętać, że ma pani obowiązki względem Durinowa. O świcie musi pani być u niego w domu. I proszę oddać pistolety Łopuchinowi. Boję się, że może pani o nich zapomnieć.

Aleksandra nagle zarzuciła mu rękę na szyję, lecz odepchnął ją i spojrzał jej w oczy. Uniosła twarz, ukazując spływające po policzkach łzy, jakby to one miały go w końcu przekonać. Dziwny uśmiech przemknął mu przez twarz i zaraz zniknął, ustępując miejsca obojętności.

- Proszę tego nie robić - powiedział. - To najgorsze, co może pani zrobić komuś, kto stoi w obliczu śmierci. Za bardzo chce się wtedy żyć. Proszę już iść - dodał i wypchnął ją za drzwi.

Naturalnie nie zmrużyła oka przez całą noc. Leżała, wpatrując się w sufit. Kiedy za oknem zaczęło się rozjaśniać, wstała, zapaliła świecę i usiadła przy małym zniszczonym biurku, opierając brodę na dłoniach. Od czasu do czasu spoglądała na ikonę wiszącą na ścianie. Światło świecy nie docierało do obrazu, tonął w mroku.

Aleksandra przesiedziała tak kilka chwil, a potem kazała Praskowii przynieść herbatę, której nie wypila, i śniadanie, którego nie zjadła, umyła się, ubrała z pomocą Niki-fora i zeszła na dół do holu. Przed pałacem czekał już stangret z saniami. Nagle krzyknęła, przypominając sobie o pistoletach, i pobiegła na górę. Tam uświadomiła sobie, że przecież oddała je Łopuchinowi.

Zajechała przed pałac Durinowa i weszła do holu. Kiedy zobaczyła, jak hrabia schodzi po schodach, poczuła skurcz żołądka i miała ochotę rzucić się na niego z pię-

ściami. Kamerdyner pomógł mu włożyć podszyte futrem palto, zapiał je i podał cylinder. Przed wyjściem Durinow zatrzymał się przed lustrem, by poprawić ułożenie kapelusza. Chwilę się nim bawił, podczas gdy Aleksandra tupała niecierpliwie stopą w podłogę. W końcu znalazł właściwy kąt ułożenia i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze.

- Masz pistolety? Chciałbym wziąć mój do ręki - powiedział Durinow, wciągając rękawiczki.

- Łopuchin je ma - wyrzuciła z siebie.

- Ach tak, tak - rzekł, schodząc po pałacowych schodach na ulicę. W pewnym momencie przystanął i wciągnął głęboko powietrze w płuca.

Idąca za nim Aleksandra splotła ręce na piersi, by osłonić się przed ostrym wiatrem. Wojskowy płaszcz był ciężki i gruby, ale nie zapewniał ochrony przed dojmującym zimnem. Wsiedli do sań i ruszyli. Aleksandra co jakiś czas sięgała ręką do głowy, by sprawdzić, czy wciąż ma czako, jakby zapomniała o pasku pod brodą. Czako w szarej płóciennej osłonie na niepogodę wyglądało śmiesznie. Aleksandra miała ochotę cisnąć je pod płozy sań i patrzeć, jak zostaje zgniecione. Podczas jazdy ośnieżonymi ulicami i ona, i Durinow nie odezwali się słowem.

Kiedy wyjechali z miasta, droga opustoszała. Po obu stronach ciągnęły się białe pola, a przed nimi majaczył las. Aleksandra wstała z miejsca i zobaczyła, że na drodze stoją sanie. Rosły w miarę zbliżania się. Woźnica i koń odwrócili głowy na ich widok, a z lasu wyszedł Łopuchin.

Trzymając się gałęzi sosen, by nie upaść w śnieg, Aleksandra ruszyła za nim do lasu. Za nimi podążał Durinow.

Wyszli na polanę, którą ona i Łopuchin wybrali poprzedniego dnia. Uljanow stał oparty o pień drzewa i palił papierosa. Szybko odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć.

- Odmierzmy kroki! - zawołał Łopuchin podekscytowanym tonem, ale Aleksandra dostrzegła, że przełknął nerwowo ślinę. Nie miał szalika, a pod pachą trzymał pudło z pistoletami. - Czterdzieści kroków - oznajmił i czubkiem buta narysował linię na śniegu. - Z tego miejsca.

Sekundanci ruszyli miarowym krokiem, wydeptując ślady w śniegu i głośno licząc. Po piętnastu krokach Łopuchin przełożył pudło z pistoletami pod drugą pachę, wyjął z

pochwy szablę i wbił ją w śnieg. Błysnęła w mglistym świetle.

- Pierwsza bariera! - krzyknął Łopuchin. - Dziesięć kroków do drugiej bariery - poinformował Aleksandrę.

Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła wydobyć szabli, i Łopuchin musiał jej pomóc, po czym podał jej, by wbiła czubek w ziemię.

- Druga bariera! - krzyknął. - Jeszcze piętnaście kroków - zwrócił się do Aleksandry. - Dobrze - powiedział, gdy je odliczyli. - Teraz jest czterdzieści.

Przykucnął, by sprawdzić, czy szable zostały równo wbite w ziemię, po czym wyprostował się i oparł dłonie na biodrach, kiwając głową i ciężko dysząc. Mróz zmieniał oddech w obłoczki pary.

- Tak się cieszę, że Uljanow wybrał mnie na swojego sekundanta - powiedział, wyjmując z szabeltasa cygarniczkę i podsuwając ją Aleksandrze, która, głęboko mu za to wdzięczna, wzięła papierosa trzęsącymi się palcami i włożyła do ust, zadowolona, że ma coś, co uspokoi drżące wargi. - To dowodzi, że między nami wszystko w porządku.

Zaczął się rozglądać za miejscem do zapalenia zapalniczki, aż w końcu znalazł szorstki kawałek sprzączki od paska.

- W ilu pojedynkach kapitan brał udział? - spytała piskliwym głosem Aleksandra.

- Chyba w pięciu. Nie, w sześciu.

- Czy kogoś zabił?

Poszukała wzrokiem Uljanowa i zobaczyła go opartego o pień drzewa daleko od niej. Nie przyszło jej do głowy, że mógł uczestniczyć w pojedynku, chociaż biorąc pod uwagę jego reputację, powinno. Wszyscy ci wściekli mężowie...

- Oczywiście - odpowiedział Łopuchin. - Chyba dwóch. Reszta została ranna. Raz i on został ranny w nogę. - Klepnął się w udo, by pokazać gdzie.

Spojrzała na postać opartą swobodnie o pień drzewa. A więc już wcześniej zabijał i nic sobie z tego nie robił. Nagle ogarnął ją strach, jakiego nigdy przedtem nie czuła. Świadomość, że może być dziś świadkiem śmierci, zmroziła jej serce, które jakby na chwilę zamarło. Chwyciła Łopuchina za ramię, by poczuć ciepło ludzkiego ciała.

- W porządku, Karpacki - powiedział, klepiąc ją po ramieniu. - To kolejne męskie doświadczenie. Wszyscy z początku się boimy, to żaden wstyd. Tak właśnie stajemy się

mężczyznami. My sami nic nie znaczymy, jesteśmy tylko prochem. W ten sposób możemy tego dowieść. Jeżeli nie będziemy gotowi umrzeć za coś większego niż my, jesteśmy niczym.

- A cóż w tym jest takiego wielkiego? - spytała. - Głupiec pokłócił się z uparciuchem.

- Tu nie chodzi o kłótnię - odparł Łopuchin - lecz o zasadę.

- To czysta abstrakcja.

- Właśnie. W tym właśnie tkwi wielkość. Poświęcić swoje życie dla abstrakcji, nie dla czegoś rzeczywistego. To fantastyczne, nie uważasz?

- Dla mnie to głupota - stwierdziła. - Nie wiem, czy nauczę się być mężczyzną.

- To niedobrze - odrzekł - bo nie masz wyboru. Żaden z nas nie ma, chyba że chcemy stać się robakami pełzającymi po ziemi. A teraz zaczynajmy. Zajrzyjmy śmierci w paszczę. Zaraz... - Podrapał się po nosie. - Co teraz? Aha, musimy podejść do naszych panów i zapytać, czy chcieliby się pogodzić. Potem możemy zaczynać.

Aleksandra rozejrzała się za Durinowem i znalazła go spacerującego tam i z powrotem skrajem polany. Pobiegła do niego. Pusta pochwa obijała jej się o udo, a śnieg usuwał spod stóp.

- Muszę zapytać, czy nie chciałbyś się pogodzić - wysapała.

Durinow prychnął w odpowiedzi. Wyglądał śmiesznie w cylindrze, który był dla niego trochę za mały.

- Tego łajdaka należy usunąć z ludzkiej rasy - oznajmił.

- Przecież tak nie myślisz - odezwała się Aleksandra, z trudem wyrzucając z siebie słowa. - On jest takim samym człowiekiem jak ty. Nie możecie narażać życia dla czegoś tak banalnego jak ta kłótnia. To bez sensu. To jest złe.

- Złem byłoby pozwolić mu żyć - odparł Durinow, unosząc dumnie brodę.

Złapała go za kołnierz.

- Posłuchaj, człowieczku - powiedziała, potrząsając nim. - Aleksandra Korwina nie jest damą. Znam ją dobrze. Jest samolubna, okrutna i niewarta tego pojedynku. Jesteś szalony, ryzykując dla niej życie.

Puściła go. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę.

- To ty jesteś szalony. Nie wycofam się.

- O Boże!

Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach. Łopuchin, który do niej przybiegł, pochylił się, by spojrzeć jej w oczy.

- Zrezygnował? Bywa, że czasami rezygnują. Nie odpowiedziała.

- Rozumiem - rzekł Łopuchin. - Nie zrezygnował. W takim razie będą musieli wziąć pistolety i podejść na wyznaczone stanowiska.

Durinow, jako wyzywający, miał prawo wyboru broni. Zawahał się nad otwartym pudełkiem, które podsunął mu Łopuchin, i zaczął chrząkać jak dziecko nad pudełkiem z ciastkami - ten, nie, tamten, nie, ten. W końcu wziął jeden z pistoletów i popatrzył z podziwem na błyszczącą lufę.

- Ten - zdecydował. - Prawdziwe cacko.

Łopuchin odwrócił się do Uljanowa, który stał obok niego ze znudzoną miną, paląc kolejnego papierosa. Wziął pistolet, nawet na niego nie patrząc.

- Panowie, proszę zająć miejsca - powiedział Łopuchin.

Przeciwnicy podeszli do końca śladów wyznaczających czterdzieści kroków i rozpięli płaszcze. Łopuchin i Aleksandra stanęli z boku, dokładnie między barierami.

- A teraz powiedz to, co ci mówiłem - szepnął Łopuchin do Aleksandry.

Odchrząknęła i usiłowała coś rzec, lecz z gardła wydobył jej się tylko cichy pisk jak z sennego koszmaru. Łopuchin dźgnął ją w plecy.

- Ponieważ przeciwnicy odmówili pojednania się, zechciejcie, panowie, zaczynać...

Wiedziała, że powinna powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogła sobie przypomnieć co. Łopuchin trącił ją w ramię.

- Bierzcie pistolety - szepnął.

- Bierzcie pistolety! - krzyknęła Aleksandra.

- I po słowie „trzy”...

- I po słowie „trzy”! - powtórzyła.

- Zaczynajcie podchodzić...

- Zaczynajcie podchodzić!

- Raz...



- Raz!

- Dwa...

- Dwa!

- Trzy...

- Trzy!

Przeciwnicy ruszyli do barier. Durinow szedł dumnie wyprostowany, Uljanow powoli. Obaj trzymali wyciągnięte przed sobą pistolety. Długie lufy przedłużały ich ramiona, nadając im osobliwe kształty. Kapitan, idąc, nie przestawał palić papierosa. Łopuchin roześmiał się.

- To stara sztuczka - wyjaśnił, pochylając się ku Aleksandrze. - Ma zastraszyć przeciwnika i pokazać, że nie drży mu ręka.

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w Durinowa, ciekawa, co zrobi. Zauważyła, że unosi ramię i zobaczyła, że drży mu lufa pistoletu. Brnął dalej przez śnieg, brudząc na białą poły rozpiętego palta. Lufa broni cały czas drgała. Rozległ się huk wystrzału, ale Aleksandra nie mogła się zorientować, kto strzelił, dopóki nie zobaczyła dymu unoszącego się z lufy pistoletu Durinowa. Zacisnęła powieki.

- Widzę, że Durinow nie poprawił swojej celności - stwierdził Łopuchin.

- Coś ty powiedział? - spytała, otwierając oczy.

- Powiedziałem, że nadal nie umie strzelać. Nie trafiłby nawet w Sobór Pietropawłowski.

Durinow padł twarzą na śnieg i kopał nogami z wściekłości. Uljanow, który wciąż palił papierosa, opuścił pistolet i sprawiał wrażenie rozbawionego całą sytuacją.

- Kapitanie Mecklenburg-Uljanow! - krzyknął Łopuchin. - Proszę strzelać! Zna pan zasady!

Uljanow strzelił niedbale w ziemię i odrzucił broń.

- Powtórz to, co mówiłeś o Durinowie - zażądała Aleksandra, patrząc na Łopuchina spod zmrużonych powiek.

- Chodzi ci o jego celność? Te pojedynki to dla niego strata czasu, jednak wciąż się upiera. Zawsze kogoś wyzywa, lecz wszyscy wiedzą, że nie trafiłby nawet w stodołę, więc strzelają w ziemię i dają spokój. Ciągłe mamy nadzieję, że się nauczy i będzie cie-

kawiej, ale, jak widać, nadal mu nie wychodzi. Musimy jednak za każdym razem podchodzić do tego poważnie, niestety, za każdym razem jest tak samo.

- Dziękuję ci - powiedziała Aleksandra i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę Uljanowa.

Łopuchin patrzył na nią zaskoczony. Karpacki powinien teraz podejść do Durinowa - był w końcu jego sekundantem. Powinien mu pomóc wstać, otrzepać się ze śniegu. Durinow siedział na ziemi, lecz Karpacki go minął i podszedł do kapitana. Zaczął go popychać i szturchać w pierś, na co kapitan reagował śmiechem.

Jakie to dziwne - pomyślał Łopuchin, spuszczać głowę, by wyjąć papierosnicę z szabeltasa. W tym momencie Karpacki uderzył Uljanowa w twarz. Łopuchin uniósł głowę. Czy on naprawdę to widział? Kornet złamał regulamin wojskowy, za co groził sąd wojskowy, może nawet czekał go pluton egzekucyjny. Tymczasem kapitan w ogóle się tym nie przejął. Teraz już śmiał się otwarcie, a kiedy Karpacki pokazał mu plecy, złapał korneta za rękę i coś mu mówił z wyrazem troski na twarzy. Karpacki usiłował wyrwać mu ramię, ale kapitan go przytrzymał. W końcu jednak kornet się wyswobodził i zaczął iść szybkim krokiem. Uljanow podążał za nim, do czegoś go przekonując, lecz Karpacki zakrył uszy rękoma. Jakie to było dziecinne, niemęskie i niegodne oficera!

Durinow podniósł się ze śniegu na chwiejnych nogach i stał na środku polany, mrugając powiekami ze zdumienia. W końcu pochylił się i podniósł cylinder, który spadł mu z głowy.

## Rozdział 24

- Nie zrezygnuję, a jeśli pan się do mnie zbliży, zabiję pana - oświadczyła Aleksandra Uljanowowi, po czym chwyciła Durinowa za ramię i poprowadziła przez las do sań. Jej nieśmiały stangret rozmawiał właśnie z woźnicą Uljanowa. Obaj machali batami i pokrzykiwali do siebie wesoło.

- Czy mój pan...? - zapytał niespokojnie woźnica Uljanowa na jej widok.

- Powinien zginać, ale nie zginął - dokończyła Aleksandra, pchnęła Durinowa do sań i wskoczyła za nim.

On zaś natychmiast zaczął analizować swoje błędy, kwestionować wybór broni, ułożenie ręki, szybkość kroku. Kiedy zajechali przed pałac, Aleksandra wypchnęła go z sań na ulicę, a on, wciąż mruczając do siebie i kręcąc głową, ruszył schodami do drzwi.

Stając w holu swojego pałacu, hrabianka poczuła, że nie jest w stanie zrobić ani jednego kroku. Miała wrażenie, jakby we wnętrzu była kompletnie sucha, co brało się z niewyspania, i całkowicie pusta. Zastanawiała się, czy jej głowa z wyschniętym mózgiem nie oderwie się za chwilę od szyi i nie potoczy po podłodze, grzechocząc jak dynia.

Mogłaby go zabić, tym razem naprawdę mogłaby go zabić. Jednak myśl o zamordowaniu Uljanowa przerwał krzyk, dochodzący gdzieś z górnego piętra, który odbił się echem od ścian pałacu i przeniknął do wnętrza czaszki. Pobiegła schodami na górę.

Krzyk dochodził z jej sypialni. Otworzyła drzwi i zobaczyła, że wydostaje się on z czegoś wielkiego, leżącego na jej łóżku, co wiło się, kopało i przeklinało. Była to Matryona, która właśnie zaczęła rodzić. Po obu stronach łóżka stali Praskowia i Nikifor ze skupionymi twarzami.

Tego mi jeszcze brakowało - pomyślała Aleksandra, rzucając czako na podłogę i rozpinając szynel.

- Dlaczego położyliście ją do mojego łóżka? - spytała, wskazując na krzyczące ciało.

- Bo to jedyne łóżko w pałacu, panienko - wyjaśniła Praskowia. - Chyba jej się należy, nie?

- Chyba tak - przyznała, siadając na krześle.

- Niech panienka sobie zrobi herbaty - dodała Praskowia - bo ja nie mogę.

- Ja zrobię - zaofiarował się Nikifor.

- Nie zrobisz. - Praskowia spojrzała na niego znacząco. - Jesteś mi tu potrzebny.

Potrzebuję twoich silnych ramion, by ją przytrzymać. W przeciwnym razie zaczniesz biegać po pałacu, żeby pozbyć się bólu. Już widziałam takie rzeczy.

- Zrobię to, co mi nakazuje honor - odpowiedział pompatycznie Nikifor.

- Zrobisz to, co ja ci powiem - odparowała Praskowia.

Nikifor spojrzał na nią z takim uwielbieniem, że Aleksandra zaczęła się zastanawiać, czy tych dwoje nie jest przypadkiem zakochanych. I co z tego wyniknie? - pomyślała z goryczą. Coś takiego jak to.

Twarz Matryony była mokra od potu, spuchnięta i czerwona, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Olbrzymi brzuch zdawał się żyć własnym życiem: napinał się, sztywniał, a po chwili rozluźniał. Rzeczywiście żył własnym życiem, i to takim, którego właścicielka nie była w stanie kontrolować. Dziecko usiłowało się wydostać na świat. Ciało kobiety było mu sprzymierzeńcem w tych zmaganiach dwóch organizmów, pragnących oddzielić się od siebie. Jeszcze nigdy kobiecość nie objawiła się Aleksandrze z taką mocą w swym cierpieniu i poświęceniu, zniewoleniu ciała, które miało służyć innym, kopane i popychane, pozbawiane ciepła i życia, póki nie stanie się puste i wyschnięte i rozwieje je wiatr.

- To dziecko ją zabije - powiedziała Aleksandra, wstając i chwytając za rękojeść szabli, jakby szykowała się do bitwy. - Tak jak ja zabiłam moją matkę. Musimy sprawdzić doktora.

- Co też panienka opowiada? - oburzyła się Praskowia. - Panienka nie zabiła swojej matki. I nic tu po doktorze. Nie mamy na niego pieniędzy, nawet gdyby był potrzebny, a nie jest. Matryona dobrze sobie radzi. - Przyłożyła ucho do brzucha rodzącej. - Dobrze sobie radzi. Dziecko mi to mówi. Rozpycha się rączkami, kopie sobie tunel do życia.

Popatrzyła z dumą na brzuch Matryony, pogładziła go lekko.

- Ono ją zabije - powtórzyła Aleksandra, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Praskowia z taką obojętnością i spokojem podchodzi do tego niebezpieczeństwa, jakby to było

coś naturalnego, coś, co jest częścią życia, a nie jego końcem.

- Jeżeli zabije, to trudno, ale musi wyjść - odparła Praskowia. - Nie może tam zostać, chociaż bardzo by chciało. Może jeszcze tam wróci, przynajmniej częściowo, prawda, Nikiforze?

Ku oburzeniu Aleksandry ordynans zaśmiał się z tego żartu, lecz widząc jej wzrok, stłumił śmiech i spoważniał.

- Pójdę zrobić herbatę - powiedział.

- Nigdzie nie pójdziesz - zaprotestowała Praskowia. - Panienska sama sobie robi. Przynajmniej czymś się zajmie, zamiast tu stać, histeryzować, przeszkadzać mi i denerwować matkę, która ciężko pracuje.

Aleksandra jednak nie ruszyła się z miejsca, wpatrując się jak urzeczona w monstrualny brzuch, który poruszał się i podskakiwał.

- Niech panienska stąd wyjdzie!

Wybiegła na korytarz, a następnie schodami w dół do kuchni, byle jak najdalej od pokoju, w którym unosił się zapach śmierci. Nie chciała na to patrzeć. Wydawało jej się, że tam umierała jej matka, a ona była tego przyczyną. Zaczęła spacerować tam i z powrotem po kuchni, zakrywając uszy dłońmi. W końcu drżącymi palcami zapięła szynel i wyszła z pałacu.

Kazała woźnicy jechać, bez przerwy go popędzając, a kiedy dotarli na miejsce, oznajmiła, że musi na nią poczekać, chociaż widziała, jak bardzo chciałby wrócić do domu i być przy narodzinach dziecka. Mogła przecież przyjechać do pałacu dorożką. Nie obeszło jej, że skulił się i schował głowę w wysokim kołnierzu, niczym zraniony żółw kryjący się w skorupie.

Oficerska kantyna świeciła pustkami. Dopiero teraz Aleksandra uświadomiła sobie, że jest niedzielny poranek i oficerowie są teraz z rodzinami, a nieżonaci zapewne odsypiają nocne hulanki. W jadalni stał stół, krzesła i długi kredens pod ścianą, zastawiony półmiskami z jedzeniem i butelkami z wódką. Pomyślała, że mogłaby je wszystkie opróżnić. Najpierw jednak powinna coś zjeść.

Jadła na stojąco, jak rosyjscy mężczyźni, a raczej usiłowała jeść, bo szynka i kiełbasa zmieniały się w ustach w popiół. Wmusiła jednak w siebie trochę mięsa, by móc się

napić. Nalała sobie wódki do kieliszka, a potem do wyschniętego gardła. Płyn spłynął do żołądka palącym strumieniem.

Wzięła z miski dwa jabłka, wyszła na podwórze i skierowała się do stajni. Wartownik spał z głową opartą o blat stołu. Konie gotowe do ćwiczeń, których dziś miało nie być, na jej widok zaczęły parskać i przestępować z nogi na nogę z nadzieją, że zwabia jeźdźca, ale Aleksandrę interesował tylko Herkules. Na dźwięk kroków odwrócił długi łeb, rozsunął aksamitne chrapy, odsłaniając długie zęby, i chwycił z wprawą jabłko. Poczula na dłoni sztywne krótkie wąsy.

Zapra gnęła się na nim przejechać. Sama go osiodłała, wyprowadziła na dziedziniec i pojechała na ośnieżone pole, gdzie w dwóch długich rzędach stały słupki z ułożonymi na nich kupkami gliny. Wyjęła szablę z pochwy, spięła konia ostrogami, wprowadzając go w galop, i zaczęła ścinać gliniane piramidki, raz z jednej, raz z drugiej strony, krzywiąc usta, gdy kawałki gliny przelatowały jej nad głową. Miała ochotę zrobić to jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, lecz nie było nikogo, kto ułożyłby kolejne piramidki z gliny, by mogła ćwiczyć klucie i ścinanie. Objechała pole galopem, a potem przeszła w stęp, by Herkules wystygł, i zaprowadziła go z powrotem do stajni, rozsiadła i wyczyściła.

Co teraz? Czym jeszcze mogłaby się zająć? Może poćwiczyć strzelanie z rewolweru, z którym nie wolno jej się było rozstawać, chociaż nie do końca rozumiała jego przeznaczenie. Do kogo niby miałyby strzelać? Do dezertków, oficerów przyłapanych na grze w karty, do siebie? A tak, do siebie. Już sobie przypomniała. Jeżeli ktoś zhańbi honor pułku, dotykając jej epoletów, lub, nie daj Boże, zerwie któryś z nich, powinna zastrzelić drania, a jeśli chybi - skierować lufę na siebie.

Na strzelnicy uniosła ramię i zaczęła strzelać raz za razem do tarczy, chociaż raziło ją światło odbijające się od śniegowej bieli. Wyjęła z ładownicy naboje, przeładowała rewolwer i zaczęła strzelać z marszu, idąc wolno ku zrobionej ze słomy kukle. Starła się trafić w serce. W końcu i to ją znudziło.

Nie chciała jednak wracać do domu. Słońce sięgnęło zenitu i zaczęło zachodzić. Stangret pewnie zdążył już zmarznąć i zgłodnieć, czekając na nią tyle czasu, lecz nie miała ochoty o nim myśleć.

Wróciła do jadalni i usiadła na chwilę, by zapalić, łudząc się nadzieją, że ktoś



przyjdzie. Niestety, nikt się nie zjawił. Napila się wódki, wyczyściła broń i zjadła kawałek szynki. Wtedy przypomniała sobie o oficerze dyżurnym. Tam musi ktoś być. Tak, widziała grafik na drzwiach. Służbę miał dziś porucznik Woroncow. Nareszcie będzie mogła się z kimś napić. Ale gdzie on się podziewał? Zapewne w muzeum. Jeżeli nie, poogląda sobie eksponaty, chociaż już je widziała. Kiedy jednak podeszła do drzwi, okazało się, że są zamknięte. Przyłożyła do nich ucho i usłyszała głosy. Jeden z nich należał do kobiety, która się śmiała, a właściwie głupio chichotała, jak to kobiety, gdy są w towarzystwie mężczyzn. I dlaczego? Przecież nie dlatego, że mężczyźni mieli coś ciekawego do powiedzenia. Ich rozmowy były takie nieciekawe. Dyskutowano o różnych rodzajach broni, ich zaletach i wadach, lekkości strzelania jednych, sztywnych spustów drugich, długości lufy, kalibru kul, broni gwintowanej i o gładkiej lufie - wszystko to okropnie nudne, dotyczyło bowiem przedmiotów i tego, jak one działały. Kogo obchodziło, jak coś działa i dlaczego działa, skoro działało? Oczywiście mężczyzn. I ta ich fascynacja wkładaniem jednego przedmiotu w drugi: kul do karabinów, szabel do pochew, metalowych części do innych metalowych części, a potem ich rozkładaniem. Być może to ona właśnie dała początek architekturze, technologii i różnym tego typu sprawom, ale co z tego? Kiedyś widziała, jak młodszy oficerowie przez kilka godzin ustawiali piramidę z kieliszków, wkładając jeden w drugi. W jakim celu? Oczywiście nie mogli tego tak zostawić. Po ułożeniu zniszczyli całą konstrukcję, by zbudować ją na nowo.

Nic dziwnego, że szukali towarzystwa kobiet. Najwyraźniej usiłowali zabić nudę, szukając kogoś ciekawego do rozmowy. Jednak przykładając ucho do drzwi, Aleksandra jakoś nie słyszała, by Woroncow prowadził dyskurs z dziewczyną. Czy w tym poszukiwaniu towarzystwa kobiet nie chodziło przypadkiem o ten ich pęd do wkładania jednej rzeczy w drugą, a nie o głód konwersacji?

A kobiety jeszcze im w tym pomagały. To one pozwalały sobie wkładać różne rzeczy po to, by wyszły z nich inne, i diabelski krąg się zamykał. Czy nie można go było w porę zatrzymać?

Poczuła, że jest zmęczona i senna. Nie chciała jednak wracać do domu. Podeszła do kredensu, napełniła kieliszek wódką, wypila, otarła usta wierzchem dłoni i zjadła kawałek szynki. Nie pomogło. Bardzo się starała zapomnieć o stangrecie, ale nie mogła.

Nalała wódki do dużego kieliszka, włożyła do serwetki kawałek kielbasy, ser i chleb i wyszła z jadalni.

Miał na imię Piotr. Aleksandra siedziała z nim na koźle, patrząc na sylwetki koni i na ich długie, podobne do oślich, uszy. Była trzecia po południu i zapadał zmierzch.

- Dlaczego nie chciałeś podać nam swojego imienia? - zapytała, wsłuchując się w bicie miejskich zegarów, ogłaszających upływ czasu.

- Za trudne do wymówienia - wymamrotał z ustami pełnymi kielbasy.

- To pomyślimy o innym, łatwiejszym do wymówienia. Na przykład Paweł.

- Za trudne. To właśnie pe jest najtrudniejsze - wyjaśnił.

- No to może Grisza.

Przełknął kielbasę i spróbował je wymówić, sprawdzając, czy nie będzie przeszkadzać rozcięta górna warga.

- To mogę wymówić - rzekł.

- Dobrze. Daliśmy ci imię, ochrzciliśmy cię jak nowo narodzone dziecko i teraz będziesz miał nowe życie.

- Panienko, dziecko - powiedział, machając batem w przód i w tył. - Chcę wrócić do domu. Chcę zobaczyć dziecko. Kocham dzieci.

- A ja nie chcę go zobaczyć - odrzekła Aleksandra. - Matka już pewnie nie żyje.

Nowo ochrzczony Grisza zwrócił ku niej twarz. Jedno oko mu uciekało w przeciwnym kierunku, ale drugie było jasne i czyste.

- A może byśmy zerknęli - zaproponował.

- A musimy? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. A jednak to zrobili.

Matriona leżała w jej łóżku, podparta na poduszkach. Lampa naftowa rzucała jej na twarz złocisty blask. Wyglądała jak małe słońeczko w ciemnym zimowym pokoju. Przy niej zaś księżyc, mniejszy i bardziej okrągły, o łysej główce - nowa planeta, która wyłoniła się z ciemnego wszechświata w brzuchu matki. Aleksandra podeszła bliżej, by popatrzeć, a za nią Grisza. Praskowia i Nikifor uśmiechali się życzliwie niczym para złałych potem i poplamionych krwią bogów przyjmujących poród.

Twarzyczka małej istotki miała jasnoczerwoną barwę, jakby gotowała się w brzuchu matki, i wyglądała jak kwiatowy pączek, który jeszcze się nie otworzył, o miniatu-

rowych rysach idealnie oddających dorosłe.

- Chłopiec - oznajmiła z triumfem w głosie Praskowia, odchylając materiał, i Aleksandra ujrzała idealną miniaturę człowieka, odtworzoną z mistrzowską precyzją. - Te stópki! - zachwycała się Praskowia. - Te rączyny!

- A Matriona? - spytała Aleksandra, chociaż sama mogła się przekonać, że służąca jest w najlepszym zdrowiu. Właściwie to wyglądała jak nowo narodzona istota, ze zdumieniem rozglądająca się po świecie.

- Dobrze - odparła Praskowia. - Bardzo dobrze.

- Więc on jej nie zabił, tak jak ja zabiłam matkę - stwierdziła ze zdumieniem Aleksandra.

- Panienska nie zabiła matki - rzekła z westchnieniem Praskowia.

Ale Aleksandra odwróciła się, przeszła do drugiego pokoju, owinęła się w szynel i nie zdejmując butów, ułożyła do snu jak prawdziwy huzar.

## Rozdział 25

Aleksandra zaczęła demonstracyjnie lekceważyć Uljanowa. On oczywiście uszanował jej nieprzemyślane życzenie i trzymał się od niej z daleka, ale to prowokowało hrabiankę do jeszcze bardziej skandalicznych wyczynów. Nawet zaskoczony tym Łopuchin nie chciał chodzić z nią tam, gdzie teraz chodziła.

Aleksandra zaprzyjaźniła się z polskim porucznikiem z innego szwadronu, księciem Sapiehą o niesamowitych oczach, który od miesiący śledził ją pełnym zachwytem wzrokiem i korzystał z każdej okazji, by zbliżyć się i chłonąć zapach świeżości, emanujący z ciała młodego Karpackiego. Nie pragnął korneta dla siebie. Karpacki powinien należeć do lepszych od niego przedstawicieli obu płci, znajdujących upodobanie w tajemniczym uroku młodego hrabiego, otaczającej go aurze chłopięcej niewinności, pobudzającej najbardziej wyrafinowane zmysły. Sapieha pragnął jedynie stać w tyle jako obserwator, wiedzieć, co się będzie działo za zamkniętymi drzwiami, by móc tę wiedzę zabrać ze sobą i przemyśleć, gdy będzie leżał nocą w łóżku, wyobrażając sobie każdą odsłoniętą, każdą pieszczotę ciała, każdy okrzyk rozkoszy i jęk zachwyty. To dawało mu większą

satysfakcję niż cielesne doznania.

Lubił odsłaniać przed młodym Karpackim najróżniejsze twarze miasta, a w szczególności te najbardziej upodlane, będące wynikiem boskiej niesprawiedliwości. Najlepszym tego przykładem była miejska biedota. Bieda zrobiła z nich zwierzęta - zwykły mawiać, rzucając garść monet na podłogę obskurnej gospody, gdzie przyglądał się pijakom topiącym smutki w kuflach z piwem, a rozłazącym się jak robactwo, by złapać toczące się monety. Często wciągał ich do rozmowy, płacząc razem z nimi w trakcie opowieści o żonach, które od nich uciekły, utraconych stanowiskach, zmarłych i umierających dzieciach, zmarnowanych majątkach, przerwanej edukacji, niespełnionych ambicjach i marzeniach. Karcił się tymi nieszczęściami, cmokał z zadowoleniem, wyciągał monetę lub banknot z portmonetki i wręczał rozmówcy, który dziękował ze łzami w oczach i zapewniał, że te pieniądze przeznaczy dla progenitury, a książę patrzył z satysfakcją, jak chleb i buty dla dzieci zmieniają się w wódkę lub piwo i trafiają do gardła desperata.

- Cud - mówił do Aleksandry. - Woda zamienia się w wino, chleb w wódkę, buty w piwo.

- To bluźnierstwo.

- Tym bardziej wspaniale - odpowiadał.

Pewnego razu, po wysłuchaniu kolejnej opowieści o łańcuchu nieszczęść, wyjął z kieszeni wielką perłę, która błysnęła na miękkiej białej dłoni, i podsunął Aleksandrze przed oczy.

- A teraz patrz - powiedział, czekając, aż głowa pijaka osunie się na stół, a oczy zamkną. Wówczas przechylił dłoń nad kuflem sąsiada i czekał, co się stanie. Po kilku chwilach włochata dłoń chwyciła kufel zapomnienia. Książę i Aleksandra patrzyli, jak mężczyzna opróżnia go do dna. Wówczas książę wziął od niego kufel z zamiarem postawienia następnego i pokazał Aleksandrze puste dno. Perła zniknęła. Ten człowiek nawet nie zauważył, że ją połknął.

Kiedy już mieli wychodzić, Sapieha pochylił się nad pijakiem.

- Zbawienie jest w środku - szepnął mu do ucha.

Oboje z Aleksandrą z trudem tłumili śmiech na myśl o tym, że ratunek tego biedaka marynuje się właśnie w jego brzuchu i pewnie jutro znajdzie się na dnie latryny.

- Widzisz więc - rzekł książę, gdy szli ulicą, wybierając odcisnięte w brudnym śniegu ślady, bo chodniki i mosty pokrywała nierówna lodowa skorupa, i kryjąc twarze w kołnierzach szyneli, by osłonić je przed wiatrem - że religia nic im nie daje, za to trunki tak. Okłamuje się ich, obiecując wieczne szczęście, jeżeli nie złamią narzuconych im reguł, które nie pozwalają znaleźć szczęścia tu, na ziemi.

Aleksandra go nie słuchała. Stała oparta o balustradę mostu i patrzyła na skutą lodem rzekę. W jednym z pęknięć zobaczyła ludzkie ciało. Skuliła się i ukryła brodę we wnętrzu płaszcza, jakby chciała się w nim schować.

- Dopiero przekraczając ustanowione przez człowieka granice, dowiadujemy się, kim naprawdę jesteśmy - kontynuował książę, stając obok niej i patrząc w wodę.

- Ustanowione przez człowieka?

- Jakie to ma znaczenie? Człowiek jest bogiem - odpowiedział. - Wszystkie prawa uważane za boskie stworzył człowiek, czyli my.

- Mówiłeś przecież, że jesteśmy zwierzętami.

- Tak, zwierzętami, jeżeli mamy odwagę odkryć naszą prawdziwą naturę. Zwierzęta są czyste, nie kłamią, nie intrygują. Kierują się czystym instynktem, czystym pożądaniem.

- Ale nie miłością - wtrąciła. - To potrafi tylko człowiek.

- Naprawdę?

Łzy trysnęły jej z oczu, zamarzły i spadły jak małe klejnoty do płynącej w dole Newy.

\*

Każdego ranka Aleksandra zjawiała się w kasynie z podkrążonymi oczyma i patrzyła na Uljanowa, który jednak nie odwzajemniał jej spojrzenia ani nie komentował, że wygląda na zmęczoną. Żartowała więc z polskim księciem, zakrywając usta dłonią i pochylając ku niemu głowę, ale kapitan tego nie dostrzegał. Przestał też przychodzić do szkoły jazdy, by stojąc z nogą opartą na barierce ogrodzenia lub gryząc w zamyśleniu słomkę, popatrzeć, jak kornet sobie radzi. Nie pojawiał się na strzelnicy, by sprawdzić rewolwer, przestrzelić go, a potem oddać w jej ręce i mruknąć z zadowoleniem, gdy trafiła do celu. Nie stał z założonymi na piersi rękoma, obserwując, jak ćwiczy z rekrutami,

nie towarzyszył jej w obchodzie koszar, doradzając, jak należy się zaopiekować tęskniącym za domem chłopcem, wstrząsanym gorączką lub pijanym. Nie kładł jej ręki na karku, kiedy widział, że jest zmęczona. Szybko zjadał posiłki w oficerskiej kantynie i wychodził, nie zatrzymując się, żeby porozmawiać lub napić się z innymi oficerami. Nikt nie wiedział, dokąd chodzi wieczorami. Wszyscy podejrzewali, że zostawał w domu z matką. Już to jedno prowokowało Aleksandrę do kolejnych szaleństw, palenia opium, upijania się szampanem i dalszych przygód w ciemnym sercu miasta. Cokolwiek, byle go zirytować, utrzeć nosa, zademonstrować swoją niezależność, chociaż już na sam dźwięk jego głosu czuła wzbierające pod powiekami łzy.

- Bal zadzumionych? Co to takiego? - spytała księcia, gdy pewnego popołudnia podczas obiadu zaproponował, by z nim poszła.

- To miejsce, gdzie karze się Boga za dręczenie rasy ludzkiej - wyjaśnił. - Gdzie łamie się jego prawa, przekracza granice i odnajduje wolność. Gdzie wielbimy siebie samych.

Jestem za - pomyślała, rozglądając się za Uljanowem w nadziei, że to słyszał. Lecz on rozmawiał z innym oficerem i nawet na nią nie spojrział.

Jakiś czas później, w wieczór balu, szła z księciem przez olbrzymi pusty plac do oświetlonego pałacu. Nad ich głowami świecił blady wenecki księżyc, przed nimi czarne postacie odziane w peleryny, którymi targał wiatr, zgrabiałymi dłońmi zakładały maski na upudrowane twarze. Ten plac to Wenecja w czasie zarazy - wyjaśnił książę. Dziwne postacie z innej epoki i z innego miejsca wchodziły do pałacu i znikwały w jego wnętrzu.

Gdzie oni się podzieli? - zastanawiała się Aleksandra, w pałacu bowiem nikogo nie dostrzegła, jedynie długi, tonący w mroku korytarz. Książę przywołał ją skinieniem ręki i uniósł gruby dywan wiszący na ścianie. Za dywanem znajdowały się drzwi. Zeszli na dół krętymi schodami. Po chwili do jej uszu zaczęły docierać stłumione dźwięki muzyki. Im niżej się zapuszczali, tym było więcej światła.

Nagle znalazła się w wielkiej sali, połyskującej niczym brylant, jakby miasto swym potężnym ciężarem nadało mu twardość i przejrzystość. Książę polizał palec, dotknął do błyszczącej ściany, po czym wsunął zaskoczony Aleksandrze do ust.

- To sól - stwierdziła zaskoczona.



Z nierównej podłogi wyrastały kolumny w kształcie ludzkich postaci. Tancerze przeskakiwali przez tytaniczne stopy, a kilku śmiazków wspięło się po wielkich nogach i zawisło na nich. Jeden z gości otoczył nogami potężną pierś i ssał śnieżną brodawkę. Inni zaś lizali kostki.

Aleksandra zaczęła tańczyć. Jej partnerkami były wysokie, eleganckie kobiety o dziwnie grubych taliach i barczystych ramionach. Te kobiety tańczyły z mężczyznami o dziwnie szerokich biodrach. Ich zasłonięte maskami twarze miały pusty wzrok, nie patrzyły na nikogo, lecz raczej do wewnątrz. Wśród nich był jednak ktoś, kto nie spuszczał wzroku z młodego Karpackiego, a potem wymienił spojrzenia z księciem Sapiehą i kiwnął mu głową, tak jak książe to sobie zaplanował.

- Kiedy panienka sprzeda tę kupę gruzu? - spytała Praskowia, trzymając na ramieniu główkę dziecka, gładką, krągłą i miękką niczym gotowane jajko.

- Nigdy - odparła Aleksandra. - Bez niego jestem nikim.

- To, kim się jest, ma się w sercu - powiedziała Praskowia. - Pałac do tego niepotrzebny.

- Ty nigdy nie miałaś pałacu, więc skąd możesz wiedzieć?

Pałac wszelako powoli obracał się wniwecz. Nie pełnił już dawnych funkcji jako miejsce spotkań arystokracji, balów, wieczorów i kolacji, życie w nim zamarło i był już tylko wielką, dostojną budowlą z zimnego marmuru i kamienia, ogromnym ciężarem spoczywającym na barkach właścicielki. Wszyscy domownicy mieszkali w jednym pokoju, bo tylko tyle Aleksandra była w stanie ogrzać, broniąc się przed zimnem przenikającym przez szczeliny w popękanych ścianach. Matriona znowu uciekła. Przynajmniej odpadła jedna gęba do wykarmienia, tyle że zabrakło bezpłatnego mleka dla dziecka i teraz trzeba je było kupować za pieniądze skrupulatnie wyliczane przez Aleksandrę. Nie miała ich wiele, uparła się bowiem, że wszystkie rachunki będzie płacić sama. Następnego dnia po pojedynku zażądała, by otrzymywała je osobiście, a Uljanow nie miał do nich dostępu.

Pewnego dnia książe zauważył, że stojąca przy kredensie w jadalni Aleksandra ominęła wódkę i szampana i włożyła sobie na talerz jeden cienki plasterzek szynki. Usia-

dła przy stole, pokroiła go na drobne kawałeczki, by starczyło na jak najdłużej, i żuła je wolno, wysysając sok, a gdy były już suche, połykała. Z radością spostrzegł, że zeszczu-  
plała, że ma niewyczyszczone buty i nieprany od tygodni mundur.

- Mój drogi Karpacki - odezwał się swoim aksamitnym głosem, siadając obok niej.

- Znam kogoś, kto mógłby ci pomóc w karierze, kto zajmuje się wspieraniem oficerów, zwłaszcza tych oddanych służbie. Ta osoba z radością pomaga młodym będącym w po-  
trzebie.

- Ja nie jestem w potrzebie - odparła Aleksandra.

Książę zacisnął gniewnie zęby.

- Nie powiedziałem, że jesteś w potrzebie. Ale każdemu z nas przydałby się możny  
protektor, ktoś, kto ma wpływy na dworze i kto wspierałby nasze interesy. Jak inaczej  
można się rozwijać, awansować? Jak sądzisz?

- Dzięki fachowości i zdolnościom.

Książę zamknął oczy i pokręcił przecząco głową.

- Mój drogi Karpacki, wystarczy spojrzeć na nasze dowództwo, by się przekonać,  
że zdolności nie mają z tym nic wspólnego. Liczą się koneksje. Czyżbym się mylił, po-  
dejrzwając, że w twoim przypadku ich brakuje?

- Chyba nie. Jestem sam na świecie. - Aleksandra rozpostarła palce, patrząc na czy-  
ste krótkie paznokcie i dużą silną dłoń, po czym położyła ją na stole. - Ale potrafię się o  
siebie troszczyć.

- Tylko nie sam - zaprotestował książę, przykrywając jej dłoń swoją. - Tylko nie  
sam.

Cofnęła rękę.

- Może przynajmniej spotkałbyś się z tą osobą - zaproponował książę. - Mógłbym  
zaaranżować kolację.

- Kolację? - powtórzyła. Od tak dawna nie jadła nic dobrego i w odpowiedniej ilo-  
ści.

- Och, wyborną kolację - zapewnił książę. - Ostrygi, szarlotka, najlepsze wina.

Popatrzyła na niego niepewnie, co odebrał jako niezadowolenie z proponowanego  
menu.

- Homar w sosie szczawiowym, bażant *glace*, pieczona dziczyzna, owoce?

Aleksandra zastanawiała się, bębniąc palcami po stole. Za oknem szalała zamieć. Przypomniała sobie o zimnym pałacu i o zmarzniętym nosku maleństwa. Nie była pewna, czy dziecko dostaje tyle mleka, ile trzeba, mimo że dorośli ograniczyli swoje racje, by ono miało więcej. W tym momencie do jadalni wszedł Uljanow z grupą młodszych oficerów i na widok Aleksandry roześmiał się wesoło, jakby ktoś powiedział mu właśnie coś niebywale zabawnego, chociaż w rzeczywistości rozmowa dotyczyła ofiar wojny na Kaukazie.

- Tak - powiedziała głośno. - Z rozkoszą zjem kolację z twoim przyjacielem.

\*

Nie ulegało wątpliwości, że kelner obsługujący prywatne gabinety w Grand Hotelu lubił swoją pracę. Kochał piękno, a tu, w tych salonikach bez klamek, mógł oglądać je pod różnymi postaciami. Zachwycaly go gładkie jak jedwab płócienne obrusy, gdy rozpościerał je w powietrzu, by potem cicho jak śnieg opadły na stół, przy którym kochankowie będą spoglądać sobie w oczy. Z miłością układał srebrne sztuce na białym obrusie, ustawiał kieliszki i wyszukane wina w kryształowych karafkach, chłonąc w nozdrza ich bogaty aromat. Kiedy na stole powstało całe szklane miasto, dodał jeszcze serwetki, starając się nie naruszyć symetrii układu. Potem z rękami na biodrach zlustrował swoje dzieło, dumny z własnego wkładu w ten wieczorny rytuał piękna. Odwrócił się w stronę długiej zielonej kanapy, pełniącej rolę ołtarza w misterium miłości, odkrytej po bokach dla większej wygody użytkowników i wytartej pośrodku od intensywnej pracy kolan i pośladków, przygasił lampy, by dawały nastrojowy półmrok, wiedząc, że niektórzy goście nie lubią ujawniać swoich zmarszczek i innych braków w urodzie. Pozdejmował srebrne przykrywki z półmisków stojących na bocznych szafkach i wciągnął w nozdrza zapach trufli i pieczonego drobiu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przybył jeden z gości. Cóż za okaz piękności - pomyślał na widok młodego oficera kawalerii, szukającego po omacku klamki. Oficer wszedł do środka, zdjął czako, strząsnął z płaszcza i z butów na dywan płatki śniegu, które natychmiast stopniały, pozostawiając mokre plamy. Płatki śniegu są równie ulotne jak piękno - pomyślał kelner, kłaniając się gościowi w pas i tłumiąc chęć, by objąć pełnym

zachwytu spojrzeniem tego młodego adonisa i rozkoszować się jego świeżością.

- Mam się tu z kimś spotkać - oznajmiła Aleksandra, siadając ciężko na kanapie. Kelner skrzywił się na ten jawny brak szacunku dla uświęconego mebla. - Ale nie wiem, kto to jest.

To nawet lepiej - pomyślał kelner. Robota stręczyciela.

Określenie „swat” byłoby bardziej na miejscu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tę starą profesję traktowało się z taką pogardą. Co w tym złego, że ktoś trzeci, działając w imię miłości i rozkoszy, połączy dwie osoby, które mogłyby się nigdy nie spotkać? Co jest złego w związku, w którym mądrość ofiarowuje się w zamian za świeżość młodości? A jeżeli jeszcze dochodzi do tego bogactwo? Czyż młodość i mądrość nie są walutą? Czy nie są cenniejsze od tradycyjnych środków płatniczych, takich jak ruble, franki i funty?

- Czy nie wiesz, kto tu ma przyjść? - spytała Aleksandra kelnera. - Przyjaciel mi nie powiedział. Pewnie to miała być niespodzianka. - Wzruszyła ramionami i sięgnęła do szabeltasa w poszukiwaniu cygarnicy. - Niespodzianka - powtórzyła z kwaśną miną, usiłując zapalić zapalkę o wilgotną podeszwę, dopóki kelner nie podał jej krzemienia.

- Niestety, nie znam tożsamości pańskiego partnera - odparł nieco nerwowo kelner, jakby nagle wciągnięto go w coś, czego nie chciałby widzieć. - Obowiązuje nas dyskrekcja. Mamy oczy i uszy zamknięte.

To oświadczenie nie spotkało się z aprobatą Aleksandry, która gniewnie wydmuchnęła dym z cygara, piorunując kelnera wzrokiem.

- A co takiego zobaczyłbyś, gdybyś je otworzył? Chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi, co to za miejsce.

Było to ostatnie pytanie, na które kelner miał ochotę odpowiedzieć, bo gdyby to zrobił, musiałby odpowiedzieć i sobie. Stał skonfundowany i oniemiały, nie wiedząc, co ma zrobić. Z kłopotu wybawiło go ciche pukanie do drzwi. Z ulgą podbiegł je otworzyć.

Aleksandra zerwała się z miejsca, upuszczając na podłogę zapalone cygaro, na widok osoby, która cicho weszła do środka, podała kelnerowi cylinder i zrzuciła z ramion zasypaną śniegiem pelerynę. Rybicki, bo to był on we własnej osobie, podszedł do niej z wyciągniętą ręką i oficjalnym uśmiechem na twarzy.

Jak znaleźli się na kanapie, tego Aleksandra nie mogła sobie przypomnieć. Zapamiętała jedynie żartobliwy ton głosu, zbyt intymny dotyk i mdląco słodki zapach drogich włoskich perfum Violetta di Parma. Miała wrażenie, że płyną one w żyłach Rybńskiego zamiast krwi, upajające, wonne i kosztowne. Kupione za pieniądze Olgi. To nieprawda - przekonywała siebie w duchu. To nie może być prawda. Na pewno chodzi tu o coś zupełnie innego.

- Proszę mi o sobie opowiedzieć - odezwał się Rybński.

Kątem oka zauważyła, bo siedziała sztywno wyprostowana ze wzrokiem wbitym w podłogę, że założył nogę na nogę. Błyszczący czubek buta drgał nerwowo, jakby jego właściciel się niecierpliwił.

Może to wszystko jest tylko jednym wielkim nieporozumieniem. Może to miejsce miało inne przeznaczenie, niż sugerował kelner i o czym sama wiedziała, a mimo to przysła, wiedzona ciekawością. Teraz gorzko tego żałowała.

- Dlaczego pan to robi? Czego pan ode mnie chce?! - wybuchnęła, gwałtownie gestykulując, jakby pragnęła, by ją zapewnił, że to, czego od niej, czy raczej od niego, chce, nie jest tym, co podejrzewa.

- Nie ma powodu, żeby się denerwować - powiedział Rybński swoim aksamitnym głosem. - Chcę panu pomóc. Lubię pomagać młodym ludziom. To sprawia mi wiele przyjemności. Książę Sapieha mówił, że przydałaby się panu pomoc w karierze wojskowej. Jaki to pułk?

To niemożliwe, żeby mnie nie rozpoznał. Musi wiedzieć, kim jestem, że ma przed sobą Aleksandrę Korwinę. A może W ten sposób pragnie mi pomóc przez wzgląd na szacunek, jaki mi okazywał, może nawet uczucie. Żeby się o tym przekonać, spojrzała mu w oczy. Nigdy przedtem tak na nią nie patrzył, nigdy z tak bliska. Jego zwykle lodowate spojrzenie topniało, spływając po jej obliczu i ciele, jakby chciało wnikać w najdrobniejsze zagłębienia.

- Ach, co my tu mamy - rzekł cicho. - Musisz się rozluźnić, młody człowieku. Nie ma się czego bać. Pozwól, że dam ci coś do picia, a potem opowiesz mi o sobie.

Wstał. Kanapa uniosła się lekko, jakby z ulgą, że pozbyła się ciężaru. Aleksandra usłyszała jego kroki na grubym dywanie, grzechot kostek lodu, cichy wystrzał korka,

brzęk kryształu i szum płynu uderzającego o dno kieliszka. W spojrzeniu Rybńskiego był jedynie żarłoczny głód, nic więcej. Nie, nie rozpoznał jej, on nie widział Aleksandry Korwinej, z którą rozmawiał i żartował całkiem miło przy wielu okazjach, lecz młodego mężczyznę w mundurze huzara. Czy on w ogóle kogoś znał, czy ktoś się dla niego liczył prócz własnej osoby?

O moja biedna Olgo! - pomyślała, wspominając błagalny list przyjaciółki. Rybński szedł ku niej z dwoma kieliszkami szampana, rozlewając po drodze kilka kropel. Patrzył na nią z udaną troską w oczach, pod którą kryła się zachłanność. Jakże inaczej teraz wyglądała ta przystojna twarz! Aleksandra nie mogła uwierzyć, że to ten sam, niegdyś znany jej człowiek.

Kanapa zakołysała się i skrzypnęła, gdy usiadł. Hrabianka spostrzegła nagle, że siedzi na ręczniku. Palce Rybńskiego musnęły jej dłoń, kiedy podawał kieliszek, a potem, jakby przypadkiem, dotknęły uda młodego mężczyzny. Bo to jego widział i to z nim miał spotkanie w jednym z zacisznych gabinetów restauracji o wątpliwej sławie, to z nim wiązał swoje nadzieje i to dla niego gotów był poświęcić wysoką pozycję.

Aleksandra spuściła głowę, by ukryć łzy. Rybński zaczął mówić gorączkowo, namiętnie, jakby wyczuwając wahanie ofiary. Opowiadał o młodych ludziach, którym pomógł, o ulokowaniu jednego na posadzie w Ministerstwie Sprawiedliwości, o załatwieniu awansu pewnemu młodemu oficerowi czy udzieleniu pomocy rodzinie innego chłopca w sprawie z policją. Rozpaczliwie i desperacko usiłował zatrzymać młodego mężczyznę, który miał jakieś wątpliwości, podyktowane obawą, wstydem albo czymś innym, lecz czym, tego nie wiedział.

Aleksandra wstała i wyciągnęła rękę, by podziękować mu za szampana, ale oczy Rybńskiego spojrzały na nią błagalnie, jakby prosiły o dotknięcie. Tylko to jedno, nie odchodź, póki cię nie dotknę. I zrobił to bez jej zgody, jakby miał do tego prawo. Chwytał ją za pośladek i zamknął oczy, nie dbając ani o własną, ani o jej godność. Dobrze - pomyślała - skoro tego potrzebujesz, biedaku. Zaraz jednak stanęła jej przed oczami Olga. Czy ożenił się z nią tylko dla pieniędzy? Ale natychmiast przyszło jej do głowy, że przecież ona zamierzała zrobić to samo. Nie była lepsza od tego nieszczęśnika, który nie potrafił nad sobą zapanować. Spójrzcie na niego i spójrzcie na mnie. Jaki ten świat jest



smutny! Ulegając nastrojowi przygnębienia, pozwoliła, by Rybinski zacisnął mocniej palce, i nawet nie jęknęła, chociaż zadawał jej ból. Jakie to miało znaczenie?

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Wyrwała się z zaciskającego się żelaznego uścisku Rybinskiego, pomknęła do drzwi i chwyciła płaszcz, błogosławiąc natrętnego kelnera. Ale to nie kelner pukał. Za drzwiami czekał Nikifor. Dyszał ciężko, jakby biegł, twarz miał zaczerwienioną od wiatru i ramiona zasypane śniegiem.

- Idziemy - oznajmił, chwytając ją za ramię. - Nie ma chwili do stracenia.

Wyszła z gabinetu, nie oglądając się za siebie i na zawsze porzucając wszelkie myśli o Rybinskim.

- Co się stało? - spytała, wkładając pospiesznie szynel i zbiegając za Nikiforem po wyłożonych chodnikiem schodach. - Czy coś z dzieckiem? Jest chore?

W odpowiedzi chwycił ją za rękaw i pociągnął przez boczne drzwi wychodzące na wąski zaułek, a potem do głównej ulicy, gdzie czekał nieznany jej powóz. Nikifor pchnął ją w tę stronę. Drzwi się otworzyły, jakby ktoś był w środku i czekał na nią. Aleksandra wsiadła do powozu, a drzwi natychmiast się za nią zamknęły.

- Dobry wieczór, panienko - odezwał się Trieniakow, ubrany w cylinder i biały jedwabny szalik, jakby wybierał się na jakieś oficjalne przyjęcie. - Przepraszam, że ośmieliłem się wyciągnąć panią ze spotkania, ale nie ma czasu do stracenia. Pani matka chce się z panią zobaczyć.

- Moja matka? Przecież ona umarła.

- Jeszcze nie - odpowiedział Trieniakow, pukając laską w ścianę powozu na znak, że mogą ruszać. - Jeszcze nie całkiem.

Pędzili ciemnymi ulicami Petersburga. Aleksandra co chwila otwierała usta, by zadać pytanie, lecz Trieniakow za każdym razem kręcił głową lub unosił rękę w czarnej rękawiczce.

- Wkrótce się pani dowie - rzekł. - To nie ja powinienem o tym mówić.

Powóz stanął, drzwi się otworzyły, spuszczone stopnie. Aleksandra, a za nią Trieniakow wysiedli przed jakimś domem. Spojrzała na zimną, obojętną fasadę. Tonęła w mroku, jedynie na górnym piętrze paliło się światło. Dom, a właściwie pałac, wydał jej się znajomy. Miała wrażenie, że już tu była. Kształt, wysokość, ozdoby coś jej przypo-

minały. Nagle stanęła jej przed oczami scena: deszcz brylantów syjący się na podłogę i postać, równie wysoka jak ona, przygarbiona i nad wiek postarzała.

Oczywiście, przecież zawsze się tego domyślała. Portrety matki, które ojciec zniszczył, jego gorzkość, niezliczone wizyty u księżnej w dzieciństwie. „Płomień, który pali, lecz nie rozgrzewa”. Dlaczego ojciec ją okłamał? Dlaczego stworzył ten fałszywy obraz doskonałości? Czemu po prostu nie powiedział jej prawdy?

- Jestem córką dziwki - stwierdziła głośno.

- Kurtyzany brzmi lepiej - odparł Trieniakow i pchnął ją w plecy, by szła dalej. - Musimy się pospieszyć. Ona umiera i nie przetrzyma nocy.

Aleksandra chwyciła go za ramię. Trieniakow cofnął się, usiłując wyswobodzić ramię, ale nie pozwoliła mu na to.

- Proszę mi powiedzieć! - zawołała, tknięta nagłą myślą. - Czy oni byli małżeństwem? Proszę powiedzieć, byli?!

- Musimy iść. Nie ma chwili do stracenia.

Chociaż był niższy od niej o głowę, zaczął ją ciągnąć przez śnieg ku schodom prowadzącym do pałacu.

- Nie! - krzyknęła. - Musi mi pan powiedzieć.

Popatrzył na nią i cofnął ramię.

- Na litość boską, nie ma pani serca? Tam umiera pani matka. Co w takiej chwili znaczą prawa do spadku i tytuły?

- Dla mnie znaczą - odparła. - A ona okazała mi serce?

- Dobrze więc. - Trieniakow utkwiał wzrok w ziemi. - Odpowiedź brzmi: Nie.

- Więc jestem bękartem.

- Nieślubnym dzieckiem brzmi lepiej.

- Och, do diabła z pańską delikatnością! Chcę tylko znać prawdę.

- A więc jest pani nieślubnym dzieckiem.

- Wobec tego nie jestem hrabianką Korwiną.

- Z prawnego punktu widzenia nie. Ukryła brodę we wnętrzu szynela.

- Więc jestem nikim - stwierdziła, kręcąc głową. - Hrabianką, która nie jest hrabianką, córką księżnej, która nie była księżną. - Uniosła głowę. - A ojciec? Czy on rze-

czywiście był moim ojcem? A może nikt tego nie wie?

Trieniakow przestąpił z nogi na nogę.

- Oczywiście, że był pani ojcem. Kiedy pani matka go opuściła... Och, ale nie mamy czasu. - Spojrzał na płonące w ciemności okno i wziął Aleksandrę za rękę. - Musimy iść.

Pozwoliła mu się wprowadzić do pałacu, a potem ciemnymi schodami na górę. Minęli zatechłe korytarze i wspięli się jeszcze wyżej. W końcu adwokat zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, zapukał i zostali wpuszczeni.

Mały pokój tonął w półmroku. W piętrzącej się na łóżku pościeli coś się poruszało. Obok stała stara służąca księżnej i mężczyzna w czerni, zapewne doktor lub przedsiębiorca pogrzebowy. Aleksandra podeszła bliżej i ujrzała leżącą na poduszce białą jak płótno twarz i parę oczu, z których jedno było zamglone, szare.

Służąca wzięła Aleksandrę za rękę i podprowadziła do łóżka, po czym nachyliła się nad twarzą leżącej.

- Ona jest tutaj. Przyszła, jaśnie pani.

Aleksandra poczuła, jak służąca przysuwa jej rękę do ręki chorej, niezwykle chudej, suchej niczym papier i rozpalonej gorączką. Chciała cofnąć dłoń, lecz służąca przycisnęła jej palce do palców księżnej.

- Przyszła do pani - powiedziała służąca do chorej. - Jest tu.

Aleksandra nie chciała patrzeć na postać w łóżku, ale służąca nie miała takich obiekcji. Wyjaśniła przerażonej dziewczynie, że śmierć przyniesie księżnej spokój i nie ma się czego bać. Ona jednak nie widziała tego spokoju, tylko walkę. Czy jednak chora walczyła o to, by wyrwać się z objęć życia, czy też kurczowo się go trzymała? Życie wyciekało z niej przez jedno zdrowe oko, bo drugie już było martwe.

- A teraz niech pani powie: przepraszam - odezwała się służąca. - Proszę przeprosić córkę. To przyniesie spokój i będzie pani mogła odejść.

Chora sprawiała wrażenie, jakby nie była w stanie już niczego powiedzieć. Z jej piersi wydobywały się długie, rozdzierające jęki, a stopy szorowały po prześcieradle, jakby chciała przed czymś uciec lub zbliżyć się do czegoś.

- Niech pani ją przeprosi za to, że ją pani porzuciła, że zostawiła swoje dziecko

samo. Potem będzie pani mogła odejść i odpocząć - tłumaczyła służąca dziwnie wesołym, dźwięcznym głosem.

Z ogromnym wysiłkiem umierająca wydobyła z siebie słowo „przepraszam”. Z trudem dało się je odróżnić wśród jęków. Było to raczej mruknięcie, ale brzmiało jak należy.

- No i już. Zrobiła to pani - powiedziała służąca, po czym zwróciła się do Aleksandry. - A teraz niech panienka powie, że jej wybacza. Niech panienka ścisnie jej rękę i powie to.

Nie wybaczam - pomyślała Aleksandra, choć powiedziała to, co powinna, ściskając kościstą dłoń.

- Kiedyś panienka przebaczy - zapewniła ją służąca, wyczuwając nieszczerłość w jej głosie. - A teraz proszę spojrzeć, jaki spokój panienka jej ofiarowała.

Wskazała na łóżko, wypowiadając ciche słowa modlitwy.

Miała rację. Jęki zmieniły się w urywane, płytkie oddechy, jak u biegacza docierającego do mety.

- Ojciec Zosima! - zawołała służąca.

Zza drzwi wyszedł duchowny ubrany w bogatą, mieniącą się szatę. W rękę trzymał wielką pozłacaną księgę. Śpiewając uroczystą pieśń o śmierci i zmartwychwstaniu, o odkupieniu i przebaczeniu grzechów, otworzył księgę i przyłożył ją do ust umierającej do pocałowania. Koścista ręka uniosła się, próbując ją odepchnąć, jakby w obawie przed uduszeniem. Nie przestając śpiewać, duchowny zamknął księgę i ułożył ją na piersi kobiety. Potem uniósł dłonie nad jej głową w ostatnim błogosławieństwie.

- Koniec. Odeszła - oznajmiła służąca. - Piękną miała śmierć. Szkoda tylko, że odepchnęła świętą księgę. Może Bóg jej to wybaczy. A może nie zauważył. Tak, na pewno tego nie widział.

Odeszła? - pomyślała Aleksandra. - Przed chwilą żyła, a teraz jej nie ma? - Odwróciła się. Podszedł do niej Trieniakow, położył dłoń na ramieniu i wyprowadził z pokoju.

- Wolałbym, żeby pani o niczym nie wiedziała - powiedział, gdy schodzili po schodach. - Wszyscy staraliśmy się trzymać to w tajemnicy, ale obowiązek dziecka względem matki to rzecz święta. Zwłaszcza w chwili śmierci. Wtedy nie liczy się to, jaka

ta matka była.

Aleksandra nie odzywała się, myśląc jedynie o tym, by trzymać się prosto i iść.

- Była niepospolitą kobietą - ciągnął Trieniakow. - Niezwykłej urody. Karmiła ją uwielbieniem mężczyzn, lecz w końcu ta uroda zwróciła się przeciw niej i zniszczyła ją.

- Do kogo należy mój pałac? - spytała nagle Aleksandra. - Czy mam do niego prawo?

- Ależ oczywiście - zapewnił ją Trieniakow. - Tytuł to inna sprawa, ale dom należy do pani.

- Niewiele z niego zostało - stwierdziła Aleksandra. - Właściwie to nic, kupa kamieni bez znaczenia, tak jak ja. Pałac, który nie jest pałacem, hrabianka, która nie jest hrabianką, córka księżnej, która nie była księżną, tylko dziwką.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć.

- Ale ja wiem.

W milczeniu dojechali do pałacu Korwinów. Adwokat pomógł Aleksandrze wsiąść i stojąc na chodniku, przytrzymał jej rękę w swojej.

- Niestety, nie mogę powiedzieć, że księżna zostawiła przynajmniej tyle, by ulżyć pani obecnej sytuacji - rzekł na odchodnym, mnąc w rękę cylinder. Porywisty wiatr odsłonił starannie ukrywaną łysinę na czubku głowy. - Jej majątek pochłonęły długi. Jest mi bardzo przykro. Ale, jak zawsze, pozostaję do pani usług.

Włożył cylinder i odwrócił się. Aleksandra usłyszała chrzęst kroków na śniegu, skrzywienie powozu, gdy do niego wsiadał, i stuk końskich kopyt, kiedy powóz ruszył. Stała, patrząc na frontowe wejście do jej pałacu, jakby je pierwszy raz widziała. Podeszedł do niej Nikifor, który siedział na koźle, obok stangreta Trieniakowa, i zapytał ją o coś, czego nie usłyszała. Otworzył drzwi, lecz Aleksandra odwróciła się i zbiegła po schodach, zapadając się w białym puchu, chociaż Nikifor niedawno go odgarniał.

Z ciemnego nieba sypał gęsty śnieg, pokrywając jednolitą warstwą tysiące dachów, odzierając z blasku złote kopuły, układając się na parapetach i zbijając w lodowe muldy na ulicach i chodnikach. Opatuleni mieszkańcy ostrożnie stawiali kroki na śliskich ulicach. Idąca z trudem Aleksandra uświadomiła sobie, że nie słyszy swoich kroków, jakby nie miała na nogach butów, i nie czuje stóp. Wydawało jej się, że za chwilę zniknie, roz-

płynie się w wilgotnym powietrzu i wtopi w miasto jak inni.

Uniosła rękę, zatrzymała sanie i podała woźnicy adres, który nagle pojawił się w pamięci. Podciągnęła pod brodę koc. Serce waliło jej jak oszalałe, dudniło w uszach, tłumiąc nocne dźwięki miasta. Nie mogła pojąć, dlaczego ten adres przyszedł jej do głowy. Była tam przecież zaledwie dwa razy.

Wyskoczyła z sań, kazała woźnicy poczekać i pobiegła po śniegu do drzwi domu, znacznie skromniejszego od jej pałacu, mimo to prawdziwego domu. Zadzwoiła i czekając, aż ktoś otworzy, spacerowała tam i z powrotem, nie mogąc ustać w miejscu.

- Nie ma go w domu - poinformował ją lokaj, a widząc, że gość ma na sobie mundur tego samego pułku co jego pan, dodał: - Proszę spróbować w koszarach.

Pobiegła z powrotem do sań i kazała się wieźć dalej, ponagłając woźnicę do szybszej jazdy. Kiedy dotarli na miejsce, wyskoczyła na chodnik, rzuciła woźnicy kilka monet i ruszyła w stronę jedyne bezpiecznego miejsca, jakie знаła.

Siedzący za biurkiem Uljanow, pełniący nocną służbę w muzeum pułkowym, podniósł wzrok, słysząc czyjeś szybkie kroki, i wstał. Gdy zobaczył wyraz jej twarzy, rozwarł ramiona.



## Rozdział 26

Świtało, gdy Uljanow się obudził i wyciągnął rękę do Aleksandry, która powinna leżeć obok niego na łóżku. Ale jej nie było. Ubrał się pospiesznie i obiegł wszystkie pomieszczenia, kantinę oficerską, stajnie, koszary. Nigdzie jej nie znalazł. Co to miało znaczyć? Czy to się naprawdę zdarzyło? O tak. Ciało miał jeszcze obolałe po zmaganiach z jej niedoświadczeniem. Nie chciał tego, ale się zdarzyło. Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Po powrocie do domu, spacerując tam i z powrotem w swojej sypialni, spróbował poukładać rozbiegane myśli.

Czy ona tego chciała, czy też ją zmusił? Może płonąc z pożądania i niecierpliwości, zlekceważył wysyłane przez nią subtelne sygnały i utopił je w rozszalałej rzece własnych emocji? A może było odwrotnie? Może to ona porwała go w wir swoich namiętności? Nie mógł sobie tego przypomnieć, bo w tamtych chwilach nie był w stanie odróżnić siebie od niej, jakby ich nerwy splotły się ze sobą i już nie potrafił powiedzieć, gdzie ona się zaczyna, a gdzie on.

Jednak dławiący ucisk w żołądku podpowiadał mu, że zrobił coś złego. Nie, nowy Uljanow tak by nie postąpił. A właściwie tak - pomyślał z rozbawieniem - bo stary cieszyłby się, że udało mu się uwieść pannę z dobrego domu, niewinną i czystą niczym świeżo spadły śnieg. A może się cieszył. Nigdy dotąd tego nie robił, w każdym razie nie w swoim poprzednim życiu, bo takie dziewczęta o niewinnych oczach były poza jego zasięgiem. Miał dość honoru, by ograniczać się do mężatek o nieczystych myślach, znużonych swoim obecnym życiem, które rzucały mu płomienne spojrzenia, wiedząc, że chętnie rozwiąże ich problem. Do aktorek i baletnic, szukających protektora, który obsypałby je strojami i klejnotami, na co same nie mogły sobie pozwolić. Do szwaczek czatujących na dodatkowego rubla, ofiarowanego im jako miłosny podarunek, pozwalającego opłacić czynsz bez wychodzenia na ulicę. Do służących i pokojówek, zadowolonych, że mogą zaimponować swoim paniom, przyzwoitym młodym damom, które miały nadzieję zyskać jego zainteresowanie i złapać go na męża. A właściwie to kto kogo uwiódł? Kto kogo wykorzystał?

Nie, to ona. To ona rzuciła się na niego, przywarła do jego warg z rozpaczliwą desperacją, otoczyła ramionami, miękła w jego objęciach, wydawała różne dźwięki. A on od tak dawna ją kochał. Co innego mógł zrobić? Czy był z kamienia? Czy nie był prawdziwym mężczyzną? Jak mógł się oprzeć jej atakowi?

Usiadł ciężko na łóżku i chwycił się za głowę.

A jednak nie wolno było do tego dopuścić. Jako starszy i mądrzejszy, bardziej w tych sprawach doświadczony, powinien powstrzymać i ją, i siebie. Tymczasem ją zniszczył. I co teraz?

Uniósł głowę. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał? To było takie proste, takie oczywiste, takie na miejscu.

Zbiegł w dół po schodach, przeskakując ostatnie trzy stopnie. Miał cel przed sobą, wiedział, co trzeba zrobić. Zresztą już raz to zrobił, ale tym razem może się uda.

Kilka chwil później siedział przy biurku w gabinecie i układał przybory do pisania: pióro, kałamarz z czarnym atramentem, odpowiednim na taką okazję, i kartkę czystego, śnieżnobiałego papieru. Wygładził ją delikatnie i wziął pióro do ręki.

*Moja droga Aleksandro - zaczął zdecydowanie. Słowa wypływały spod pióra płynnie, bez wahania. - W świetle tego, co między nami zaszło, nie mamy innego wyboru jak niezwłocznie się pobrać. Uważam to za swój obowiązek i zaszczyt. Nie możesz mi odmówić.*

Zakończył podpisem: *Mecklenburg-Uljanow*, podkreślając go grubą kreską. Chwilę dmuchał, by wysechł atrament, po czym złożył starannie kartkę i zadzwonił po Tichona.

Odpowiedź otrzymał po dwóch godzinach. Przez ten czas zajmował się planowaniem domowego budżetu, kalkulując, ile przeznaczy na jej garderobę, jedzenie, utrzymanie jej służby, przyjmowanie gości. Jak przystało na parę małżeńską, będą przynajmniej raz w tygodniu przyjmować gości u siebie, zapraszać znajomych z towarzyskiego kręgu. Nie powinno to drogo kosztować, bo ów krąg nie był duży. Dopisał jeszcze do tych wydatków łożę w operze, co należało do dobrego tonu, nowy powóz i parę koni. Jego własny miał pęknięty resor i od jakiegoś czasu stał nieużywany, a jeden z koni, zresztą o

niemodnej, gniadej maści, zdechł z przejedzenia, karmiony z miłością, lecz niemądrze przez niedoświadczonego chłopca stajennego. Nie zapomniał nawet o niani i guwernantce dla dzieci. Może się z tym pospieszył, ale na wszelki wypadek uwzględnił i te wydatki. Będzie też musiał zrezygnować ze służby w pułku. Dla żonatego mężczyzny to zbyt lekkomyślne zajęcie. Powinien poszukać sobie posady na dworze lub w rządzie. Mógłby zacząć od stanowiska sekretarza jakiejś ważnej osobistości, człowieka wpływowego i trzymającego władzę. Wielu z tych, którzy wysoko zaszli, tak właśnie zaczynało swoje kariery. Na przykład Kachutin, jego dawny kolega ze szkoły, zaczynał karierę jako sekretarz księcia Szeriemietiewa. A teraz, proszę, zadziera nosa w tym swoim dworskim mundurze, kiedy spotyka na balach dawnych kolegów. Nie jest jednak tak irytujący jak ten hipokryta Rybinski, który na krótko zawrócił w głowie jego ukochanej Aleksandrze, zanim znalazła prawdziwego mężczyznę, czyli jego.

Tak był pochłonięty układaniem listu do dowódcy pułku, że nie usłyszał pukania do drzwi. Stary sługa Tichon musiał więc wejść i delikatnie kaszlnąć. Dopiero wtedy Uljanow uniósł głowę.

- Porfiry wrócił - domyślił się.

- Jeszcze nie - odparł Tichon, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

- To daj znać, jak wróci - polecił Uljanow, wracając do listu. Służący jednak nie odchodził i ponownie kaszlnął.

- Jestem zajęty - powiedział Uljanow, nie podnosząc wzroku. - Dasz mi znać, kiedy Porfiry wróci. Pewnie znów gdzieś pije. Będziesz musiał z nim pomówić.

- Jaśnie panie, przyszedł kornet Łopuchin i prosi o przyjęcie. Twierdzi, że to pilna sprawa.

- Łopuchin? Nie mam dla niego czasu. Powiedz mu, że nie ma mnie w domu.

- On jednak nalega.

- Nalega, żeby się ze mną zobaczyć? Cóż to za głupstwa? Jeżeli chce się napić, to czemu tego nie powie?

- Nie sędzę, żeby chciał się napić - rzekł Tichon, wyłamując palce. - Czeka w holu.

W galowym mundurze.

Uljanow zmarszczył czoło i podrapał się w głowę, pozostawiając na czole plamę z

atramentu. Zirytowany, że przeszkadzają mu w układaniu planów na przyszłość, wstał zza biurka i wyszedł na korytarz, gdzie czekał Łopuchin w galowym mundurze, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Na widok Uljanowa stuknął obcasami i zasalutował przepisowo. Potem poinformował kapitana, że jako sekundant wyzywa go na pojedynek w imieniu korneta hrabiego Karpackiego i wyznacza spotkanie na dzisiejsze popołudnie z powodów, które niestety nie są mu znane.

Uljanow otworzył usta ze zdziwienia.

- Chcesz powiedzieć, że Karpacki wyzywa mnie na pojedynek dziś po południu?

- Tak jest - odparł Łopuchin.

- Przecież to szaleństwo! To niemożliwe. Nie mogę w to uwierzyć. Po tym, co...

Dlaczego?

Łopuchin rozłożył bezradnie ręce.

- Pójdę się z nim rozmówić - oznajmił Uljanow, odwracając się na pięcie, ale Łopuchin położył mu dłoń na ramieniu.

- Zna pan zasady. Żadnego osobistego kontaktu. Musi pan wybrać sekundanta. On będzie za pana mówił.

- Dobrze, dobrze - rzucił niecierpliwie Uljanow, oddychając ciężko. Pokręcił głową i potarł czoło, rozmazując atrament. - Więc wybieram ciebie.

- To niemożliwe - zaprotestował Łopuchin. - Musi być dwóch sekundantów. Pan musi mieć własnego.

- Posłuchaj, przyjacielu. - Kapitan położył dłoń na ramieniu korneta i spojrzał mu głęboko w oczy. - To trzeba zachować w tajemnicy, w przeciwnym razie ta sprawa może zniszczyć Karpackiego. Za to grozi sąd wojenny. Przecież wiesz, że nie wyzywa się na pojedynek dowódcy. Przekonaj go, błagaj, jeżeli będziesz musiał. Cokolwiek zrobiłem, cokolwiek on uważa, że zrobiłem, naprawię. Ale ten pojedynek nie może dojść do skutku. A teraz idź i porozmawiaj z nim.

Płaszcz Łopuchina zafurkotał, gdy kornet odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Zaczekaj! - Uljanow przytrzymał go za ramię. - Teraz rozumiem. Tak. On nie otrzymał mojego listu.

- Listu? - powtórzył Łopuchin, nic nie rozumiejąc.

- Nie otrzymał mojego listu. W nim było wszystko. Tak, jego gniew jest uzasadniony. Ma prawo mnie zabić za to, co mu zrobiłem. Lecz list wszystko wyjaśni. Rozwiąże problem. Zaczekaj. Napiszę drugi. Ach, ten Porfiry, nie można na nim polegać.

Pobiegł do gabinetu, usiadł przy biurku i drżącą ręką złożył Aleksandrze ponowne oświadczenia, tym razem zapewniając o swoim szacunku i miłości. Nic dziwnego, że się gniewa. Nic dziwnego, że chce go zabić. Każda kobieta by tak zrobiła, jeśli uwiódłby ją ktoś taki jak on. Tak, teraz wszystko będzie dobrze. Otrzyma list i już wkrótce znajdzie się w jego ramionach.

- A teraz biegnij! - zawołał do Łopuchina, wsuwając mu list do kieszeni. - Zabiję tego Porfirego - dodał, zamykając drzwi za kornetem. Za to, że jego ukochana mogła pomyśleć... że musiała znosić męki upokorzenia, sądząc, że jej nie kocha, że to, co się stało, nic dla niego nie znaczy. Zapewne dlatego się rozgniewała, to było ze wszech miar uzasadnione.

Na jej miejscu też chciałbym siebie zabić - pomyślał i poczuł się znacznie lepiej. To wcale nie była taka bezsensowna reakcja. Wiele kobiet próbowało to zrobić i wielu mężczyzn, przeważnie rozwścieczonych mężów. Aleksandra była jednak bardziej zdecydowana i lepiej umiała władać bronią.

Przekonany, że list ją ułagodzi, i ciesząc się, że wreszcie ją zdobędzie, Uljanow poszedł do matki. Zapukał do drzwi jej pokoju, po czym zamknął je cicho za sobą. Leżała na kanapie i drzemała. Stał chwilę, patrząc na wymizerowaną twarz, po czym pochylił się i pocałował ją w czoło. Uśmiechnęła się, chwyciła jego dłoń i otworzyła wyblakłe oczy.

- Mamo najdroższa - powiedział, kucnąwszy przy niej. - Mam ważną wiadomość, która, jak sądzę, cię uszczęśliwi.

Nie przestawała się uśmiechać, jakby już nic nie mogło jej bardziej uszczęśliwić od faktu jego pojawienia się na świecie.

- Wkrótce zamierzam się ożenić - wyszeptał, starając się nie nadwerężyć jej serca tak niezwykłą wiadomością.

Wymruczała swą radość i zdziwienie, lecz spytała, dlaczego nie przedstawił jej swojej wybranki i kim ona jest.

- To najcudowniejsza, najwspanialsza dziewczyna - zapewnił ją żarliwie. - Pełna werwy, odważna, naprawdę wyjątkowa.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie i zamknęła oczy, zadowolona, że syn darzy swoją wybrankę takim uczuciem.

- Ale biedna - dodał.

- To dobrze, mój drogi - odparła z westchnieniem. - Podobnie było ze mną, chyba wiesz.

Kiwnął głową, że wie.

- Z jakiego ja majątku zrezygnowałam! - zaśmiała się cicho. - To była najwspanialsza chwila w moim życiu, kiedy stanęłam przed ojcem i powiedziałam, że jego pieniądze nic dla mnie nie znaczą i że nie będę tęsknić za pustym życiem, do którego chciał mnie zmusić. Najwspanialsza chwila. Opowiadałam ci o tym, prawda?

Uljanow ponownie kiwnął głową. Wiele razy słyszał tę historię o nieposłuszeństwie i wydziedziczeniu, o tym, jak wsiadła w środku nocy do powozu, a stukot kopyt końskich na drodze znaczył jej drogę odjazdu. Ta wielka chwila wciąż żyła w jej pamięci i na zawsze tam pozostanie.

- Gdy opuszczałam dom, miałam jedynie pięć tysięcy dusz, ten mały majątek po matce - powiedziała sennym głosem. - A mogłam mieć pięćset tysięcy. Co ja bym z tym zrobiła? To zbyt dużo, stanowczo zbyt dużo.

Jej twarz rozjaśniła się na wspomnienie tych pięciuset tysięcy chłopów i majątków, do których byli przypisani, a z których zrezygnowała. Znowu była młoda i pełna życia. Po chwili jednak usnęła. Uljanow poczuł, jak jej dłoń się rozluźnia. Wstał ostrożnie, przeszedł na palcach do drzwi i zamknął je za sobą. Zerkając na wiszący w holu zegar, zaczął chodzić dumnym krokiem tam i z powrotem, z rękoma założonymi na plecach.

W końcu drzwi się otworzyły i wpadł Łopuchin, nawet się nie trudząc, żeby zapukać.

- On nie wycofa się z pojedynku - oznajmił bez tchu.

- Nie wycofa się? - powtórzył zaskoczony Uljanow. - A co z listem? Dałeś mu list?

- Dałem i patrzyłem, jak go czyta.

- I?



- Nie przyjął go tak, jak pan tego oczekiwał - wyjaśnił Łopuchin, spuszczać wzrok. Przemilczał to, że hrabia Karpacki z płonącymi gniewem oczyma porwał list na kawałki i cisnął na podłogę.

Niech ją diabli! - pomyślał Uljanow.

- O trzeciej w szkole jazdy - powiedział Łopuchin. - Wybór broni należy do niego, jako strony obrażonej. Zdecydował się na szable. - Urwał, zmarszczył czoło i zaczął poruszać wargami, jakby sobie przepowiadał sprawy do przekazania. - Po pierwsze - wyliczał na palcach - nie może pan mieć na sobie bluzy, tylko koszulę, luźną i białą, rozpiętą do połowy piersi, by widać było pierwszą krew. Szable, szable, co z szablami? Przyniosę szable do pojedynku mojego ojca. Są jednakowe i wyważone. - Zmieszał się, jakby niczego więcej nie mógł już sobie przypomnieć, i zmarszczył brwi. - Miałbym się na baczności - dodał po chwili. - Karpacki dobrze włada szablą.

- Wiem, wiem. - Uljanow pokiwał głową. Sam obserwował, jak Aleksandra ćwiczy z pułkowym mistrzem fechtunku, i teraz domyślał się, jaki był cel tych ćwiczeń. Pokręcił głową i uśmiechnął się z goryczą.

Oczywiście mógł położyć temu kres. Wystarczyło, by wyjawiał, kim naprawdę jest kornet hrabia Karpacki, a pojedynek nie doszedłby do skutku. Czy jednak był gotów to zrobić? Stał przed lustrem w swoim pokoju i medytował, drżącymi palcami zapinając i rozpinając białą koszulę. Jakie skutki by to ściągnęło na głowę Aleksandry? Wstyd, ośmieszenie, oskarżenie o mistyfikację i kto wie, co jeszcze. Nie, nie mógł narazić jej na takie ryzyko. Lepiej spróbuje z nią porozmawiać.

Aleksandra jednak nie sprawiała wrażenia chętnej do rozmowy. Opierając się o ścianę w szkole jazdy, Uljanow nie mógł nie zauważyć jej obcisłych czarnych spodni i luźnej białej koszuli, rozpiętej nad miękkimi wzniesieniami piersi, skrzyżowanych ramion i morderczego spojrzenia.

Ach, kobieta to tajemnicza istota - pomyślał, zrzucając płaszcz i rozprostowując umięśnione ramiona w nadziei, że to ją onieśmieli. Miał dłuższe i silniejsze ręce, był od niej cięższy o ponad dwadzieścia kilogramów i wyższy o jakieś dziesięć, dwanaście centymetrów. Ale czy to wystarczy, biorąc pod uwagę jej zwinność i biegłość w fechtunku? Tyle razy obserwował ją na ćwiczeniach, podziwiał i zachęcał dobrym słowem, nie przy-

puszczając nawet, że pewnego dnia ona skieruje ostrze szabli w jego stronę. Och, dlaczego nie doskonalili swoich umiejętności? Dlaczego łamał regulamin pułku i nie przychodził na ćwiczenia z floretem i szablą, prowadzone przez mistrza fechtunku? On jednak wolał grać w karty, pić z Łopuchinem i Gołowanowem oraz zajmować się papierkową robotą, gdy tymczasem Aleksandra przygotowywała się na ten dzień. Można by pomyśleć, że to zaplanowała. Uwiodła go, tuląc się do niego, wabiąc zapachem fiołków, po to, by go w sobie rozkochać, a potem się zemścić. Ale za co? Naturalnie za to, że ją pokochał. Kobieta to tajemnicza istota.

Łopuchin stał pośrodku manège i studiował kartkę papieru. Podnosił głowę, zamykał oczy i poruszał wargami, jakby uczył się na pamięć tekstu. Nagle cisnął papier na ziemię i wy dobył szablę z pochwy. Poleciał Uljanowowi, by stanął pod ścianą, po przeciwnej stronie niż Aleksandra, i czubkiem szabli zaczął wyznaczać granice, w obrębie których miał się odbyć pojedynek. Kiedy skończył, wrócił na swoje poprzednie miejsce, przykucnął, położył szablę na ziemi i otworzył długie skórzane pudło.

W mdłym świetle wpadającym do środka przez zakurzone okna błysnęły dwie klingi. Łopuchin, trzymając je ostrzem w dół, tak by nie dotykały ziemi, podszedł najpierw do Aleksandry.

- Są identyczne - powiedział - ale możesz wybrać.

- Która z nich zabiła? - spytała głośno.

Łopuchin odpowiedział, że nie wie, że szable należały do jego ojca i nie wie nawet, czy kiedykolwiek były w użyciu.

- Aha, więc są dziewicze - stwierdziła, podnosząc głos. - Która z nich bardziej pali się do tego, by stracić dziewictwo? Która chciałaby zanurzyć się w ciele mojego przeciwnika? - Sięgnęła po lewą. - Ta. Wygląda, jakby drżała z niecierpliwości .

- To moja ręka - wyjaśnił oschle Łopuchin, po czym odwrócił się, podszedł do Uljanowa i rzucił mu broń, którą ten złapał w powietrzu.

Łopuchin podniósł z ziemi swoją szablę i dał znak przeciwnikom, aby zajęli miejsca między liniami wyrysowanymi przez niego w piasku i trocinach. Potem odmierzył jeszcze odcinek szerokości mniej więcej jednego metra, zaznaczył pozycje przeciwników, polecił im tam stanąć, po czym wycofał się na odległość około dwóch metrów. Tu

zmarszczył czoło i spojrział w sufit.

- Aha - kiwnął szybko głową. - Ponieważ przeciwnicy odmówili pojednania się...

- Ja nie odmówiłem! - zawołał Uljanow, patrząc Aleksandrze w oczy. - To Karpac-ki się upiera, by ciągnąć to szaleństwo, i trwa w tym nierozsądnym i nieuzasadnionym gniewie, chociaż nie doznał żadnej obelgi. Gdyby mnie posłuchał, gdyby porozmawiał ze mną przez chwilę, przekonałbym go, że to prawda.

Spojrział błagalnie na Aleksandrę. Ona jednak zacisnęła dłoń na rękojeści i machnęła szablą, przecinając nią ze świstem powietrze.

- Cicho! - powiedział Łopuchin. - Już za późno na pojednanie. Obaj mieliście na to czas. Teraz zastanówmy się, co dalej. A tak, chustki. Możecie sobie obwiązać chustki wokół nadgarstka, by dłoń się nie pocila. Mam je przy sobie.

Sięgnął do kieszeni, wyjął dwa kawałki materiału i wyrzucił w górę. Uljanow złapał swój i owinął go wokół nadgarstka. Natomiast Aleksandra patrzyła z aroganckim uśmiechem, jak chustka spada na ziemię, a potem odepchnęła ją na bok kopnięciem.

Uljanow mógłby się popisać równie nonszalanckim gestem, gdyby nie był taki zdenerwowany. O niczym nie zapomniela - pomyślał, uśmiechając się z dumą. Odrobiła lekcje na medal.

Łopuchin usiłował sobie przypomnieć, co dalej, w końcu jednak dał za wygraną i podniósł kartkę z ziemi.

- Teraz zasady - oznajmił, unosząc kartkę. - Po pierwsze, nie wolno wam posługiwać się lewą ręką. Jeżeli zobaczę, że jej używacie, przywiążę ją z tyłu do waszych pleców. Po drugie, nie wolno łapać za klingę. Jeżeli zobaczę, że to robicie, przerwę walkę. Nie wolno wychodzić poza linie, bo przerwę walkę. Sygnałem do przerywania będzie uniesiona szabla. Uważajcie na nią. Jeżeli to się zdarzy, robicie krok do tyłu i kontynuujecie walkę. Przy pierwszej krwi zatrzymujecie się i czekacie. To wszystko. Jeżeli będzie trzeba, przypomnę wam o zasadach. A teraz unieście szable i na słowo *allez* zaczynajcie.

Przeciwnicy zajęli miejsca.

- *Allez!* - krzyknął Łopuchin.

Aleksandra, posuwając się szybkimi krokami naprzód, przypuściła gwałtowny atak

na Uljanowa, zmuszając go do ciągłego odwrotu, aż w końcu przyparła go do ściany i skoczyła ku niemu z wyciągniętym ramieniem, by trafić go w pierś. Spływający potem Uljanow skrzyżował broń z jej szablą i odparł atak.

- Kochanie - szepnął, pochylając się ku niej. - Dlaczego tak się gniewasz?

- Nienawidzę cię! - wybuchnęła Aleksandra.

- Kochasz mnie - powiedział Uljanow. - Jesteś tylko wystraszona.

- Zrobiłeś ze mnie dziwkę.

- Zrobiłem z ciebie kobietę, nie dziwkę.

Aleksandra wycofała się szybkimi krokami, ale ku jej zaskoczeniu Uljanow nie podążył za nią, lecz pozostał w miejscu. Splunęła na ziemię.

- Dlaczego nie walczysz? - spytała. - Atakuj!

- Nie będę cię atakować - odparł. - Będę się tylko bronił.

- Aha, więc nie traktujesz mnie jak równego sobie - stwierdziła, kołysząc się lekko na stopach. - Co za zniewaga! Kolejna zniewaga!

- Chcesz powiedzieć, że muszę cię zabić, by udowodnić, że jesteśmy sobie równi?

- Właśnie - odrzekła, nacierając na niego fintą z lewej i trafiając z prawej.

- Stop! - krzyknął Łopuchin i uniósł szablę, po czym rzucił ją na ziemię i podbiegł do walczących.

Na białej koszuli Uljanowa pojawiła się czerwona plama w kształcie małego serca. Łopuchin wsunął mu rękę pod koszulę i przycisnął chustkę do rany. Materiał szybko zabarwił się na czerwono.

- Pierwsza krew - mruknął. - Hrabio Karpacki! - zawołał. - Czy otrzymał pan satysfakcję?

- Nie! - odkrzyknęła Aleksandra, wywijając szablą w tył i w przód.

Łopuchin machnął rękami i pokręcił głową.

- Kapitanie Mecklenburg-Uljanow, czy chce pan dalej walczyć?

- Za chwilę - odparł z roztargnieniem Uljanow. - Za chwilę.

Przyciskając drugą chustkę do rany, rozejrzał się za czymś jeszcze, co zatamowałoby krwawienie. W końcu zdjął koszulę, zwinął ją w rulon i przyłożył do rany.

Aleksandrę oślepiła gładkość jego skóry, rzeźba ramion i płaski brzuch, które tak

niedawno pieściła wargami. Zacisnęła dłoń na rękojeści, gotowa do kolejnego ataku.

- Sekundowanie temu sporowi uważam za wysoce niewłaściwe - wtrącił Łopuchin.

- Przecież ja nawet nie wiem, o co w nim chodzi. A do mnie należy rozstrzygnięcie sprawy - dodał, uderzając stopą w ziemię. - Musi być dostateczny powód, lecz jak mam to ocenić, nie znając go?

- Zamknij się - rzekł Uljanow, odrzucając koszulę. W okolicy żeber widniała rana o czerwonych brzegach, krwawienie jednak ustało. - Zaczynamy od początku.

- Ale zasady... - zaprotestował Łopuchin.

- Idź sprawdzić - polecił Uljanow, uginając kolana i wyciągając z uśmiechem szablę w stronę Aleksandry. - Wszystko jest w podręczniku. Przekonasz się, że jest tam ustęp dotyczący tajemnicy sporu. Przysięgam, że jest. Musiałeś go nie zauważyć. Idź i sprawdź. Podręcznik znajdziesz w jadalni pod bufetem. Trzymamy go tam na wszelki wypadek.

- Wiem, gdzie on leży - odparł Łopuchin. - Studiowałem go przez cały ranek.

- To przestudiuj jeszcze raz.

- Jeżeli przyrzekniecie, że się w tym czasie nie pozabijacie...

I już go nie było. Wynikło z tego, że swoje obowiązki traktował niezwykle poważnie.

- Kochanie - powiedział Uljanow, zwracając się do swojego przeciwnika, który uniósł szablę i cofnął się pośpiesznie.

- Nie zbliżaj się, bo cię zabiję - ostrzegła, ciężko oddychając, i machnęła szablą w powietrzu.

- Jesteś po prostu zakłopotana - rzekł cichym, niskim głosem, robiąc krok w przód.

- Ostrzegałam, że cię zabiję, jeżeli się do mnie zbliżysz. - Głos miała już nieco spokojniejszy. - Dlaczego nie posłuchałeś? Dlaczego?

- Przecież to ty do mnie przyszałaś - odparł miękko.

W odpowiedzi Aleksandra skoczyła ku niemu i drasnęła go w ramię.

- Nie próbuj na mnie tych swoich sztuczek z głosem. To dobre dla innych.

- Czy wiesz, że to niehonorowo walczyć z kimś, kto nie może się bronić?

- To nie moja sprawa, że nie chcesz się bronić. To twój wybór.

- To nie jest kwestia wyboru, lecz obowiązku - odpowiedział.  
- Tak jak poślubienie mnie? - Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozplakać.  
- Zły dobór słów - przyznał Uljanow. - Chociaż oczywiście są to dwie różne sprawy. Nie, moim obowiązkiem jako mężczyzny jest szanować i chronić kobiety. Przyznaję, że nieco się w tej materii zaniedbałem, ale ostatnio chyba wykazałem poprawę, nie sądzisz?

Aleksandra ponownie splunęła na ziemię, jej ręka, cały czas trzymająca broń w pogotowiu, zaczęła słabnąć. Szabla zadrżała jej w dłoni. Uljanow to dostrzegł i zrobił krok w przód.

- Bardzo wysoko cenisz swój honor - powiedział. - To dobrze, ale postępujesz niehonorowo, walcząc ze mną, ponieważ nie mogę sobie pozwolić na zranienie przeciwnika. To krępuje mi ręce, dlatego ten pojedynek nie jest uczciwy. Apeluję do twojego honoru huzara.

- Gdybym była mężczyzną, walczyłbyś ze mną jak należy - odrzekła, opuszczając niżej szablę. - I ten pojedynek byłby uczciwy. A teraz twierdzisz, że jest nieuczciwy ze względu na moją płć? Jestem równie odważna jak ty, równie dobrze władam bronią, dlaczego więc nie miałbyś ze mną walczyć jak równy z równym?

- Bo mógłbym cię zranić, a nawet zabić.

- No to co? Skoro tak mi się podoba? Skoro chcę, żeby tak się stało?

- Ale ja nie chcę, żeby tak się stało. Nie byłbym wówczas mężczyzną, tylko dziką bestią, która morduje kobiety.

- No to bądź człowiekiem - rzuciła lekko.

- Jestem i człowiekiem, i mężczyzną. Nie mogę tego rozdzielić.

- Twoja delikatność w stosunku do płci pięknej jest godna podziwu - powiedziała sarkastycznie Aleksandra. - W istocie to zwykła Protekcyjność, z jaką starszy rangą traktuje stojącego niżej, silniejszy słabszego. *Noblesse oblige*.

- To nie jest Protekcyjność - obruszył się, myśląc intensywnie i stukając ostrzem w ziemię. - To coś więcej, to... cześć. Zabić kobietę to jak zabić ptaka, który śpiewa.

- Więc my nic innego nie robimy, tylko śpiewamy?

- Och nie, to coś więcej. Zabić kobietę to zabić nadzieję, piękno, to wszystko, dla



czego warto żyć. Przecież cokolwiek robimy, robimy to dla was.

- Daruj sobie tę poezję - przerwała mu Aleksandra. - Chcę być po prostu huzarem i być traktowana jak huzar.

- Tego nie mogę zrobić.

- Więc cię zabiję.

- Niehonorowo - odrzekł. - To typowe dla kobiety stawiać siebie ponad zasadami. Niższy rangą. Ha! Tylko kobiety potrafią być równie aroganckie.

Aleksandra zamierzała właśnie zadać cios prosto w odsłonięte serce Uljanowa, gdy wbiegł Łopuchin.

- Czytałem i czytałem, i nic na ten temat nie znalazłem - oznajmił, z trudem łapiąc oddech. Twarz miał mokrą od potu i czerwoną z wysiłku. - Nie znalazłem niczego o zachowaniu przyczyn pojedynku w sekrecie. Niestety, będę musiał zakończyć ten spór.

- Nie - zaprotestował Uljanow, który postanowił zmienić taktykę. - Obraziłem hrabiego Karpackiego. Ma prawo do satysfakcji. Gdybym jednak wyjawiał ci powód obrazy, zhańbiłbym hrabiego Karpackiego i musiałby mnie znowu wyzwać na pojedynek. Możemy więc walczyć dalej.

- Ale ja nawet nie wiem, czy to jest obraza pierwszego stopnia, to znaczy słowna, czy drugiego, obejmująca kontakt fizyczny, lub może trzeciego, do której zalicza się napisać. Z każdą z nich łączą się inne zasady. Jeżeli nie wiem, jakiego rodzaju...

Przerwało mu kolejne starcie przeciwników. Aleksandra zaatakowała, krzyżując szablę z szablą Uljanowa, i przycisnęła przeciwnika do ściany. Uljanow podbił jej broń, przebiegł pod nią i stanął z tyłu za Aleksandrą.

- Nie, nie, nie! - krzyknął Łopuchin, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Aleksandra błyskawicznie się odwróciła i dotknęła końcem szabli piersi Uljanowa. Wystarczyło, by pchnęła mocniej, a trafiłaby prosto w serce i wreszcie go pokonała, tak jak on ją.

Uljanow wypuścił szablę z dłoni i stał nieruchomo, a Łopuchin, zapominając o swoich obowiązkach, gapił się na nich, nie robiąc nic, by to przerwać.

Dlaczego nie miałabym tego zrobić? - pomyślała Aleksandra, wyczuwając pod ostrzem twarde mięsień na niczym nieosłoniętej piersi kapitana. Wreszcie uwolniłaby się

od tego człowieka, zerwałaby krepujące ją więzy i nareszcie mogłaby się stać mężczyzną, sprawdzić swoją odwagę, zasłużyć na pochwały i odznaczenia, zdobyć sławę i uznanie. W przeciwnym razie co jej pozostało? Wlec się za nim jako dodatek, istota drugiej kategorii, stojąca w cieniu jego wielkości, błagać o pocałunki i miłość, nasłuchiwać jego kroków, poświęcić mu życie i w końcu w ogóle zniknąć ze świata.

Jednak nie mogła go zabić, o czym wiedział i co chciał jej udowodnić. Przecież go kochała. Od tak dawna.

- No naturalnie! - wykrzyknął Łopuchin, dostrzegając miękkie wypukłości w rozpiętej koszuli Karpackiego. Karpacki jest kobietą! Przez cały czas to czuł. A teraz nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Nic dziwnego, że chciała zabić kapitana. Ona i tysiące innych. Stary poczciwy Uljanow i te jego sztuczki. Znowu odzyskał wiarę w świat. Rany, miał ochotę się napić, by to uczcić.

Aleksandra rzuciła szablę na ziemię i uciekła. Tego samego dnia wcisnęła Praskowii w dłoń zawartość portmonetki i zaciągnęła się jako zwykły żołnierz do kawalerii w korpusie kaukaskim.

## Rozdział 27

Kaukaz, południowa rubież imperium rosyjskiego, równie dzika jak amerykański Dzik Zachód, z równie bezkresnymi stepami, niekończącymi się łańcuchami gór i kamienistymi przełęczami, na których roiło się od bandytów, watażków, wyrzutków społeczeństwa, złodziei i szpiegów, nie mówiąc o dziewczynach z oczami czarnymi jak noc. Śnili o nich rosyjscy chłopcy. Śnili też o porwaniach, uwodzeniu, szalonych przeprawach przez górskie przełęcze i kulach świszczących im nad głowami.

Aleksandra jednak miała inne marzenia. Marzyła o kąpieli. Pełniła wartę na górskiej przełęczy, walcząc z zimnem, od którego zamarzały włosy w nosie, a oddech zmieniał się w lód. Kuciała i kołysała się dla rozgrzewki, trzymając w ręku ciężki i twardy karabin. Miała tłuste włosy, brudną twarz, zęby pokryte wielodniowym nalotem oraz gruby szalik przykrywający usta i nos, chroniący te delikatne organy przed odmrożeniem. W tej właśnie chwili tęskniła za domem i kobiecością. Marzyła o koronkach i satynie, pantofelkach na obcasach, rękawiczkach, koronkowych serwetkach, silnym męskim ramieniu otaczającym jej kibić podczas tańca na lśniącem parkiecie. O picciu herbaty i jedzeniu słodczy pod kryształowymi żyrandolami, o lustrach odbijających jej obraz, jej uroczy obraz. Piękno, elegancja, domowe wygody, czystość, cywilizacja i te wszystkie dziewczęce głupstwa.

Ale się nie podda! Zabawa w żołnierza? Pokażę ci, kto tu się bawi w żołnierza - pomyślała, poruszając bezdźwięcznie wargami. Wstała i strzeliła w ciemność, po czym znowu przykucnęła.

Nagle usłyszała odgłos kroków w ciemności i grzechot kamieni pod stopami. Serce zaczęło jej walić w piersiach. Kto to? Wstała. Niepotrzebnie strzelała, bo ujawniła tym swoją obecność. Tubylcy potrafili poruszać się bezszelestnie. Zanim zdoła wyciągnąć nóż z pochwy, będzie leżała z poderżniętym gardłem i pluła krwią. Nic jednak nie zmąciło już ciszy. Uznała więc, że mógł to być wiatr lub jakieś zwierzę, a może szum przerażonych myśli.

Bolały ją kolana, ramiona i głowa z nudów i niewyspania. Nuda na przemian ze strachem. Tak wyglądało życie zwykłego żołnierza. Nie było salutowania, widowisko-

wych parad, wesołych biesiad w kantine oficerskiej, tylko noce w rozpadających się barakach, ze szparami w ścianach tak wielkimi, że dmuchał przez nie lodowaty wiatr i przeświecała poświata księżyca.

O świcie, gdy gwiazdy zbladły, a niebo pojaśniało, odsłaniając góry, Aleksandra usłyszała ciche gwizdanie żołnierza, który przyszedł zmienić ją na posterunku.

- Coś się działo? - zapytał.

- Nic. Spokojna noc - odparła. - Jak zwykle.

- Nie taka całkiem spokojna - powiedział, przykucając na jej miejscu i wyciągając z kieszeni kapciuch z tanim tytoniem do żucia. - Znaleźliśmy ich.

- Kto kogo? - spytała, myśląc jedynie o niewygodnej pryczy i otuleniu się kożuchem.

- Patrol. Znaleźli obóz. Podobno niewierni opychali się mięsem skradzionym z naszych zapasów i przechwalali, że poderzną nam gardła we śnie.

Ojejku! - pomyślała i zapragnęła nagle znaleźć się w domu, położyć stopy na kolanach Praskowii, czuć, jak się rozgrzewają, i słuchać ochryplego głosu służącej.

- Ale im się nie uda. Nie podejda nas po raz drugi. Dziś ruszamy. Szykuje się wypad.

Brzmiąca w jego głosie dzika radość zmroziła jej krew w żyłach. Jak oni mogli znajdować w tym przyjemność? Co z tego mieli?

- Oczywiście mają mnóstwo naszej amunicji. Zwędzili też nasze karabiny, pogańskie psy. I działka. Ale to w tym najlepsze, nie?

Powlokła się do koszar, usiadła na pryczy w kożuchu i futrzanej kozackiej czapie, zdjęła rękawice, zsunęła z twarzy wełniany szalik zeszywniały od jej oddechu i włożyła palce do ust, próbując je ogrzać. Przynajmniej miała wymówkę, by nie zdejmować wierzchniego okrycia. Zresztą żołnierze myśleli jedynie o przetrwaniu i o tym, że muszą mieć oczy dookoła głowy, nie zwracali więc uwagi na to, czy jeden z ich towarzyszy jest kobietą. Zasnęła na siedząco. Gruby kożuch otulił ją niczym kołdra.

Obudziło ją trzaskanie drzwi, rzenie koni, niezadowolonych, że wyprowadzają je ze stajni, i okrzyki rozkazów. Ktoś szczypał ją w nos, jedyną widoczną i dostępną część ciała.

- Ej, ty! Jak ci tam, wstawaj - warknął sierżant, ponownie szczypiąc ją w nos. - Rusz tyłek i na siodło! - I już go nie było.

Bitwa. A więc tak to wygląda - pomyślała, wciągając grube rękawice, które ograniczały ruchy rąk, przez co mogła kierować koniem jedynie za pomocą nóg. Całe szczęście, że nie zabrała ze sobą Herkulesa, całe szczęście, że stał teraz w ciepłej stajni w Petersburgu na tyłach pałacu, chrupał owies potężnymi zębami i nie martwił się o nic. A co teraz robi Praskowia? A Matriona? Ciekawe, czy wróciła. A dziecko? A Nikifor? A stangret Grisza? Cała jej rodzina. Dziwne, że miała rodzinę. Nigdy dotąd tak o nich nie myślała. Teraz ich twarze przesuwają się przed jej oczami jak w kalejdoskopie. Uświadomiła sobie, że są jej bardzo drodzy, a ona wkrótce może zginąć. Co się wtedy czuje? Ból, a potem nic. Wielka niewiadoma. Największa ze wszystkich.

Nie myśl o tym - nakazała sobie, wstając z pryczy. - Skup się na działaniu. - Po raz pierwszy poczuła, jak to jest być mężczyzną. Pomyślała o milionach młodych chłopców przed nią, którzy dopiero wchodzili w życie i szykowali się na śmierć. O czym myśleli? Pewnie o niczym. Tak było najlepiej. Nie myśleć, działać.

W ciągu kilku minut osiodłała kozackiego konika, prosto z dzikich stepów, wskoczyła na siodło i dołączyła do oddziału jako jedna z wielu, już nie jednostka, lecz część składowa większej formacji. Było w tym coś, od czego kręciło się w głowie, ta rezygnacja z własnego ja na rzecz grupy. To pragnienie wtopienia się w coś potężniejszego od siebie uderzało do głowy niczym bąbelki szampana, uwznioślało, rozpałało wewnętrzny płomień.

Dwustu kawalerzystów z przytroczonymi do siodeł karabinami wyjechało jeden za drugim z kamiennej warowni na wąską, wijącą się ścieżkę. Żaden z nich nie spojrzął w niebo lub na majestatyczne góry czy też w dolinę ze wstęgą srebrzystej rzeki, mieniającą się wśród zieleni.

Ich celem była dolina, sprawiająca wrażenie wiosennej enklawy na tle ośnieżonych górskich szczytów. U podnóża góry jeźdźcy zdjęli ciężkie baranie kozuchy, rzucając je na stos, i pozostali w kozackich uniformach. Cisnęli również kozackie czapy, wystawiając głowy na mgliste promienie słońca, a także grube rękawice, i wciągnęli w płuca czyste rzeńskie powietrze. Oddział rósł, w miarę jak dołączali do niego kolejni schodzący z

góry kawalerzyści. Ostatni z nich, maruder, a może tchórz, zamykający pochód, nie chciał zdjąć czapki i kozucha, zapewne sądząc, że barania skóra osłoni go przed kulami. Dołączył jednak do pozostałych.

Czworobok utworzony z koni i ludzi minął dolinę, wspiął się na wzgórze i zatrzymał. Tu rozdzielił się na trzy rzędy stojące w dużych odstępach od siebie. Była to pierwsza linia, druga i odwód. Żaden dźwięk sygnałówki nie zmącił porannej ciszy w widocznej w oddali osadzie. Z namiotów i chat unosiły się w powietrze smużki dymów i dryfowały w kierunku żołnierzy.

- Ładny poranek na wypad - stwierdził żołnierz stojący obok Aleksandry.

Serce biło jej tak głośno, że ledwie go słyszała. Będąc w trzeciej, ostatniej linii, widziała jedynie plecy kolegów i tańczące z niecierpliwości końskie zady. Ciszę przerwał tętent końskich kopyt. Ruszyła pierwsza linia, a druga podeszła bliżej. W prześwitach między plecami kawalerzystów Aleksandra zobaczyła, jak żołnierze galopują ku osadzie. Powietrzem wstrząsnął huk wystrzału z armaty i jeźdźcy zniknęli w chmurach dymu.

- Są te plugawe syny - odezwał się żołnierz. - I strzelają z naszych armat, złodzieje.

Z oddali dobiegło rzenie koni i krzyki ludzi. Dym uniósł się w górę, ukazując leżące na ziemi konie i inne, pędzące bez jeźdźców. Druga linia ruszyła galopem w dół wzgórza i wpadła na równinę. Z kolei żołnierze linii odwodowej podjechali na szczyt wzgórza.

Aleksandra miała teraz przed sobą pełny widok, słyszała płacz, jęki, okrzyki zaskoczenia, przeraźliwy kwik koni z rozerwanymi brzuchami, ciągnącymi po ziemi wnętrzności. Inne cwałowały w panice, wlokąc za sobą martwych jeźdźców, których nogi wciąż tkwiły w strzemionach. Pojawili się tubylcy na lekkich konikach. Wywijali szablami, strzelali z karabinów lub pozostawiali konie i walczyli wręcz z Rosjanami. W mglistym słońcu błyskały stalowe ostrza kindżałów. W powietrze wzbilo się ludzkie ramię, rozszadzona wybuchem głowa strzeliła fontanną krwi, tworząc różowawą chmurę, która rozplynęła się w powietrzu.

- Przygotuj się - powiedział bezceremonialnie żołnierz, stając w strzemionach, by popatrzeć na pole.

Wolałabym nie - odpowiedziała w myślach Aleksandra.



Nigdy jeszcze kobiecie przywileje nie objawiły jej się z taką siłą. Uświadomiła sobie, że przecież nie musi tego robić, że ktoś inny zrobi to za nią. To była rola mężczyzn, co też Łopuchin i Uljanow usiłowali jej wytłumaczyć. Mężczyźni narażali życie dla innych, pragnąc pokazać, że nic dla nich nie znaczy, że je odrzucają, by w ten sposób dowieść swojej wartości.

Mogę to zrobić - miała ochotę powiedzieć - ale po prostu nie chcę.

To nie jest kwestia odwagi - przekonywała się w duchu, ściągając wodze i ściskając konia kolanami, by zrobił krok w tył, a potem drugi. Nie chodzi też o to, że kobiety nie są bohaterkami, nie poświęcają się dla innych. Przecież one narażają życie za każdym razem, gdy rodzą dziecko. Nie ma potrzeby narażać się jeszcze bardziej.

Nie, wcale nie czuła wyrzutów sumienia, opuszczając swych braci żołnierzy. Kobieta arogancja? Oczywiście! Chroniąc kobiety, chroni się cały świat.

Powoli się wycofała, niezauważona przez innych. Niektórym trzęsły się ręce, inni czuli suchość w gardle, byli też tacy, którzy pomyśleli tak jak ona: „Wolałbym nie”. Ale oni nie mieli wyboru - byli mężczyznami. Oczywiście mogli zdezerterować, ale do końca życia dręczyłaby ich świadomość, że się nie sprawdzili, że nie byli mężczyznami, tylko pełzającymi po ziemi robakami. Kobieta nie musi się sprawdzać, udowadniać, że żyje, bo ona jest życiem, ona je przedłuża.

Żołnierze, zajęci myślami o grożącej im śmierci, nawet nie zauważyli, że Aleksandra wycofała się z szeregu. Był jednak tchórz kryjący twarz pod kozacką czapą, który uniósł się w strzemionach i patrzył, jak ona odjeżdża, po czym przechylił głowę, wsłuchując się w tętent kopyt unoszących dezertera z pola bitwy. Może mu zazdrościł, a może zastanawiał się, czy nie pójść w jego ślady. Po chwili jednak opadł na siodło, westchnął, opuścił brodę na pierś i czekał jak inni.

# Część trzecia

## Rozdział 28

Pałac Korwinów nad Newą - z dwustoma komnatami, stajniami, cieplarnią, oranżerią i innymi zabudowaniami rozrzuconymi na przestrzeni wielu akrów - bez trudu znalazł nabywcę. Pieniądze ze sprzedaży wystarczyły, by umożliwić panie Korwinej, która już nie tytułowała się hrabianką, kupno niewielkiego majątku pod Moskwą z liczbą chłopów odpowiadającą liczbie pokoi w jej dawnym pałacu. Zapewniał on niewielki, lecz stały dochód z uprawy owsa i lnu.

Pojechali więc tam: Aleksandra, Praskowia, Nikifor (który zrezygnował ze służby w wojsku i ożenił się z Praskowią, co uczczono małym tortem i ogromną porcją radości), Grisza z dzieckiem na ręku i Matriona, która niedawno powróciła i w ostatnim akcie bezsensownej złośliwości wrzuciła wielki klucz od głównych drzwi pałacu do kanału ściekowego, oświadczając, że gdzieś go zgubiła. W ten sposób wywiązała się z polecenia wydanego jej przez panią, by zamknęła drzwi. Postępek Matriony spowodował zakrojone na wielką skalę poszukiwania i konieczność złożenia wizyty Trieniakowowi. Życzył on Aleksandrze wszystkiego dobrego i obiecał wynająć ślusarza, by nie spóźniła się na pociąg.

Aleksandra chodziła teraz w czerni na znak żałoby po matce. Prawie jej nie znała, lecz była to świetna wymówka, by kupić jedną i tylko jedną elegancką suknię. Mogła w niej chodzić przez cały rok, bo tyle trwała żałoba po najbliższej rodzinie. Krótkie włosy nikogo nie dziwiły, w tamtych bowiem czasach kobiety często je ścinały, gdy były chore. Stojąca za tą praktyką teoria medyczna głosiła, że pozbawiając mózg nadmiernego ciężaru, ułatwia mu się zwalczenie dolegliwości. Każdy, kto zobaczył pannę Korwiną, sądził, że niedawno wróciła do zdrowia, co bawiło Aleksandrę i w pewnym sensie było prawdą.

Pierwsze dni w nowym domu - rozpadającym się dworze, tak gęsto obrośniętym dzikim winem, że sprawiał wrażenie, jakby drapieżna roślina dosłownie pożerała go

żywcem - spędziła, wpatrując się ponuro w świat widoczny za kuchennym oknem. Siadała zwykle z łokciami na stole i policzkiem podpartym na dłoni, a przed nią stały talerze z nietkniętym jedzeniem i szklanki zimnej herbaty. Tak szybko zaczęła tracić na wadze, że rzeczywiście wyglądała, jakby cierpiała na poważną chorobę. Zaniepokojona Praskowia, nie mogąc z braku funduszy wezwać doktora, posłała po miejscową znachorkę, grubą chłopkę w łapciach z kory brzoźowej. Kobieta przyłożyła złoty amulet do czoła pacjentki, zamknęła oczy i postawiła diagnozę: bardzo ciężki przypadek choroby miłosnej. Jak się temu nie zaradzi, młoda pani umrze.

- Bzdury - stwierdziła Praskowia. - Nikt nie umiera z miłości. To bardzo ładnie brzmi, dlatego tak mówisz.

Doszło między nimi do zażartej kłótni z rękoczynami i kopaniem, której kres położył Nikifor. Rozdzielił obie kobiety i odprowadził znachorkę do drzwi na podwórze. Tam chłopka splunęła na ziemię i pomaszerowała do wsi, złorzecząc wszystkim za doznane zniewagi i kwestionowanie jej umiejętności.

Praskowia, co prawda, podchodziła do diagnozy znachorki sceptycznie, ale od czegoś trzeba było zacząć. Jeżeli panienka cierpiała z miłości, to do kogo? Pewnie do jakiegoś młodego poznanego w pułku oficera. To była bardzo niedobra sprawa. Zbyt dużo mężczyzn kręciło się wokół panienki. Nic dziwnego, że się rozchorowała. Tej nocy tak długo drapała palcami u nogi wielką stopę Nikifora, aż w końcu wyznał jej całą prawdę.

- Znam go - oświadczyła Praskowia. Widziała Uljanowa na przyjęciu u Andriejów. - Takie samo nic dobrego jak wy wszyscy.

Nikifor zaprotestował, oświadczając, że wcale tak nie jest, ale Praskowia upierała się przy swoim. Kłócili się, póki nie usnęli. Spór rozgorzał na nowo, kiedy Praskowia otworzyła oczy i szturchnęła męża, by go obudzić. Gderała na niego do chwili, gdy trzeba było wstać, rozpalić w piecach i zaparzyć herbatę. Z wyszczerbioną tacą, która tak jak meble i inne przedmioty domowego użytku została nabyta wraz z domem, przeszła boso po ciemnych pokojach, roznosząc szklanki z ożywczym płynem wszystkim domownikom - najpierw mężowi, potem Matronie śpiącej z Griszą i dzieckiem, a na koniec Aleksandrze. Obudziła ją, ułożyła wysoko na poduszkach i podsunęła gorącą szklankę do warg, patrząc z zadowoleniem, jak panienka pije. Potem usiadła ciężko na brzegu łóżka,

skrzyżowała przed sobą nogi i wyraziła przypuszczenie, że Aleksandra może być zakochana. Ten stan niewiele różnił się od stanu nietrzeźwości, więc jedynym na to lekarstwem było wybić klin klinem.

- To znaczy jak? - spytała, podnosząc się, Aleksandra.

- Jeżeli panienka jest zakochana, niezawodnym na to lekarstwem jest nasycić się mężczyzną, ile się da. Najlepiej zacząć od małżeństwa.

- Myślę, że im mniej go będzie, tym lepiej - stwierdziła Aleksandra. - Poza tym nie dam mu tej satysfakcji - dodała, opadając na poduszki i odwracając głowę.

Później jednak zmieniła zdanie. Jeszcze tego samego dnia usiadła przy biurczku w salonie i zaciskając zęby, aż mięśnie policzków zaczęły jej drgać, napisała te oto słowa:

*Uljanow, nie zapomniałam doznanej zniewagi. Chociaż nie uzyskałam satysfakcji, bo potraktowałam poważnie Twoje argumenty, że postępuję niehonorowo, przypominam Ci, że zniewaga pozostała.*

*Z poważaniem  
Aleksandra Korwina*

Co zamierzała tym listem uzyskać, trudno powiedzieć. Była jednak pewna, że coś osiągnęła, tylko nie wiedziała co. Złożyła kartkę, wygładziła pięścią, naląła wosku i odbiła na nim swoją pieczęć. Potem wypisała nazwisko Uljanowa i adres pułku w Petersburgu, oddała Nikiforowi do wysłania i pobiegła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko, przykryła głowę poduszką, by ukryć rumieniec na twarzy. Zaraz jednak zerwała się, zbiegła na dół, zjadła obfity obiad i z wyrazem dalekim od smutku zapatrzyła się w okno, jakby oczekiwała, że Nikifor wróci od Uljanowa z natychmiastową odpowiedzią.

Od tego dnia codziennie posyłała Nikifora do miasta po listy, lecz on za każdym razem wracał z pustymi rękoma. Ptaki powróciły na drzewa rosnące wokół domu, a brązowa trawa, chociaż nadal tonęła w topniejącym śniegu, zaczęła puszczać zielone pędy. Mgliste zimowe słońce coraz śmieiej oświetlało ziemię, zapowiadając nadejście wiosny. Odpowiedzi nadal nie było. Aleksandra posmutniała.

Jak on mógł odpisać, skoro chciałam go zabić? - pomyślała. - Muszę zrobić coś

więcej, jeszcze bardziej się odważyć.

Usiadła przy biurku, przygotowała pióro, otworzyła kałamarz i zapatrzyła się w śnieżnobiałą kartkę papieru przed sobą.

*Mój kochany* - napisała, po czym przekreśliła te słowa. To zbyt wiele. Nie ma potrzeby posuwać się tak daleko. Zgniotła kartkę, rzuciła ją na podłogę i wzięła czystą.

*Drogi Uljanowie* - napisała. - *Chociaż uważam, że wyzwanie Cię na pojedynek było całkowicie uzasadnione, to odmawiając przyjęcia przeprosin, postąpiłam nierozsądnie. Jestem gotowa to przyznać.*

*Z poważaniem Aleksandra*

Przekonana, że tym razem to pomoże, czekała niecierpliwie na odpowiedź. Na próżno. Minął kolejny miesiąc. Wiosna zadomowiła się na dobre i świat wokół domu pojaśniał od żółtych żonkili. W powietrzu unosił się ich słodki zapach, a podwórze rozbrzmiewało beczaniem jagniąt, stawiających pierwsze niepewne kroki. Aleksandra znowu wpadła w przygnębienie, a właściwie to się rozplakała. Zalewając łzami kartkę papieru, napisała kolejny list.

*Kochany, tak bardzo Cię kocham. Dlaczego do mnie nie przyjeżdżasz? Czy dlatego, że chciałam Cię zabić? Przepraszam. Na kolanach błagam o wybaczenie.*

Do łez dodała pocałunki, wiedząc, że i tak ich nie zobaczy, ale miała nadzieję, że wyczuje je sercem.

Nadeszło lato. Brzęczały muchy i wpadały do stojących na wszystkich parapetach naczyń ze zsiadłym mlekiem. Główka dziecka wyłaniająca się z ciasno owiniętego ciała stała się łatwym celem dla pluskiew. Aleksandra i Grisza nieustannie walczyli z ugryzieniami, smarując je tłuszczem lub mlekiem. Aleksandra pilnowała też, by żadne latające owady nie miały dostępu do delikatnego różowego ciała. Godzinami nosiła malca na rękach, delektując się jego słodkim ciężarem, oraz odganiała muchy i komary. Kiedy dziecko otwierało oczy, wpatrywała się w maleńką twarzyczkę, pięknie ukształtowany nosek, zachwycała się brwiami okalającymi śliczne oczy, które w swojej głębi i czystości spojrzenia, niezmaconego oglądaniem świata, przypominały szlachetne kamienie.

Pewnego dnia, wpatrując się w twarzyczkę dziecka, poprosiła Praskowię, by opowiedziała jej o matce.

- O tej suce? - skrzywiła się Praskowia.

Aleksandra uznała, że to niewłaściwe określenie.

- W końcu była moją matką.

- Niewiele miała w sobie z matki - stwierdziła Praskowia.

- A czego jej brakowało?

- Miłości.

- Może jednak trochę mnie kochała.

- Bardziej kochała siebie - prychnęła służąca.

- A czy my wszyscy nie kochamy samych siebie?

- Tak, ale zostawiamy miejsce dla innych - odparła Praskowia. - A ona nie zostawiła miejsca dla panienki. Albo dla ojca panienki.

- A może dlatego nie zostawiła dla mnie miejsca, że mało kochała siebie - zasugerowała Aleksandra.

- To żadna wymówka.

- Ja jednak mam w sobie coś z niej - stwierdziła Aleksandra.

- Boże uchowaj!

- Tak - powiedziała Aleksandra, nie spuszczać wzroku z twarzyczki dziecka. - Bo przez długi czas nie było we mnie miejsca dla nikogo prócz mnie samej.

- Jeżeli już, to dlatego, że w panience było zbyt mało matki, a nie zbyt dużo - odparła Praskowia.

- To nie ma sensu.

- Zbyt mało miłości matczynej. Miłość ojcowska jej nie zastąpi.

- Miałam przecież ciebie - odrzekła Aleksandra, unosząc głowę i patrząc na służącą, jakby pierwszy raz ją widziała.

- Och nie - uśmiechnęła się Praskowia. - Ja jej panience nie zastępowałam.

- Ale zachowywałaś się jak matka, spełniałaś jej obowiązki - upierała się przy swoim Aleksandra.

- Jestem tylko służącą, niewolnicą. Robiłam to, co należało.



- Ale mnie kochałaś.

- Kto nie kocha dzieci? - Praskowia wzięła dziecko na ręce i spojrzała mu w oczy. - Wystarczy, że raz człowiek na nie spojrzy, a już staje się jego niewolnikiem.

- Ja też chyba jestem jego niewolnicą - przyznała Aleksandra. - Wszyscy nimi jesteśmy z wyjątkiem Matryony, jego matki. Dlaczego tak się dzieje?

- Bo ona jest taka sama jak matka panienki. Nie ma w niej miejsca.

- Mam też coś z ojca - stwierdziła nagle Aleksandra. - Lubię to, co niemożliwe. I lubię robić rzeczy niemożliwe.

- Może nie udaje się nam osiągnąć niemożliwego, ale czasami bywa tak, że zamiast tego osiągamy to, co możliwe, czego wcześniej nie zauważyliśmy - odpowiedziała Praskowia, kołysząc dziecko w ramionach.

- Pewnie tak - westchnęła Aleksandra i zamyśliła się. Potem machnęła ręką, wskazując na rozpadający się dom. - To jest właśnie to możliwe. - Chwyciła rąbek czarnej jedwabnej sukni. - I to.

Jedynym luksusem, na jaki pozwoliła sobie Aleksandra, był Herkules. Tak cennego konia nie powinna trzymać pod wierzch, lecz sprzedać kawalerii, a mimo to jeździła na nim dwa razy dziennie, rano i po południu, wykorzystując stare wyschnięte siodło, które znalazła w stajni. Czasami, wracając z przejażdżki po obsianych żytem polach i piaszczystych wiejskich drogach, zatrzymywała się przed jednym z sąsiadujących z jej majątkiem dworów. Siedzący na schodach chłopci, wachlujący się dla ochłody liśćmi, zrywali się wówczas z miejsc, podbiegali do niej, pomagali zsiąść z konia i prowadzili Herkulesa do stajni, by go napoić i pochwalić się przed chłopcami stajennymi. W tym zapadłym zakątku na południe od Moskwy nikt nie widział tak wspaniałego rumaka.

Początkowo Aleksandra unikała sąsiadów, nie przyjmowała ich zaproszeń, wykręcając się chorobą, w końcu jednak miała dość nudy. Najbardziej lubiła popołudniowe herbatki u starej hrabiny Gregorian, dawnej petersburskiej piękności, która źle wyszła za mąż i utknęła na prowincji, podczas gdy jej mążonek przepijał i przegrywał majątek swój i żony. Ostatecznie pozostała jej tylko ta posiadłość, znacznie mniejsza od majątku Aleksandry i z bardziej leniwymi chłopami. Hrabina była drobną kobietą o poczciwej duszy. Popołudnia spędzała, drzemiąc na ganku starego odrapanego domu z robótką na

kolanach i stygnącą herbatą na stoliku. Co wieczór pruć to, co wyhaftowała, by mieć co robić następnego dnia, oszczędzając w ten sposób materiał i nici. Dlatego nigdy niczego nie kończyła, cały czas wyszywała ten sam kawałek materiału, dopóki nie zaczął rozpadać się jej w palcach i nie musiała wziąć nowego. Była tak roztargniona, że do wszystkich swoich poddanych rodzaju męskiego zwracała się nie inaczej jak Prohor, a do kobiet Petra, co bardzo ułatwiało jej życie, chociaż czasami myliła się i na kobiety wołała Prohor, a na mężczyzn Petra. Oni zaś śmiali się z tego po kątach i nie wyprowadzali jej z błędu.

Uwielbiała też swatać. Kiedy mijały dni, a od Uljanowa nie było żadnej wiadomości, Aleksandra zaczęła uważniej przysłuchiwać się podsuwanym jej przez hrabinę propozycjom.

- Jest młody Mienszykow, co prawda trochę za chudy - mówiła, rozpoczynając swoją listę dobrych partii. - I Strupinski, z kolei za gruby. Gdyby ich połączyć, miałybyśmy pięknego mężczyznę, prawda?

Aleksandra żadnego z nich nie знаła, mimo to skinęła twierdząco głową.

- Są też Bachtrin i Berg, który ma pięć tysięcy dusz, całkiem nieźle, i Babkin. Choć może to Babkin ma pięć tysięcy dusz. Trudno ich wszystkich spamiętać, tych na „B”. To młodzi, ale może starsi byłiby lepsi. Są już ujarzmieni, wyćwiczeni. Jeden to miał nawet pięć żon i wszystkie zmarły w połogu. Ale pani wygląda na silną dziewczynę. Jest pani wysoka. Może zdoła go pani przeżyć. Zabił je wszystkie tą swoją chucią. - Pokręciła głową.

Aleksandra odparła, że nie brzmi to zachęcająco, i poprosiła hrabinę o inną kandydaturę.

- Jest jeszcze stary jak-mu-tam, który nigdy się nie ożenił. Jak on się nazywa? Botkin. No tak, znowu na „B”. Stary Botkin. Miota się tu i tam po całym majątku. Sadzi rośliny. Bardzo je kocha. Nawet nadaje im imiona.

- To rzeczywiście dziwaczne - stwierdziła Aleksandra, która uważała dziwactwa hrabiny za czarujące.

- Na pewno pozna pani ich wszystkich - powiedziała hrabina, ściskając dłonie Aleksandry. - Jest pani śliczną dziewczyną, panno Korwina, petersburską pięknoscią.

Tak jak kiedyś ja. Chociaż nie byłam tak wysoka jak pani. Czy opowiadałam już...?

I hrabina snuła wspomnienia o tym, jak oczarowała takiego to a takiego księcia, tańczyła z francuskim ambasadorem, który uszczypnął ją po kryjomu, otrzymała jednego dnia pięć propozycji małżeńskich, a pewien czarujący lekarz, zbyt biedny, by się z nią ożenić, umieścił jej rękawiczkę w szklanej gablocie jako cenny okaz.

- Pewnego dnia i pani będzie z rozrzewnieniem wspominać przeszłość i dawnych adoratorów. Ach, ilu ich było! I jacy przystojni. No, może nie wszyscy, ale byli młodzi i przystojni z definicji, jak piękne są panny młode i dzieci.

Aleksandra też miała co wspominać. Trzymając w ręku wyszczerbioną filiżankę, wracała do przeszłości, porównując monotony krajobraz ciągnących się za oknem pól z pięknem Kaukazu, gdy czuła pod sobą bicie potężnego serca Herkulesa, słyszała okrzyki huzarów i grzmiący odgłos tysięcy kopyt uderzających o ziemię.

Pewnego dnia, gdy siedziała z hrabiną, ta nagle zerwała się z okrzykiem, podbiegła do biurka i wróciła z listem w ręku. Chociaż nie należała już do wyższych petersburskich sfer, nie zerwała z nimi kontaktów, i kiedy otrzymała list od starej przyjaciółki, pomyślała, że Aleksandrę, mieszkającą tak daleko od rodzinnego domu, mogą zaciekawić nowiny z jej dawnego świata.

- Gdzie to jest? - zastanawiała się głośno, wkładając na nos okulary i przerzucając strony listu w poszukiwaniu interesujących ją fragmentów. - O mam. Olga Rybina. Znała ją pani?

Aleksandra odpowiedziała, że tak, mając nadzieję, że hrabinie to wystarczy.

- No więc jest niezły skandal - oznajmiła hrabina, przebiegając wzrokiem tekst. - Rozwiodła się. Oczywiście rozprawa sądowa odbyła się za zamkniętymi drzwiami, ale i tak wiadomo, jaki jest powód rozwodu. Nie ma wieczorku tańczącego, kotyliona czy spotkania przy kartach, by o tym nie rozprawiano. Nieskonsumowane małżeństwo, proszę sobie wyobrazić. Biedactwo. Jakie to dla niej upokarzające być odrzuconą przez własnego męża. W dodatku wszyscy o tym wiedzą.

Aleksandra przerwała jej ostro, dowodząc, że odrzucenie przez męża nie jest sprawą publiczną, a taką się staje z winy plotkarek, które uwielbiają rozprawiać o nieszczęściach bliźnich, skrywając złość pod pozorami sympatii. Gwałtowna reakcja Aleksandry

sprawiała, że hrabina podniosła wzrok na swojego gościa, zastanawiając się przez chwilę nad przyczyną tak ostrych słów wypowiedzianych przez młodą pannę. Jednak jej rozkojarzony umysł nie był w stanie podjąć śledztwa i natychmiast o nim zapomniał.

- A jej ojciec - podjęła przerwany wątek - ksiązę Andriejew, ten biedny człowiek, cierpiący męki z powodu nadmiaru pieniędzy, wreszcie się poddał. Włożył łachmany i wędruje po kraju z torbami pełnymi złota i rubli. Sypie je wieśniakom na głowy, napycha im kieszenie. Uważają go za świętego. Ma tysiąc wyznawców, a w każdym mieście zbiera następnych. Idzie za nim tłum wielbicieli, niosą ikony, kwiaty i śpiewają nabożne pieśni. Towarzyszy mu ten afrykański majordomus, który nawrócił się na chrześcijaństwo i ubiera się jak mnich. Jakie to dziwne! Wszyscy się zastanawiają, co się stało temu staremu poganinowi. Jakiż on był w młodości przystojny! Wiele dam w Petersburgu próbowało go uwieść. Ta jego godność doprowadzała je do szaleństwa. A teraz chłopci, którzy nigdy nie widzieli Murzyna, traktują go jak jakąś magiczną istotę i uważają za kolejny dowód świętości księcia.

Aleksandra słuchała tych petersburskich nowinek z rosnącym zdenerwowaniem, bo w każdej chwili spodziewała się wieści o małżeństwie lub zaręczynach Uljanowa. Najwyraźniej o niej zapomniał. Minęło tyle miesięcy, a ona nie otrzymała od niego żadnego listu. Hrabina jednak zaczęła opowiadać o poronieniu księżnej Szerbatiewej, skandalicznym romansie ambasadora Austrii z piękną żoną dentysty, znaną z zamiłowania do wszystkiego, co chodziło w spodniach, a także o kłótni między dwiema frakcjami w rządzie dotyczącej nowej propozycji podatku od okien. Z każdą nową wiadomością nerwy Aleksandry napięte były do ostateczności, lecz nazwisko Uljanowa nie padało. Dziwne. Należał przecież do tego świata, stale dostarczał mu tematów do plotek. Fakt, że kapitan nie wywołał żadnego skandalu, mógł oznaczać tylko jedno: że się ożenił i ustatkował. Chociaż Aleksandra przekonywała samą siebie, że musi o nim zapomnieć, ten krótki kontakt z jego światem zapierał dech, każda bowiem nowina natychmiast wywoływała przed oczami obraz Uljanowa i zbliżała do niego.

Kiedy jakiś czas później poznała młodych ludzi, których hrabina widziała jako ewentualnych kandydatów na mężów, wspomnienie Uljanowa pozbawiało ich kolorów i zalet, jakby stali w oślepiającym blasku słońca. Sprawiali wrażenie mdłych, niczym nie-

wyróżniających się postaci. Aleksandra zapomniała, że kiedyś to Uljanow był dla niej kimś równie obojętnym, równie irytującym, żalonym i nieciekawym, jak teraz ci młodzi ludzie.

Płomień miłości gorzał w niej intensywnym blaskiem. Lecz mimo że płonął z wielką siłą, podgrzewany nagłą i nieoczekiwaną obojętnością Uljanowa, nie mógł trwać wiecznie, jeśli się go nie podsycalo. W końcu osłabł i zmienił się w irytujący żar w sercu, który sprawiał jej ból. Postanowiła więc całkowicie go zdusić, kierując zainteresowanie ku innym mężczyznom. Dlatego gdy hrabina, niezwykle podekscytowana, oznajmiła jej, że otrzymała wiadomość o wizycie, jaką ma złożyć w okolicy stary książe Duraszwili z osobistym sekretarzem, i że ów książe, chociaż stary, jest kawalerem, całkiem przystojnym, w dodatku jednym z najbogatszych ludzi w Rosji, osobą wpływową, doradcą i przyjacielem cesarza, żar w sercu zetlił na popiół.

Właściwie czemu miałabym się wiązać z kimś takim jak Uljanow? - pomyślała. Kobięciarzem, hulaką, libertynem, należącym do niższej warstwy arystokracji, bez tytułu, ze skromnym majątkiem, skromnym intelektem i równie skromnymi perspektywami.

Myśl o księciu Duraszwilim i jego milionach podniosła ją na duchu. Już widziała pałace, które mogłaby mieć, przyjęcia, które mogłaby urządzać, suknie prosto z paryskich domów mody, klejnoty, posiadłości i powozy. Przydałaby się też malowana i rzeźbiona trojka, serwis z niemieckiej porcelany z tysiącem nakryć, salaterkami, filiżankami, wazami na zupę - wszystko połączane, z motywami kwiatowymi. Przypomniała sobie o swoich dawnych projektach odzyskania majątku, pozycji i dumy.

Stojąc w sypialni przed popękanym lustrem, niedoskonale odbijającym jej obraz, oceniała swoje możliwości, zastanawiając się, czy wciąż jest dość ładna, by zdobyć księcia. Włosy powoli odrastały, miała jednak wątpliwości, czy w pewnym sensie nadal nie jest w połowie mężczyzną. Tak długo i tak ciężko pracowała nad umiejętnością „bycia mężczyzną”, że mogła zatracić coś ze sztuki bycia kobietą. Poza tym brakło jej strojów i pieniędzy na ich kupno. Będzie musiała zrobić wszystko, co możliwe, i polegać jedynie na swojej niczym nieupiększonej zgrabnej figurze. Oby to wystarczyło!

Przyjazd wielkiego księcia obudził nadzieje wśród miejscowej szlachty z niewielkimi majątkami. Każdy ojciec zaczął marzyć o świetnej partii dla córki, którą trudno było



wydać za męża, albo o liście polecającym dla syna nicponia w sprawie posady urzędniczej w stolicy i karierze w służbie państwowej, z dala od kurzu, brudu i prowincjonalnej nudy. Były to, nie wyłączając oczekiwań Aleksandry, nierealne marzenia, ale dostarczały dreszczyku emocji i ożywiały nieciekawe i niesmaczne kolacje, senne wieczorki karciane, amatorskie widowiska muzyczne, niewielkie atrakcje, z jakich składało się życie towarzyskie na rosyjskiej prowincji dziewiętnastego wieku.

Gusty księcia, jego upodobania i uprzedzenia odnośnie do potraw, gatunków muzyki, dekoracji scenicznych były nieustannym przedmiotem dyskusji i sporów, jak również to, kto ma go gościć. Ta ostatnia sprawa stała się przyczyną nienawiści między hrabiną Gregorian a madame Subricką. Każda z nich uważała się bowiem za przywódczynię miejscowej społeczności.

Wygrała oczywiście hrabina. Przewagę dało jej obycie w wyższych sferach i pozycja jedynej utytułowanej osoby w okolicy. Podupadający dwór ożył, sprowadzono mnóstwo roślin pokojowych, pod którymi starano się ukryć liczne dowody jego opłakanego stanu, jak rysa na ścianie w salonie czy plamy wilgoci w jadalni. O upiększenie siedziby troszczyli się wszyscy okoliczni sąsiedzi, stojący na tyle wysoko, by otrzymać zaproszenie na kolację z księciem lub, jeżeli ich status był niższy, na popołudniową herbatę. Żona miejscowego lekarza ofiarowała hrabinie cenny porcelanowy serwis, kupiony przed dziesięciu laty w Berlinie podczas podróży poślubnej. Hrabina, która zmuszona była sprzedać część własnej zastawy, by spłacić długi męża, przyjęła jej dar z wdzięcznością. W miejscu, gdzie niegdyś stało pianino hrabiny, pojawił się wspaniały, choć rozstrojony instrument, należący do monsieur Malabraque'a, Francuza, który przybył w te strony przed dwudziestu laty, by uczyć muzyki dzieci miejscowej rodziny. Własne pianino hrabiny zniknęło mniej więcej w tym samym czasie, gdy Francuz przyjechał do Rosji. Inni chętni do otrzymania zaproszenia podarowali lampy, krzesła, poduszki, obrusy i chińskie ozdoby, aż w końcu dom hrabiny wypełnił się ich nadziejami i marzeniami.

Nadszedł dzień przyjazdu księcia, lecz dostoyny gość nie pojawił się o wyznaczonej godzinie. Oczywiście pisał w swoim liście, że ma w okolicy ważne sprawy do załatwienia, że musi przyjrzeć się postępom prac przy pewnych projektach przemysłowych, które rozpoczął przed kilku laty za radą cesarza, ale miejscowi notable i urzędnicy, zebrani we



dworze hrabiny, by go powitać, czekali z rosnącym zniecierpliwieniem, przytupywali gniewnie stopami, walili głowami o ścianę, wyrażając w ten sposób swój żal, głośno krzyczeli, pili zbyt dużo wódki, jedli zbyt dużo śledzi, chociaż żony usiłowały ich przed tym powstrzymać, i w końcu usnęli na krzesłach wypełniających sale na parterze dworu. Na okrzyki służących, że gość już jedzie, poderwali się przestraszeni, w pierwszej chwili nie bardzo wiedząc, gdzie się znajdują.

Aleksandra, która miała pieczę nad pokojami księcia i jego sekretarza, układała właśnie na górze bukiet z polnych kwiatów w pękniętej wazie. By ukryć defekt, owinęła ją kawałkiem żółtej koronki i popatrzyła z dumą na swoje dzieło, uznając, że wygląda bardzo elegancko. Postawiła naczynie na zniszczonej mahoniowej serwantce, obok srebrnych przyborów toaletowych, należących do zmarłego męża hrabiny. Stały się one przedmiotem sporu, Aleksandra bowiem uważała, że książę pomyśli, iż ma ich używać, a na pewno przywiezie ze sobą własne. Poza tym miały one zbyt osobisty charakter i mogły uwłaczać książęcej skromności. Natomiast gospodyni bardzo się chciała nimi pochwalić, na co Aleksandra odpowiedziała, że księcia nie będzie to obchodziło. Widząc jednak rozczarowanie na twarzy hrabiny, pospiesznie zapewniła, że przybory są bardzo ładne i na pewno zrobią na księciu wrażenie.

Książęcy kamerdyner miał zamieszkać w małej garderobie, przylegającej do sypialni zmarłego hrabiego. Aleksandra dopilnowała, by i tam ustawiono wazon z kwiatami. Pokój młodego sekretarza, który musiał być dżentelmenem, bo tę funkcję pełnili zazwyczaj młodzi arystokraci, rozpoczynający karierę w polityce, mieścił się na końcu korytarza. Właśnie wyglądała tam poduszki na łóżku i poprawiała koronki, gdy usłyszała stukot końskich kopyt i okrzyki podekscytowanych chłopów. Podbiegła więc do okna i przycisnęła nos do szyby.

Wielka karetka podróżna, taka jaką kiedyś miała, a za nią kilka mniejszych powozów, należących zapewne do książęcego orszaku, wjechało na długi podjazd przed domem. Czwórka muskularnych siwków machnęła niecierpliwie ogonami, wyczuwając, że w stajni czeka na nie woda i owies. Stangret w szarej liberii i ubrany również na szaro pomocnik zeskoczyli z kozła i otworzyli pozłacane drzwi. Opadły schodki na przyjęcie książęcych stóp i oto pojawił się długo oczekiwany gość.

Był przystojnym, szpakowatym mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu lat, ale energicznym i męskim, bogato odzianym. Rozejrzał się wokół z uśmiechem, odetchnął głęboko wiejskim powietrzem i klepnął stangreta w ramię. Potem odwrócił się w stronę drzwi karety i wyciągnął pomocną dłoń, którą wysiadająca osoba zignorowała, zatrzymując jedynie na chwilę stopę na schodku i lekko zeskakując na ziemię. Młody człowiek, zapewne sekretarz, na co wskazywał prosty czarny strój, nie zatrzymał się, by odetchnąć wiejskim powietrzem, lecz z zatroskaną miną ruszył prosto do domu, jakby czekały tam na niego pilne obowiązki. Aleksandra natychmiast go poznała.

Serce podskoczyło jej w piersi i rozgorzało płomieniem. Zapomniała o pałacach, powozach, porcelanowych serwisach z tysiącem nakryć, malowanych trojkach, paryskich sukniach, pochodzeniu, pozycji i dumie. Wybiegła z sypialni, a potem popędziła schodami w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Hol pękał w szwach. Aleksandra usiłowała przepchnąć się przez tłum miejscowych dygnitarzy i urzędników z żonami i córkami, oczekującymi na przedstawienie księciu, lecz nie dała rady. Zaczęła więc podskakiwać i wyciągać szyję, by coś zobaczyć.

Stary książę i młody sekretarz stali obok hrabiny, która pławała się w chwale, dokonując prezentacji gości. Aleksandra widziała jedynie unoszące się i opadające w głębokim ukłonie sylwetki kobiet i pochylające się głowy panów. Posuwała się do przodu, czując rosnące podniecenie. Och, co on powie, kiedy ją zobaczy? Wreszcie nadeszła jej kolej. Nie była jednak w stanie spojrzeć na Uljanowa.

- Wasza książęca mość, przedstawiam pannę Aleksandrę Korwiną - powiedziała stara hrabina.

Aleksandra dygnęła, a czarna suknia zafalowała wokół niej. Lecz to Uljanow uśmiechnął się do niej, skłonił z szacunkiem głowę i pomógł wstać, podobnie jak wielu innym damom.

- Ojej, chyba wszystko pokręciłam - stwierdziła hrabina, podtrzymując chwiejącą się Aleksandrę. - To nie jest stary książę Duraszwili z nowym sekretarzem, tylko nowy książę Duraszwili ze starym sekretarzem. No, ale taka już jestem.

Oto, co się wydarzyło: kiedy matka Uljanowa, pochodząca z arystokratycznego rodu Mecklenburgów, straciła całe swoje dziedzictwo, wychodząc za mąż za ojca Uljano-

wa, dobrego i przystojnego młodzieńca, stojącego jednak niżej w hierarchii społecznej, bez majątku, za to obdarzonego licznymi zaletami, przypadło ono młodemu księciu Duraszwilemu, dalekiemu krewnemu, człowiekowi bardzo uczciwemu, który postanowił, że nie przekaze tego nieoczekiwanego spadku swoim potomkom. Zdecydował nigdy się nie ożenić, by nie mieć spadkobierców, a ogromne dziedzictwo przekazać po śmierci prawowitemu właścicielowi. Z drugiej jednak strony nie chciał zepsuć młodego Uljanowa przedwczesnymi nadziejami, bo do reszty wypaczyłby charakter i tak już rozpuszczonego młodego człowieka. Dlatego trzymał wszystko w sekrecie do czasu, gdy poczuł, że zbliża się śmierć. Wtedy posłał po młodego Uljanowa, usynowił go zgodnie z prawem, żeby zamknąć usta licznym krewnym, i przekazał mu zarówno tytuł, jak i majątek, ze wszystkimi przynależnymi przywilejami i wpływami, które zdobył podczas długiej i owocnej kariery w służbie cesarza.

- Ale dlaczego do mnie nie napisałeś? - spytała Aleksandra.

- Byłem zajęty - odpowiedział książę. - Wiedziałem, że poczekaasz.

- No i kto tu jest arogancki? - spytała.

- No cóż, kiedy chciałaś mnie zabić, zrozumiałem, że mnie kochasz - odparł książę.

- Myślałam, że kiedy cię nie zabiłam, zrozumiałeś, iż cię Kocham.

- To tylko potwierdziło moje przypuszczenie.

- Skoro mnie kochałeś, to dlaczego nie pojechałeś za mną na Kaukaz? Jak mogłeś pozwolić, bym tak się narażała? Ja, kobieta?

- Pojechałem za tobą.

Kiedy Nikifor, jego szpieg, poinformował go, dokąd ona jedzie, Uljanow natychmiast wyruszył na Kaukaz. Obozował w lasach w pobliżu fortecy, omal nie odmroził sobie palców u nóg, uganiając się za nią po górach i śledząc każdy jej krok. Na pewno zostałaby ranna w bitwie z tubylcami, bo walka była zażarta. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że Aleksandra się wycofuje, i zajął jej miejsce w szeregu, by oddać za nią życie.

- Ale czemu się nie ujawniłeś? Przecież można było tego wszystkiego uniknąć. Ryzykowałeś życie. Mogli cię zabić.

- Byłabyś na mnie zła. Chciałaś się sprawdzić jako żołnierz. Nie darowałabyś mi, gdybym spróbował cię powstrzymać.

- Nie sprawdziłam się jako żołnierz - powiedziała, krzywiąc się, Aleksandra.

- Nie. Byłaś dobrym żołnierzem i dobrym oficerem, jednym z najlepszych, z jakimi służyłem. Nie chciałem ci tego mówić, obawiając się, że zechcesz zostać generałem lub dostać się do sztabu. A wtedy co? Zostałbym bez żony.

Oczywiście były suknie, klejnoty, pałace, dobra, powozy i wystawne przyjęcia. Serwis porcelanowy z tysiącem nakryć. Malowana, pozłacana trojka, a nawet pałac na Capri. Lecz wraz z całym tym bogactwem na jej barkach spoczął ogromny ciężar. Godzinami musiała teraz przesiadywać z księgowymi i zarządcami, od czego bolały ją plecy, a przed oczami migały setki czarnych cyferek w księgach rachunkowych. Do jej obowiązków należało również jednoczesne prowadzenie wielu domów, co było prawdziwym koszmarem i nie lada sztuką, opracowywanie jadłospisów, pilnowanie dostaw, opiekowanie się chorymi chłopami i wysłuchiwanie ich skarg, a także dawanie sobie rady z zawiścią i intrygami elit towarzyskich. Rozumiała teraz, dlaczego ojciec i księżę Andriejew poświęcili życie, by pozbyć się tego bogactwa, zrzucić z ramion ten ciężar, uciekając w ekstrawagancje lub dobroczynność. Czasami, widząc, jak bardzo przygniała on męża, i zdając sobie sprawę z daremności własnych wysiłków, zmierzających do zdjęcia z jego barków chociaż części tego balastu, oraz prób pokonania przeszkód, jakie tak wielkie obowiązki piętrzyły na drodze do niego, z nostalgią wspominała, jak to kiedyś przeraziła ją wizja skromnego pokoiku, w którym miałyby zamieszkać z hulaką Uljanowem.

Księżnej Duraszwili udało się jednak przezwyciężyć te przeszkody na tyle często, by wydać na świat siedmioro dzieci - sześciu wielkich chłopców i jedną drobną dziewczynkę, która stała się ulubienicą ojca. Według opinii księcia synowie uosabiali męskie cechy charakteru księżnej, a córka była drobną cząsteczką jej kobiecości. Księżna nie podzielała opinii męża, uznając ją za obraźliwą, i żywo na nią reagowała, gdy tylko ją wypowiadał, co często się zdarzało. Księżę bowiem nigdy nie zrezygnował z przyjemności droczenia się z małżonką. Przy takich okazjach księżna chwytła za szablę i atakowała męża, co zwykle ściągało do kuchni, spiżarni, pomieszczeń dla służby i stajni wszystkich domowników, którzy robili zakłady o to, kto kogo przyprze do ściany. Nianie, guwernantki i guwernerzy zbiegali po schodach, a za nimi dzieci, by zobaczyć, co się stało

mamie i tacie.

Przyjaźń księżnej Duraszwili i księżniczki Andriejewej odżyła na nowo tuż przed ślubem Aleksandry i przyjaciółki padły sobie w ramiona. Aleksandra nie przyznała się do tego, co wie na temat charakteru i upodobań męża Olgi, ale ona sama poruszyła ten temat. Rybinski zachował wysoką pozycję w służbie cywilnej, lecz nigdy się już nie ożenił. Umowa rozwodowa z księżniczką Andriejewą zapewniła mu środki na zaspokajanie wszystkich jego potrzeb, książe Andriejew z radością zaś skorzystał ze sposobności, by złożyć ogromną sumę pieniędzy w wymuszkane dłonie radcy stanu.

Księżciu Andriejewowi nie udało się uwolnić od tego, co uważał za ohydny górą pieniędzy, choć spontaniczną dobroczynnością zmniejszył ją do przyzwoitej wielkości.

Olga ponownie wyszła za mąż, tym razem szczęśliwie, za człowieka, który, w przeciwieństwie do jej pierwszego małżonka, nie zostawiał jej samej i często gonił ją po całym pałacu, wiedziony pragnieniem doświadczenia rozkoszy, jakie mogła mu zaoferować, co przyjmowała z radością i zadowoleniem.

Praskowia otrzymała wolność i żyła szczęśliwie z Nikiforem w okazałym domu podarowanym im przez księcia. Matriona poślubiła Griszę, lecz nie przyjęła wolności, uważając, że dość się nią nacieszyła. Służyła swojej pani z równie nikłym poświęceniem, ale z większą miłością. Dziecko dwojga imion - Piotr Grisza - rozwijało się i rosło, ukończyło uniwersytet i zostało współnikiem adwokata Trieniakowa. On zaś odnalazł kobietę, której szukał pewnej nocy w dzielnicy prostytutek, i ożenił się z nią.

Aleksandra nigdy nie straciła zamiłowania do dobrych cygar. Wszyscy ją podziwiali i zazdrościli zgrabnej figury, wybornego gustu, suto zastawionych stołów, hojności, szlachetnego serca, grzecznych dzieci i oddanego męża. Stała się również sławna z wysokiej jakości kubańskich cygar, którymi częstowała panów po kolacji, nigdy nie odmawiając sobie jednego.

---